

HARLEQUIN
16 BYSTRZA

HARLEQUIN®
na życzenie

3 POWIEŚCI
TYLKO 15,99

Niania potrzebna od zaraz

DONNA CLAYTON NICOLE BURNHAM LIZ FIELDING

HARLEQUIN SPÓŁKA NR 5 00111 INPCIO5.57295X CPNA 15.99 ZŁ W TYM 5% VAT

Niania potrzebna od zaraz

DONNA CLAYTON
NICOLE BURNHAM
LIZ FIELDING



Donna Clayton

Tajemnica niani

Kochana Mamo i Tato!

Wakacje u wujka Piercea są bardzo udane. Najpierw trochę się martwiliśmy, bo wujek nie ma dzieci i nie wie jak się bawić bo wcionsz ciągle pracuje! Ale nasza niania jest super. Amy codzień wymyśla nam nowe zabawy. Piekliśmy razem ciasteczka dla was. Te co są najlepsze, z kawałkami czekolady! Parę sobie zjedliśmy, ale prawie wszystkie włożyliśmy do waszej paczki.

Trochę się martwimy, bo wujek Pierce i Amy czasami są dziwni. Patrzą na siebie tak śmiesznie. Jak wy, gdy jest wieczorek dla dzieci i my sobie oglądamy filmy, a wy zamykacie się w sypialni. Nie wiemy, co im jest, ale jak będą mieć gorączkę temperaturę, to zadzwonimy po doktora.

Życzymy wam miłego pobytu w Afryce i nie martwcie się o nas! My czujemy się bardzo dobrze!! Tylko nie wiadomo co będzie z wujkiem i Amy.

Całujemy was mocno!!!

Benjamin i Jeremiaś

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Amy Edwards przez całe życie starała się unikać wszystkiego, co wiązałoby jej ręce: stałych związków, miłości, małżeństwa, a przede wszystkim dzieci. Co zatem ją pod-kusiło, by podjąć się opieki nad sześćioletnimi bliźniakami? W dodatku przez całe lato.

Odpowiedź jest jedna: chyba zupełnie straciła rozum.

Zaśmiała się, wyłączyła silnik i otworzyła drzwi samochodu.

- Przez chwilowe zaćmienie umysłu zostałam chwilową nianią - wymamrotała do siebie.

Niedawno zaczęła pracę w liniach lotniczych i wkrótce zostanie stewardesą. Miło pomyśleć, że polata sobie po świecie, zobaczy nieznanne miejsca. Niestety, najwcześniej dopiero za dwa miesiące. Dopadło ją zapalenie ucha środkowego, a lekarz zakładowy był nieugięty. Mogłaby siedzieć w domu w Kansas i czekać na powrót do zdrowia, zwłaszcza że dostaje niezły zasiłek chorobowy, a jednak podjęła się nowego wyzwania...

Zrobiła to tylko ze względu na tatę. Każdemu innemu by odmówiła, ale dla niego była zdolna do największych poświęceń. Nigdy nie odwdzieczy się za to, co dla niej zrobił.

Wyjęła z bagażnika walizkę, po czym rozejrzała się wokół. Dom wyglądał jak z okładki luksusowego magazynu.

Kamień łączony z ozdobnym tynkiem, wspaniale utrzymany ogród, bajecznie kolorowe kwiaty na tle soczystej zieleni. Nieopodal zielononiebieskie wody zatoki Delaware. Po prostu raj na ziemi.

Podkscytowana, nie mogła oderwać oczu od spokojnej toni zatoki. Ten widok ją upajał. Przez całe lata staw w pobliżu Lebo, jej rodzinnego miasteczka, był jedynym zbiornikiem wodnym, jaki widziała. Dopiero kilka tygodni temu to się zmieniło. Nic dziwnego, że ciągle tkwi w niej syndrom dziewczyny z głębokiej prowincji. Teraz napatrzy się na prawdziwy ocean. Ruszyła ścieżką wiodącą nad brzeg.

Usłyszała dziecięce głosy i po chwili zobaczyła chłopców. Moi podopieczni, przebiegło jej przez myśl. Siedzieli w małej łódce niedaleko brzegu. Amy pospieszenie rozejrzała się wokół, szukając ich opiekuna. Niemożliwe, by takie małe szkraby samodzielnie wypuściły się na głęboką wodę.

- Jeremia! - zawołała, przyjaźnie machając ręką. - Benjamin!

Gdy matka chłopców przyleciała do Kansas, by poznać przyszłą opiekunkę swych synów, zażyczyła sobie stanowczo, by właśnie W ten sposób zwracać się do dzieci. Żadnych zdrobnień.

Chłopcy byli wyraźnie zaskoczeni przybyciem nieznajomej, jednak odwzajemnili powitanie. Dopiero teraz Amy zauważyła, że jeden z nich ma zapłakaną buzię.

Rzuciła walizkę na trawę.

- Co wy tam robicie?

Malcy byli podobni do siebie jak dwie krople wody. Jeden z nich uniósł brodę i wyjaśnił:

- Płyniemy na wschód. Przepłyniemy cały Ocean Atlantycki.

Amy była zdenerwowana nie na żarty. Chciała krzyknąć i kategorycznie nakazać im natychmiastowy powrót do brzegu, jednak powstrzymała się. Lepiej działać dyplomatycznie.

- Nie jestem specem od geografii - zaczęła - ale jestem pewna, że jeśli popłyniecie na wschód, to dotrzecie do New Jersey.

Obaj chłopcy mieli zaskoczone miny.

Nim zdążyli zareagować, zawołała:

- Może wróćcie na brzeg i pójdziemy to sprawdzić w atlasie. Wtedy będziecie wiedzieć, gdzie dokładnie jesteście.

Chłopiec z oczami czerwonymi od płaczu wstał i oświadczył stanowczo:

- My wiemy, gdzie jesteśmy.

Ogarnęła ją panika.

- Usiądź. Natychmiast usiądź.

Łódka zakołysała się niebezpiecznie, na chłopięcych twarzyczkach odmalowało się przerażenie. Jedno z wiosł wyślizgnęło się z dulki i wpadło do wody. Nie minęły dwie sekundy, a odpłynęło kilka metrów od łódki.

- Spokojnie, idę do was! - zawołała Amy

Nie zastanawiając się ani chwili, zrzuciła sandaalki na wysokich obcasach i ruszyła na ratunek dzieciom. Miała tylko nadzieję, że woda w tym miejscu nie jest zbyt głęboka. W Kansas nie miała okazji nauczyć się pływać.

Woda wprawdzie sięgała jej do pasa, ale okazała się zaskakująco zimna. Amy od razu poczuła gęsią skórkę. Wzdrygnęła się.

Kiedy znalazła się niemal przy łódce, zastanowiła ją

dziwna cisza. Chłopcy zamarli. A zaraz potem rozległ się męski głos:

- Może tak będzie łatwiej?

Odwróciła się. Wiosło, ku któremu już wyciągała rękę, odpłynęło.

Kruczoczarne włosy nieznajomego lśniły w ostrym słońcu, zielone oczy patrzyły na nią badawczo. I ta twarz! Boże, co za przystojny facet!

Zaparło jej dech.

Dopiero po chwili dotarło do niej, że mężczyzna ma w rękę linę. Przesunęła po niej wzrokiem i poczuła, że oblewa się rumieńcem. Łódka była zacumowana!

- Jeremiaś - rozkazał mężczyzna. - Usiądź.

Dziecko usłuchało bez słowa sprzeciwu. Łódka znów się zachwiała.

- Uważajcie teraz - rzekł nieznajomy. - Przyciągnę was do brzegu.

Amy zerknęła na unoszące się na wodzie wiosło. Podeszła bliżej i schwyciła je. Nagle uświadomiła sobie, że słona woda z pewnością zniszczyła jej jedwabną szmi-zjerkę. Gdy wyjdzie na brzeg, będzie wyglądać jak zmokła kura.

Musi wziąć się w garść. Sprawiać wrażenie osoby, która doskonale wie, czego chce. I wzbudzać zaufanie. Instruktor na kursie bezustannie wkładał to w głowę przyszłym stewardesom. Liczy się wrażenie, sposób, w jaki inni cię postrzegają. W sytuacji awaryjnej pasażerowie muszą czuć, że stewardesa jest spokojna i wszystko kontroluje. Wtedy połowę zwycięstwa ma się już w kieszeni.

Wygramoliła się na brzeg. Mokra sukienka oczywiście kleiła się do ciała.

Mężczyzna wyciągnął łódkę na brzeg. Wysadził obu chłopców.

- Pani Amy Edwards? Opiekunka?

- Tak, to ja. - Zrobiła krok do przodu, by podać mu rękę. W porę spostrzegła, że jej dłoń jej zimna i mokra. Szybko schowała ją za sobą. - Pan doktor Kincaid? Jest pan wujkiem chłopców?

Mówiła wyszkolonym, pewnym siebie tonem. Robiła to automatycznie, choć wcale nie miała pewności. Rodzice chłopców mieli wyjechać przed jej przyjazdem do Glory. Jednak plany zawsze mogą w ostatniej chwili się zmienić. Cynthia Winthrop zapewniała, że do jej przyjazdu chłopcy będą pod opieką jej brata, ale ten mężczyzna równie dobrze mógł być kimś innym, znajomym czy sąsiadem.

Uśmiechnął się. Naprawdę, ten jego uśmiech... Amy topniała.

- Owszem - potwierdził. - Proszę mówić mi po imieniu. Pierce.

Przykucnął i przywołał do siebie dzieci.

- Wydawało mi się, że zostawiłem was przed telewizorem - rzekł z wyraźną przyganą w głosie.

- Ale film już dawno się skończył! - bronił się jeden z malców.

- Już bardzo dawno! - brat pospieszył mu z odsieczą. Mężczyzna zmarszczył czoło, spojrział na zegarek, a potem na siostrzeńców.

- Macie rację. Przepraszam, chłopcy. Praca mnie wciągnęła.

Amy ponownie poczuła na sobie spojrzenie jego niesamowicie zielonych oczu. Ledwie się powstrzymała, by nie wygładzić sukienki.

- Muszę przyznać - zagałę, podnosząc się - że jestem pod wrażeniem. Bez wahania pospieszyłaś im na ratunek, choć był łatwiejszy sposób. Można było przyciągnąć ich po prostu za cumę.

Serce Amy waliło. Nie miała zamiaru się tłumaczyć, zwłaszcza teraz. Tata ostrzegął, że doktor Kincaid jest bardzo inteligentnym człowiekiem, a takich z zasady unikała. Miała swoje powody. Szkoda tylko, że ani tata, ani Cynthia nie uprzedzili jej, że ten facet bywa też czasem czepliwy.

Przez dwa dni jazdy z Kansas wyobrażała sobie różne scenariusze. Za nic nie chciała zbłąźnić się przed doktorem. Cóż, wejście do wody w sukience na pewno nie było dobrym pomysłem.

- Jak mogłam ją zobaczyć, skoro była pod wodą? - odparła natychmiast.

Zamurowało go. Przez chwilę milczał.

- No tak, rzeczywiście - wymruczał.

- Poza tym ktoś musiał wyłowić wiosło - dorzuciła.

Skinął głową, a rysy jego twarzy złagodniały.

- Chłopcy nie powinni być tutaj bez opieki - powiedziała, za późno gryząc się w język. Nie chciała go krytykować, niepotrzebnie się jej to wysnęło.

Oczy mu pociemniały.

- Absolutna racja. To moja wina, za bardzo pochłonęła mnie praca. - Mężczyzna westchnął i popatrzył na chłopców. - Co wam strzeliło do głowy?

- Na liście rzeczy zakazanych, którą nam dałeś, nie było łódki - odpowiedział obronnym tonem młec. - Dlatego myśleliśmy, że możemy sobie popływać.

Pierce popatrzył na nich sceptycznie.

- Widzę, że jeszcze nie do końca umiecie wyciągać logiczne wnioski.

- To był pomysł Benjamina! - powiedział natychmiast drugi z chłopców.

- Wcale nie!

- Właśnie że tak!

- Chłopcy.

Pierce nie podniósł głosu, jednak obaj malcy od razu umilkli. Amy zaśmiała się mimo woli.

Czując na sobie ich wzrok, pospiesznie zasłoniła dłonią usta. To nerwy. Jest spięta jak nigdy.

- Przepraszam - powiedziała. - Oni są świetni, gdy się tak spierają.

Pierce uśmiechnął się leciutko.

- Są jeszcze lepsi, gdy nie pakują się w tarapaty.

Amy przeniosła wzrok na dzieci. Jeden z bliźniaków miał oczy czerwone od płaczu, drugi patrzył zuchwale. Ten widok poruszył ją do głębi. Nagle przepełniły ją nowe uczucia.

- Mówiliście, że plyniecie na wschód - zagadnęła. - Chcieliście przepłynąć Atlantyk, żeby dostać się do mamy i taty? Płynęliście do Afryki.

Na wspomnienie rodziców zapłakany chłopczyk zamrugał, a jego bródka lekko zadrżała. Serce Amy ścisnęło się boleśnie.

Podeszła do malucha, pochyliła się i pogładziła go dłonią po policzku.

- Ty jesteś Jeremiaś czy Benjamin?

- Jeremiaś - wyduśił z siebie malec.

- Posłuchaj mnie, Jeremiaś - powiedziała miękko.

-Wiem, co teraz czujesz. Mnie też brakuje moich rodziców.

Chłopczyk pociągnął noskiem.

- Twoja mama i tata pojechali do Afryki?

- Nie. Mój tata jest w Kansas. - Urwała, nie bardzo wiedząc, jak powiedzieć dziecku o mamie. - A moja mama jest bardzo, bardzo daleko.

- Dalej niż w Afryce? - z podziwem w głosie zapytał Benjamin.

- Dalej niż w Afryce. - Uśmiechnęła się do bliźniąt.

-Wiedzie, co robię, gdy ogarnia mnie straszna tęsknota?

Dzieci czekały w napięciu.

- Staram się zająć różnymi fajnymi rzeczami. - Uśmiechnęła się jeszcze serdeczniej. - Tak właśnie będziemy robić. Razem. Wymyślimy sobie mnóstwo świetnych zabaw i przyjemności.

- Skoro mówimy o przyjemnościach - rzekł Pierce. - To kto jest gotowy na obiad?

Amy wyprostowała się. Dopiero teraz zauważyła, że Pierce podniósł z trawy jej walizkę i sandałki. Zmieszała się. Odczuła to jako gest zbyt... osobisty. Ich spojrzenia się skrzyżowały, więc szybko wybąkała jakieś podziękowanie. Przez moment miała wrażenie, że chłodny wiatr ustał, a słońce zaczęło mocniej grzać. Nie mogła przełknąć śliny.

Na szczęście Jeremiaś przerwał dręczącą ciszę. Zaczął marudzić, że nie chce jeść brukselki.

- Brukselka jest bardzo zdrowa, ma mnóstwo witamin - pouczył go wujek. - Jeśli nie chcesz, nie musisz jej jeść. Proszę tylko, żebyście spróbowali.

Chłopcy powlekli się w stronę domu, zarzekając się po drodze, że brukselki za nic nie polubią. Pierce westchnął ciężko.

- Powiniennem nastawić sobie budzik czy coś takiego. Zostawiłem ich samych na tak długo - wyrzucał sobie.

- Praca potrafi wciągnąć - pocieszała go Amy. - Pani Winthrop spotkała się ze mną w zeszłym tygodniu. Mówiła o wyjątkowym kontrakcie, jaki ci zaproponowano. I że termin jest bardzo krótki. Nic dziwnego, że...

- Ale im mogło się coś stać.

Pierce zdręzczał się wyrzutami sumienia, widziała to.

- Niedobrze się złożyło, że między wyjazdem ich rodziców a moim przybyciem była przerwa - rzekła. - Ale nic na to nie mogłam poradzić. Nie mogłam przylecieć samolotem.

- Wiem. Siostra mi powiedziała.

Amy dotknęła dłonią ucha.

- Mam zapalenie ucha środkowego. Nie boli, ale nie mogę latać. Istnieje ryzyko, że z powodu ciśnienia doszłoby do uszkodzenia błony bębenkowej.

- Rozumiem.

Znowu zapadła cisza. Amy szła bosą, co jeszcze bardziej zbijało ją z pantofelku. Jednak nie chciała zniszczyć sobie butów, a z mokrej sukienki ciągle spływały strużki słonej wody. Ciekawe, czy Pierce czuje lekki zapach, jaki morską wodą pozostawiła na jej skórze? Ale fatalnie to wszystko wyszło!

- Masz doświadczenie z dziećmi?

- Słucham? - Zaskoczył ją tym pytaniem. - Nie, nie mam. Ale twojej siostrze to nie przeszkadzało. Uważa, że dam sobie radę.

- Ja cię nie przepytuję - zastrzegł pośpiesznie Pierce.

Może i nie, jednak wyraźnie próbował się czegoś o niej

dowiedzieć. A Amy zawsze stara się mówić o sobie jak naj

mniej, z różnych powodów. Teraz też nie zamierzała się przed nim otwierać.

- Uderzyło mnie, że masz do nich świetne podejście - wyjaśnił. - Chodzi mi zwłaszcza o Jeremiaha. Bardzo przeżywa wyjazd rodziców.

Kamienie na patio były przyjemnie gładkie i chłodne. Rozkosznie było stawiać na nich bose stopy.

- Nietrudno wyobrazić sobie, co on teraz czuje. - Amy zwilżyła usta językiem i przełożyła sandałki do drugiej ręki. - Cierpiącym trzeba okazać trochę współczucia i zrozumienia.

- Cieszę się, że masz takie podejście.

Zapadła cisza. Amy znowu odniosła wrażenie, że zrobiło się goręcej, choć było to niemożliwe. To raczej dzieło jej wyobraźni.

- Na pewno jesteś zmęczona po podróży. - Pierce popatrzył na nią z troską. - Dwa dni jazdy dają człowiekowi w kość. Pokażę ci twój pokój, będziesz mogła się trochę odświeżyć.

Rozsunął tarasowe drzwi i gestem zaprosił ją, by weszła. Chłopcy znikli w środku.

- Ale jestem mokra... - Amy popatrzyła na puszystą wykładzinę.

- Nie przejmuj się, wchodź.

Miękka kremowa wykładzina ugięła się pod stopami.

- Nie martw się, jeśli nie zdążysz na kolację - rzekł Pierce, zamykając drzwi. - Nie spiesz się. Zostawię dla ciebie jedzenie, będziecie czekać w ciepłe.

W tym samym momencie z kuchni dobiegł ich głuchy łoskot, a potem dało się słyszeć przyciszone dziecięce głosy.

- Może sama spróbuję trafić do pokoju - powiedziała Amy. - Oni chyba już bardzo... zgłodnieli.

- Na to wygląda. Straszne z nimi urwanie głowy. Tymi schodami. - Pierce pokazał ręką. - Twój pokój jest zaraz po prawej stronie, pomalowany na żółto. Nie sposób go przegapić. Może później, gdy już położę chłopców spać, spotkamy się w moim gabinecie i ustalimy szczegóły przy lampce wina? Musisz mieć trochę czasu dla siebie, uzgodnimy to.

- Bardzo chętnie - zgodziła się

Amy. Pierce ruszył w kierunku kuchni.

- Przepraszam! - zawołała za nim.

Odwrócił się.

- Hm, ta walizka będzie mi potrzebna.

- Och, jasne. - Mrucząc pod nosem przeprosiny, przyniósł jej walizkę. - Przepraszam.

Miał naprawdę niesamowity uśmiech. A to roztargnienie tylko dodawało mu uroku, sprawiało, że wydawał się mniej niedosiężny w swej doskonałości. Naprawdę bardzo atrakcyjny mężczyzna.

Amy uśmiechnęła się, gdy znowu ruszył do kuchni. Nie mogła się powstrzymać, by go nie zawołać. Popatrzył pytająco, jakby zastanawiał się, o czym znowu zapomniał.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że bardzo lubię brukselkę.

Pierce nie mógł dociec, dlaczego jest taki poruszony. Przecież nic się nie stało. Oparł głowę na dłoniach i zamyslił się.

Lubił swój gabinet. Dobrze go sobie zaplanował, gdy wnoszono ten dom. Duże okna zapewniały mnóstwo światła. Biurko, długi dębowy stół, kącik do czytania, pół

ki z książkami zajmujące całe ściany. Wspaniałe się tu pracowało. Miał tutaj prawdziwy azyl. Jednak dziś nie mógł znaleźć spokoju.

- Amy Edwards jest świetną dziewczyną - przypomniał sobie słowa siostry. - Bezpretensjonalna i... po prostu urocza. Bez problemu nawiąże kontakt z chłopcami. Przypadnie ci do gustu, przekonasz się.

Wiedział od Cynthii, że ojciec Amy ma niewielki motel w Kansas. Amy pomaga mu prowadzić interes. Cynthia zna ich od czasów, gdy jej mąż był pastorem w Lebo.

- Jest uczciwa i godna zaufania - zapewniała brata. - Poważnie podchodzi do pracy.

A szwagier dodał, że Amy jest niepozorna jak myszka.

Ten opis nie budził żadnych zastrzeżeń. Chyba dlatego Pierce bez oporów zgodził się na ich plan.

Bezpretensjonalna, czyli zwyczajna. Tak to sobie wy-koncyrował. Jednak dziś przekonał się, że o Amy w żaden sposób nie da się tego powiedzieć. Na pewno nie jest też cichą myszką. Biła od niej niezwykła pewność siebie - ten sposób bycia, ta wypracowana fryzura, pomalowane czerwonym lakierem paznokcie u stóp...

Pierce skrzywił się. Nie powinien zauważać takich rzeczy. Ani innych fizycznych walorów tej dziewczyny. Jej zgrabnych nóg, apetycznych krągłości...

To przez tę mokrą sukienkę wyostrzyła się jego spostrzegawczość. Tkanina oblepiała ciało Amy, jak skórka oblepia dojrzały owoc, prowokując i kusząc.

Spochmurniał, podniósł się i podszedł do okna. Skąd mu się wzięły te myśli?

Może był taki poruszony, bo spodziewał się kogoś zupełnie innego? Choć rzecz nie tylko w wyglądzie.

Po opisie siostry oczekiwał typowej młodej dziewczyny, tymczasem Amy była kobietą. Pewną siebie profesjonalistką. Nawet stojąc po pas w wodzie, nie traciła pewności siebie. Na jego zastrzeżenia od razu odpowiedziała logiczną repliką, wytrącając mu z rąk argumenty. A zatem działa rozważnie i zdecydowanie.

Nikomu by tego nie zdradził, jednak poczuł się nieco przytłoczony, gdy nagle zaczęła się śmiać. Wprawdzie od razu wyjaśniła, że rozśmieszyli ją chłopcy, lecz nie mógł się pozbyć podejrzeń, że być może śmiała się z niego...

Rozległo się pukanie do drzwi, Pierce się odwrócił. Na progu stała Amy. Złota bluzka podkreślała głębię jej brązowych oczu, spódniczka odsłaniała zgrabne kolana. Amy była w butach na wysokich obcasach, przez co jej nogi wydawały się jeszcze dłuższe. Jasnobrązowe włosy nadal miała upięte. Pierce mimowolnie zastanowił się, czy są bardzo długie. I jak by wyglądały rozpuszczone.

Gdyby tak wyjąć wszystkie spinki, zanurzyć palce w miękkich puklach...

- Proszę - rzekł, odpychając od siebie obrazy podsuwane przez wyobraźnię.

- Może przyszłam nie w porę? - upewniła się Amy, wchodząc dalej.

Szła wyprostowana, z wysoko uniesioną głową.

- Nie, skądże. Proszę, usiądź. Napijesz się wina?

- Z przyjemnością - odparła z uśmiechem. Pierce podszedł do szafki i napełnił kieliszki.

- Po kolacji pograliśmy trochę z chłopcami w grę, wykąpałem ich i zapakowałem do łóżek. Zaraz powinni zasnąć.

Podał jej kieliszek.

- Przy okazji, ich pokój jest tuż obok twojego.

Amy upiła łyk i na chwilę uciekła wzrokiem. Gdy znów popatrzyła na niego, jej twarz promieniała.

- Wspaniałe wino - powiedziała i przesunęła koniuszkiem języka po wargach.

Pierce poczuł dziwny ucisk w żołądku.

- Jutro rano mogę zaczynać - dodała Amy.

Usiadła na skórzanej kanapie i Pierce usłyszał, jak zaszedeściła tkanina spódniczki. Amy skrzyżowała nogi. Znowu rozległ się ledwie słyszalny odgłos skóry ocierającej się o skórę. Zaparło mu dech.

Co się z nim dzieje?

Upił łyk wina i odetchnął głęboko. Musi się wreszcie opamiętać.

- Nie obraż się - zaczął, przesuając po niej spojrzeniem - ale powinnaś nieco inaczej się ubierać.

Amy zmarszczyła czoło.

- Chodzi mi to - rzekł pospiesznie - że Benjamin i Jeremiaś to straszne urwisy. Są jak żywe srebro, bez przerwy biegają, skaczą, taplają się w błocie i co tylko chcesz.

- Aha. - Amy się rozluźniła. - Czyli wygodniej będzie mi w spodniach.

- No właśnie.

Napięcie opadło. Teraz już na spokojnie mogli ustalić różne szczegóły dotyczące ich codziennego życia. Znowu napełnił jej kieliszek.

- To pięknie z twojej strony, że ich do siebie wzięłeś - zagaiła Amy. - Twoja siostra tak się cieszyła na wyjazd do Afryki.

Pierce nalał sobie wina, postawił kieliszek na marmurowym stoliku i skrzywił się lekko.

- Nie zgodziłem się od razu. Najpierw odmówiłem.

- Naprawdę?

Usiadł w fotelu.

- Tak. Cynthia przyjechała i oznajmiła, że Johnowi zaproponowano sześciotygodniowy wyjazd na misję. To było jego marzenie, przynajmniej tak twierdziła Cynthia. Chciała, żebym wziął do siebie dzieci na osiem tygodni, bo przed rozpoczęciem misji Cynthia i John przez dwa tygodnie mieli się uczyć języka i poznawać kraj. Grzecznie, ale stanowczo odmówiłem. - Pierce zaśmiał się do siebie na to wspomnienie. - Przypomniałem mojej siostrze, że to ona marzyła o ognisku domowym. Ona twierdziła, że rodzicielstwo będzie największym życiowym doświadczeniem. Poza tym, jak już wcześniej mówiłem, szykował mi się prestiżowy kontrakt z jedną z największych francuskich firm perfumeryjnych. Nie mogłem sobie pozwolić na opuszczenie laboratorium nawet na tydzień, a co dopiero na dwa miesiące. Cynthia to zrozumiała. - Pierce uśmiechnął się szerzej. - Ale to bardzo uparta osoba. Nie minęło wiele czasu, a pojawiła się z nowym pomysłem. Chodziło o ciebie. Przedstawiła sprawę tak, że w końcu uległem. Zgodziłem się wziąć siostrzeńców. Pod warunkiem, że będę mógł spokojnie pracować.

Amy odstawiła pusty kieliszek.

- Mimo to i tak jestem dla ciebie pełna uznania.

Nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć, bo wcześniej nie patrzył na to w taki sposób. Milczał więc, a atmosfera gęstniała.

Minęło kilka chwil. W końcu Amy podniosła się z kanapy.

- Pora na mnie. Jeśli to takie urwisy, to muszę dobrze się wyspać.

Nie od razu dotarło do niego, że chce podać mu rękę na pożegnanie. Podniósł się pośpiesznie.

Jej ręka była ciepła i gładka. I miękka.

Po prostu zwyczajny uścisk dłoni, a z nim działo się coś niesamowitego.

- Chcę cię zapewnić, że będę się bardzo starać - powiedziała Amy. - Nie będziemy przeszkadzać ci w pracy. Zajmę się chłopcami tak, że nawet nie będziesz wiedział o naszym istnieniu.

Pierce odprowadzał ją wzrokiem, gdy szła do drzwi. Jakoś dziwnie nie mógł uwierzyć w jej zapewnienie. „Nie będziesz nawet wiedział o naszym istnieniu”.

Jej słowa nadal dźwięczały mu w uszach. Jednak bardzo wątpił, czy zdoła zapomnieć, że Amy przebywa pod jego dachem.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Jeremiah, dziękuję, że powiedziałeś mi o tej biźnie na brodzie - z uśmiechem zagadnęła Amy, przyczesując włoski malca.

- To jedyny sposób, żeby nas odróżnić. Na szczęście uderzyłem się w brodę, gdy skakałem po łożku.

Amy skrzywiła się leciutko.

- No nie wiem, czy to można nazwać szczęściem.

Benjamin, daremnie próbujący uporać się z guzikiem, podniósł główkę.

- Zrobili mu trzy szwy. Prawdziwą igłą. I w ogóle.

- Na pewno bardzo bolało - uzaliła się Amy.

-Nie, nic a nic! - z przejęciem zaprzeczył Jeremiah i dumnie wypiął pierś. - Pan doktor zrobił mi znieczulenie. W brodę.

Brat patrzył na niego z nieskrywanym podziwem.

- Zrobił mu zastrzyk.

- Mama jeszcze się z tego śmieje - dodał Jeremiah. - Bo jak doktor zszywał mi skórę, to ja chrapałem.

- Kiedy to było? - zainteresowała się Amy.

- Kilka lat temu - rzekł. - Kiedy jeszcze byłem bardzo mały.

Stłumiła uśmiech. Przez te pięć dni, odkąd była z chłop

cami, wiele się nauczyła. I uświadomiła sobie, jak inaczej wygląda świat widziany oczami dziecka.

- A zatem to się stało, gdy byłeś jeszcze *petit garçon*.

-Starala się wymówić te słowa z najlepszym akcentem.

- Kim byłem? - zdumiał się Jeremiaś.

Amy zaśmiała się.

- Małym chłopcem. Tak się mówi po francusku.

- Znasz francuski? - Benjamin wlepił w nią szeroko otwarte oczy. Był pod wrażeniem.

- To nic takiego. - Uśmiechnęła się. - Znam francuski, ale nie bardzo dobrze. Gdy byłam małą dziewczynką, uczyłam się tego języka. - Nie będzie chłopcom wyjaśniać, co to jest klasztor i zakonnice. To dla nich zbyt trudne. - Moje nauczycielki szkoliły się we Francji. Dzięki nim poznałam ten język. Wszyscy uczniowie uczyli się francuskiego, przez cały czas pobytu w szkole. Potem słuchałam taśm, żeby nie zapomnieć.

- Super! - z uznaniem oświadczył Jeremiaś.

- Nauczysz nas trochę? - Oczy Benjamin'a zaśmiały się.

- Jeśli tylko zechcecie - przystała Amy i potargała włosy Jeremiaśa. - Na szczęście twoja blizna jest bardzo mała. Trzeba się dobrze przypatrzeć, żeby ją zobaczyć. Ale cieszę się, że jest sposób, by was rozróżnić. Będę wiedziała, z którym z was rozmawiam. - Uśmiechnęła się i pieszczotliwie poklepała palcem bródkę malca, a potem odwróciła się, by pomóc Benjaminowi z guzikami.

Ich rytm dnia ustalił się nadspodziewanie szybko, sama była tym zaskoczona. Wstawała wcześniej, by spokojnie przygotować się do nowego dnia. Pomagała chłopcom się ubrać, szykowała im śniadanie, a potem wyruszali na poszukiwanie przygód.

Zabrała ich do miejskiej biblioteki, gdzie na wielkim globusie znaleźli Afrykę i Atlantyck. Potem przeczytali kilka książek o Afryce adresowanych do dzieci. Dowiedzieli się ciekawych rzeczy o kontynencie, na którym teraz przebywali na misji ich rodzice. Innego dnia spacerowali po miasteczku. Obaj malcy z radością pokazali jej pizzerię, lodziarnię i pasaż handlowy. A wczoraj zajęli się wędkowaniem. Amy pomogła im skompletować i złożyć sprzęt, ale zamiast robaków nadziała na haczyki kawałeczki szynki. Wprawdzie nie udało się im złowić żadnej ryby, ale mieli świetną zabawę. Potem usadowili się na kamieniach na końcu zatoki i obserwowali małe krabiki uwijające się w wodzie i na skałach.

Pierce miał rację, namawiając ją na zmianę stroju. Spódnice i sukienki nie sprawdzały się. Nawet buty na niższym obcasie nie nadawały się do uganiania za tryskającymi energią chłopcami. Teraz żałowała, że nie wzięła ze sobą dżinsów, sandałów i sportowych butów. W Kansas to był jej strój codzienny. Wyjeżdżając, celowo odłożyła te wszystkie rzeczy.

Podczas szkolenia ciągle im powtarzano, jak ważny jest wygląd i sposób bycia. Jeśli chcą być postrzegane jako profesjonalistki, muszą tak wyglądać i tak się zachowywać.

Któregoś dnia spłynęło na nią olśnienie. Uświadomiła sobie, że po prostu musi przekonująco odgrywać swoją rolę. Jeśli inni będą odbierali ją jako osobę opanowaną i pewną siebie, wszystko będzie dobrze. Nikt się nie domyśli, jak jest naprawdę. Jej wątpliwości, obawy i braki nigdy nie wyjdą na światło dzienne. Ważne jest to, co na zewnątrz. Dlatego tak istotny jest staranny makijaż, wypracowana

fryzura, odpowiednio dobrany strój i zdystansowany, budzący zaufanie sposób bycia.

Amy stała się inną osobą. I nikt się nie połapał. Plan sprawdzał się doskonale.

- Co będzie dziś na śniadanie? - pytanie Benjamina wyrwało ją z tych rozmyślań.

- A na co masz ochotę? - zapytała, poprawiając mu kołnierzyk czerwonego polo.

- Ja bym chciał naleśniki!

- Ja też!

Amy uśmiechnęła się.

- W takim razie zrobimy naleśniki. Rozradowani chłopcy rzucili się w stronę kuchni.

- Wolniej! - zawołała za nimi. Przez te parę dni zdążyła się przyzwyczaić, że chłopców było bardzo trudno pohamować. Byli grzeczni i starali się słuchać, ale energia ich rozsadzała.

Zbiegając za nimi po schodach, usłyszała telefon. Zatrzymała się w holu, by go odebrać.

- Tata! - Na dźwięk znajomego głosu przepełniła ją radość. - Wszystko w porządku. Idzie mi świetnie. Tak się cieszę, że dzwonisz!

Porozmawiała z ojcem przez chwilę. Obiecała zadzwonić, gdy będzie miała wolny dzień. Wtedy nagadają się do woli. Teraz zaś musi pędzić do chłopców, by dać im śniadanie.

Odłożyła słuchawkę.

W kuchni było pusto. W całym domu panowała cisza.

Przez chwilę Amy stała nieruchomo. Naraz ogarnęła ją panika. Serce zabiło jej jak szalone, na całym ciele poczuła gęsią skórkę.

Zatoka!

Bez namysłu wybiegła na taras, obrzuciła wzrokiem ogród i brzeg. Łódka była na miejscu. Odetchnęła z ulgą.

Wyszła na słońce i zaczęła nawoływać dzieci. Gdzie mogli tak nagle zniknąć?

Znieruchomiała. Drzwi do szklarni były uchylone.

- O Boże! - wyszeptała.

Zaczęła biec. Chłopcy na pewno tam poszli, czuła to. Przeszkadzają Pierce'owi w pracy.

Gdyby coś takiego stało się tuż po jej przyjeździe, byłaby zdenerwowana nie na żarty. Obawiała się jego reakcji. Na szczęście zdążyła go nieco poznać.

Był całkowicie oddany pracy. Potrafił się w niej zatracić, ale jednocześnie bardzo kochał swoich siostrzeńców. Na ich widok od razu się rozpromieniał, aż miło było patrzeć. Gdy tu jechała, spodziewała się, że będzie mieć do czynienia z intelektualistą, którego obecność będzie ją przytłaczać i uświadamiać jej braki. Tymczasem Pierce okazał się zupełnie inny, a jego roztargnienie czyniło go... przystępnym. Wcale nie czuła się przy nim onieśmielona. Mało tego, coraz częściej łapała się na tym, że myśli o nim z troską.

Tak było przy różnych okazjach. Pierce już na początku zaznaczył, że chciałby jadać kolacje razem z nią i z chłopcami. Jednak przez dwa dni z rzędu nie przyszedł, bo zbyt pochłonęła go praca. Trzeciego dnia zostawiła dla niego porcję w piekarniku, by jedzenie nie ostygło.

Amy weszła do szklarni. Powietrze było tu cieplejsze i bardziej wilgotne niż na zewnątrz. Długi i wąski budynek bardziej kojarzył się z ogrodem botanicznym niż z prywatną posesją.

- Benjamin? Jeremia?

Popatrzyła na zieloną gęstwinę lśniących liści.

- Tu jesteśmy! - dobiegł ją głos jednego z chłopców.
- Pomagamy wujkowi - dodał drugi.
- Amy, chodź do nas!

Sądząc po tonie głosu Piercea, wtargnięcie chłopców wcale go nie rozgniewało. Amy podeszła bliżej i zobaczyła duży stół. Chłopcy stali na taboretach. Rączki mieli po łokcie ubabrane w ziemi. Jeremiaś upychał ziemię do małych pojemników, a Benjamin trzymał drobnutkie nasionka.

- To specjalne nasionka - rzekł z powagą. - Wujek wyhodował je przez zapylanie krzyżkowe.

- Zapylanie krzyżowe - poprawił Pierce.

- Wujek powiedział, że takie nasionka najpierw wyhodował ktoś chory na umyśle - dodał Benjamin.

- Chory na umyśle? Co ci przyszło do głowy? - zdumiał się Pierce.

- Powiedziałeś, że to był mental. Mentalne problemy to jak z kimś jest coś nie tak, ja to kiedyś słyszałem.

- Mendel. Gregor Mendel. Ten uczony tak się nazywał.

- Aha. - Chłopczyk się zmieszał. - Myślałem, że to był wariat, bo chciał robić to... zapylanie krzyżkowe.

Pierce roześmiał się serdecznie. Jeremiaś podrapał się po nosku, zostawiając na nim ciemne smugi.

- Amy, a wiesz, że są rośliny mamusi i rośliny tatusiowie? Tak samo jak ludzie. Wujek powiedział, że jak się dotkną, to wtedy robią się nasionka. To takie ich dzieci.

- No - dodał Benjamin, nadal pracowicie sypiąc ziemię do pojemniczków. - Taki roślinny seks.

Ten nieoczekiwany zwrot w rozmowie zamurował Amy. Podniosła oczy. Pierce poblądł, jakby krew odpłynęła mu

z twarzy. Otworzył usta. Jemu chyba też zabrakło pomysłu na replikę.

Zdumiewające było nie tylko to, co malcy powiedzieli, ale i sposób, w jaki to powiedzieli. Zupełnie jakby to było coś oczywistego. Po prostu własnymi słowami przekazali treść usłyszaną od Pierce'a.

Nie odrywali się od swojego zajęcia. Benjamin dał bratu część nasion i obaj wciskali je paluszkami w przygotowane podłoże.

Amy patrzyła na Pierce'a. Miał zaciśnięte usta, a jego policzki pokryły się teraz rumieńcem. Nerwowo zwilżył wargi językiem.

- Ja wcale tego tak nie ująłem - wyszeptał. - Nawet słowem nie wspomniałem o seksie.

Amy czuła, że zaraz wybuchnie śmiechem. Z trudem udało się jej pohamować. Wystarczy jedno spojrzenie na twarz Pierce'a, by domyślić się, jak by zareagował.

Cisza, jaka zapadła, zwróciła uwagę dzieci.

- Nie martw się, wujku - rzekł Benjamin. - Nic się nie stało. My z Jeremiahem wszystko wiemy o seksie.

- Tatusz o tym nie wie, ale mama ogląda opery mydlane. Ich szczerłość rozbawiła Amy. Za to Pierce był w szoku.

- Gotowe - oznajmił Benjamin. - Teraz trzeba podlać?

- Tak. Tam jest woda - wskazał im drogę. - Należycie do konewki.

Chłopcy zeskoczyli ze stołków i rzucili się jeden przez drugiego.

- Nie tak szybko! - zawołała za nimi Amy. - Bo się przewrócicie i jeszcze coś sobie zrobicie!

Starła się zachować spokój, ale wciąż z trudem powstrzymywała śmiech.

Kiedy chłopcy znikli, Pierce najpierw milczał dłużej chwilę, a wreszcie powiedział:

- Będę musiał pogadać z siostrą o tym, co ogląda w telewizji.

Amy nie wytrzymała. Wybuchła śmiechem. Zakryła usta dłonią, ale aż się trzęsała.

- Przepraszam - wykrztusiła, nie mogąc się opanować. - Ale to jest naprawdę... śmieszne.

Pierce wygiął kąciki ust, a po chwili jej zawtórował.

- To jest bardzo śmieszne - przyznał.

- Co jest śmieszne? - Jeremiaś z trudem dźwigał ciężką konewkę, wychlapując przy okazji wodę.

Pierce nie odpowiedział, tylko zadał pytanie:

- Chcesz uprawiać je hydroponicznie?

Benjamin wlepił w niego oczy.

- Hydro... co?

- Hydroponicznie, czyli w wodzie - wyjaśnił Pierce.

- Ale przecież zasadziliśmy je w ziemi. - Na buzi Jere-miaha malowało się zdumienie.

- Ja tylko żartowałem - rzekł Pierce. - Poczekaj, pomogę ci.

Amy nie mogła oderwać oczu od mięśni rysujących się pod jego skórą. Mimowolnie przysunęła się nieco bliżej.

Poczuła jego zapach. Bardzo przyjemny. Zdała sobie z tego sprawę zupełnie bezwiednie.

- Te nasionka mają związek z nowym kontraktem? - zapytała, wyciągając szyję, by zerknąć przez jego ramię.

- Nie, to hybrydy. Czyli mieszańce. Rośliny, nad którymi pracuję, są w różnych stadiach rozwoju. Są odizolowane, żeby nie doszło do niepożądanych krzyżówek.

Zamarła, wstrzymując dech.

- A ja zostawiłam otwarte drzwi.

- Nic nie szkodzi - uspokoił ją. - Są w innej części, w laboratorium. Tam wszystko jest pod kontrolą. Podłoże, temperatura, wilgotność, ilość składników pokarmowych.

Obudziła się w niej ciekawość.

- Słyszałam coś o hybrydach, pewnie je nawet widziałam, ale nie bardzo wiem, co to naprawdę jest.

- Hybrydy, czyli heterogeniczne... - Pierce urwał i popatrzył na nią, jakby się zastanawiał. - To zwierzęta lub rośliny, które nie są podobne do swoich rodziców. Hoduje się je z różnych powodów - ciągnął, coraz bardziej zapalając się do tematu. - Komuś może zależeć na kwiatach o różnobarwnych, pstrokatych płatkach. Albo na większych kwiatach. Czy mocniejszym systemie korzeniowym.

- A ty jaki masz cel? - zapytała. - Mam na myśli twój eksperyment.

- Próbuję wyhodować kwiaty o nowym zapachu. Duża francuska firma perfumeryjna zgodziła się finansować moje prace. Jeśli uda mi się wyhodować coś, co okaże się przydatne, dostaną nasiona. A ja będę miał prawo do patentu i opublikowania pracy w magazynie naukowym.

- Chcesz wyhodować kwiatki, które będą pachniały inaczej niż wszystkie na całym świecie? - z przejęciem zapytał Benjamin.

- Próbuję. Udało mi się wyhodować pierwszą partię. Teraz pracują nad nią we francuskich laboratoriach. A ja staram się uzyskać więcej nasion.

- To jest cool.

- Wujku, pokażesz nam laboratorium? - zapytał błagalnie Jeremia.

- Dobrze, ale nie dzisiaj.

Chłopcy jęknęli i popatrzyli na niego prosząco.

Amy też była pod wrażeniem. Jaką trzeba mieć wiedzę, by z dwóch różnych gatunków kwiatów stworzyć coś absolutnie nowego, coś, czego dotąd nikt inny nie widział - ani nie wahał! W oczach Pierce'a było tyle żaru i entuzjazmu, gdy mówił o swojej pracy, że naprawdę ją oczarował.

- Pokażę wam laboratorium, ale kiedy indziej - powtórzył Pierce. - Mam tam porozkładane materiały i notatki, muszę je najpierw uporządkować. Obiecuję, że pójdziemy tam już niedługo, zgoda?

Wprawdzie chłopcy nie byli do końca przekonani, jednak już dłużej nie nalegali. I, jak to dzieci, z miejsca zainteresowali się czymś innym.

- Jestem głodny! - oznajmił Jeremiaś.

- Ja też - podjął Benjamin.

- Najpierw musicie się dobrze umyć - ostudził ich Pierce.

- No to lecimy! - Rzucili się natychmiast biegiem między rzędami roślin.

- Wolniej! - zawołał za nimi Pierce i popatrzył na Amy. - Co się stało? - zapytał.

- Nic... - Zmieszła się, że tak ją przyłapał. Myślała o nim. - Szłam zrobić im śniadanie. Bardzo cię przepraszam, że tu wtargnęli. Miałam telefon od taty, rozmawiałam z nim przez chwilę.

- Wszystko w porządku?

- Tak, dziękuję. Chciał tylko zamienić ze mną parę słów. Obiecałam, że zadzwonię później. To trwało zaledwie minutę, może dwie. Chłopcy zniknęli w jednej chwili. Postaram się, żeby to się nie powtórzyło. - Odwróciła się, by odejść.

- Poczekaj. - Poczowała na ramieniu jego palce. - Wydałaś się czymś bardzo pochłonięta. Powiedz mi.

Czy coś się stanie, jeśli mu powie? Każdy na jej miejscu tak by zareagował.

- Poruszyło mnie to, co mówiłeś - wyznała. - Tworzenie czegoś nowego, czegoś - zacytowała Benjamina - czego dotąd na całym świecie nikt nie widział... to robi wrażenie.

- To nic takiego. - Mówił, zniżając głos. Uspokajająco. Jakby łagodnie przesuwając opuszką palca po jej twarzy.

- To tylko trochę roślinnego seksu.

Zielone oczy Pierce'a błysnęły psotnie... i Amy wybuchnęła śmiechem.

Nie mogła spać, więc przez pograżony w mroku korytarz poszła do łazienki. Ciepła kąpiel dobrze jej zrobi. Zrelaksuje się.

Spięła włosy, żeby ich nie zamoczyć, napełniła wannę i po chwili zanurzyła się w ciepłej wodzie.

To był długi, męczący dzień. Rozluźni się, a wtedy prędej usnie.

Dziś piekli ciasteczka. Chłopcy byli zachwyceni. Sypali mąkę, mieszały składniki. Gdy skończyli, kuchnia przedstawiała obraz nędzy i rozpacz. Wtedy Amy zapakowała kanapki, owoce, soki i kilka ciasteczek i zabrała ich do ogrodu na piknik. Spędzili tam całe popołudnie, bawiąc się wśród drzew i zarośli.

Nieoczekiwanie jej myśli poszybowały w inną stronę. Znowu. Coraz częściej zdarzało się jej myśleć o Piersie. I rodziło się w niej coraz więcej pytań.

Jak zdobył fundusze na taką posiadłość? Czy praca naukowca jest taka dochodowa? Wielki kawał ziemi, laboratorium, szklarnia, wspaniały dom, biblioteka pełna fachowej literatury, całe ściany książek.

Przymknęła powieki i zobaczyła zielone, błyszczące oczy Piercea. Zapalał się, gdy mówił o swojej pracy. Niesamowity mężczyzna. Inteligentny i... wyjątkowo przystojny.

Wygląda bardziej na sportowca niż naukowca.

Amy uśmiechnęła się bezwiednie. Co też jej chodzi po głowie? Nigdy wcześniej nie zastanawiała się, jak wygląda człowiek pracujący naukowo. Taka praca kojarzy się z siedzeniem przy biurku, pochylaniem nad mikroskopem, z godzinami spędzonymi w bibliotece. Ale Pierce to okaz zdrowia. Opalony, wysportowany, silny. Widziała to dzisiaj, gdy podlewał posadzone nasiona.

Gorąca woda łagodnie pieściła ciało. Jak łatwo było wyobrazić sobie delikatne dotknięcia palców Piercea, muskające skórę...

To najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego Amy do tej pory widziała. I nie chodziło tylko o atrakcyjność fizyczną - naprawdę była dziś zafascynowana jego inteligencją i wiedzą. Choć zwykle unikała kontaktów z ludźmi, którzy mogli poszczycić się tytułami naukowymi. Ale Pierce z takim zapałem opowiadał o swojej pracy, że nie mogła się temu oprzeć.

Westchnęła. Ma takie piękne usta. Jak one muszą smakować... Rozpalona wyobraźnia podsuwała jej coraz to nowe obrazy. Niemal czuła dotyk jego ciała, dłonie błędzące po jej skórze, jego ciepło.

Znowu westchnęła i wyciągnęła się w wodzie.

Nagle szeroko otworzyła oczy. Zamrugnęła, po czym usiadła tak gwałtownie, że woda chlapnęła na podłogę. Co ona wyrabia? Czyżby zupełnie zwariowała?

Przez całe lata z zasady unikała takich sytuacji i nie pozwalała sobie na podobne uczucia. Za dużo się napatrzyła, by wpaść w pułapkę.

Jej koleżanki, mniej od niej przezorne, jedna po drugiej łądowały się w taki sam scenariusz. Miłość, małżeństwo, ciąża. Czasem w innej kolejności. Tak czy inaczej, każda z nich dochodziła do miejsca, z którego nie było odwrotu.

Ich dalszy los był z góry przesądzony. Na całe życie utkną w zapadłej dziurze, nigdzie się nie ruszą, niczego nie zakosztują. Ich przyszłość była beznadziejnie przewidywalna. I nudna.

Owszem, kilka razy umówiła się na kolację czy inne wyjście. Ale gdy tylko czuła, że z tego może coś być, że zaczyna łaskawszym okiem spoglądać na swojego towarzysza, z miejsca kończyła znajomość.

W ten sposób złamała jedno, może dwa serca. Trudno, nic na to nie poradzi. Miała swój plan na życie. I chciała go zrealizować.

Znowu mimowolnie przypomniała sobie zielone oczy Piercea. I jego kuszące usta.

Nie, nie ulegnie podszeptom wyobraźni. Otwiera się przed nią przyszłość, ma fantastyczne perspektywy. Udało się jej wyrwać z rodzinnego miasteczka, teraz chce poznać świat. Nie da się zepchnąć z raz obranej drogi.

Opamiętała się. Chyba za dużo sobie wyobraża. Przecież Pierce nawet na nią nie spojrzy. Chyba żeby wyrosły jej łodygi, liście i kwiaty. A na to się nie zanosi.

Musi się opanować. Przecież ta pokusa nie jest ponad jej siły. Wytrzyma te kilka tygodni, póki nie wrócą rodzice chłopców.

Oddechnęła głębiej, rozluźniła się.

Tak, najważniejsze jest odpowiednie podejście.

Musi potraktować to na spokojnie. Nic jej nie grozi, jej życiowe aspiracje nadal są priorytetem.

Dla Pierce a jest po prostu nianią, tymczasową opiekunką jego siostrzeńców. Nikim więcej.

Leżał w ciemności, wpatrując się w sufit. Dziesięć minut temu usłyszał dobiegający z łazienki szum wody. Pewnie Amy nie mogła zasnąć i postanowiła wziąć kąpiel.

Początkowo udawało mu się odpychać obrazy, jakie podsuwała mu wyobraźnia. Amy podchodzi do wanny, jej szlafrok spływa na podłogę...

Im bardziej starał się odepchnąć tę scenę, tym bardziej wyraziście ją widział. Amy unosi stopę, wchodzi do wanny... Krew zaszumiała mu w uszach, aż zrobiło mu się gorąco.

Musi się opanować. To bez sensu. Już dawno zdecydował, że dla niego najważniejsza jest praca.

Nie chce w taki sposób postrzegać Amy. I tak nic z tego nie będzie, w każdym razie nic, co miałyby jakąkolwiek przyszłość.

Przewrócił się na bok, próbując znaleźć wygodniejszą pozycję i usnąć. Daremnie.

Znowu położył się na plecach, wbił oczy w ciemność. I odpychane obrazy powróciły z jeszcze większą siłą.

ROZDZIAŁ TRZECI

Usiadł przy stole i sięgnął po długopis, żeby zapisać ostatnie przyrosty, ale nagle zapomniał, co zmierzył. Jakieś chwilowe otumanienie.

Przecież przed chwilą mierzył te rośliny.

Rzucił długopis, wziął linijkę i podszedł do rozsadnika.

Pochylił się nad delikatnymi roślinkami. I znów ujrzał przed sobą brązowe oczy Amy. Brąz w odcieniu cynamonu. Rozprostował się, przechylił głowę na bok, przypominając sobie jej włosy. Jasnobrażowe. Jednak to zbyt ogólne określenie. Zastanowił się, szukając bardziej trafnego. Brąz przetykany jaśniejszymi, złotymi pasemkami. Kojarzą się... ze słodkimi krówkami.

Uśmiechnął się. Tak, to właśnie to.

Usiadł przy stole, odłożył linijkę. I dopiero teraz dotarło do niego, że niczego nie zmierzył.

Położył długopis, potarł twarz rękami. Cały dzień nie mógł się pozbierać. Wszystko szło mu jak z kamienia. Bo nie potrafił przestać myśleć o Amy.

Wczoraj późnym wieczorem doprowadził się niemal do obłędu, wyobrażając ją sobie w wannie, śledząc strugi ciepłej wody uderzające o jej mlecznobiałą skórę...

To bez sensu. Z westchnieniem zgasił lampkę. Musi

wyjsć z laboratorium, rozprostować się. Popatrzył na zegarek. Zrobiło się późno. Znowu przegapił porę kolacji.

Odstawił tacę z rozsądą, zamknął rejestry i odstawił je na półkę. Jutro też jest dzień. Może jutro pójdzie mu lepiej, łatwiej się skoncentruje.

Gdy wyszedł na zewnątrz, było już ciemno. Przeszedł przez trawnik i wszedł do domu drzwiami od tarasu. Z oddali dobiegały go głosy. Amy i chłopcy chyba oglądali telewizję.

- Cześć, chłopcy! - zawołał, wchodząc do bawialni. Popatrzył na Amy. - Cześć - powiedział i uśmiechnął się szeroko.

Odpowiedziała uśmiechem. Zrobiło mu się miło na sercu.

- Pewnie zgłodniałeś - powiedziała. - Pracowałeś do późna i znów ominęła cię kolacja. - Leciutko uniosła kącik ust. - Jak zwykle.

Ten jej uśmiech robił z nim coś niesamowitego. Nie mógł oderwać od niej oczu. Jak ona się o niego troszczy.

- To fakt. To znaczy... chciałem powiedzieć, że zgłodniałem - uściślił.

Chodzi o jedzenie? Czy o nią? - przemknęło mu nagle przez myśl.

Spochmurniał. Już przecież podjął decyzję. Amy mu się podoba, jednak będzie trzymać się od niej z daleka. Takie układy nie są dla niego. Już dawno to ustalili.

- No to chodźmy! - Poderwała się z kanapy. - Zaraz coś ci przyrządzę. - Popatrzyła na dzieci. - A wam przyniosę prażonej kukurydzy i soku. Chcecie?

Chłopcy przystali na to entuzjastycznie.

- Chodźmy - zachęciła go.

Dlaczego się nie odezwał? Dlaczego nie powiedział, że sam doskonale sobie poradzi?

Bo chce iść za nią do kuchni, ciesząc oczy jej płynnymi ruchami, zgrabną figurą. Ot, dlaczego.

Amy włożyła do mikrofalówki torbę z popcornem, nalala dwie szklanki soku i ustawiła je na tacy.

- Chłopcy chcieli na kolację zupę i grzanki z serem. Zostało trochę zupy, a grzanki to moment. Masz ochotę?

- Jak najbardziej.

Wyjęła z lodówki zupę, ser i masło. Wzięła dwie kromki zwykłego chleba.

- Skąd wiedziałaś? - zdumiał się, miło zaskoczony.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Ale co?

- Że to mój ulubiony chleb.

- Nie wiedziałam. Taki był w domu.

Pierce umilkł, zbity z tropu. Poczul się głupio.

- Sam mogę zrobić sobie jedzenie. Nie jesteś tu po to, żeby mnie obsługiwać.

- Nic mi się nie stanie - powiedziała szybko. -

Naprawdę. Popatrzył na nią badawczo, bo coś w jej głosie go zastanowiło.

Amy westchnęła.

- Marzę, by pogadać z kimś dorosłym. Dzieciaki są świetne, to nie o to chodzi, ale chciałabym choć przez pięć minut nie odpowiadać na pytania typu „dlaczego?” Wiesz, o czym mówię?

- Wiem - odparł z uśmiechem.

Posmarowała kromki masłem i położyła je na patelni. Zapiszczała mikrofalówka. Amy wysypała popcorn do miski.

- Popilnujesz patelni? Ja zaraz wrócę.

Skoro został sam, może nieco pozbierać myśli.

Przed wszystkim powinien się stąd wynieść. Pod jakimś pretekstem zabrać jedzenie i iść do gabinetu.

Nie, to by było niegrzeczne. Amy mieszka pod jego dachem, dogląda jego siostrzeńców. Nie może jej unikać.

Poza tym sama powiedziała, że brakuje jej kontaktu z inną dorosłą osobą.

Zamknął oczy. Gdyby wyciągnąć spinki, które przytrzymują jej włosy, zanurzyć palce w tych brązowych lokach...

- O, nie!

Słyszając jej okrzyk, natychmiast otworzył oczy. Z patelni unosił się dym. Pierce zaklął pod nosem i bez namysłu wyciągnął rękę.

- Poczekaj! - krzyknęła. - Weź przez ściereczkę. Wziął ściereczkę i zdjął patelnię z ognia.

- To już się nie nadaje do jedzenia - stwierdziła Amy. Stała tuż obok, czuł jej delikatny cytrynowy zapach przebijający przez woń spalenizny.

- To moja wina - kajał się. - Powinienem patrzeć.

- Nie przejmuj się, nic się nie stało. - Amy wyjęła następne dwie kromki chleba. - Mamy wszystko, co trzeba - rzekła z uśmiechem. - Pewnie dumales o pracy? - spytała.

Gdyby naprawdę tak było, pomyślał, wyrzucając spalony chleb do śmieci. Wytarł dokładnie patelnię papierowym ręcznikiem.

Amy nie czekała na odpowiedź.

- Wciąż jesteś pochłonięty własnymi myślami - zaśmiała się, smarując chleb masłem.

Na jej znak podsunął patelnię. Zaskwierczało masło. Amy położyła drugą kromkę.

- Jak idzie twój eksperyment? - zagadnęła.
- Wszystko zgodnie z planem - odparł.
- Miło słyszeć. - Postawiła na gazie garnuszek z zupą.
- Przez ostatnie dni poznawaliśmy teren - zmieniała temat.
- Masz wspaniałą posiadłość. Zatoka, ogród, mnóstwo zieleni. Naprawdę jest pięknie. Tutaj dorastaliście z siostrą?

- Tak. - Oparł się o blat. - To było cudowne miejsce. Wtedy nie wyglądało tak jak teraz. Zwykły dom nad brzegiem, wszędzie zielsko i chaszczce. Moja mama całe lata strawiła na urządzaniu ogrodu. To dzięki niej wszystko tak się zmieniło.

- A szklarnia i laboratorium?
- Zbudował je mój ojciec - rzekł.

Amy zamieszła zupę.

- Opatentował kilka wynalazków i zarobił sporo pieniędzy. - Umilkł. - Tam spędził całe życie - dodał ciszej.

Nie chciał poddawać się ponurym myślom, jakie natchnęły go zawsze, gdy wspominał ojca.

Przypomniał sobie mamę, jej roześmiane oczy i odechnął z ulgą. Skrzyżował ręce na piersiach.

- Byliśmy późnymi dziećmi - zaczął. - Ale to nie miało znaczenia. Nasza mama była wspaniała. Chciała nam przychylić nieba. Byliśmy dla niej wszystkim. Oboje z Cynthią uwielbialiśmy ją. - Nastrój mu się poprawił. - Między nami jest tylko rok różnicy, Cynthia jest młodsza. Dlatego wszystko robiliśmy razem. Pamiętam, jak mama uczyła nas pływać. Cynthia na początku miała opory, jakoś jej nie szło. Ale się wtedy z niej naśmiewałem!

Amy w skupieniu zdejmowała grzanki z patelni.

- Ale w końcu się nauczyła?

Zastanowiła go jakaś ledwie dosłyszalna nuta w jej głosie.

Amy nalewała zupę. Dopiero po chwili rzekła:

- Jest lepsza ode mnie.

- Nie umiesz pływać?

Nie patrząc na niego, pokręciła przecząco głową.

Przyglądał się, jak niesie talerze do stołu. Nagle wydała mu się niepewna siebie, zagubiona. Dziwne w porównaniu z tym, jaka jest na co dzień.

- Nie umiesz pływać, a mimo to bez namysłu skoczyłaś na ratunek dzieciom. Jesteś bardzo dzielna.

Amy uciekła wzrokiem.

- Na moim miejscu każdy zrobiłby to samo - wymamrotała. Odwróciła się. - Coś mnie niepokoi. Myślę, że chłopcy nie umieją pływać. Powiedzieli, że rodzice zabierali ich na basen i nad morze, ale z pływaniem chyba by sobie nie poradzili. Już pytali, czy pójdziemy się kąpać, jak tylko woda będzie cieplejsza...

- Nauczę ich pływać - oświadczył Pierce, podchodząc bliżej. - Ciebie też mogę nauczyć.

Przez kilka chwil wpatrywała się w niego w milczeniu.

- Naprawdę?

- Oczywiście.

- Wspaniale. Możemy to zrobić w mój wolny dzień -podsunęła. - Kiedy i tak będziesz z chłopcami. Nie stracisz wtedy czasu.

A więc uważa, że dla niego to poświęcenie. Zaskakuje go. Zawsze pewna siebie, nagle okazuje się łagodna i krucha. I wcale go nie onieśmiela.

Ogarnęło go pragnienie, by coś dla niej zrobić.

- Amy - zaczął miękko. - To ważna sprawa. Chodzi o bezpieczeństwo.

Patrzyła na niego niepewnie. Wyciągnął ręce i położył

na jej ramionach. I natychmiast zdał sobie sprawę, że nie powinien był tego robić.

Bo nagle jego ciało ożyło, obudziły się wszystkie zmysły. Słyszał tchnienie jej oddechu, czuł bijące od niej ciepło. Jej lekki, cytrynowy zapach odurzał, a widok jej twarzy zachwycał. Pozostał jeszcze zmysł smaku.

Marzył, by zakosztować jej ust.

Powstrzymywał go tylko widok jej zmarszczonego czoła.

- Mówię poważnie - nalegał. - Nie musimy tego odkładać do czasu, aż będziesz miała wolny dzień. - Zaśmiał się, by ją rozluźnić. - Przecież nie siedzę dzień i noc w szklarni czy w laboratorium.

Uspokoiła się. Jej oczy błysnęły.

- No, może i nie - zażartowała. - Trochę czasu spędzasz zamknięty w gabinecie.

Nie mógł się nie roześmiać.

- Przyznaję się bez bicia.

W ciszy, jaka zapadła, patrzyli na siebie. Powietrze gęstniało.

To piękna dziewczyna. Upięte włosy podkreślały linię mlecznej szyi. Kuszące policzki. Regularne, delikatne rysy twarzy, jak wyrzeźbione przez artystę...

Co się z nim dzieje? Co na to analityczny umysł?

I te cudownie wykrojone usta. Górna warga pięknie wycięta, dolna urzekająco pełna, stworzona do pocałunku...

Słyszał uciekające sekundy. Choć może to było bicie jego tętna?

Jakby popychany przez kogoś innego, wyciągnął rękę i delikatnie przesunął palcami po policzku Amy. Tak jak myślał - ma skórę gładziutką jak aksamit. To dotknięcie poruszyło ją. Jej oczy błysnęły. Najpierw

pojawiło się w nich zaskoczenie, a potem coś więcej. Jest nim zainteresowana. Nie ma wątpliwości.

Chciał się uśmiechnąć, ale nie zrobił tego. Nie mógł. Był zbyt poruszony tym, co działo się między nimi. Co między nimi pulsowało, zdumiewając i szokując.

Po chwili jej oczy pociemniały. Cofnęła się.

Odwróciła wzrok. Jej głos miał zmienione brzmienie.

- Ja... ja nie mogę - wyszeptwała.

To natychmiast przywołało go do rzeczywistości.

- Amy, przepraszam cię - rzekł pośpiesznie. - Nie wiedziałem, że masz chłopaka, że jesteś...

Popatrzyła na niego, nerwowo potrząsając głową.

- Nie, nie o to chodzi. Wcale nie o to.

Przejęta, zwilżyła językiem usta. Przeszył go dreszcz. Chciał poddać się chwili, ale też usłyszeć, co ma mu do powiedzenia.

- Nie chodzi o to, że nie mogę... - znowu przełknęła ślinę. - Ja... ja nie chcę.

- Naprawdę musisz iść? - błagalnym głosem zapytał Benjamin.

Amy pogłaskała go po główce i uśmiechnęła się.

- Dziś jest mój wolny dzień. Przecież każdemu należy się trochę czasu dla siebie. Wybieram się na zakupy. Może kupię sobie nową sukienkę? Albo spodnie czy buty na obcasach? Sama jeszcze nie wiem, co mi się trafi. Takie chodzenie po sklepach wcale by ci się nie podobało.

Buzia chłopca rozjaśniła się promiennie.

- Jak byśmy poszli do sklepu z zabawkami, to bardzo by mi się podobało!

Czekała na patio na Pierce'a. Zaproponowała, że da

dzieciom śniadanie, a on spokojnie weźmie prysznic. Potem pojedzie pobuszować po sklepach.

Roześmiała się, słysząc żarliwą deklarację malca.

- Ale ja nie wybieram się do sklepu z zabawkami.

Mały zamruczał z rozczarowaniem.

- Pomyśl, co was dziś czeka! - Chciała poprawić mu humor. - Cały dzień będziecie bawić się z wujkiem!

Chłopczyk rozjaśnił się i pobiegł szukać brata.

Amy zabrała się do przeglądania magazynu z modą. To ją powinno zainspirować do dzisiejszych zakupów. Podsunąć pomysły na nowe stroje, nowy makijaż.

Prawdę mówiąc, ten wolny dzień nie jest jej tak bardzo potrzebny. Chłopcy są wprawdzie absorbujący, jednak doskonale się z nimi zgrała. Lubiła z nimi być. Z przyjemnością słuchała ich komentarzy i zaskakujących spostrzeżeń. Była gotowa zabrać ich ze sobą. To Pierce zaoponował, nalegając, by miała ten dzień wyłącznie dla siebie.

Popatrzyła na zdjęcie w czasopiśmie. Podobny typ urody jak jej. Może powinna skusić się na taką pomadkę? Tak, kupi ją.

Nie posiadała się z radości, gdy została zakwalifikowana na kurs dla stewardes. Wreszcie zobaczy świat, spełni swoje marzenia. Przeszkolono ją wszechstronnie. Nauczono, jak ważne jest odpowiednie wrażenie.

Zaczęła inaczej się ubierać. Inaczej chodzić. Wyprostowana, patrząca rozmówcy prosto w oczy, zdecydowana -język ciała robił swoje. Zachowywała się inaczej i była inaczej traktowana.

Brakowało jej doświadczenia. Wychowywała się bez matki, a praca w motelu pochłaniała ją bez reszty. To były niekończące się codzienne obowiązki. Sprzątanie po

koi, zmienianie pościeli, pranie, prowadzenie księgowości i dziesiątki innych rzeczy. Takie było jej życie. Modne stroje, fryzury, makijaż - w ogóle tego nie znała. Nie czuła nawet potrzeby, żeby poznać.

Na szczęście Mary Beth, instruktorka na kursie, zrobiła jej indywidualną sesję. To całkowicie zmieniło jej spojrzenie na siebie. Odmieniło jej życie.

Nie chciała uwierzyć, jak wiele może zdziałać odrobina tuszu, pudru i różu. Teraz, gdy patrzyła na swoje odbicie w lustrze, czuła się naprawdę atrakcyjna.

Do dziś uśmiechała się na wspomnienie miny brata Beth. Zaczął do niej wydzwaniać, zapraszać ją na kawę.

Wykręciła się zrećźnie. Teraz, gdy wreszcie znalazła się na dobrej drodze, nie da się z niej zepchnąć. Nie ulegnie pokusie. Życie dopiero się zaczyna.

Stała się inną osobą. Może brakuje jej wykształcenia i ogłady, ale potrafi wyglądać i zachowywać się jak inne dziewczyny przemierzające ulice Lebo, Glory czy Paryża.

Pierce ją zauważył.

No właśnie.

Spodobał się jej, od pierwszej chwili. Jest wyjątkowy. Te czarne włosy, rozmarzone zielone oczy. I ten uśmiech poruszający do głębi.

Ani przez moment nie łudziła się, że jej zauroczenie może zostać odwzajemnione.

Jednak myliła się.

Wczoraj wieczorem, gdy stali obok siebie w kuchni, między nimi coś zaiskrzyło.

W pierwszej chwili to do niej nie dotarło. Pierce mówił o swojej matce. Widziała po jego oczach, jak bardzo był jej oddany. Jego spojrzenie zmieniło się, gdy wspomniał o oj

cu. Spochmurniał wtedy, a w jego głosie zabrzmiała nuta goryczy. Szybko zmienił temat, ale ta krótka wzmianka rozbudziła w Amy ciekawość.

Wtedy poczuła, że atmosfera między nimi gęstnieje, że coś się dzieje. Pierce patrzył na nią inaczej, z napięciem.

Gdy wyciągnął rękę i dotknął jej twarzy, myślała, że zaraz zemdleje. Zabrakło jej słów, a całe ciało paliło.

Na szczęście opamiętała się w porę. To nie dla niej.

- Amy?

Głos Jeremiaha wytrącił ją z zamyślenia. Podniosła głowę. Chłopiec patrzył na nią z niepokojem.

- Nic ci nie jest? - zapytał.

Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- A co robisz?

Nie powie mu przecież, że snuje marzenia na temat jego wujka.

- Oglądałam zdjęcia pięknych pań.

Chłopczyk podszedł bliżej i pochylił się nad pismem.

- Ty jesteś ładniejsza niż ona - rzekł z przekonaniem.

Zrobiło się jej ciepło na sercu.

- Jesteś bardzo miły.

- To dla ciebie. - Chłopiec wyciągnął rączkę, w której trzymał żółty kwiat mniszka.

Z uśmiechem przyjęła od niego podarunek.

- Dziękuję, jest piękny, a ty jesteś bardzo kochany.

- Będę dzisiaj za tobą tęsknić.

- Ja za tobą też.

W tej chwili Benjamin zaczął wołać, że znalazł kopczyk mrówek i Jeremiah popędził do brata. Amy odprowadzała ich wzrokiem. Wspaniałe maluchy.

Znowu spojrzała na zdjęcie w piśmie.

„Jesteś ładniejsza niż ona” - zadźwięczały jej w uszach słowa Jeremiaha. Nie powinna przyjmować ich bezkrytycznie, jednak dawały jej do myślenia.

Była wciąż tą samą osobą, zmieniała się tylko zewnętrznie. To poza, maska, jaką przybrała, by stwarzać wrażenie kogoś innego, niż była w rzeczywistości. Czuła się z tym dobrze, pewniej. Ale teraz to obróciło się przeciwko niej.

Przecież nie chce podobać się Pierce'owi.

Jest w stanie zapanować nad emocjami. Ma wytknięty cel i będzie do niego dążyć. Jednak nie ma pewności, czy zdoła zapanować nad kimś takim jak Pierce.

Wczoraj naprawdę między nimi iskrzyło. Mogą pojawić się problemy. A tego nie chciała. Nie chciała wchodzić w żadne układy, w żadne związki.

Poza tym on widział w niej kogoś innego, kogoś, kim wcale nie była.

Zapatrzyła się na niebieskie wody zatoki, szukając uspokojenia w jej toni.

Może powinna coś zmienić? Powrócić do dawnego stylu, znowu stać się cichą myszką, na którą nikt nie zwraca uwagi? Wtedy Pierce przestanie się nią interesować.

Nie, nie zrobi tego. Lubi siebie w nowym wydaniu. Jednak to może być właściwe wyjście. Zwyczajna fryzura, zero kosmetyków. Pierce od razu da sobie spokój.

Chciało się jej śmiać. Większość kobiet marzy, by coś w sobie zmienić, stać się piękniejszymi. Ona też tego chciała. A teraz pójdzie w odwrotnym kierunku. By zniechęcić do siebie Pierce'a.

- Czemu się tak uśmiechasz?

Popatrzyła w jego stronę. Stał w słońcu. W białym polo

i w oliwkowych szortach wyglądał tak fantastycznie* że aż coś ją ścisnęło w środku.

- Och, tak sobie - odparła lekko. - Myślałam o tym, c& będę dzisiaj robić.

Zielone oczy lśniły. Może od słońca. Choć bardziej prawdopodobne, że to z jej powodu.

Podszedł bliżej. Czują zapach jego wody po goleniu. Miał świeżo ogolone policzki.

Dlaczego on jest tak niemożliwie przystojny?

- Nalegałem, żebyś wzięła wolny dzień, pobyła z dala od chłopców, ale...

Amy z bijącym sercem czekała, co będzie dalej.

- Pomyślałem sobie, że moglibyśmy spędzić go w czwórkę... - Zwilżył językiem usta. - Razem.

Zaskoczył ją. Podniosła się tak szybko, że piśmo zsunęło się na podłogę. Schyliła się po nie.

- Nie mogę! - wypaliła. - Idę na zakupy.

Miał tak zawiedzioną minę, jak przed chwilą Benjamin, gdy dowiedział się, że dzisiaj Amy nie będzie z nimi.

- Pierce, przepraszam... - zaczęła.

- Nie, nie - rzekł pośpiesznie. - Nie ma sprawy. To twój wolny dzień. Powinnaś robić to, na co masz ochotę.

- Dzięki. - Amy ruszyła do drzwi. - Wrócę koło kolacji. Zawołała do dzieci na pożegnanie.

Kupię dziś kilka rzeczy, postanowiła znićnacka. To, czego naprawdę jej trzeba, znajdzie w każdym zwyczajnym sklepie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Po południu zrobiło się jeszcze bardziej duszno i parno. Pierce zaproponował chłopcom, by zejść na brzeg i popluskać się w wodzie. Zgodzili się ochoczo.

Dzień mijał szybko, a Pierce przez cały czas nie mógł pojąć, jak to się stało, że rano próbował zatrzymać Amy. Sam był tym zdumiony. Po tygodniu pracy Amy należała się chwila oddechu od tych urwisów, sam jej to zresztą tłumaczył. I nagle, ni stąd, ni zowąd, wyrwał się z tą swoją propozycją.

Dobrze, że Amy już miała plany. To uratowało sytuację.

Nie może narzekać. Z bliźniakami idzie mu całkiem nieźle. Pograli w piłkę, potem zjedli kanapki z masłem orzechowym i dżemem. Oprowadził ich po laboratorium, pokazał nasionka, które go tak pochłaniają. Jeszcze teraz chciało mu się śmiać na myśl, jak chłopcy go słuchali. Teraz pochłapią się w wodzie.

Myśl, że chłopcy nie umieją pływać, budziła w nim niepokój. W tym roku woda jest wyjątkowo ciepła. Może to dobra okazja, by zacząć naukę.

Szybko się okazało, że Amy miała rację. Chłopcy rzeczywiście podchodzili do wody z rezerwą. Obawiali się zanurzyć głowę, nie wchodzili dalej niż po kolana.

Po godzinie beztróskich zabaw i gry w piłkę, Pierce zapytał, czy chcą nauczyć się pływać.

Jeremiah, bardziej odważny i żądny przygód, pierwszy się zdecydował. Benjamin pobladł i zamilkł.

- Nie bój się, Benjamin - próbował dodać mu odwagi brat. - Nic złego się nie stanie.

Benjamin zadziornie uniósł brodę, urażony podejrzeniem o tchórzostwo.

- Ja się niczego nie boję!

- To bardzo dobrze - łagodził Pierce. - Musicie tylko wiedzieć, że nie nauczycie się pływać od razu. Wszystko po kolei. Najpierw trzeba się przełamać i zamoczyć buzie. Potem nauczyć się wstrzymać oddech pod wodą. Oswoić się z nią.

Obrał dobrą taktykę, łącząc naukę z zabawą. Byli blisko brzegu. Chłopcy najpierw puszczały bąbelki pod wodą. Później zachęcił ich, by usiedli na piasku, tak że woda sięgała im do szyi. Dalej poszło już łatwiej. Chłopcy dali się namówić na zamoczenie głowy. Wynurzyli się z wesołym wrzaskiem, niezmiernie z siebie zadowoleni.

Następny etap okazał się trudniejszy. Położenie się płasko na wodzie i udawanie „topielca”, nie przyszło tak łatwo. Benjamin przełamał się pierwszy.

Pierce, podtrzymując go, zachęcił, by uniósł nóżki.

- Utopię się! - bał się malec.

- Nie pozwolę ci się utopić - zapewnił Pierce. - Musisz mi uwierzyć.

Chłopczyk wlepił wzrok w wujka, a po chwili jego napięte ciało zaczęło się rozluźniać. Nad powierzchnią wody pojawiły się jego stopy.

- Spokojnie - powiedział Pierce. - Trzymam cię. - Po

paru minutach, gdy miał pewność, że dziecko jest gotowe, zapytał: - Chcesz teraz spróbować sam?

- Tak - cichutko wyszeptał Benjamin.

Pierce delikatnie cofnął rękę spod jego pleców, ale stał tuż obok. Po chwili wysoko uniósł obie ręce, by malec je widział. Benjamin uśmiechnął się szeroko.

- Pływam!

Od brzegu rozległy się wesołe okrzyki i oklaski.

- Super! - Amy skakała z radości. - Udało ci się!

Brązowe, prześwieczone słońcem włosy wirowały wokół

jej głowy. Pierce po raz pierwszy widział ją z rozpuszczonymi włosami. Dotąd je upinała. Nie mógł oderwać oczu.

- Amy, widziałas? - zawołał Benjamin, stając w wodzie. - Widziałas, jak pływałem?

- Widziałam. Świetnie wam idzie.

Jeremiah nie mógł pozwolić, by brat okazał się lepszy.

- Amy, patrz, teraz ja! - Nabrał powietrza i wydał policzki, po czym z cichym pluskiem opadł na wodę i niemal natychmiast się wynurzył. Amy zaklaskała w dłonie.

- Doskonale! Moje gratulacje!

Pierce nadal nie mógł oderwać od niej oczu. Była jakaś... inna.

Zmieniła się. Całkowicie.

Przyzwyczał się do jej eleganckich spodni i bluzeczek. Chyba dlatego przeżył taki szok. Bo teraz miała na sobie zwyczajną białą koszulkę z napisem „Księżniczka” i dżinsowe szorty. A na nogach proste tenisówki z białymi sznurowadłami.

Ale to nie koniec zmian, choć nie bardzo potrafił określić, na czym polegają, mimo że przyglądał się jej bardzo uważnie.

Cieszyła się z osiągnięć chłopców, gratulowała im i uśmiechała się promiennie. Niesamowita dziewczyna. Piękna. Już wcześniej tak myślał, ale teraz...

Patrzył na Amy stojącą na piasku i nagle spłynęło na niego olśnienie. Wydaje się inna, bardziej... dostępna. Nie jest już wyrafinowaną, pewną siebie młodą kobietą, która budziła w nim onieśmienie, gdy przybyła tu tydzień temu. Dokonała się w niej wielka przemiana.

Jest świeża, radosna, pełna życia. Promieniają od niej życzliwość i sympatia.

Jeden dzień, a taka ogromna zmiana. Jak to możliwe?

Nagle poczuł na sobie jej wzrok. Jej uśmiech przybladł. Odwróciła spojrzenie, jednak po chwili znowu na niego spojrzała.

- Cześć - rzekła. - Widzę, że świetnie się bawicie.

To nie było pytanie, raczej stwierdzenie faktu. Mimo to Pierce odpowiedział. -Tak.

Uśmiechnęła się. I znowu jej uśmiech nieco przygasł.

- Miałeś wspaniały pomysł z tym pływaniem. - Przesunęła dłoń po karku. Rozpuszczone włosy podniosły się i ponownie spłynęły jej na ramiona. - Kto by pomyślał, że zrobi się tak gorąco.

Nie mógł wydobyć głosu. Jak urzeczony wpatrywał się w pobłyskujące w słońcu brązowe pasma, roziskrzzone oczy, wygięte w uśmiechu usta.

Dopiero po chwili domyślił się, że Amy czeka na odpowiedź. Poczuł się jak skończony idiota.

Na szczęście Jeremiaś wybawił go z opresji.

- Amy, chodź do nas! - zawołał radośnie. - Pokażemy ci z Benjaminem, czego nas wujek dzisiaj nauczył!

Benjamin poparł brata. Pacnął rączkami w powierzchnię wody, rozchlapując ją wesoło.

- Czy ja wiem... - Amy niepewnie popatrzyła na horyzont.

Chłopcy nie dawali za wygraną. Zaczęli chórem skandować jej imię.

- A-my! A-my! A-my!

Dziewczyna nie wytrzymała. Zaniósła się perlistym śmiechem, jej twarz promieniała. Pierce był zachwycony. Wcześniej myślał, że już bardziej nie może go oczarować, a jednak...

- No dobrze, dobrze! - przystała w końcu. - Jakbym wyczuła, bo kupiłam sobie dzisiaj kostium. Zaraz się przebiorę.

Chłopcy nie posiadali się z radości. Pierce nawet na nich nie patrzył. Spoglądał za oddalającą się w stronę domu dziewczyną i serce biło mu coraz szybciej.

Było mu gorąco. I to chyba nie z powodu lejącego się z nieba żaru. To odezwały się hormony.

Podobała mu się i pragnął jej. Choć nie powinien.

Ciągle miał w pamięci ich wczorajszą rozmowę. Wtedy, w kuchni, czuła to samo co on. A jednak cofnęła się. Był pewien, że jest z kimś związana, ale kiedy powiedział to na głos, zaprzeczyła.

„Nie chodzi o to, że nie mogę. Ja nie chcę”.

Nie jest z nikim związana. Po prostu nie jest zainteresowana.

Dlaczego? To pytanie nie dawało mu spokoju.

Jest piękną dziewczyną, młodą, bystrą. Może wybierać do woli. Ale nie chce. Z jakiego powodu?

Do rana nie mógł usnąć, daremnie szukając logicznego wyjaśnienia.

- Wujku!

Odwrócił się w samą porę, by chwycić piłkę rzuconą przez Benjamina.

- Teraz ty łap! - zawołał, odrzucając ją.

Jeremiah włączył się do zabawy. Baraszkowali przy brzegu, zanosząc się śmiechem i pokrzykując wesoło.

Przyjemnie było patrzeć na chłopców. Roześmiani, ufni, otwarci. Od razu widać, że mają szczęśliwe dzieciństwo, czują się bezpieczni i kochani.

Gdy był w ich wieku...

Mama starała się, by on i Cynthia czuli się szczęśliwi. Była dla nich i matką, i ojcem.

Cynthia przejęła po mamie dobre wzory. To oczywiste, wystarczy spojrzeć na twarzyczki jej dzieci.

Jakże inaczej wyglądały ich młode lata! Kochał mamę, doceniał, co dla nich zrobiła, jednak zawsze, i jako dziecko, i później, gdy już dorastał, czegoś mu brakowało... Miał poczucie, że coś z nim jest nie tak. Że to jego wina, że nie dostaje tego, czego tak bardzo pragnie.

To było traumatyczne doświadczenie. Uzmysłowało mu, kim jest. I kim nie jest. Wpłynęło na jego życiowe decyzje...

- Wujek, łap!

Jeremiah rzucił piłkę. Przeleciała wysoko nad głową Piercea i upadła kilka metrów za nim.

- No co ty zrobiłeś! - z wyrzutem zawołał Benjamin.

-Już nie będziemy mieć piłki, nie wyciągniemy jej,

- Nie martw się - pocieszył go Pierce. - Wyłowię ją.

- Ale... ale tam jest bardzo głęboko. Uśmiechnął się do malca, dodając mu otuchy.

- Jak nauczysz się pływać, będziesz mógł wchodzić na

głęboką wodę. Nawet gdyby sięgała ci nad głowę. I wcale nie będziesz się bać.

Popłynął, złapał piłkę i zamierzył się, by rzucić ją Benjaminowi. I nagle ujrzał schodzącą nad brzeg Amy.

Znieruchomiał. Co jest w tej dziewczynie, że tak na niego działa? Za każdym razem, gdy jest przy nim.

- Wujku, rzuć do Amy!

Pomysł Jeremiaha przypadł mu do gustu. Uśmiechnął się szeroko i zamachnął. -Łap!

Na twarzy dziewczyny odmalowało się zaskoczenie. Chwyła piłkę, a strugi wody chlapnęły na jej ramiona. Dopiero teraz spostrzegła, że gąbkowa piłka była nasiąknięta wodą.

Jej oczy błysnęły.

- Och ty!

W pierwszym momencie myślał, że jest zła, ale uśmiech już rozjaśnił jej twarz. Zrzuciła tenisówki.

- Zaraz ci dopadnę! - zawołała, wchodząc po kolana do wody. Zanurzyła piłkę, by dobrze namokła, po czym rzuciła ją, celując prosto w głowę Piercea.

Uchylił się zręcznie, ale woda i tak go ochlapała. Chłopcy wybuchnęli śmiechem.

- Ale ci dołożyła, wujku! Aż się wkurzyłeś!

- Benjamin! - oburzyła się Amy.

- No bo tak było! - błysnął uśmiechem Jeremiah. - Wujek się wkurzył, bo go ochlapałaś!

- Chłopcy! - Pierce nie miał ochoty na żarty. - Bardzo proszę, byście więcej tak nie mówili. To bardzo nieładnie. Jak jeszcze raz to usłyszę, za karę przez cały dzień będziecie siedzieć w pokoju.

Malcy wymruczeli przeprosiny, obiecując, że będą grzeczni.

A potem zaczęli popisywać się nowo zdobytymi umiejętnościami. Po chwili, sami tym zaskoczeni, zaczęli pływać pieskiem.

- Pływamy! - zawołał Benjamin. - Patrzcie! Amy spojrzała na Pierce'a.

- Początek zrobiony - powiedziała.

- Jeszcze trochę, a będą pływać jak rybki. - Pierce przytrzymał jej spojrzenie. - Ty też. Jeśli nadal chcesz, żebym cię nauczył.

- Chcę, jak najbardziej. Choćby ze względów bezpieczeństwa, by w razie czego pospieszyć im z pomocą. Zerknął na jej dekolt i apetycznie zaokrąglony biust. Dobrze, że tego nie widziała, zaabsorbowana chłopcami. Musi wziąć się w garść. Zapanować trochę nad sobą.

- Wujku, chce mi się pić!

Popatrzył na brzeg. Chłopcy już wyszli.

- Mnie też! - dołączył do brata Benjamin. Nim zdążył odpowiedzieć, odezwała się Amy:

- Na stole przed domem jest lemoniada i szklanki, możecie iść się napić. - Przeniosła spojrzenie na Pierce'a. - Ty też chcesz?

- Nie, dziękuję.

Chłopcy rzucili się biegiem do domu. Byli w zasięgu wzroku, jednak Pierce miał wrażenie, że został z Amy sam na sam. Ogarnęła go dziwna nerwowość.

- To co? - Chrząknął, bo jego głos zabrzmiał jakoś inaczej. - Zaczynamy pierwszą lekcję?

Jego zdenerwowanie chyba udzieliło się Amy, wyczuł to. Zamiast odpowiedzi skinęła lekko głową.

Nawet oddychanie przychodziło mu teraz z trudem.

Patrzył na nią uważnie. Dziś, po raz pierwszy, na jej twarzy nie było śladu makijażu. Żadnego tuszu, pomadki, czy co tam jeszcze stosują kobiety, by dodać sobie urody.

Jej tego nie potrzeba, pomyślał. Ma świeżą, zdrową skórę, delikatne brwi, długie rzęsy.

Jest uosobieniem świeżości i witalności. Wręcz tryska energią. I to go fascynuje.

Serce zabiło mu mocniej. Skoro ma ją uczyć, to nie obędzie się bez fizycznego kontaktu. Bliskiego kontaktu.

- Zacniemy od podstaw. - Uniósł rękę i ze zdumieniem spostrzegł, że drży. Włożył ją do wody. Miał tylko nadzieję, że Amy nic nie zauważyła.

- Dobrze - powiedziała.

W jej głosie zabrzmiała nowa nuta. Pierce przełknął ślinę. Jak to się stało, że w ciągu kilku sekund atmosfera stała się taka napięta? Przed chwilą beztrąsko bawili się z dziećmi, a teraz zachowują się nienaturalnie i sztywno, jak nastolatki sparaliżowane nieśmiałością.

- Ha... - zamruczał i podszedł ku niej. - Zobaczymy, jak ci pójdzie unoszenie się na wodzie na plecach.

Amy zrobiła niepewną minę.

- Wiem, że to cię przeraża - rzekł pospiesznie. - Ale jeśli przełamiesz strach, przekonasz się, że to nic trudnego. - Czując, że nadal jest sceptyczna, dodał: - Zaufaj mi. Obiecuję, że nic złego ci się nie stanie.

Zrobiła krok w jego stronę. Delikatny cytrynowy zapach jej skóry mieszał się ze słonym zapachem wody.

- Będę cię podtrzymywał - powiedział - póki nie poczujesz, że sama unosisz się na powierzchni.

Amy kiwnęła głową.
Podsunał ręce pod jej kark i pod plecy. Od samego dotyku jej skóry jego palce płonęły. Pragnie tej kobiety, po prostu.

Ale Amy nie jest zainteresowana. Powiedziała mu to jasno.

Musi powściągnąć żądze. I zrobi to. Nie potrzebował komplikacji i zbędnych problemów.

Zamknął oczy i oddychał głęboko. Musi przekuć słowa w czyn. Gdy podniesie powieki i popatrzy Ha zatokę...

Nie mógł oderwać wzroku od jej pięknego ciała unoszącego się na niebieskiej tafli.

Omywane wodą, jaśniało w słońcu. Ramiona, zaokrąglone piersi i biodra, prześliczne nogi. Od migoczącej toni odbijał lakier na jej paznokciach.

Zamrugał. Amy miała zamknięte oczy, oddychała miarowo. Nie mógł się powstrzymać, by nie wpatrywać się w jej twarz. Czuł się jak człowiek umierający z głodu, który nagle znalazł się przy suto zastawionym stole.

Jej usta przyzywały go do siebie.

- Dobrze.

Gdy to mówiła, zaokrągliły się lekko. Patrzył zafascynowany.

Czy Amy czyta w jego myślach? Odbiera jego pragnienia? Zachęca, by ją pocałował? Nie, to niemożliwe.

Nie zastanawiając się, wysunął rękę spod jej karku.

Amy zeszywniała. Po sekundzie jej głowa zanurzyła się pod wodą. Rozrzuciła szeroko ramiona, gwałtownie nabrała powietrza. Pierce złapał ją za rękę.

Zakaszła i otarła rękami moką twarz.

- Myślałam, że jakoś mi pójdzie. Ale chyba jeszcze nie teraz.

Ich spojrzenia spotkały się. Nagle przestali się śmiać. Zamilkli i wstrzymali oddech.

Kropelki wody na jej policzkach pobłyskiwały w słońcu jak brylanciki. Miał wrażenie, że czas zaczął biec inaczej, wolniej. Podniósł rękę i delikatnie przesunął dłoń po twarzy dziewczyny. Przeciągnął koniuszkiem palca po jej dolnej wardze. Była miękka jak aksamit. Czuł, jak wzbiera w nim szalone, nieokiełznane pragnienie.

Amy nie odrywała od niego wzroku. Jej oczy pociemniały, zalsniły dziwnym blaskiem.

- O Boże, Amy - wyszeptał. - Co to jest?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Co to jest?

Wypowiedziane szeptem pytanie brzmiało jak echo w jej uszach.

Do tej pory wiele rzeczy było dla niej oczywistych. Pierce podoba się jej, i to bardzo. Jest atrakcyjny, przystojny. Znalazła się pod jego urokiem. Jednak teraz czuje, że to nie tylko fizyczna fascynacja, ale coś więcej. Znacznie więcej.

Przez całe dorosłe życie starała się unikać sytuacji, które byłyby zagrożeniem dla jej wolności. Nie chciała wpaść w pułapkę, jak inne kobiety. Nie da się omotać, nie ulegnie, nie chce się zatracić...

Jednak...

Teraz to coś innego. Coś dużo ważniejszego, co ociera się o magię i tajemnicę. Ulotne i niewytłumaczalne. Nierealne. I cudownie zachwycające.

Pierce położył dłoń na jej policzku, pochylił się. I wtedy ją olśniło. Instynktownie wiedziała, że chce ją pocałować.

Przez ten mały ułamek sekundy niczego bardziej nie pragnęła.

Nie odrywając od niej oczu, powoli przybliżył się do niej. Amy przeraziła się, że nic nie poczuje, bo zapadnie się w to zielone spojrzenie, w jego upojną otchłań.

Całował ją delikatnie, z czułością. A potem, gdy poddała się pieszczocie, stał się bardziej namiętny. Czowała pod palcami jego wilgotne włosy, choć nie pamiętała, kiedy podniosła rękę...

Świat wirował, gdy ciasno spleceni, ztracali się w pocałunku. Słyszała tylko zduszone tchnienie jego oddechu i szum krwi w uszach. Wdychała jego zapach, czuła słoność smaku wody na ustach. Jej serce biło szaleńczym rytmem. Jego mocne ciało napierało na nią, usta domagały się więcej...

Marzyła, by już na zawsze zostać w jego ramionach.

Ile by dała, by ten pocałunek nigdy się nie skończył! Jak to cudownie płonąć rozkosznym żarem, przeżywać uczucia, jakich nigdy wcześniej nie zaznała. Ale piękna chwila skończyła się. Sądząc jednak po wyrazie twarzy Pierce'a, nie tylko Amy chciała ją zatrzymać.

Wystarczyło jedno spojrzenie, by domyślić się, że Pierce czuje podobnie. Oboje byli niezmiernie zdumieni, wytrąceni z równowagi, zaskoczeni tym, co przed momentem się stało.

Pierce przełknął ślinę i przesunął językiem po dolnej wardze. Amy ogarnęła dziwna, trudna do nazwania tęsknota. Musiała się powstrzymać, by nie poszukać schronienia w jego ramionach.

- Amy, co to jest? - wymamrotał chrapliwie, zmienionym głosem Pierce.

On też czuł, że to coś więcej, nie tylko fizyczny pociąg. Coś więcej niż pożądanie.

Nie mogła się pozbierać. Patrzyła na niego oszołomiona, przepętniona kłębiącymi się w niej emocjami, których nawet nie potrafiła nazwać. To wymyka się racjonalnej ocie

nie, wszelkim rozsądnym tłumaczeniom. Spadło na nich nagle, nieoczekiwanie, zbijając ich z nóg.

Ogarnęła ją panika. Uciec stąd, schować się w bezpiecznym miejscu. Choć to daremne, bo to „coś” i tak ją przecież dopadnie.

Może lepiej stawić temu czoło.

- Nie wiem, co to jest - wyznała szeptem. - Myślałam, że nad tym zapanuję, że zawsze będę mieć kontrolę. - Westchnęła. - Ale myliłam się.

- Rozumiem cię. - Pierce odgarnął z czoła mokre włosy. - Ze mną jest tak samo. Ale... skoro nie da się z tym walczyć, to może trzeba potraktować to inaczej.

Cofnęła się. Na wodzie zafalowały kręgi. Nawet ten niewielki dystans pozwolił jej łatwiej zebrać myśli.

Pierce ma takie rozmarzone oczy, wygląda cudownie. Była pewna, że nie zastanawiał się nad konsekwencjami słów, które przed chwilą wypowiedział. Po prostu myślał na głos.

- Nie wiem, co masz na myśli - rzekła, potrząsając głową. - Ale ja się na to nie piszę. Już wcześniej powiedziałam ci to wyraźnie.

- Ale Amy...

Zrobiła jeszcze jeden krok do tyłu.

- Jeśli człowiek czegoś nie rozumie, powinien spróbować to zgłębić - mówił Pierce. - Przekonałem się o tym przez wiele lat pracy. Wiedza i poznanie rozwieją wszystkie wątpliwości i obawy. Tak było i będzie.

Wyprostowała się dumnie, urażona jego słowami.

- Ja się nie boję. - Zagryzła usta, bo chyba nie mówiła prawdy. - No, jak się lepiej zastanowię, to może trochę.

Odeszła jeszcze dalej, zanurzyła ręce w chłodnej wo

dzie, nabrała powietrza. Coraz szybciej odzyskiwała jasność umysłu, jednak nadal czuła się urażona.

- Ale nawet jeśli, to tylko dlatego, że wiem, jak to może skomplikować życie.

Mówiła pokrętnie, nie nazywając rzeczy po imieniu. Może nie czyniła tego świadomie, jednak wiedziała jedno - to „coś” może przekreślić jej nadzieje i marzenia.

Pierce spochmurniał. Wesole pokrzykiwania chłopców przywołały ich do rzeczywistości. Bliźniacy biegli po trawie do brzegu.

- Pogadamy o tym później - powiedziała.

- Dobrze - przystał Pierce. - Pogadamy później.

Długi spacer dobrze jej zrobił. Odprężyła się i zebrała myśli. Upał nieco złagodniał, a zachodzące słońce cieszyło oczy. Ułożyła sobie w głowie, co powie Pierce'owi, gdy znajdą chwilę na rozmowę.

- Amy! Amy! - chłopcy rzucili się w jej stronę. - Poczytasz nam na dobranoc?

- Amy na pewno wam nie poczyta.

Pierce wszedł do pokoju. Serce zabiło jej szybciej. W zwyczajnej koszulce i szortach wyglądał rewelacyjnie - szczupłe opalone nogi, bosa stopy...

- Przecież wiecie, że Amy ma dzisiaj wolny dzień - ciągnął Pierce. - Należy się jej trochę odpoczynku. Ja-wam poczytam.

- Ale my chcemy Amy! - jęczał Jeremiaś. Prośba dzieci i wyraz twarzy Pierce'a rozbawiły ją.

- Niech im będzie - rzekła. - Mogę poczytać.

- Zwycięstwo! - Bliźniaki odtańczyły wokół niej radosny taniec.

Instynktownie czuła, że Pierce nie jest zachwycony takim obrotem sprawy. Podniosła dłoń.

- Naprawdę chętnie im poczytam. Mówię szczerze. Przez kilka chwil patrzył na nią w milczeniu, bardzo uważnie.

No i dobrze. Wreszcie zauważył jej przemianę.

Zrobiła dziś trochę zakupów. Wybrała proste, zwyczajne stroje: szorty, bawełniane podkoszulki, tenisówki i zwykłe tanie sandały.

Jednak największa zmiana nie dotyczyła stroju, a makijażu. A raczej jego braku. Żadnego podkładu, kredki, cieni do oczu czy tuszu. Ani różu, ani pomadki. Niczego, co mogłoby ją upiększyć.

A mimo to dziś po południu Pierce był pod jej urokiem. Przecież ją pocałował.

Te myśli nie dawały jej spokoju podczas spaceru, ale skutecznie odpychała je od siebie. Teraz też się uda.

Wcześniej po prostu niczego nie zauważył. Bawili się z chłopcami, chlapali w wodzie. Dopiero teraz to do niego dotarło. Dlatego przygląda się jej ze zmarszczonym czołem, w skupieniu.

Uniosła brodę. A zatem transformacja się powiodła. Odrzuciła blichtr, który prowokował i dodawał jej osobie blasku. Teraz jest zwyczajną dziewczyną. Pierce spojrzy na nią inaczej.

Jej uśmiech zgasł. Pochyliła głowę.

Jednak po chwili wzięła się w garść. Przecież o to jej chodziło. Nie chce podobać się Pierce'owi, dlatego zadała sobie tyle trudu.

- Chodźmy - zwróciła się do chłopców. - Allons a la salle de toilette.

- Co powiedziałaś? - Benjaminowi z zaciekawieniem aż zaświeciły się oczy.

- Powiedziałam „Chodźmy do łazienki” - przetłumaczyła. - Przed pójściem spać należy umyć ząbki, prawda? -Roześmiała się, próbując odzyskać bez troski nastrój. - Nie musicie myć wszystkich. Wystarczy umyć tylko te, na których wam zależy.

Chłopcy prychnęli zgodnie.

- Znasz francuski? - zapytał Pierce.

Nim zdążyła odpowiedzieć, Jeremiaś oznajmił:

- Pewnie, że zna! I nas też uczy. Chcesz posłuchać, jak liczymy po francusku, gdy wchodzimy na schody?

- Z przyjemnością.

Amy stanęła między chłopcami. Klaszcząc w dłonie, zaczęli wchodzić na górę.

- Un, deux, trois, quatre...

Jeremiaś zawahał się, ale Benjamin powiedział „cinq”, po czym obaj zamilkli.

- Wspaniale wam idzie - pochwaliła ich Amy. - Przecież uczymy się dopiero od kilku dni. - Popatrzyła na Pierce'a. - Też tak uważasz, prawda?

- Jak najbardziej.

W jego oczach było coś, co wprawiło ją w zmieszanie. Popatrzyła na dzieci.

- Chodźmy! Poczytamy bajkę. - Cała trójka rzuciła się pędem po schodach. Amy odwróciła się jeszcze i zawołała do Pierce'a: - Au revoir!

Ciepłą letnią noc rozświetlały tylko migoczące płomyki świec. Gdy Amy była na górze, czytając chłopcom do snu, Pierce porozstawiał świece, postawił na stole wysokie

szklanki z lemoniadą i paterę z serami i krakersami. Jego myśli krążyły wokół Amy.

Jest niesamowita. Tak bardzo się zmieniała. Z wyrafinowanej i zasadniczej damy stała się bezpretensjonalną młodą dziewczyną. Zachwycającą dziewczyną. Ma świetny charakter i duże poczucie humoru. Potrafi się śmiać z samej siebie. Zna francuski. Z pewnością jest jeszcze mnóstwo rzeczy, o których on nie ma pojęcia. I które chciałby poznać.

A letnia noc skłania do zwierzeń. W tle spokojna toń zatoki, wokół bujna zieleń ogrodu. Wymarzona sceneria do szczerzej rozmowy.

Amy wyszła z domu i ruszyła w jego stronę.

- Szukałam cię.

Uśmiechnął się.

-I znalazłaś.

W jednej chwili coś się zmieniło. Miał wrażenie, że wraz z jej pojawieniem się spokojne powietrze nagle się poruszyło. Ona też to poczuła, widział to w jej oczach.

Powiedziała jasno, i to dwa razy, że nie chce się angażować, że to nie dla niej. Jednak między nimi aż iskrzy.

On też tego nie chce. Już wcześniej to sobie postanowił. Ma przecież powody, i to bardzo poważne. Ale postanowienia i słowa niczego nie zmieniają. To po prostu jest, dzieje się. Obudziła się w nim dusza naukowca. Chce to koniecznie zbadać, przyjrzeć się temu. W ten sposób znajdzie optymalne wyjście.

Cóż z tego, skoro Amy w ogóle nie chce o tym słyszeć.

Może teraz wyłoży mu swoje racje.

- Chodź tutaj! - zachęcił ją. - Usiądź, pogadamy. - Po-
dał jej szklankę z lemoniadą.

- Dzięki. - Upiła łyk i zapatrzyła się na ocean. - Ale dzisiaj było gorąco.

Tak, i to nie tylko jeśli chodzi o pogodę, skomentował w duchu.

- Może wolisz posiedzieć w domu? - zapytał. - Możemy usiąść w kuchni. Albo w innym pokoju.

Amy pokręciła głową.

- Nie, teraz jest w sam raz. Gdy słońce zaszło, od razu zrobiło się lepiej.

Temat pogody został wyczerpany i Amy stawała się coraz bardziej niepewna.

- Amy - zaczął Pierce. - Wiemy, o czym mamy porozmawiać. Jesteśmy dorosłymi ludźmi, nie będziemy chować głowy w piasek. Podejźmy do tego na spokojnie, rzeczowo. Nie owijając niczego w bawełnę, bez uników. Oboje... coś czujemy. I oboje zgadzamy się, że to coś więcej niż tylko fizyczna fascynacja. To jest... - Westchnął z niedowierzaniem, jednak nie dokończył. - To coś innego - rzekł wreszcie.

Był zły na siebie, że ma problemy z dokładnym określeniem własnych uczuć. Mimo to nie może się poddawać. Trzeba dążyć sprawę do końca.

- Zrobiliśmy krok do przodu, ale to obudziło w tobie obawy. Chciałaś mi to dokładniej wyjaśnić, tylko chłopcy nam przeszkodzili.

Amy wpatrywała się w żółty napój. Widział, że słucha go uważnie. W końcu podniosła głowę i popatrzyła mu prosto w oczy.

- Masz rację, nie ma co kluczyć. - Uśmiechnęła się blado.

Odpowiedział uśmiechem.

- Nie ma żadnego powodu - odparł.

Potrząsnęła głową.

- Też tak uważam. Jak powiedziałeś, jesteśmy dorośli.

Zamilkła. Po chwili znowu podniosła szklankę z lemoniadą, upiła trochę. Jak urzeczony wpatrywał się w jej po-błyskujące wilgocią usta. Ciekawe, czy lemoniada zmieniła smak jej ust? Marzył teraz tylko o jednym - by spróbować i porównać.

Zamrugał gwałtownie, przywołując się do porządku. Odepchnął od siebie kuszące obrazy podsuwane przez rozbudzoną wyobraźnię.

Amy westchnęła ciężko, jakby szykując się do trudnego wyznania.

- Powiem ci - zaczęła. - Wyjaśnię ci, dlaczego ta sytuacja budzi we mnie opory. - Urwała i zwilżyła językiem usta.

Obserwował ją cały czas i nie miał wątpliwości, że ten temat jest dla niej wyjątkowo niezręczny.

Dla niego to też nie była komfortowa sytuacja, jednak powinni doprowadzić tę rozmowę do końca.

- Wychowałam się w Lebo - zaczęła. - To małe miasteczko, w zasadzie zapadła dziura. Nic się tam nie dzieje. Zawsze marzyłam, żeby się stamtąd wyrwać, zobaczyć świat.

Wróciła myślami w przeszłość, poznał to po jej głosie, po nieco śpiewnym tonie.

- Moja mama umarła, gdy byłam małym dzieckiem - ciągnęła. - To był bezsensowny wypadek Weszła na drabinę, by wymienić przepaloną żarówkę w łazience. Poślizgnęła się i spadła tak nieszczęśliwie, że uderzyła głową o krawędź wanny.

Zdumiewało go, że choć mówiła o tak tragicznym zdarzeniu, wydawała się zdystansowana.

- Byłam wtedy z tatą na zakupach. - Amy westchnęła.
- Jakiś gość przyjechał do motelu, a w recepcji nikogo nie było. Zaczął więc szukać po pokojach. I znalazł moją mamę.

Pierce'a ogarnęło głębokie współczucie, choć nadal nie mógł pojąć obojętności, z jaką o tym opowiadała.

- Szeryf wezwał pastora, twojego szwagra. Pastor znalazł nas w sklepie i tam powiedział tacie o wypadku. W sklepie żelaznym.

Pierce nie miał pojęcia, że John mieszkał wtedy w Lebo. Nic dziwnego, bo było to na długo przed poznaniem jego siostry Cynthii.

Wyczuwał smutek Amy, choć intuicja podpowiadała mu, że dotyczy to bardziej jej ojca. Współczuła mu bólu po stracie żony. Jakby śmierć matki jej dotyczyła w mniejszym stopniu.

- Byłam bardzo mała - powiedziała, jakby odpowiadając na jego wątpliwości. - Nie pamiętam mamy. Oczywiście tata ciągle mi o niej opowiadał, mam mnóstwo zdjęć, ale trudno rozpaczać po kimś, kogo tak naprawdę nigdy się nie znało, czuć więź z kimś, kogo się nie pamięta. Wiesz, o czym mówię?

Nie czekała na jego odpowiedź. Chciała tylko przybliżyć mu swoje uczucia, swoje doświadczenia. Jednak on doskonale rozumiał.

Tak wiele mieli wspólnego. Wprawdzie on nie stracił ojca, tak jak ona mamę, jednak kontakt między nimi był tak słaby, że prawie nie istniał. Dlatego świetnie wszystko rozumiał.

Nie mógł się powstrzymać, by nie zapytać:

- To od tamtej pory John i twój ojciec tak bardzo się przyjaźnią?

- Tak. Tata zawsze wspomina, ile mu zawdzięcza. Pastor był przy nim w najtrudniejszych chwilach. Po śmierci mamy codziennie spędzał z nim długie godziny.

- Wzruszyła ramionami. - Jak już powiedziałam, ja tego nie pamiętam. Przypominam sobie, jak pastor przywiózł do Lebo swoją żonę. Twoją siostrę. To było już jakiś czas później. Kiedyś byliśmy u nich na Boże Narodzenie. Trudno było nam wyrwać się z motelu. Jeśli chcesz utrzymać się w tej branży, musisz zapomnieć o wolnych dniach. O wakacjach nawet nie wspomnę. Motel musi działać na okrągło.

Pierce skinął głową.

Minęło kilka chwil. Amy milczała, zagubiona we wspomnieniach.

- Amy, ale jak to się ma do tego, o czym mieliśmy rozmawiać? - zapytał. - Co odejście twojej mamy...

- Zaraz dokończę - rzekła cicho, niemal szeptem. -Wszystko po kolei.

Pierce zacisnął usta i zamienił się w słuch.

- Ja... kocham moją mamę - wydusiła. - Choć to bardziej jest pamięć o niej, przekazana mi przez tatę. Jego kocham najbardziej. Zrobił wszystko, byśmy byli razem. Jestem mu bardzo oddana. Pracował ponad siły, by mieć mnie przy sobie.

- Chodziłam do szkoły z dziewczynką, której mama też umarła. Jej tata oddał ją do dziadków. Nie tak jak mój. On bardzo chciał, żebym była z nim. Zrobił, co tylko mógł, by tak było.

Pierce widział teraz wyraźnie, jak bardzo Amy jest związana z ojcem.

- Tata nigdy nie miał wakacji. Motel był otwarty non stop, siedem dni w tygodniu, przez wszystkie dni w roku. By zarobić więcej, tata samodzielnie wykonywał większość prac. Z czasem, kiedy podrośłam, zaczęłam mu pomagać.

Amy znów zapatrzyła się w ciągnący się po horyzont ocean.

- To jest ważne, bo to z powodu taty... podjęłam pewne decyzje.

Jej twarz się zmieniła. Pierce'a to trochę zdziwiło, lecz milczał. Amy popatrzyła na niego.

- Z powodu taty zostałam w Lebo, choć marzyłam, by stamtąd wyjechać. Jednak zostałam. Chciałam mu pomóc w pracy.

Na razie wszystko wydawało się zrozumiałe. Amy miała swoje marzenia, chciała podróżować, zobaczyć coś więcej. Dla ojca zrezygnowała ze swoich marzeń. Ale co to ma wspólnego z nimi? Z tym, co się dzieje między nimi?

Pierce się nie odzywał. Amy obiecała przecież, że wszystko mu wytłumaczy.

- Patrzyłam na moje koleżanki - ciągnęła. - Widziałam błędy, jakie popełniały.

Ton jej głosu nieco się zmienił.

- Jedna po drugiej przechodziły tę samą drogę. Poznawały kogoś, wychodziły za mąż, rodziły dzieci. Potem szło jeszcze szybciej. Obowiązki, raty za mieszkanie, spłaty kredytów za samochód, opłaty za lekarza... wpadały w to i już nie miały wyjścia.

No, chyba zaczynamy zbliżać się do istoty problemu, domyślił się Pierce.

-Wiedziałam, że nadejdzie dzień, kiedy pojawi się przede mną szansa. Kiedyś wreszcie będę mogła wyjechać i zobaczyć miejsca, które zawsze chciałam odwiedzić. Taka szansa nadarzyła się w zeszłym roku.

Wyprostowała się, jej oczy błysnęły.

- Wielka korporacja chciała wykupić nasz motel. Na jego miejscu zamierzali wybudować porządny hotel. Początkowo tata odmówił. Powiedział, że motel należy do mnie, że chce mi go przekazać. W ten sposób zapewniłby mi utrzymanie do końca życia. - Umilkła. - Wtedy wreszcie zdobyłam się na szczerość. To była dla mnie najtrudniejsza rzecz.

Jeszcze teraz ciężko jej było o tym mówić.

- Powiedziałam tacie, że prowadzenie motelu nie jest moją życiową ambicją. - Spochmurniała. - Bardzo to przeżył. Było mu przykro. Dla mnie też było to straszne, ale musiałam postawić sprawę jasno. Musiałam. Inaczej byłabym tak załatwiona jak moje koleżanki.

Pierce postawił szklankę.

Korciło go, by ująć Amy za rękę, ale powstrzymał się. Może to nie jest właściwy moment.

- Rozumiem -
wymamrotał. Amy
uśmiechnęła się blado.

- Tata przez kilka dni prawie się nie odzywał - rzekła.
- Z czasem powoli się pogodził. To on namówił mnie, bym spróbowała zdobyć pracę stewardesy. Mówił, że to najlepszy sposób na zobaczenie świata. Tak też zrobiłam. Przyjęli mnie, przeszedłam przeszkolenie. Zapalenie ucha opóźniło mój prawdziwy start, ale... -
Uśmiechnęła się lekko. - Jak tylko minie, czyli pod koniec lata, od razu ruszam w podróż stalowym ptakiem.

Gdy o tym mówiła, jej twarz promieniała.

- Sam teraz widzisz, że nie mogę zadawać się z tobą i... - urwała. Nie mogła się zdobyć, by określić to bardziej precyzyjnie. Machnęła ręką, zamykając w ten sposób rozmowę. - Przyszła pora, bym zaczęła realizować moje marzenia. Czekałam tyle lat. Pierce, nie mogę ryzykować, że coś mnie znów powstrzyma. Po prostu nie mogę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ciekawość to pierwszy stopień do piekła. To stwierdzenie nie wzięło się znikąd. Przez nadmierne wścibstwo można tylko ściągnąć sobie na głowę poważne kłopoty. Wiadomo z historii, że nawet potężne królestwa upadały, bo ktoś nie potrafił zostawić spraw własnemu biegowi. Ona, niestety, też nie jest od tego wolna. Ciekawość wprost ją zżera.

Popatrzyła na Jeremiaha i Benjamina z zapalem malujących obrazki dla rodziców. Szykowali paczkę do Afryki. Będą w niej rysunki, zdjęcia, listy od chłopców, upominki i domowe smakołyki. Malcy entuzjastycznie podeszli do pomysłu Amy. Świadomość, że zrobią przyjemność rodzicom, dodawała im skrzydeł.

Amy zamyśliła się. Minęły dwa długie tygodnie od wieczornej rozmowy z Pierce'em, kiedy wyłożyła mu swoje racje. Wiedziała, że przyjął je i zrozumiał. Ale dla niej nie wszystko było takie oczywiste. Zwłaszcza zakończenie rozmowy.

Najpierw Pierce przez długi czas milczał, jakby próbował przetrawić to, co usłyszał. Potem, nie odrywając od niej zielonych oczu, ponuro pokiwał głową.

- Wydawało mi się, że jeśli pójdziemy krok dalej, może lepiej zrozumiemy, o co naprawdę chodzi. Wtedy łatwiej byłoby coś postanowić. Jednak tobie takie rozwiązanie nie

odpowiada. Teraz wiem, dlaczego tak się opierasz. Masz swoje powody. I ja to rozumiem. Powiem ci tylko, że ja również mam kilka ważnych powodów, by... trzymać się od tego z daleka. - Położył ręce na udach i wstał. - A więc zachowujemy się tak, jakby nic nie było. Niczego nie czujemy. Jeśli tego chcesz, ja się dopasuję.

To był ostatni raz, kiedy rozmawiali na ten temat.

„Mam kilka ważnych powodów...”

Te słowa nie dawały jej *spokoju*. W końcu każdy normalny człowiek chciałby dowiedzieć się czegoś więcej. Mijały dni, tajemnica pozostawała ciągle nierozwiązana. Nic dziwnego, że to rozpałało jej ciekawość.

Nie powinna tak się tym pasjonować. A jednak chciałyby wiedzieć. Chciałyby usłyszeć, dlaczego Pierce woli unikać miłości...

Co też jej chodzi po głowie! Przecież to nie tak Jak na razie istniała naprawdę niewielka szansa, że coś takiego mogłoby się zdarzyć. I to przed tą szansą oboje woleli się cofnąć.

Ona wyjaśniła mu swoje powody, nie wspominając o wrażeniu, jakie na niej wywarł. O pragnieniach, jakim z trudem się opierała. Ale jakie on miał powody?

Nie wiedziała, jak mogłaby zręcznie powrócić do tego tematu, nie budząc podejrzeń. Bo za nic nie chciała, by teraz, gdy już z grubsza ustalili swoje relacje, nagle wyszło na jaw, że jednak jest nim zainteresowana.

Bo chyba taka jest prawda, choć niełatwo to przyznać nawet przed sobą.

Może ciekawi ją jego przeszłość, doświadczenia, jakie ukształtowały jego stosunki z kobietami? Przyczyny, które sprawiły, że woli unikać bliższych związków?

Po co się oszukuje? Początkowo odpierała zarzuty, ale wewnętrzny głos nie dawał jej spokoju. Każdy mijający dzień tylko to potęgował.

Poczuła, że w drzwiach pokoju stanął Pierce. Nawet nie musiała się oglądać. Od razu wiedziała. Jakby nagle wszystko się zmieniło: powietrze, temperatura. Poczuła gęsią skórkę.

- Wujek! - radośnie zawołał Benjamin. - Chodź, zobacz, co namalowałem dla mamusi i tatusia!

- Ja też mam rysunek - pośpiesznie wtrącił Jeremiaś. Amy nabrała powietrza i zerknęła na Pierce'a. Skinął głową na powitanie, więc zrobiła to samo. Taki już ustalił im się zwyczaj. Niewinny, bezpieczny gest. To, na czym obojgu zależało.

Jednak wraz z pojawieniem się Pierce'a, coś się zmieniło. Czuła to wręcz namacalnie.

Pierce podszedł do stołu, przy którym siedzieli chłopcy, i popatrzył na rysunki.

- Wspaniale - rzekł z przekonaniem. - Bardzo ładne.

Benjamin podsunął rysunek bliżej.

- Tutaj jest dom. Tu jestem ja i ty, a tutaj Jeremiaś i Amy.

- Stoimy przy brzegu - domyślił się Pierce.

- Tak. To rysunek, jak uczysz nas pływać. Specjalnie dla mamy i taty. Zobaczą, jak fajnie się bawimy.

Nadal uczył ich pływać. Malcom szło całkiem nieźle. Tylko Amy zrezygnowała z nauki. Uznała, że tak będzie lepiej. Bliźniacy nie kryli rozczarowania, ale Pierce nawet nie mrugnął okiem. Nie próbował jej namawiać. W związku z tym ustalili zasadę, że nad wodę chłopcy mogą iść tylko z wujkiem.

Pierce przykucnął obok Benjamina. Położył mu rękę na ramieniu.

- Śliczny rysunek. Waszym rodzicom na pewno będzie się bardzo podobać.

- A mój? - Jeremiaś nie chciał być gorszy od brata i podał wujkowi swoją kartkę. - Wiesz, co to jest?

- Zaraz, zaraz... - Pierce popatrzył uważnie. - Ach, to jest *callinectes sapidus*.

- Co powiedziałaś? - Zaskoczony Jeremiaś zmarszczył brwi i wysunął koniuszek języka. - Wujku, no popatrz! Tu są szczypce, nie widzisz? A tutaj oczy. Przecież to jest krab!

Pierce się roześmiał.

- Właśnie to powiedziałem. Tak się ten krab nazywa. Greckie słowo *callinectes* znaczy „piękny pływak”. A *sapidus* po łacinie znaczy „smaczny”.

Dziecko patrzyło na niego szeroko otwartymi oczami. Pierce potarłał Benjamina po głowie i uśmiechnął się szeroko.

Amy zerknęła na niego ukradkiem. Wyglądał cudownie. Jego twarz i ramiona były ozłoczone opalenizną. Spędzał z chłopcami sporo czasu na dworze. Pod opaloną skórą rysowały się mocne, napięte mięśnie.

Odwróciła wzrok, próbując skoncentrować się na kolorowych kredkach leżących na stole.

Mimo to co chwila bezwiednie zerknęła na Pierce'a, który żartował z dziećmi.

Te czarne włosy i intensywnie zielone oczy... dzieci byłyby śliczne.

Wciągnęła powietrze, a na jej twarzy odmalowało się zdumienie. Skąd jej się biorą takie pomysły? Na szczęście szybko się opamiętała. Chyba nikt niczego nie zauważył.

- Piekliśmy dziś z Amy ciasteczka - poinformował wujka Benjamin.

- Zapakujemy je z rysunkami i wyślemy do mamy i taty - dodał Jeremiaś.

- Mam nadzieję, że zostawiliście trochę dla mnie. Przynajmniej jedno na spróbowanie. - Pierce położył rękę na stole i podniósł się.

Popatrzyła na jego szczupłe palce i przypomniała sobie, jak podziałał na nią ich dotyk. Opuściła powieki i znów głęboko zaczerpnęła powietrza. Otworzyła oczy, zmuszając się do myślenia tylko o prowadzonej rozmowie.

- Nie martw się, wujku! - Jeremiaś rozpromienił się w uśmiechu. Na brodzie można było dostrzec małą bliznę. - Upiekliśmy dwie blachy!

Malec był tak przejęty i podekscytowany, że jego nastrój udzielił się Amy. Roześmiała się wesoło.

- Amy powiedziała, że musimy od razu zapakować ciasteczka, żeby się nie pokruszyły - z poważną miną oznajmił Benjamin.

- Nie martw się - pocieszyła go Amy. - Zapakujemy je bardzo dobrze. Nic im się nie stanie.

Zrobiło się jej ciepło na sercu. Nie mogła się powstrzymać, by nie wyobrazić sobie Cynthii i Johna otwierających paczkę od dzieci. Co będą czuli, patrząc na namalowane dla nich obrazki, jak będą smakować im ciasteczka upieczone przez chłopców specjalnie dla nich? Przyjemnie było pomyśleć, że może kiedyś nadejdzie czas, że i ona będzie mieć córeczkę albo synka, którzy przygotują coś podobnego... dla niej i dla jakiegoś mężczyzny, jej męża.

Znowu jej spojrzanie mimowolnie powędrowało w stro

nę Pierce'a. On też patrzył na nią. Przez chwilę wpatrywali się w siebie w milczeniu.

Jeszcze nigdy nie czuła czegoś takiego. Czegoś, co nie dawało się nazwać, a było silniejsze od wszystkiego, co dotąd znała. Nie była w stanie wytrzymać tego napięcia.

Pochyliła głowę i wbiła wzrok w dłonie złożone na kolanach.

Co się z nią dzieje? Przecież ma swoje plany, swój pomysł na życie. Marzenia, które już wkrótce mają się spełnić. Zobaczy świat, pozna nowych ludzi. To wszystko jest teraz na wyciągnięcie ręki.

Małżeństwo, dzieci... to odległa przyszłość. Jeśli w ogóle było jej to pisane.

Czy dla Pierce'a to też jedynie mglista możliwość? To pytanie pojawiło się nagle, nie wiadomo skąd. I zagłuszyło wszystkie inne. Czy Pierce odkłada małżeństwo i dzieci tylko na jakiś czas? Czy może wcale nie zamierza się żenić? Nie chce mieć dzieci?

Załaskotało ją w żołądku. Ta ciekawość tylko jej zaszkodzi. Czuła to przez skórę.

Ale dlaczego? Dlaczego myślenie o Piersie tak ją dobija?

- Amy?

Jego głęboki głos brzmiał jak pieszczota. Działał na nią jak balsam, uspokajał napięte nerwy. Bała się podnieść na niego oczy, by nie domyślił się, co czuje, co ją dręczy. Bo na pewno to zauważy.

- Chyba czymś się martwisz. O co chodzi? - zagadnął. Uśmiechnęła się z przymusem, starając się ze wszystkich sił zachować spokój, choć w środku dygotała.

- Nie, nic mi nie jest - odparła. Ucieszyła się, że ton jej głosu zabrzmiał wyjątkowo spokojnie. - Zastanawiam się

tylko, co się stało, że zjawiłeś się tak wcześnie. Zwykle pracujesz do kolacji.

- Pomyślałem sobie, że dzisiaj moglibyśmy zjeść coś na mieście. - Popatrzył na chłopców. - Co byście powiedzieli na hamburgery i frytki?

Malcy zareagowali entuzjastycznie. Aż podskoczyli z radości.

Amy psyknęła na Pierce'a.

- To nie są zdrowe potrawy.

- Ty możesz sobie wziąć sałatkę! - bez namysłu wypalił Benjamin, a Jeremiaś aż zachichotał.

Pierce też zachichotał.

- No właśnie - powiedział. - Ty możesz zjeść zdrową sałatkę.

Amy westchnęła głęboko, ale już udzielił się jej beztrojski nastrój chwili. Roześmiała się.

- Czy ktoś przy zdrowych zmysłach zamówiłby sałatkę, gdy wszyscy wokół zajadają się soczystymi, ociekającymi tłuszczem hamburgerami i frytkami z keczupem?

Rozpromieniony Jeremiaś podniósł obie rączki i dodał z błyskiem w oku:

- Z podwójną porcją keczupu!

Czterdzieści pięć minut później siedzieli w niewielkiej rodzinnej jadłodajni, czekając na zamówione potrawy. Chłopcy odbiegli od stołu, by pograć w gry wideo.

W powietrzu unosił się apetyczny zapach wędzonego bekonu, grillowanego mięsa i smażonej cebuli. Było przytulnie i kameralnie - a jednak Amy ciągle czuła się spięta. Siedziała jak na rozżarzonych węglach.

Pierce oparł łokcie na stole, a palce przytknął do twarzy.

W tle cicho grała muzyka. Pierce bezwiednie wystukiwał rytm. Wydawał się rozluźniony i zrelaksowany.

Jak on to robi, że jest taki niewzruszony? Odkąd wszedł do dzieciennego pokoju i zaproponował wspólne wyjście, Amy nie mogła się uspokoić. Wręcz czuła wibrujące w niej uczucia i nienazwane nadzieje. Ledwie sobie z tym radziła. W dodatku ciągle zadreślała się pytaniami, które chciała zadać Pierce'owi i na które chciałyby dostać odpowiedź. Jak to wszystko połączyć? Jak zachować spokój?

- Niewzruszony? Podniosła wzrok na Pierce'a.

- Słucham?

Uniósł ciemne brwi i popatrzył na nią niedowierzająco.

- Naprawdę uważasz, że jestem taki niewzruszony? Wpadła w panikę, zabrakło jej słów. Czyżby naprawdę

powiedziała to na głos? Była wytrącona z równowagi, to prawda, ale żeby aż tak się zapomnieć? Mówić coś głośno, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy? Na to wygląda.

Jego przepięknie wykrojone usta, których seksowny widok już wcześniej budził w niej dreszcze, wygięły się w powolnym uśmiechu. Amy poczuła się dziwnie.

- W takim razie wychodzi na to, że udaje mi się dotrzymać warunków naszego paktu. I to całkiem nieźle.

Pierce był bardzo z siebie zadowolony. Wyprostował szerokie bary i wypiął tors. Nawet jego usta wyglądały teraz inaczej. Gdyby nie była taka spięta, zaraz by sobie z niego zażartowała. Ależ się napuszył!

Jednak trwało to tylko mgnienie oka. Po chwili Pierce zmienił się na twarzy. Już się nie uśmiechał, a w jego zielonych oczach malowało się coś tak intensywnego, że nie

była w stanie wytrzymać jego spojrzenia. Musiała odwrócić wzrok.

Przesunął dłonią po wierzchu jej dłoni, przywołując jej uwagę. Popatrzyła na niego. Przyciągał ją mocno niczym magnes.

- Wcale tak nie jest - rzekł cicho, a jego głos zabrzmiał inaczej, niemal chrapliwie. - I to od chwili, gdy postanowiliśmy nie zwracać uwagi na to, co pojawiało się między nami. - Umilkł, a wypowiedziane przed chwilą słowa zawisły w powietrzu. - Na przykład teraz. Siedzę i zmuszam się, by nie powiedzieć ci, jak pięknie wyglądasz.

- Hm... - Gdyby nie wpojone jej dobre maniery, bez wahania wyraziłaby swoje niedowierzanie.

Ścisnął jej palce.

- Amy, zauważyłem zmianę, jaka w tobie zaszła. Stałaś się... sam nie wiem, jak to dobrze określić... bardziej przystępna. Bez tego makijażu twoja cera wygląda jak dojrzała brzoskwinia. I twoje włosy... Opadają na ramiona, swobodnie, naturalnie. Połyskuje w nich światło. Zapraszają, by ich dotknąć. Zanurzyć w nich palce.

Urwał raptownie, zmienił się na twarzy. Chyba uzmysłowił sobie, że słowa wymknęły mu się spod kontroli.

Po chwili przerwał ciszę.

- Chciałem tylko powiedzieć, że twoje nowe wcielenie nie uszło mojej uwadze. - Zwilżył językiem usta i dodał: - I bardzo mi się podoba. Bardzo.

A ona już była pewna, że tak sprytnie wybrnęła. Że jej nowe wcielenie skutecznie go do niej zniechęci.

- Miało być dokładnie odwrotnie.

Pierce lekko wygiął w uśmiechu kąciaki ust.

- Ach, więc ta zmiana była z mojego powodu! A ja łama

łem sobie głowę, co się stało. Zwrot od profesjonalizmu ku całkowitej naturalności i prostocie.

Trochę ją tym rozzłościł. Poza tym czuła się zakłopotana. Wszystkiego się domyślił, rozszyfrował ją. Cofnęła rękę, ale Pierce nie puścił jej. Jeszcze mocniej zacisnął palce. Zaśmiał się cicho.

- Spokojnie - łagodził. - Nie złość się. Przecież sama przyznasz, że Amy, która teraz tu ze mną siedzi, jest zupełnie inną osobą niż ta, która przed miesiącem pojawiła się na progu mojego domu.

Do niczego nie miała zamiaru się przyznawać. A już na pewno nie do tego, że zmieniła się z jego powodu. Oczywiście, tak było, ale nie musi mu tego mówić. Nie będzie się pograżać.

- Powiedziałaś, że wyglądam na niewzruszonego - podjął, po czym wzruszył ramionami i uśmiechnął się. - Cóż, jest dokładnie na odwrót. Wciąż jestem pod wrażeniem twojej metamorfozy. I nie potrafię się otrząsnąć. To niemal jak obsesja.

Zrobiło się jej przyjemnie, choć wcale tego nie chciała. Jednak oszukiwałaby samą siebie, gdyby stwierdziła, że jego słowa nie sprawiły jej miłej niespodzianki.

- Skoro mówimy o obsesji... - Uznała, że najlepiej zrobi, zmieniając temat. - Ja też odczuwam coś podobnego.

Oczy Pierce'a błysnęły. Popatrzył na nią badawczo.

- Też? To brzmi obiecująco.

Amy przewróciła oczami i uwolniła rękę z uścisku.

- Pierce, mógłbyś być poważny? Chciałam cię o coś zapytać.

Powietrze między nimi gęstniało z każdą chwilą. Bała się, że zaraz się udusi.

Pierce opuścił wzrok na jej usta.

- Jestem śmiertelnie poważny.

Gdy Amy wymawiała jego imię, w jej głosie zabrzmiało ostrzeżenie. Jeśli nadal utrzyma rozmowę w takim duchu, może powoli skruszy jej opór?

Serce zabiło jej niespokojnie. Spodziewała się, że Pierce zechce kontynuować tę niebezpieczną grę, ale zaskoczył ją. Rozluźnił się, przestał wpatrywać się w nią z napięciem i uśmiechnął się lekko.

- No to o co mnie chciałaś zapytać?

Nagle opuściła ją odwaga. Cofnęła się, przycisnęła łokcie do siebie i opuściła głowę. Podjęła ten temat, ale teraz zaczęła mieć wątpliwości. Niechcący wygadała się przed nim, że coś związanego z nim nie daje jej spokoju. Zupełnie bez sensu.

A to właśnie Pierce nie daje jej spokoju, taka jest prawda. Jednak jakoś sobie z tym poradzi, choć nie przychodzi jej to łatwo.

Popatrzyła spod rzęs na jego urodziwą twarz. Widziała, że stara się powściągać targające nim emocje.

Był zaskoczony jej przeświadczeniem, że sytuacja, w jakiej się znaleźli, nie robi na nim żadnego wrażenia. I powiedział to wprost. Szczerze wyjawił swoje rozterki. To, co od niego usłyszała, plus wyczuwalne między nimi napięcie, w sposób oczywisty świadczyły, że jest mu równie ciężko jak jej.

W takim razie czy stanie się coś złego, jeśli teraz wyjawi, co ją tak intryguje? Nie, na pewno nie, przekonywała się w duchu.

Oddychała powoli, głęboko. Popatrzyła mu prosto w oczy i by dodać sobie odwagi, uśmiechnęła się blado.

- No więc - zaczęła. - Pamiętasz naszą rozmowę tamtego wieczoru? Opowiedziałam ci o sobie, o moich planach i dążeniach. Powiedziałam, że chcę zacząć realizować marzenia i będę się starać, by nic mi w tym nie przeszkodziło. ... Pamiętasz?

Pierce skinął głową.

- Byłam z tobą absolutnie szczerą. Podałam ci powody, dla których nalegałam... - urwała, szukając właściwych słów - ...na zawarcie naszego paktu.

- Tak było.

Lekko uniosła jedno ramię.

- Od tamtej pory zastanawiam się nad twoimi powodami. Dlaczego tobie też na tym zależało.

- Moimi powodami? Twoją obsesją były moje powody? W jego tonie było tyle nieklamane go zdumienia, że aż poczuła ciarki na skórze. Znowu próbuje ją czarować. Jednak teraz nie pora na to, choć to bardzo przyjemne. Po chwili Pierce zaśmiał się cicho.

- No dobra, dobra - rzekł. - Już wracam do tematu. Jego niski, seksowny śmiech sprawił, że Amy uśmiechnęła się.

- Dzięki. To miło z twojej strony.

Ta gra, choć ekscytująca i wciągająca, była też nadzwyczaj niebezpieczna. Jak igranie z ogniem.

Pierce westchnął, z roztargnieniem sięgnął po serwetkę i położył ją przy swoim nakryciu. Zapatrzył się w świeczkę stojącą na środku stołu. Jej migoczący płomyk rzucał ciepłe blaski.

- Mam taki powód. To mój ojciec. A mówiąc dokładnie, rzecz w tym, że jestem do niego bardzo podobny. Niestety, tak to wygląda.

Przez dwa tygodnie przychodziły jej do głowy najróżniejsze pomysły. Wyobrażała sobie, że przeżył nieszczęśliwą miłość, został odrzucony albo zdradzony przez kobietę, ale nawet przez myśl jej nie przeszło coś podobnego. A więc chodzi o jego ojca? Tylko raz Pierce rzucił kilka słów na jego temat. Mówił wtedy z goryczą, co nawet ją zastanowiło. Uważa, że jest podobny do ojca, którego nie darzył szczególnym uczuciem. Co się za tym kryje? Jak to rozumieć?

Pierce musiał wyczytać coś z jej twarzy, bo powiedział:

- Mój ojciec nie czuł się rodzicem. Był wybitnym człowiekiem, utalentowanym naukowcem. Podziwiałem go i starałem się go naśladować. Zresztą tak właśnie zachowuje się każdy chłopiec. Ale mój ojciec nigdy nie dał mi tego, na czym najbardziej mi zależało. Nie był do tego zdolny.

Minęło kilka sekund. Amy zaczęła się już obawiać, że Pierce nic więcej nie powie. Jednak nie. Zaciśnął pięści i schował ręce pod stół, po czym popatrzył na nią i znów zaczął mówić:

- Brakowało mi jego miłości. Rodzicielskiej, ojcowskiej. Tego mnie nie nauczył. Podobnie jak empatii i troski o innych. Pod tym względem zawiódł na całym froncie. Moja siostra uważa tak samo. Nie raz rozmawialiśmy na te tematy. Wychowaliśmy się tak, jakbyśmy nie mieli ojca. - Jakiś mięsień zadrgał na jego twarzy. - Tak jak nasza mama nie miała męża.

Odłożył serwetkę, położył łokieć na stole i oparł brodę na dłoni.

- Mama kochała tego drania. Choć wcale na to nie zasługiwał. Nigdy nie widziałem, by zdobył się na jakiś miły gest, ani razu nie okazał jej choćby krzyny uczucia.

- Prze-

sunął palcami po włosach. - Chociaż utrzymywali intymne kontakty - rzekł, uśmiechając się, jednak nie było w tym nawet cienia wesołości. - Przynajmniej dwa razy.

W innej sytuacji Amy pewnie by się roześmiała, ale nie teraz.

- Cynthia i ja mieliśmy tylko mamę. Zabierała nas do klubu, chodziła na szkolne imprezy, na zawody sportowe. Pomagała nam odrabiać lekcje. Robiła, co tylko było w jej mocy, byśmy mieli normalne, szczęśliwe dzieciństwo.

Smutek w jego oczach bardzo poruszył Amy.

- Nasz ojciec - ciągnął dalej Pierce - zawsze był zajęty. Jak nie w laboratorium, to w szklarni. Często jeździł na sympozja, gdzie prezentował wyniki swoich badań czy odbierał jakieś nagrody. Albo przekonywał jakąś szychę do sponsorowania kolejnych prac. Dla nas nie miał czasu. Nie chciał nas. Nie chciał być mężem. A już na pewno nie chciał być ojcem.

Amy czuła kłębiące się w nim emocje.

- To był egoistyczny, skoncentrowany wyłącznie na sobie pracoholik, który nie był w stanie znaleźć czasu dla rodziny. - Pierce westchnął ciężko i popatrzył na Amy ponuro. - A ja jestem taki sam jak on.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Przebudziła się tknięta jakimś przecuciem. Nie potrafiła tego dokładniej określić, ale czuła, że dzieje się coś niedobrego. Przez chwilę siedziała na łóżku, wpatrując się w ciemność spowijającą pokój i wsłuchując się w ciszę. Odrzuciła kołdrę, opuściła nogi na dywan i szybko sięgnęła po szlafrok.

Idąc do drzwi, usłyszała cichy, zduszony odgłos. Dochodził od strony sypialni chłopców.

Wyszła na pogrążony w ciemności korytarz i uchyliła drzwi do pokoju dzieci. Światło księżycy wpadało przez okno, rozjaśniając wnętrze srebrzystym blaskiem. W bladej poświacie wyraźnie widziała śpiących w łóżeczkach chłopców. Benjamin rzucał się niespokojnie, przekręcał głowę z boku na bok, mamrotał coś przez sen.

Amy podeszła do niego szybko, położyła rękę na ramieniu malca. Poruszyła nim delikatnie, by go obudzić.

Chłopiec szeroko otworzył oczy. Miał płytki, zdyszany oddech.

- Och, mój malutki - użaliła się nad nim, zniżając głos do szeptu. - Miałeś zły sen, tak?

- On chciał mnie złapać - wyszeptał Benjamin, przecierając piąstkami oczy.

- To był tylko sen. Już się skończył - przemawiała do

niego czule. - Nic złego ci się nie stanie. Możesz położyć się wygodnie i zasnąć.

Chłopczyk zrobił przestraszoną minę.

- Nie chcę spać. Zostań ze mną, dobrze?

- Dobrze, skarbie - szepnęła, a po chwili dodała: - Chodź, pójdziemy na dół do kuchni, napijemy się mleka. Nie będziemy budzić Jeremiaha.

Benjamin zręcznie wyswobodził się ze splątanej kołdry i sennie ruszył do drzwi. Amy podążyła za nim. Zerknęła jeszcze na śpiącego Jeremiaha i cichutko zamknęła pokój.

Gdy już znaleźli się w kuchni, nalała mleka do dwóch szklanek. Postawiła je na stole. Jedną przed chłopcem, drugą dla siebie. Usiadła obok Benjamina.

- Skąd biorą się takie złe sny? - zapytał malec. Jeszcze się nie otrząsnął.

Amy uśmiechnęła się łagodnie.

- Takie sny to... to coś w rodzaju opowieści. Powstają w twoim umyśle.

- Ja ich nie lubię. Teraz śniło mi się, że goni mnie wielki pies. Ślina ciekła mu z pyska. Pokazywał mi zęby. Wielkie zęby. I bardzo ostre. - Malec podniósł szklankę do ust i upił spory łyk mleka.

- Wczoraj spotkaliśmy w parku psy - przypomniała mu Amy. - Przestraszyłeś się ich?

Benjamin uniósł główkę. Miał białe wąsy od mleka.

- Nie. - Otarł rączką górną wargę. - To były małe pieski, szczeniaczki. Biegały za piłką. Fajnie się na nie patrzyło.

Amy poklepała chłopca po ramieniu.

- To pewnie dlatego w twojej głowie powstał obraz psa. Ale mogło być bardzo wiele powodów, że zrobił się z tego niedobry sen.

Benjamin poruszył szklanką, niechcący wylewając odrobinę mleka. Nie odrywał oczu od Amy.

- Pewnie byłeś bardzo zmęczony, gdy kładłeś się spać - tłumaczyła. - Gdy człowiek jest zdenerwowany albo przybity, też może mieć nocne koszmary.

Benjamin zamyślił się. Przez dłuższą chwilę się nie odzywał, wreszcie podniósł głowę, a jego ciemne oczy błyszczwały.

- Myślałem wczoraj o mamusi - wyznał przez zaciśnięte gardło. Starał się, jak mógł, by się nie rozplakać. - Tęsknię za mamusią.

- Wiem, skarbie. To normalne, że o niej myślisz i za nią tęsknisz.

Benjamin pociągnął nosem.

- Ona mnie przytulała. I zawsze tak ładnie pachniała. Amy przepełniało gorące współczucie dla tego szkraba. Chłopczyk odwrócił głowę, pewnie zawstydził się swojej słabości. Po chwili znowu popatrzył na Amy.

- Mama pozwalała mi siedzieć u siebie na kolanach. Dzisiaj tak sobie myślałem, że... że jak już wróci, to będę sobie tak siedzieć przez całą godzinę. I wcale nie będę się martwić, jeśli Jeremiah zacznie się ze mnie wyśmiewać.

Amy dławilo w gardle. Bała się, że silne emocje nie pozwolą jej mówić.

- Skarbie, nie jestem wprawdzie twoją mamusią, ale bardzo chętnie cię przytulę, kiedy tylko zechcesz. Możesz też posiedzieć u mnie na kolanach. Oczywiście, to nie będzie to samo...

Widziała po minie chłopca, że walczy z pokusą. Odsunęła do tyłu krzesło i otworzyła ramiona. Malec wahał się jeszcze tylko przez chwilę.

- Ale nie mówmy o tym Jeremiahowi - poprosił rzeczowo i pozwolił, by Amy przytuliła go mocno do piersi. - Bo sobie pomyśli, że jestem mały dzidzius.

- Och, wcale tak nie pomyśli. Każdy od czasu do czasu potrzebuje przytulenia.

Amy przygarnęła go czule. Chłopczyk umościł się wygodnie i oparł główkę o jej ramię. Delikatnie przesuwiała policzkiem po gładkim czółku, wdychając zapach świeżo umytych włosów. Pocałowała malca w skroń.

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, instynktownie zaczęła go kołysać, nucąc cichutko.

Jego drobne ciało promieniowało ciepłem. A w niej budziły się nowe, zaskakujące uczucia. Zżyła się z chłopcami, dzięki nim odkrywała nieznanne i zadziwiające strony samej siebie.

Fakt, że Benjamin przystał na jej nieśmiałą propozycję, przyjemnie ją zaskoczył. Poczuła, że wyrastają jej skrzydła.

Macierzyństwo.

Zawsze wzdrygała się na sam dźwięk tego słowa. Było dla niej symbolem rezygnacji z planów, symbolem straconych marzeń.

Obserwowała z boku, jak jej koleżanki jedna po drugiej zachodzą w ciążę i wpadają w tę samą pułapkę. Ich życie stawało się monotonne i beznadziejnie nudne.

Przymknęła oczy, przycisnęła twarz do ciepłej skóry chłopca.

Czy te dziewczyny poznały coś, do czego ona nigdy nawet się nie zbliżyła? Czuła mętlik w głowie. Istniało coś, co zawsze było poza jej zasięgiem, niedostępne.

Aż do tej chwili.

Bo gdy tak siedziała ze słodkim szkrabem w ramionach,

z łatwością potrafiła wyobrazić sobie bycie matką. Wsłuchiwała się w równy, spokojny oddech Benjamin. Malec usnął.

Powinna zanieść go na górę i położyć do łóżka. Jednak siedziała nieruchomo, rozkoszując się chwilą przepęlną nową radością.

Macierzyństwo. Teraz widziała to w zupełnie innych barwach. Dziecko może dać tak wiele, zmienić spojrzenie na świat. Patrząc oczami dziecka, odkrywa się wszystko na nowo. Już te kilka tygodni z bliźniakami ją zmieniło. Wspólne zabawy, czytanie książek, malowanie rysunków, pieczenie ciasteczek - to wszystko odbierała inaczej. Dzięki chłopcom.

Ale dzieci to nie tylko zabawa. To również wyczerpująca praca. Doskonale o tym wiedziała. A przecież dawały tak wiele, że każdy trud był tego wart.

Choćby nocna rozmowa z Benjaminem. Poczieszenie go, usypianie... przecież to jedna z najszcześniejszych chwil w jej życiu.

Myliła się w swoich ocenach, niepotrzebnie z góry źle się nastawiała. Macierzyństwo, rodzina... Rodzina.

Mężczyzna i kobieta. Mąż i żona połączeni gorącym uczuciem, którego owocem są dzieci. Mimowolnie przyszedł jej na myśl Pierce. I nie mogła odepchnąć od siebie tych myśli.

Jeśli kiedykolwiek miałby pojawić się ktoś, kto sprawi, że na nowo przemyśli swoje poglądy...

Nie dokończyła, bo na progu kuchni nieoczekiwanie stanął właśnie Pierce. Zatrzymał się w progu jak wryty, zaskoczony jej widokiem.

- Czy coś się stało?

Serce zabiło jej mocniej. Pierce był boso, miał na sobie tylko spodnie od piżamy. Przesunęła wzrokiem po jego szerokiej piersi ocienionej ciemnymi włoskami, po nagich ramionach i mięśniach brzucha doskonale widocznych pod smagłą, napiętą skórą. Wyglądał jak ze zdjęcia z kolorowego magazynu. Zabrakło jej tchu.

Pośpiesznie przeniosła wzrok na jego twarz i zmusiła się do uśmiechu. Pierce zauważył jej taksujące spojrzenie i chyba mu się spodobało, choć starał się tego nie okazać.

- Benjaminowi przyśniło się coś niedobrego - wyjaśniła zmieszana. - Był trochę markotny, więc zeszedliśmy napić się mleka i posiedzieć w kuchni, aż się uspokoi.

Pierce podszedł bliżej, położył dłoń na jej barku, a drugą delikatnie przesunął po czole siostrzeńca.

- Biedactwo.

Ciepło jego dłoni przenikało przez ciekłą tkaninę szlafroka. Krew zaczęła szybciej krążyć w jej żyłach. Amy odwróciła głowę.

Pierce nie cofał dłoni. Przez chwilę sądziła, że zaraz przesunie ją wyżej, ku jej szyi.

Marzyła o tym! Zamknęła oczy i zacisnęła zęby. Gdy podniosła powieki, jego dłoni już nie było. Pierce podszedł do lodówki.

- Chce mi się pić - wyszeptał.

Nalał sobie soku i wypił go duszkiem, stojąc przy lodówce. Drzwi wciąż były uchylone i światło wydobywające się z wnętrza padało na niego. Wyglądał jak aktor na scenie.

W domu panowała niczym niezmaczona cisza. Amy słyszała, jak Pierce przełyka. Gdyby tak teraz wstała i pode

szła do niego, wyjęła mu szklanę z dłoni i dotknęła ustami jego szyi...

Mogłaby to zrobić. Pokusa byłanie do odparcia. Krew zaszumiała jej w uszach, a serce zabiło gwałtownie. Całe szczęście, że trzyma na kolanach Benjamina, inaczej nie wiadomo, jak by się to skończyło. Westchnęła i wbiła wzrok w podłogę.

Słyszała, jak Pierce odstawia karton na półkę i zamyka lodówkę. W zasięgu jej wzroku pojawiły się jego nagie stopy.

Przykląkł obok niej.

Nadal nie podnosiła głowy.

Delikatnie uniósł jej brodę.

- To niesamowite, Amy. Po prostu niesamowite.

Jakże przemawia do niej jego głos! Jednak Amy milczała. Nie była do końca pewna, co Pierce ma na myśli. Przepęłniało ją pragnienie, ale nie zdradziła się nawet słowem. Więc skąd mógłby to wiedzieć?

Dotarło do niego, że Amy nie odpowie.

- Dzięki za opiekę nad chłopcami - wyszeptał. - Ja nigdy nie byłbym w stanie dać im tego, co dostają od ciebie.

Wyciągnął rękę i delikatnie odgarnął z jej twarzy kosmyk włosów.

Milczała. Nie miała odwagi się odezwać.

- Wezmę go - powiedział. - Zaniosę do łóżka. Biorąc chłopca na ręce, musnął ją niechcący. Podniósł się i ruszył do drzwi. Zatrzymał się na progu, odwrócił i uśmiechnął.

- Muszę ci to powiedzieć - zażartował miękko. - Wyglądałaś bardzo naturalnie, siedząc tu i trzymając Benjamina na kolanach.

Te słowa sprawiły jej nieoczekiwaną przyjemność. Jednak musi się trzymać.

- Co w tym dziwnego? - zareplikowała, wchodząc za nim na schody. - Każda kobieta ma instynkt macierzyński, to żadna nowość.

Nie skomentował.

Szła za nim w milczeniu. Oczywiście, że każda kobieta to ma. Każda reaguje, gdy widzi przestraszone czy zasmucone dziecko. To instynkt.

W jej przypadku zaskakujące jest to, że odkryła go w sobie dopiero tutaj, mieszkając pod dachem Pierce'a. Ale to wcale nie znaczy, że zamierza go w sobie rozwijać.

Ma swoje plany. Już i tak dużo poświęciła. Pod wieloma względami. Niektórych Pierce nawet by się nie domyślił.

Teraz nadszedł jej czas. I zamierza z tego skorzystać.

- To jak to wyglądało? - Pierce siedział obok od dobrych dziesięciu minut i nie mógł już dłużej milczeć.

Znalazł Amy w ogrodzie. Przyglądała się bawiącym się dzieciom. Z kilku starych prześcieradeł, sznurka i kartonów Benjamin i Jeremiaś budowali sobie domek. Amy siedziała pod dębem i obserwowała ich z uśmiechem.

- Ale z czym?

- Jak wyglądało twoje dzieciństwo bez mamy - przypomniał łagodnie.

Nie odpowiedziała od razu, tylko podniosła na niego swoje przepastne brązowe oczy, w których pojawił się jakiś niepokój. Może uznała to pytanie za zbyt osobiste?

Pierce poczuł się trochę niezręcznie, ale ciekawość była silniejsza. Naprawdę bardzo chciał się czegoś o niej dowiedzieć.

- Chyba nie czujesz się urażona? - zapytał.

Amy pokręciła głową, jednak nadal milczała. Chciał ją trochę rozluźnić, dlatego zaczął inaczej:

- Moja mama była dla mnie kimś bardzo ważnym. Odegrała ogromną rolę w moim życiu. Gdyby jej nie było... nie umiem sobie tego wyobrazić.

Amy ledwie dostrzegalnie uniosła jedno ramię.

- Pierce, nie tęskni się za czymś, czego się nigdy nie doświadczyło.

- Mówiłaś, że twój tata dużo ci o niej opowiadał. Jej śliczne usta wygięły się w lekkim uśmiechu.

- To prawda - rzekła. - Pokazywał mi jej zdjęcia. Ze ślubu, z moich urodzin, z różnych rodzinnych okazji. - Umilkła na chwilę, zatopiona we wspomnieniach. Kiedy odezwała się znowu, jej głos się zmienił: - Bardzo dużo mi o niej opowiadał. Mama była miłością jego życia.

- Nie ożenił się powtórnie? Dlaczego?

Amy potrząsnęła głową, a długie włosy opadły na ramiona.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. - Zagryzła usta. - Żadna dziewczynka nie chce, by jej tata znalazł sobie drugą żonę. Dopiero teraz, gdy patrzę z perspektywy lat, uświadamiam sobie, że on nawet nie miał szansy, by kogoś poznać. Pracował od rana do nocy, by utrzymać motel.

- Ty też się nie oszczędzałaś - przypomniał Pierce.

- To prawda. Ale to przecież nic złego? Gdy dzieci są czymś zajęte, nie mają czasu na głupie pomysły.

Pierce się zaśmiał.

- To fakt. Jednak są inne możliwości: sporty, kluby, szkoła. Lubiłaś chodzić do szkoły? Jakie były twoje ulubione przedmioty?

- Benjamin! - Amy poderwała się z leżaka. - Nie baw się tak! Ostrożniej!

Zerknęła przelotnie na Pierce'a i znowu przeniosła wzrok na chłopców.

- Proponowałam, że im pomogę - powiedziała. - Podziękowali. Oświadczyli, że rycerze Okrągłego Stołu nie potrzebują niczyjej pomocy, by zbudować zamek.

Pierce wybuchnął śmiechem.

- Och, chłopcy uwielbiają opowieści o królu Arturze.

- Tak. Czytaliśmy niedawno dziecięcą wersję tej opowieści. - Uśmiechnęła się. - Tylko czekałam, kiedy poproszą, bym odegrała rolę księżniczki.

- Z tym nie miałabyś żadnych problemów - zapewnił z przekonaniem. - Ale co by było, gdyby kazali ci udawać wrednego smoka?

Teraz to Amy zachichotała. Przyjemnie mu było tego słuchać. Bardzo przyjemnie.

- No wiesz, gdyby trafili na właściwy dzień, to kto wie? Pierce wyprostował nogi.

- To już trudniej mi sobie wyobrazić. Nigdy nie zauważyłem, żebyś była wredna.

- Poczekaj. Przekonasz się, że mam niejedno oblicze.

Bardzo chętnie poznałby je wszystkie.

Słońce przeświecało przez zielone gałęzie, złocąc jej zgrabne opalone nogi. Pierce przesunął po nich powolnym spojrzeniem.

Minęło kilka minut, aż w końcu uświadomił sobie, że jego pytanie pozostało bez odpowiedzi.

- Więc jak było z tą szkołą? - zagadnął. - Lubiłaś się uczyć? Nauka przychodziła ci łatwo, czy miałaś problemy? Męczyły cię niektóre przedmioty?

- Każdy ma jakieś problemy, z którymi musi się zmagać - powiedziała. - Nie uważasz?

Naraz coś ją tknęło. Zerknęła na zegarek.

- A co ty tu robisz o tej porze? - wypaliła. - Nie powinieneś być w laboratorium? Albo w szklarni?

Powinien. Ma mnóstwo zaplanowanej pracy. Rośliny, którymi trzeba się zająć. Dane do zarejestrowania. Jednak coś go od tego odciąga.

Coś go odciąga. Do diabła, doskonale wie, co to jest. Co go pochłania bez reszty.

Amy. To wyjątkowa dziewczyna. Chce być przy niej. Co, tam eksperymenty!

Zaśmiał się mimowolnie.

- Nielatwo coś z ciebie wyciągnąć - powiedział, chcąc skierować rozmowę na inne tory. - Czyli szkoła nie była dla ciebie zupełnie bezbolesna. Opowiedz mi, co pamiętasz z tamtych lat.

Amy zmarszczyła nos. Wydało mu się to urocze. Ale kiedy zaczęła przygryzać dolną wargę, pomyślał, że coś ją zdenerwowało.

- Miałam dużo szczęścia...

Po tych pierwszych słowach wyraźnie się rozluźniła. A zatem chyba coś mu się wydawało.

- jeśli chodzi o szkołę. - Poruszyła się na leżaku. - Po śmierci mamy całe miasteczko pospieszyło nam z pomocą. Siostry oblatki, które prowadziły szkołę parafialną, zaproponowały tacie, że będą mnie uczyć za darmo. Tata od razu się zgodził. Chodziłam do ich przedszkola, a potem do podstawówki. To były wspaniałe czasy.

Jej twarz się rozpromieniła.

- Ta był z ich strony bardzo ładny gest.

Amy skinęła głową.

- Masz rację. Kochane siostry bardzo wiele dla mnie zrobiły. Wpłynęły na całe moje życie.

-Tak?

Amy uśmiechała się ciepło.

- Zainteresowały mnie czytaniem. Wprost pochłaniałam książki. Siostrzyczki podsuwały mi bardzo różne pozycje. Wtedy dowiedziałam się, że istnieje świat i tylko czeka, by zacząć go odkrywać.

-Rozumiem. Zainspirowały cię i obudziły potrzebę podróży.

- Tak. I bardzo mnie do tego zachęcały... przez lata.

Amy oddała się wspomnieniom.

- Jak się pewnie domyślasz, najbardziej lubiłam języki i literaturę. Pociągał mnie zwłaszcza francuski. Wydawał mi się taki poetycki. Miałam szczęście, bo siostry szkoliły się we Francji i francuski był w ich szkole obowiązkowy. Domyślam się, że twoją mocną stroną były nauki ścisłe.

- Uhm. - Zdziwiła go gniewna nuta w jego głosie.

-Wiele im zawdzięczam.

Ta nieświadomiona agresja zaskoczyła i jego, i ją.

- Co chciałeś przez to powiedzieć? - zapytała.

Nie wiedział, jak to ująć. Nie miał pojęcia, dlaczego powiedział to takim tonem i co to miało znaczyć.

- Pierce, nie chciałeś zostać naukowcem? - Naraz ją oświeciło. - Zająłeś się roślinami ze względu na swojego ojca.

W tym stwierdzeniu nie było nawet cienia wyrzutu, dlaczego więc poczuł się tak, jakby wymierzyła w niego palcem? Może to odezwała się jego podświadomość.

- Tak było, prawda? - Amy pochyliła się w jego stronę

i zniżyła głos do szeptu: - Chciałeś zwrócić na siebie jego uwagę.

Pierce czuł się tak, jakby trafiła prosto w tarczę. W niego.

Nie musiał potwierdzać jej podejrzeń. Nie musiał nic mówić. Ona i tak wszystko wiedziała. A w jej oczach zobaczył szczere współczucie.

- Och, Pierce, czy to nie dziwne? - Westchnęła i oparła się plecami o leżak. - Dorośli, z którymi stykaliśmy się w dzieciństwie, wywarli taki wpływ na nasze życie. Za sprawą siostr obiecałam sobie, że wyrwę się z mojego miasteczka i zobaczę świat, który znałam jedynie z książek. Twój ojciec pośrednio ukierunkował twoją karierę. I bardzo możliwe, że oni nawet nie mają o tym pojęcia. Nic nie wiedzą. - Pokiwała głową. - Siostry na pewno nie zdawały sobie z tego sprawy.

- Mój ojciec nawet nie podejrzewał, że to przez niego poszedłem tą drogą. - Pierce ciągle nie mógł pojąć, jak to się dzieje, że wyznawanie najtajniejszych sekretów przychodzi mu z taką łatwością. Sekretów i uczuć. - Nie obchodziły go moje osiągnięcia i zainteresowania.

- Przykro słuchać, że w twoim głosie jest tyle gniewu
- powiedziała. - Jesteś pewny, że twój ojciec wcale się tym nie interesował? Może zbyt pochłaniała go praca, bo musiał zarobić na wasze utrzymanie? Na pewno chciał wam zapewnić jak najlepsze warunki.

- O tak, bardzo się starał! Przede wszystkim o siebie. I o swoją pracę. Wybudował laboratorium, potem szklarnię. Za to dom popadał w ruinę. Mama przez całe małżeństwo spała na starym, wąskim łóżku. Ojciec nie wiedział, co robić z pieniędzmi, ale na dom nie chciał wydać ani grosza. Nic go nie obchodziło. My go nie obchodziliśmy.

Gotowało się w nim. Niepotrzebnie tak się zapędził. Niepotrzebnie otworzył tę puszkę Pandory. To Amy, siedząca obok niego pod dębem, tak na niego podziałała. Było w niej coś, co ludziom rozwiązuje języki. I usypia czujność.

- Najbardziej nie mogę sobie darować, że za wszelką cenę starałem się nawiązać z nim kontakt, zbudować jakieś relacje.

-Tak było?

- Czytałem jego prace, pod tym kątem wybrałem studia i specjalizację. Kiedy już obroniłem doktorat i miałem wracać do domu, żeby dołączyć do ojca, wiesz, co on zrobił?

Patrzyła na niego w skupieniu.

- Dostał udaru. W laboratorium. I umarł. Umarł i zamknął mi drogę, bym kiedykolwiek... - urwał, nie chcąc brnąć dalej.

Amy położyła dłoń na jego ramieniu. Jej dotyk był jak gładki jedwab przesuwany się po skórze.

- Tak mi przykro, Pierce.

Czerpał siły z jej bliskości. Westchnął i rozluźnił spięte ramiona. Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo to przeżywał.

Uścisnęła delikatnie jego ramię.

- Bardzo mi przykro. Pomyśleć, że tyle lat studiowałeś, a teraz żałujesz swojego wyboru...

- Nie, nie - przerwał jej. - To nie tak. Nie żałuję. Kocham moją pracę. Biologia zawsze mnie fascynowała. W ogóle nauki przyrodnicze. Genetyka roślin. Tylko... po prostu... - urwał.

- Skoro jesteś zadowolony - wymamrotała - to chyba nie do końca rozumiem, czemu masz taki żal do ojca.

- Amy, przepraszam. Nie chciałem zwać na ciebie moich problemów.

- Nie ma sprawy. Mów śmiało. - Uśmiechnęła się, dodając mu otuchy.

Przez chwilę szukał właściwych słów. Zależało mu, by dobrze go zrozumiała. Bardzo mu zależało.

- Wiesz, zawsze przeżywałem obojętność mojego ojca - zaczął powoli.

Zmarszczyła lekko czoło, jednak wiedział, że to ujęcie doskonale odpowiada prawdzie.

- Gdy byłem dzieckiem, ciągle zastanawiałem się, czy ze mną jest coś nie tak. Myślałem, że może są jakieś powody, że tata się mnie wstydzi. Zadręczałem się tym, ale to nie trwało długo. Szybko zorientowałem się, że on tak samo traktuje mamę i moją siostrę. Dla niego liczyła się tylko praca. - Odetchnął głęboko. - Uznałem, że jedyny sposób, by nawiązać z nim kontakt, to jakoś mu dorównać. By musiał zacząć się ze mną liczyć.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, ile w tych słowach i w tonie jego głosu było żalu i goryczy.

- I dokonałeś tego, stając się ekspertem w jego dziedzinie - dokończyła Amy.

- Dlaczego to brzmi tak beznadziejnie patetycznie?

- Pierce, nie ma nic złego w tym, że chciałeś do niego dotrzeć. Naprawdę.

- A jednak lata studiów poszły na marne - rzekł. - Bo gdy już mogłem rozmawiać z nim jak równy z równym, on umarł.

- Nie mów, że na marne. Na świecie jest tylu ludzi, którzy wiele by dali, by móc studiować... - Głos jej się łamał.

- Powiedziałeś, że kochasz swoją pracę.

- Bo tak jest.
- A więc nie uczyłeś się niepotrzebnie. Było warto.
- Masz rację.

Przez długą chwilę przyglądała mu się badawczo, aż wreszcie przerwała ciszę:

- Pierce, a czy nie jest tak, że wcale nie masz żalu do ojca? Może raczej żałujesz, że między wami nie ułożyło się tak, jak tego chciałeś, że nie zdążyłeś się do niego zbliżyć?

Popatrzył na jej dłoń leżącą na jego ramieniu, przesunął spojrzeniem po jej gładkiej skórze, delikatnych kostkach, wąskich palcach i nie podnosząc wzroku, rzekł:

- Żałuję. Mam poczucie, że coś straciłem. Jest we mnie pustka, której nie potrafię wypełnić. Ale czuję też gniew. - Popatrzył na Amy. - Mój ojciec mógł wypełnić tę pustkę, jednak nie zrobił tego.

Jej piękne brązowe oczy zwilgotniały. Uścisnęła go mocniej. Bez słowa.

Siedzieli w słońcu i przyglądali się dzieciom galopującym na wyimaginowanych rumakach wokół szmaccianego zamku.

Budziły się w nim nowe emocje i głużyły te wcześniejsze, gorzkie i przykre. Czuł się pokrzepiony, wzmocniony na duchu. Dowartościowany. Amy jest przy nim. Ma jej współczucie i wsparcie.

Tak, ta dziewczyna jest niezwykła. Wyjątkowa.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Położyła chłopców do łóżek i zeszła na dół. To był wyczerpujący dzień. Teraz chętnie posiedzi sobie w spokoju i trochę odetchnie.

Weszła do kuchni i stanęła jak wryta.

Przy stole stał Pierce. Jego pochmurna mina nie wróżyła niczego dobrego.

- Coś się stało?

- Dostałem to dzisiaj po południu przez kuriera - rzekł, wskazując na leżące na stole papiery. - To list z firmy perfumeryjnej. Szkoda tylko, że zapomnieli go przetłumaczyć na angielski.

Pierce był zdenerwowany.

-Oni doskonale wiedzą... - w desperackim geście uniósł dłonie - że nie znam francuskiego.

By nieco rozładować atmosferę, Amy zażartowała:

- Ale przeczytać chyba możesz?

Pierce się uśmiechnął.

- Ani nie czytam, ani nie mówię po francusku. Nie rozumiem ani słowa.

- I dlatego jesteś wkurzony, jak by powiedzieli twoi siostrzeńcy.

- Amy! - obruszył się Pierce. Zaskoczyła go i rozbawiła jednocześnie. - Zakazaliśmy im używać tego słowa.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

- Czy to rzeczywiście jest taki problem? - zapytała po chwili, gdy już się nieco uspokoiła.

- Nie, w sumie nie. Wiesz, zawsze dostaję korespondencję po angielsku. Tym razem ktoś to przeoczył. Mógłbym do nich przefaksować i ktoś by od ręki przetłumaczył, ale biuro już było zamknięte. Muszę poczekać do jutra. -Wzruszył ramionami. - Po prostu jestem bardzo ciekawy, co jest w tym liście.

- Mogłabym ci pomóc.

Pierce rozjaśnił się.

- Naprawdę?

- Mój francuski daleki jest od doskonałości, ale mogę spróbować. Poczekaaj, pójdę tylko po słownik. Może się przydać. - Ruszyła w stronę schodów.

- To spotkajmy się w gabinecie! - zawołał za nią.

Gdy wróciła, niosąc słownik, Pierce nalewał wino do kieliszków.

- Pomyślałem, że chyba łatwiej nam pójdzie przebijanie się przez ten list przy winie - powiedział, podając jej kieliszek.

- Dziękuję. - Amy upiła łyk.

Pierce obserwował ją znad swojego kieliszka. Atmosfera gęstniała.

- To co, zaczynamy? - Nie czekając na odpowiedź, położyła słownik i odstawiła kieliszek.

Sięgnęła po list. Przebiegła wzrokiem tekst, po czym wskazała na nagłówek.

- To list od firmy perfumeryjnej - uśmiechnęła się - ale to już wiesz.

- Zazwyczaj kontaktuję się z Jeanem Langfittem.

Nagle ogarnęło ją zwątpienie. Ona, przy wszystkich swych brakach, proponuje pomoc komuś tak wykształconemu jak Pierce?

Popatrzyła na dół strony.

- Tak, to on się podpisał pod listem. Wiedziałaś, że Jean to francuska forma imienia John?

- Nie, nie wiedziałem - przyznał.

- Ten doktor Langfitt jest dyrektorem od...

- Badań i rozwoju - odpowiedział Pierce. *Wysunął* fotel, by Amy usiadła. - *Usiądź* - zachęcił. - Szkada nóg. Kto wie, ile czasu nam to zajmie? - *Odsunął* drugie krzesło i usiadł obok niej.

Amy czuła, że jego kolano dotyka jej uda, ale starała się nie zwracać na to uwagi. Ani na ciarki przechodzące po jej skórze.

- No dobrze - skoncentrowała się na liście. - Idźmy dalej. Pan Langfitt wyraża nadzieję, że miewasz się dobrze. To było łatwe zdanie. *Je suis heureux de vous faire part que le parfum extrait de vos fleurs a fait frémir notre nez* - wymamrotała do siebie. - *Fait frémir* to znaczy, że są zachwyceni. *Fleurs* to kwiaty. Pan Langfitt z przyjemnością informuje... - Amy potrząsnęła głową, urwała. - To jest bez sensu.

Zaczęła przerzucać kartki słownika. Po kilku minutach wróciła do listu i przeczytała go ponownie.

- Z tego wynika... - znowu zawahała się i potrząsnęła głową. - Ale to naprawdę jest jakieś dziwne. - Umilkła zmieszana. Tak bardzo chciała mu pomóc, ale nie potrafiła sobie poradzić.

Jedyne wyjście, to przetłumaczyć list słowo po słowie.

- Tu jest napisane dokładnie tak - zaczęła, wskazując na

zdanie. - Nos doktora Langfitta jest zachwycony zapachem uzyskanym z twoich kwiatów.

Z twarzy Pierce'a wyczytała, że dla niego wszystko jest jasne.

Rozpromienił się jak nigdy. Jakby kamień spadł mu z serca.

- Nie chodzi o nos w znaczeniu części ciała. To Nos. Pisany dużą literą.

Nadal nie rozumiała. Chyba poznał to po jej minie, bo dodał:

- Nos to osoba, która miesza różne zapachy - wyjaśnił. - Tworzy nowe perfumy.

Jego zielone oczy jaśniały radością, trudno było temu nie ulec. Zmusiła się, by skupić się na liście.

- Dalej pan Langfitt pisze, że... - znowu zajrzała do słownika. - Pisze, że Nos nie był w stanie powtórzyć... nie, skopiować zapachu twoich kwiatów.

- Hura! - Pierce wyrzucił pięść w powietrze.

Amy popatrzyła zdziwiona, a po chwili sama zaczęła się śmiać. Najwyraźniej to była bardzo dobra wiadomość.

- Widzisz, chodzi o to, że tego stworzonego przeze mnie zapachu nie da się uzyskać przez wymieszanie innych, już znanych - tłumaczył Pierce. - Gdyby tak było, moja praca poszłaby na marne.

Był taki zadowolony, że nie mogła oderwać od niego oczu. Wydawał się jeszcze bardziej przystojny i porywający.

- Są różne rodzaje zapachów - ciągnął, a Amy wiedziała, że nie powinna się tak na niego gapić. Jednak to było silniejsze od niej. - Są zapachy drzewne, jak zapach cedru czy sandałowca. Zapachy pochodzenia zwierzęcego, prze

de wszystkim piżmo. Esencje uzyskiwane z kwiatów. Są ich tysiące. Wyciągi i olejki z owoców. Moje kwiaty dlatego są takie wyjątkowe, bo ich zapach jest intrygującym połączeniem kojarzącym się z tymi wszystkimi rodzajami.

- Niesamowite!

- Według mnie, największym walorem tego zapachu jest możliwość wykorzystania go w perfumach nie tylko dla kobiet, ale i dla mężczyzn.

Amy naprawdę była pod wrażeniem.

- Czyli... to bardzo dobra wiadomość.

- Dobra to za mało powiedziane! To wspaniała wiadomość! Mój hybrydowy kwiat ma oryginalny zapach, którego nawet ekspert nie jest w stanie podrobić. To znaczy, że mam patent w kieszeni. I tyle pieniędzy, że do końca życia nie zdołam ich wydać.

Amy pomyślała o tym wspaniałym domu, o ogromnej posiadłości, o laboratorium i szklarni. Przecież on ma już wszystko, o czym mógłby zamarzyć.

- Coś mi się widzi - zaczęła, nie zastanawiając się nad tym, co mówi - że twoje szczęście nie zależy tylko od pieniędzy.

Pierce westchnął.

- Masz rację. Wcale nie chodzi o pieniądze.

- Jesteś zadowolony, bo dokonałeś czegoś znaczącego.

Pierce tylko się uśmiechnął.

Intuicyjnie czuła, że powinien to usłyszeć.

- Twój ojciec byłby z ciebie dumny - wyszeptła. Przez chwilę bała się, że go dotknęła, że poruszyła czułą strunę. Jednak Pierce pochylił się i dotknął dłonią jej policzka.

- Chciałbym cię pocałować.

Wstrzymała oddech, tonąc w zielonej otchłani jego oczu. - i zrobię to.

Pochylił się i przykrył wargami jej usta. Smakował czerwonym winem, upojnie... i choć sama ledwie upiła łyk, czuła się jak pijana. Oszołomiona i bezwolna.

Zamknęła oczy, oddając pocałunek. Uśmiechnęła się, słysząc jego cichy, głęboki pomruk.

Nagle w jej głowie zaczęły zapalać się czerwone światełka. Nie może tego robić! Nie może ulegać nastrojowi chwili! Nie po to tak się starała, by teraz to wszystko zaprzepaścić.

Wypowiedziała szeptem jego imię. I wiedziała, że w tym szepcie zawarła wszystkie przepelniające ją uczucia.

- Amy, proszę... - Usłyszała zmieniony, chrapliwy głos Pierce'a. - Dajmy sobie tę chwilę, cieszymy się nią. Tylko tę jedną, jedyną chwilę, Amy... Bez żadnych zobowiązań, żadnego dalszego ciągu. Pozwól mi tylko...

Znów ją pocałował. Wcześniejsze oszołomienie było niczym w porównaniu z tym, czego doświadczała teraz. Kolana miała jak z waty, nogi się pod nią uginały. Ramiona i plecy stały się dziwnie wiotkie. Amy bała się, że zaraz zsunie się z fotela i upadnie na podłogę.

Było bosko!

Opuściła powieki, przywarła do Pierce'a i przesuwała dłońmi po jego mocnych ramionach, rozkoszując się dotykiem jego skóry, ciepłem, bliskością.

Czuła też jego zapach i słyszała gwałtowne bicie jego serca.

Pragnienie ciągle w niej rosnęło. Nigdy nie doświadczała takiej szaleńczej pokusy, nie przypuszczała, że istnieją ta

kie silne i nieokielzane uczucia. Pragnęła jeszcze większej bliskości.

Pierce nie przestawał jej całować.

Tuliła się do niego. Prężyła się pod dotykiem jego rąk błądzących po jej piersi, rozkoszowała się pocałunkami, jakimi obsypywał jej czoło, policzki i skronie.

W końcu oderwał od niej usta. Brakowało jej tchu, krew szumiała w uszach. Chciała więcej. Może to jedyny sposób, by się z tego otrząsnąć.

Otworzyła oczy. Pierce wpatrywał się w nią, a w jego oczach płonęło pożądanie. Amy jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak kobieca i upragniona.

- Amy, musimy przestać. Powiedziałem, żebyśmy cieszyli się chwilą, ale... - Z trudem przełknął ślinę. - Musimy skończyć, nim posuniemy się za daleko.

Wiedziała, że ma rację. Rozum też jej to podpowiadał. Ale jej serce i ciało nie chciały tego przyjąć, krzycząc rozpaczliwie: „Dlaczego?”.

Nieco później usiedli w salonie, Pierce na kanapie, Amy w fotelu. Starali się zachować dystans, jednak coś w ich relacjach się zmieniło. I to na wielu płaszczyznach. Amy czuła to bardzo wyraźnie.

Ich wzajemny pociąg, który nieoczekiwanie ujawnił się z taką siłą, przygaśł, choć tlił się w nich nadal. Oboje to czuli. Szaleńcze pocałunki pomogły. Napięcie, jakie między nimi narastało, teraz opadło.

Było inaczej. Lepiej. Amy czuła się spokojniejsza. Ufała Pierce'owi.

Był rozpalony nie mniej niż ona, a jednak znalazł w sobie siłę, by przestać, nim byłoby za późno. Wiedział, że ona

nie chce wchodzić w żadne układy, i uszanował jej wolę. Nie dopuścił, by pod wpływem chwili posunęli się za daleko. Zachował rozwagę i zimną krew.

To dowodzi, że może mu zaufać, może na niego liczyć. W każdej sytuacji.

Była mu wdzięczna. Niewiele brakowało, a uległaby mu. Nie wykorzystał jej słabości. Ceniła go za to i podziwiała. Gdyby mogła mu się odwdziaczyć...

- Czy to nie zadziwiające - przerwała ciszę - jak wielki wpływ wywarła na nasze obecne życie przeszłość?

- To prawda - odparł, napełniając jej kieliszek.

Uśmiechnęła się leciutko.

- Ale też zadziwiające jest to, jak różnie ta przeszłość ukształtowała każde z nas - dodała.

Pierce popatrzył na nią i zmarszczył czoło. Chyba nie był do końca pewny, do czego próbowała nawiązać.

- Popatrz na siebie i na swoją siostrę - zaczęła wyjaśniać. - Mieliście tych samych rodziców, byliście podobnie wychowywani. A jednak każde z was wyniosło z tego inną naukę, inne wzory. I inne poglądy na miłość, rodzinę, małżeństwo.

Zmarszczki na czole Pierce'a pogłębiły się.

- Daj spokój - zaśmiała się Amy. - Nie powiesz mi chyba, że nie zaskoczył cię wybór twojej siostry. Wybrała sobie męża... raczej mało typowo. - Sięgnęła po stojący na niskim stoliku kieliszek.

- Nie jestem od niej aż tak dużo młodsza - zagadnęła.

- Gdy Cynfhia przyjechała z pastorem Winfhropem do Łebo, wzbudziło to wiele emocji. - Uśmiechnęła się szeroko.

- Wiesz, jak to jest w małych miasteczkach. Zwykle huczą od plotek. To rodzaj rozrywki.

Pierce rozluźnił się i uśmiechnął lekko. Ucieszyła się, że tak zareagował.

- Ludzie szeptali o... - zniżyła głos do porozumiewawczego szeptu - ... o różnicy wieku.

Pierce roześmiał się na cały głos.

- Oczywiście bez złych intencji - ciągnęła Amy. - Po prostu był nowy temat do rozmów. Sposób na zabicie czasu. - Umilkła i napiła się wina. Smakowało wybornie, przywoływało wspomnienie niedawnych upojnych pocałunków.

Spróbowała się skupić.

- Nawet marny psycholog doszedłby do wniosku, że twoja siostra szukała kogoś, kto przypominał jej ojca.

Pierce spoważniał i zamyślił się.

- Wiesz - powiedział po chwili. - Przyznam, że miałem podobne odczucie, gdy Cynthia oznajmiła o zamiarze poślubienia Johna.

- No widzisz. Jednak w twoim wypadku wpływ ojca był krańcowo różny. Masz zupełnie inne podejście do rodziny.

Pierce pokiwał głową.

Grunt został przygotowany. Nadeszła pora na pokazanie mu tego, czego sam nie widzi. I z czego nie zdaje sobie sprawy. To będzie jej maleńki, ale bardzo cenny prezent.

- Powiedziałeś - zaczęła - że jesteś taki sam jak twój ojciec. Najważniejsza jest praca. W twoim życiu nie ma miejsca na rodzinę i dzieci. - Umilkła na chwilę, by to, co zamierzała powiedzieć, wywarło większy efekt.

-Zastanawiam się, czy przypadkiem sobie tego nie wmówiłeś.

Pierce zmarszczył czoło, ale Amy nie zrażała się. Była

zdecydowana doprowadzić swój wywód do końca. Może dzięki temu Pierce wydostanie się z pułapki, w jaką wpadł na własne życzenie.

- Wmówiłem sobie? Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie wydaje mi się, żebyś był podobny do swojego ojca. Pierce spochmurniał jeszcze bardziej.

- Powiem inaczej. Uważam, że jesteś do niego znacznie mniej podobny, niż myślisz.

Pierce wbił w nią przenikliwe spojrzenie zielonych oczu. Najchętniej odwróciłaby wzrok, ale przemogła się. Musi iść dalej, nie może się zatrzymać.

- Owszem, tak jak twój ojciec, kochasz swoją pracę. Wybrałaś podobną drogę życiową. Wierzę, że bywały czasy, kiedy od rana do nocy nie wychodziłeś z laboratorium czy ze szklarni, bo byłeś tak pochłonięty badaniami i eksperymentami. Gdybyś chciał, bez trudu mógłbyś zostać modelowym pracoholikiem. Tak jak twój ojciec. - Pochyliła się i postawiła kieliszek na stoliku.

- Jednak musisz przyznać, że to wszystko zmieniło się, gdy przyjechali do ciebie twoi siostrzeńcy - powiedziała cicho.

Z jego twarzy trudno było cokolwiek wyczytać. Nie miała pojęcia, co dzieje się teraz w jego głowie, jak odbiera to, co przed chwilą usłyszała. Może wybuchnąć gniewem albo ją uściskać - naprawdę trudno przewidzieć.

- Twoje podejście do chłopców jest pełne miłości, oddania i łagodności. Zależy ci na tych dzieciach, troszczysz się o ich dobro. To widać na pierwszy rzut oka. Poświęcasz im bardzo dużo czasu. - Dławiło ją w gardle. - Twój ojciec nigdy się na to nie zdobył.

Pierce zacisnął szczęki, a jego oczy zalsniły. Westchnął ciężko.

- Amy - zaczął łamiącym się głosem. - Do takich rzeczy każdy jest zdolny, przez krótki czas. Kilka tygodni. Miesiąc, może dwa. Jednak stare nawyki...

- Nawyków można się pozbyć.

Nie wydawał się przekonany.

Zaczaj trzeć palcami czoło.

- Dziękuję, że mi to mówisz. Doceniam twoje starania. Jednak nie mogę przyznać ci racji. Znasz powiedzenie, że niedaleko pada jabłko od jabłoni?

Amy otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- Jak możesz mówić takie rzeczy? Popatrz na Cynthię. Oboje wychowaliście się w tym samym domu. W takich samych warunkach.

- Dlaczego to nagle ma być takie ważne? Jakoś do tej pory nieźle sobie radziłem...

- To jest ważne - przerwała mu. - Bo wcale nie było ci tak dobrze - powiedziała z naciskiem.

Nie spodobało mu się to ostatnie stwierdzenie. Jeśli dobrze odczytywała jego minę, uznał je za ostry wyrzut.

Nie dała mu jednak dojść do głosu.

- Chodzi mi o to, że przedtem, nim chłopcy tu przyjechali, prowadziłeś bardzo samotne życie. Miałeś tylko swoje rośliny i swoje badania. Żyłeś w izolacji. To nie jest naturalne. Ani dobre.

- Poczekaj - obruszył się. - Nie jestem pustelnikiem. Spotykałem się z ludźmi. Cynthia wciąż podsuwała mi dziewczyny, z którymi próbowała mnie swatać.

Amy zmierzyła go drwiącym spojrzeniem.

- I umówiłeś się z jedną czy drugą, na siłę. Powiedz mi, co to za życie?

- Mnie takie życie odpowiada. Lepszego nie potrzebuję.

O Boże, teraz się rozgniewał! A tego chciała uniknąć.

- Pierce, daj mi dokończyć. Nie chcę cię denerwować. Zależy mi tylko na twoim szczęściu. Obserwowałam cię, kiedy przebywałeś z Benjaminem i Jeremiahem. Kochasz tych chłopców.

Jakiś mięsień zadrgał na jego skroni. Zmrużył oczy.

- Oczywiście. To dzieci mojej siostry. Są wspaniałe. Cieszę się, że je mam. Ale to jeszcze nie znaczy, że powinienem się ożenić i mieć własne dzieci. Nie nadaję się na ojca.

Widziała, że te słowa przychodzą mu z trudem. Chciała jak najszybciej zakończyć tę rozmowę.

- Musisz mi uwierzyć, że tak jest.

Mimowolnie przypomniała sobie scenę, jaka przed chwilą zdarzyła się w gabinecie. Na to wspomnienie zrobiło się jej gorąco. Dlatego nie podda się teraz. Musi koniecznie otworzyć mu oczy. Nawet gdyby ta rozmowa miała trwać aż do rana.

- A ty musisz uwierzyć mnie - powiedziała łagodnie.

Jego złość nagle gdzieś się rozviała. Oparł się wygodnie o poduszki, czekając na jej wyjaśnienia. Dobrze, nie każe mu czekać.

- Powiedziałeś, że twój ojciec nigdy nie miał dla ciebie czasu. Nie interesował się tobą. Nigdy nawet nie zagrał z tobą w piłkę. - Zwilżyła językiem usta. - Widziałam, jak bawiłeś się ze swoimi siostrzeńcami. Pływałeś z nimi. Ścigaliście się w ogrodzie. Wymyślałeś im różne zabawy i sam świetnie się przy tym bawiłeś. A skoro oni sprawiają ci tyle radości, to pomyśl tylko, o ile bardziej byłbyś szczęśliwy, bawiąc się z własnymi dziećmi?

To pytanie zbiło go z tropu. Uciekł wzrokiem.

- Pierce?

Umilkła. Zależało jej, by na nią patrzył. Miała mu do powiedzenia coś bardzo ważnego. Gdy znów na nią spojrział, rzekła:

- Znalazłeś czas dla tych dzieci. I nadal go znajdujesz. Rozmawiasz z nimi, a co ważniejsze, wysłuchujesz ich. Dajesz im odczuć, że są kochane. Że są ważne. Robisz to wszystko nie dlatego, bo musisz, ale dlatego, bo chcesz. Z własnej, niewymuszonej woli. Tak czujesz. Wiesz, że to jest im bardzo potrzebne. Pomyśl tylko, o ile to by się spotęgowało, gdybyś nie był ich wujkiem, ale ojcem.

Pierce chyba przestał oddychać.

- Rozumiem twoje obawy. Lękasz się, że jesteś zdolny do takich zachowań tylko przez jakiś czas - powiedziała cicho. - Na dłuższą metę nie dałbyś rady. Jednak według mnie rozwiązanie jest proste. Najważniejsze to umieć zachować równowagę. Doskonale ci to wychodzi z Benjaminem i Jeremiahem. I myślę, że bez trudu zrobisz to samo... gdy będziesz miał własną rodzinę.

Po tych słowach zapadła cisza. Pierce przesunął palcami po brodzie.

- Nie wiem, co powiedzieć.

Amy się uśmiechnęła.

- Nic nie mów. Proszę cię tylko, żebyś pomyślał o tym, co powiedziałam. - Westchnęła. Nagle poczuła się bardzo zmęczona. - Po prostu... przemyśl to sobie.

Pierce się zamyslił. Ona również.

Czy jest dla niego kimś, kogo jest skłonny posłuchać? Czy tak ją postrzega?

A przecież najważniejsze jest to, jak jest odbierana. Już dawno to zrozumiała.

Pierce nic o niej nie wie. Nie wie, kim naprawdę jest. Nie zna całej prawdy. Szanuje ją. Uważa ją za osobę kompetentną i mądrą. Sam to powiedział. Dobrze go omamiła.

Ale skoro to się jej udało, należy przypuszczać, że teraz też jej posłucha. Rozważy jej słowa i może skorzysta z jej rady. Kto wie? Może ta rozmowa zmieni jego sposób myślenia o sobie, jego poglądy na miłość i rodzinę?

To, co mu powiedziała - ten jej prezent - może zmienić całe jego życie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Skończył oceniać ostatnią partię sadzonek i skrupulatnie zanotował liczbę pąków na każdej łodyżce. Jego przewidywania się potwierdziły: pąków jest teraz dwa razy więcej. Jeszcze kilka dni i rozwiną się kwiaty. Laboratorium znowu wypełni się niesamowitym aromatem, którego nikt nie jest w stanie podrobić, nawet najwięksi specjaliści od zapachów w całej Prowansji.

Uśmiechnął się szeroko i usiadł w fotelu. Jego praca nie poszła na marne, wszystko jest na najlepszej drodze. Opracowana przez niego metoda okazuje się doskonała. Powinna mu przynieść fortunę.

„Twój ojciec byłby z ciebie dumny”. Nieoczekiwanie przypomniały mu się słowa Amy.

Może by tak było. Choć teraz to nie jest już dla niego najważniejsze. Tym, co sprawiało mu największą satysfakcję, był fakt, że naprawdę odniósł sukces w swojej dziedzinie. Ma się czym pochwalić, wyrobił sobie nazwisko. I cieszy się z tego.

Świadomość, że wyhodował roślinę o unikalnym zapachu, wprawiała go w uniesienie. W dodatku informację o tym osiągnięciu usłyszał z ust Amy, co dodatkowo go uszczęśliwiło.

Zamknął rejestr, wsunął długopis do kieszeni koszuli i odniósł sadzonki na miejsce.

Był pochłonięty własnymi myślami. Ciągłe powracał do tego, co stało się trzy dni temu. Szalony pocałunek poruszył go do głębi. To było coś niebywałego, ogromne przeżycie. Dla obojga. Niewiele brakowało, a przekroczyliby wszystkie granice.

Na szczęście opamiętał się w porę. Ceni Amy, szanuje jej ambicje i dążenia, i dlatego się powstrzymał. Nie poszedł za głosem instynktu, nie poddał się chwili.

Choć jeszcze teraz na samo wspomnienie tego, czego wtedy doświadczał, krew szybciej krążyła mu w żyłach. Trzymał Amy w ramionach, czuł jej bliskość, jej smak. I nigdy tego nie zapomni.

Uporządkował rzeczy na biurku. Nie przestawał myśleć o Amy. Uśmiechał się, nawet gdy już gasił światło i zamykał drzwi laboratorium.

Szedł do domu. Zwolnił, by popatrzeć na chmury przesuwane się po błękitnym niebie. Woda w zatoce skrzyła się, odbijając światło, jakby na szmaragdowobłękitnej toni ktoś rozsypał miliony diamentów.

Ciekawe, jak dziś chłopcy spędzili dzień. O czym będą opowiadać przy kolacji?

Nieoczekiwanie Pierce pomyślał o ślicznej twarzy Amy.

1 od razu uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Nagle znieruchomiał. Co też mu chodzi po głowie, co się z nim dzieje? Słońce jeszcze nie zaszło, a on już skończył pracę. Podświadomie tak się pospieszył, by zdążyć na kolację z Amy i z dziećmi.

I tak się dzieje od dłuższego czasu, nie tylko dziś.

Powiedziała, że jest mniej podobny do ojca, niż uważa.

Oświadczyła to wprost, patrząc mu prosto w oczy. Z pełnym przekonaniem. I jako przykład podała jego stosunek do siostrzeńców. Miała rację. Rzeczywiście lubi być z nimi, z przyjemnością poświęca im swój czas.

Gdy Amy to mówiła, w jej głosie brzmiały bardzo stanowcze nuty. Nawet teraz, gdy sobie to przypomina, uśmiecha się mimowolnie.

Miała świętą rację. Towarzystwo chłopców działa na niego odświeżająco, jest ogromną frajdą. Lubi z nimi być, rozmawiać, spędzać z nimi czas. Przedtem spotykali się okazjonalnie i ich kontakty były dość powierzchowne. Zazwyczaj raz na miesiąc umawiali się z Cynthią na wspólną kolację, widywali się z okazji świąt i rodzinnych uroczystości. Jednak to nie było to samo co teraz. Gdy chłopcy zamieszkali pod jego dachem, poznał ich z zupełnie nowej strony. Ich relacje stały się całkiem inne. Nagle poczuł, jak mogłoby wyglądać jego życie, gdyby miał własną rodzinę.

Kocha bardzo tych malców, Amy wcale się nie pomyliła. Bez wielkiego żalu zmienił swój rytm dnia, by móc spędzać z nimi jak najwięcej czasu. Czy gdyby miał własne dzieci, robiłby tak samo? Na pewno tak. Chociaż nie, chyba starałby się jeszcze bardziej.

Zatrzymał się na chwilę i zapatrzył na migoczącą zatokę. Tak, wcale nie jest taki jak ojciec. Mylił się. Jest z pewnością zupełnie inny.

Nieoczekiwanie stanęła mu przed oczami twarz Amy. Piękne oczy pełne zrozumienia i współczucia. Musi ją koniecznie zobaczyć, zaraz, jak najszybciej. I powiedzieć jej, że miała rację, że teraz sam to wie. Jego wyobrażenia okazały się fałszywe.

Dzięki chłopcom otworzyły mu się oczy. Choć nie tylko dzięki nim, to oczywiste.

Potań dłońią kark. Amy, to jej tyle zawdzięcza. Ciągnie go do niej, chciałby być z nią. Bardzo.

A te zaskakujące wnioski wyciągnął dzięki niej.

Znów czuła na sobie jego wzrok. Nawet nie musiała spoglądać w jego stronę. Po prostu wiedziała. Jego spojrzenie paliło.

Przez ostatnie dni ich relacje układały się doskonale. Wiele rzeczy sobie wyjaśnili, nie pozostały żadne niedopowiedzenia. Rozmawiali swobodnie, zaśmiewali się z różnych zabawnych sytuacji. Jednak dziś coś się zmieniło. Intuicyjnie wyczuła to, gdy tylko przekroczył próg domu.

Miał spiętą twarz, zmienione spojrzenie. W pierwszej chwili sądziła, że wynikły jakieś problemy w laboratorium. Zapytała, jak poszła praca. Odparł, że bardzo dobrze. A zatem chodziło o coś innego.

Przyglądał się jej intensywnie, w skupieniu. Nie miała wątpliwości. Chodzi o coś związanego z nią.

Starła się zachowywać tak, jakby nic się nie stało. Krzątała się po kuchni, szykując kolację. Pokroiła schab, przygotowała warzywa i nakryła stół. Gdy wszystko było gotowe, zawołała chłopców. Zasiedli do stołu, zaczęli jeść. Jednak wciąż czuła, że za pozornym spokojem Piercea kryje się skrywana energia. I to ją niepokoilo.

Mimowolnie przypomniała sobie tamten wieczór, kiedy tłumaczyła list. Nie wiadomo kiedy znalazła się w jego ramionach, a żar jego pocałunków obudził w niej takie pragnienie, że naprawdę niewiele brakowało. Skruszył jej opory, przysły wszystkie zahamowania. Była gotowa zapo

mnieć o bożym świecie, swoich marzeniach, planach na przyszłość i poddać się chwili.

Gdyby Pierce nie okazał się odpowiedzialnym człowiekiem, nie wiadomo, jak by się to skończyło. Może w łóżku? Może na podłodze w jego gabinecie?

Jej policzki płonęły. Opamiętała się. Nie pora na takie myśli.

- Co dzisiaj będziecie robić?

Zaskoczona pytaniem, popatrzyła na Jeremiaha.

- Co my będziemy robić? - powtórzyła.

Chłopczyk skinął głową i sięgnął palcami po zieloną fasolkę.

- Spróbuj ją wziąć widelcem - podpowiedziała mu. Jeremiah posłusznie ujął w rączkę widelec i nabił fasolkę. Podniósł go do ust.

- Miałem na myśli ciebie i wujka Pierce'a - wyjaśnił. Amy przeniosła wzrok na Pierce'a. Popatrzył na nią pytająco i wzruszył ramionami. Był nie mniej zdziwiony niż ona.

- Zamierzamy spędzić z wami wieczór - odparł Pierce, spoglądając na jednego, a potem na drugiego siostrzeńca. - Przecież zwykle tak jest. Co się zmieniło?

Inicjatywę przejął Benjamin.

- Dzisiaj rozmawialiśmy z Jeremiahem i mamy super pomysł.

Zagadkowe zachowanie Pierce'a wprawiało Amy w lekkie podenerwowanie, jednak nie mogła się nie uśmiechnąć, słysząc poważne oświadczenie malca. Benjamin wyglądał jak prawnik z długą praktyką, który szykował się do wygłoszenia mowy końcowej przesądzającej wynik rozprawy.

- No bo - ciągnął chłopiec - od wyjazdu mamy i taty ani razu nie mieliśmy wieczorku dla dzieci.

- Wieczorku dla dzieci? - Pierce z roztargnieniem wytarł palce w lnianą serwetkę.

Jeremiah skinął głową, ale był zbyt zajęty jedzeniem, by mówić. Nie musiał, jego brat ciągnął z zapalem:

- Gdy jest wieczorek dla dzieci, to telewizor jest tylko dla nas. Przynosimy sobie śpiwory i kładziemy się na podłodze przed telewizorem. Bierzymy trzy albo cztery fajne filmy...

- Trzy albo cztery filmy? - przerwała mu Amy. - Przecież to znaczy, że rano...

- Wstaniemy bardzo późno! - radośnie dokończył Jeremiah, uśmiechając się od ucha do ucha.

Benjamin też wcale nie przejął się surowym tonem opiekunki.

- No właśnie! I musimy mieć dużo rzeczy do jedzenia. Chipsy, precelki. I różne gazowane napoje.

- I prażoną kukurydzę! - dodał

Jeremiah. Nawet nie chciała tego słuchać.

- Przecież dopiero co skończyliście kolację - przypomniała.

Jeremiah wydał pełen oburzenia okrzyk:

- Ale my musimy mieć takie rzeczy! Inaczej to wcale nie będzie wieczorek dla dzieci!

Amy popatrzyła przez stół na Pierce'a, szukając w nim wsparcia. Co za pomysły! Od razu rozbolą ich brzuchy, a rano będą jak z krzyża zdjęci. Do południa będą narzekać i marudzić. Jednak nie doczekała się, by Pierce na nią spojrział. Skoncentrował się na dzieciach.

- A co Amy i ja mielibyśmy zrobić przez cały wieczór? - zapytał.

Blizniaki identycznym gestem wzruszyły ramionami.

- Możecie sobie pograć w karty - zaproponował Jere-miah. - Albo pożyczymy wam naszą nową układankę.

Benjamin sięgnął po kubek z mlekiem.

- Mamusia i tatuś zawsze mają co robić, gdy urządzamy swój wieczorek. Zamykają się u siebie i dają nam spokój. Wcałe się do nas nie wtrącają.

Teraz Pierce spojrzął na Amy. W jego oczach błyskały niebezpieczne ogniki.

- Domyślam się, że dają wam spokój - powiedział, zniżając lekko głos.

Amy poczuła łaskotanie w żołądku. Benjamin zrobił poważną minę.

- Naprawdę do nas nie przychodzą - zapewnił żarliwie i otarł buzię rączką. - Myślę, że grają sobie w sypialni w gry planszowe.

Pierce rzucił Amy szelmowskie spojrzenie. Amy odsunęła krzesło i podniosła się.

- Pierce, mógłbyś na chwilę przyjść do kuchni? Pomógł-byś mi przynieść szarlotkę.

- Ja jeszcze nie skończyłem jeść - zaprotestował Jere-miah. - Nie popędzaj mnie, Amy, bo to jest pyszne.

Amy roześmiała się.

- Dzięki za miły komplement! Za chwileczkę do was wrócimy. Jedzcie sobie spokojnie. Ty też, Benjamin, do brze? Nie spiesz się.

Chłopcy pokiwali głowami.

Pierce położył serwetkę obok swojego nakrycia i podążył za Amy do kuchni.

- Czy ty to słyszyszłaś? - zapytał z niedowierzaniem, gdy już wyszli z jadalni. - Co ta moja siostra wyczynia? Gdy chce sobie pofiglować z mężem, wmawia dzieci

kom, że robi im wyjątkową przyjemność, sadzając ich przed telewizorem, by mogli do oporu gapić się w ekran i opychać chipsami i innymi paskudztwami. Nawet wymyśliła specjalną nazwę na taką okazję. - Prychnął z niesmakiem. - Wieczorek dla dzieci! Myślałby kto! Niech no tylko Cynthia wróci do domu! Powiem jej, co o tym myślę! Trochę się z niej ponabijam.

Amy zamknęła lodówkę i postawiła ciasto na blacie.

- Pierce, nie jestem pewna, czy to dobry pomysł, by chłopcy siedzieli przed telewizorem do późnej nocy.

- A co im to zaszkodzi?

- Przecież mają chodzić do łóżka o ustalonej porze - tłumaczyła. - Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Zawsze staramy się tego przestrzegać i raczej im nie ustępujemy.

Pierce wzruszył ramionami.

- Z tego, co chłopcy mówią, ich rodzice nie są tak rygorystyczni. Nie gonią ich do łóżka. Szczególnie gdy jest wieczorek dla dzieci. - Nagle nie mógł już dłużej powstrzymać przepelniającej go wesołości. - Wychodzi na to, że moja siostrzyczka na wszystko macha ręką, gdy tylko ona i John mają ochotę... - uniósł brwi - ... no wiesz.

Zapiekł ją policzki. Odwróciła się do szafki i zaczęła wyjmować talerzyki do ciasta. Gdy się odwróciła, Pierce był tuż za nią. Tak blisko, że aż ją zaskoczył. Kiedy brał od niej talerzyki, jego palce musnęły jej dłoń.

- Szczerze mówiąc, Amy - zaczął - w zasadzie nie widzę powodu, by dzieciaki nie mogły urządzić tego swojego wieczorku.

- Z chipsami, precelkami i gazowanymi napojami? Rozchorują się od takiego jedzenia.

- Zapomniałaś o prażonej kukurydzy.

- Pierce, ja mówię poważnie.

Uśmiechnął się i postawił talerzyki na blacie obok ciasta.

- Ja też. Zgódź się, nic im nie będzie.

Nie poruszył się, a jednak miała wrażenie, że znalazł się jakoś bliżej. Atmosfera między nimi gęstniała z każdą sekundą.

- Sama powiedziałaś, że są nauczeni chodzić wcześniej spać.

Mówił o dzieciach, mimo to Amy intuicyjnie czuła, że chodzi o coś więcej. Ten jego zagadkowy nastrój, który uderzył ją, gdy Pierce przyszedł dzisiaj na kolację. Coś mu chodzi po głowie, mogłaby się założyć. Przy kolacji też patrzył na nią dziwnie.

- Usną w połowie drugiego lub trzeciego filmu, to pewne jak w banku.

Westchnęła. Starła się ukryć zmieszanie, jakie ogarnęło ją zupełnie bez powodu.

- No dobrze. Niech ci będzie.

Uśmiechnął się tak, że przeszył ją dreszcz. Jego usta kusiły, przyciągały... Bezwiednie wrywała się ku niemu. Opamiętała się. Skrzyżowała ramiona i zacisnęła dłoń.

Gest, który nakazywał mu się cofnąć, trzymać się od niej z daleka.

Pierce wydawał się być głuchy na język ciała. Jakby nic do niego nie docierało.

Pochylił się w jej stronę. Niewiele, tylko odrobinę. Jednak to wystarczyło, by nogi się pod nią ugięły. Ścisnęło ją w środku.

- Pytanie tylko - zniżył głos do szeptu - co my przez ten czas będziemy robić? Czym się zajmiemy, żeby się do nich nie wtrącać?

Jego usta mamili, zapraszały. A spojrzenie zielonych oczu jeszcze nigdy nie było tak nieodparte jak teraz... gdy widziała w nich pragnienie.

Podniósł rękę, przesunął palcami po jej policzku, potem po brodzie.

Z wrażenia dławilo ją w gardle.

- Pierce...

Chciała, by zabrzmiało to jak ostrzeżenie, jednak jej głos był tak słaby, że Pierce może wcale go nie usłyszał.

- Wiem - wyszeptał pieszczotliwie. - Wiem, że nie powinniśmy tego robić. - Delikatnie skubał jej ucho. - Dlaczego tak jest, że zakazany owoc zawsze wydaje się najśłodszy? - wymamrotał.

Jej opór topniał z każdą sekundą. Zamknęła oczy i ze wszystkich sił starała się zachować równowagę. Jej serce biło jak szalone, krew pulsowała w żyłach.

- Powiedz... - Był tak blisko, że czuła na policzku ciepłe tchnienie jego oddechu. - Czy kiedykolwiek ciągnęło cię coś bardziej niż zakazany owoc?

Westchnęła, resztką sił próbując zachować spokój, nie poddać się pokusie.

Daremnie. Wirowało jej w głowie, świat nagle stał się nierzeczywisty. Oparła dłonie na jego piersi, wspięła się na palce i odszukała jego usta.

I wtedy spłynęło na nią olśnienie.

W ułamku sekundy pojęła, że żaden zakazany owoc nie będzie tak upojnie słodki jak ten pocałunek.

Po chwili ich usta rozłączyły się z cichutkim westchnieniem. Amy uśmiechnęła się. Czuła wokół siebie jego zapach. Otulał ją jak mgiełka. Pierce był tak blisko. Topniała w bijącym od niego ciepłe, przy nim było jej dobrze.

Powoli powracała na ziemię. Z trudem łapała powietrze, nogi wciąż miała jak z waty. I nie mogła pojąć, jak to się stało, że tak łatwo uległa, wcale nie walcząc z pokusą.

Zrobiła krok do tyłu. Uchwyt lodówki wbił się jej w plecy. Odwróciła nieco głowę.

- Pierce...

- Wiem. Wiem.

W jego głosie było coś, co skłoniło ją, by na niego spojrzeć. Popatrzyła mu prosto w oczy. Pragnienie, niedowierzanie, może żal?

Nabrała powietrza i odetchnęła głęboko.

- Wiem - powtórzył Pierce. - Nie powinniśmy tego robić. - Chrząknął i zaśmiał się, ale w tym śmiechu nie było wesołości. - Powiniennem cię przeprosić. Ale gdybym to zrobił, nie byłoby szczerze. Myślę, że sama o tym wiesz.

Popatrzyła na niego badawczo, nie bardzo wiedząc, jakiej odpowiedzi się po niej spodziewa.

- Dlatego wydaje mi się - ciągnął Pierce, sięgając po ustawione na blacie talerze - że najlepiej będzie zachowywać się tak, jakby nic się nie zdarzyło.

Odwrócił się i wyszedł z kuchni.

Amy została sama. Z własnymi myślami i uczuciami. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że Pierce ma rację, że to najlepsze wyjście. Jednak serce i ciało wrywały się ku niemu. Podejrzewała, ba, była pewna, że Pierce czuje dokładnie to, co ona, że jest tak samo rozdarty.

Jak długo zdołają walczyć ze sobą, z przepelniającym ich pragnieniem?

Wieczór był duszny i parny, ale lekka bryza przyjemnie łagodziła żar. Amy, siedząc na dworze, rozkoszowała się

ciszą. Wysoko zawieszony, przejrzyste chmury delikatnie przesłaniały księżyc, rozpraszając jego światło w srebrzystą poświatę.

Szukała dla siebie kryjóWKi. Przynajmniej była ze sobą szczerą. Chłopcy leżą już w śpiworach przed telewizorem i oglądają ulubione filmy, zaopatrzeni w niezdrowe przysmaki. Jest za wcześnie, żeby iść spać.

Amy wymknęła się z domu z zamiarem poczytania na świeżym powietrzu. Wolała nie zostawać sam na sam z Pierce'em, by nie powtórzyło się to, co stało się wcześniej w kuchni. Usiadła z książką na trawie. Słońce zniżało się do horyzontu, niebo płonęło. Widok był tak piękny, że odłożyła książkę i zapatrzyła się na zatokę. Powoli promienie gasły, niebo ciemniało, zapadał zmierzch.

Przyciskając kolana do brody, Amy wpatrywała się w coraz ciemniejszą wodę.

Starła się opanować burzę myśli, zrelaksować się i uspokoić.

Nie przychodziło jej to łatwo. Zostały jeszcze cztery tygodnie. Jak je przeżyje, mieszkając z Pierce'em pod jednym dachem, gdy ich wzajemna fascynacja stawiała się coraz silniejsza i coraz trudniej ją było opanować? Nie da się dłużej udawać.

Trudno, jakoś musi to przetrwać. Przeżyła do tej pory, więc i te cztery tygodnie jakoś wytrzyma. Wmawiała to sobie, jednak nie opuszczało jej wątpienie.

Ktoś szedł w jej stronę po trawie. Odwróciła się.

- Tutaj jesteś. - Pierce niósł dwie wysokie szklanki. -Przyniosłem ci mrożoną herbatę - powiedział, zatrzymując się tuż przed nią. - Mogę się przysiąść?

Nie możesz! - krzyczała w środku.

- Bardzo proszę - odpowiedziała. Nie na darmo tata nauczył ją dobrych manier.

Pierce podał jej szklankę i usiadł obok na trawie. Czowała pod palcami chłodne, oszronione szkło.

- Ależ gorąco!

Czy to wyrzut? Czy tylko tak się jej wydaje? Choć może się myli. Pewnie Pierce daje jej do zrozumienia, że przejrzał jej intencje. Wie, że uciekła przed nim.

Nie, to bez sensu. Skąd miałby wiedzieć? To jej wybujała wyobraźnia podsuwa jej takie pomysły.

Starła się, by jej głos brzmiał normalnie:

- Ale jest bryza od morza - powiedziała i właśnie w tej samej chwili poczuła na twarzy chłodniejszy powiew.

-Nie jest tak źle.

Zerknęła na niego z ukosa. Widziała, że zacisnął usta. Uniosła szklankę i upiła łyk. Chłodny, orzeźwiający napój smakował wyśmienicie. Amy z trudem stłumiła westchnienie.

- Ukrywasz się przede mną.

Omiał się nie udławiła. Przyłapał ją. Milczała. Czowała się fatalnie. Nie dość że siedzi w upale i wmawia sobie, że wieczór jest przyjemny, to jeszcze kręci. Jednak nie ma zamiaru od razu się poddawać.

Pierce popatrzył na nią przenikliwie. Czekał na jej odpowiedź.

Zamruczała coś pod nosem i leciutko skinęła głową.

- Nie musisz tego robić, przecież wiesz. Powiedziałem ci. Będę się trzymać z daleka.

Siedziała nieruchomo. Nawet nie drgnęła. Pierce zapatrzył się w dal.

- Choć trudno udawać - wyszeptał.

Doskonale wiedziała, że to szczerą prawdą. Sama doszła dokładnie do tego samego wniosku. Znowu zapadła cisza. Noc gęstniała. Wreszcie Pierce postawił szklankę na starannie przystrzyżonej trawie.

- Bardzo się cieszę, że tutaj jesteś. Myślę, że wiesz o tym. - W jego głosie brzmiały tłumione emocje. - Bardzo cię lubię, Amy. Naprawdę.

Ogarnęła ją panika. Serce zabiło szybciej.

- Jesteś niesamowitą dziewczyną. Piękną i...

Zamruczała coś pod nosem. Pierce urwał na chwilę.

Jej

sceptycyzm chyba zbił go z tropu.

- Amy, mówię poważnie. Jesteś wspaniałą dziewczyną. Myślałaś, że biorą mnie te twoje szminki i makijaże, wymyślne stroje... Że to mi się podoba.

Gdyby chwila nie była tak poważna, roześmiałaby się w głos. Tak śmiesznie o tym mówił. Szminki, tusze i róże, te wszystkie sprytne sztuczki, dzięki którym wyglądała na elegancką damę.

- Podobałaś mi się już wtedy - ciągnął. - Ale jeszcze bardziej, gdy przestałaś używać tych wszystkich... no, tych rzeczy. Zresztą już ci o tym mówiłem.

A ona miała nadzieję, że jej przemiana podziła na niego jak kubek zimnej wody i skutecznie zdławi ich wzajemną fascynację. Szybko się okazało, że jest inaczej. I tak mu się podobała.

Tak jak on jej. Choćby broniła się przed tym rękami i nogami. W dodatku z każdym dniem zauroczenie stawało się coraz silniejsze i wszechogarniające.

- Chcę, żebyś wiedziała, że to coś więcej niż pociąg fizyczny. Nie rozmawialiśmy o tym. Nie mogliśmy się prze

móc, żeby o tym mówić. O tym, co między nami naprawdę jest.

Wyprostowała się i stała jeszcze bardziej czujna. Pierce uważa ją za fascynującą kobietę, w dodatku twierdzi, że to coś więcej. Jak w to uwierzyć?

- Skoro postanowiliśmy ignorować to, co jest między nami, to może lepiej więcej się nad tym nie rozwodzić?

Pierce spochmurniał.

- Dzięki tobie wiele się o sobie nauczyłem. Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Zaskoczył ją.

- Miałaś rację, nie jestem tak bardzo podobny do ojca, jak sądziłem. - Przesunął dłonią po brodzie. - Kocham , moją pracę, jest dla mnie bardzo ważna. Daje mi ogromną satysfakcję. Jednak odkąd chłopcy tu są, stale wracam do nich myślami. W różnych momentach. Zastanawiam się, co akurat robią, gdzie są, jak się bawią, co nowego dzisiaj poznali. Nie mogę się doczekać, kiedy ich zobaczę i wysłucham ich opowieści. Myślę, że miałaś rację, mówiąc, że to byłoby jeszcze silniejsze, gdyby chodziło o moje własne dzieci. - Przytrzymał jej spojrzenie. - Myślę też o tobie, Amy. Przez cały dzień, o różnych porach. - Zaciśnął usta i umilkł na chwilę. - Za każdym razem nie mogę się doczekać wieczoru, kiedy znowu cię zobaczę, a ty opowiesz mi, jak minął dzień. - Przesunął językiem po wargach. -Gdy zbliża się pora kolacji, zostawiam pracę. Nie mogę się skoncentrować. Myślę tylko o tym, by już być z wami. Mój ojciec nigdy tego nie czuł. Ani w stosunku do mojej mamy, ani do nas. Gdyby miał takie potrzeby, nie mógłby im się oprzeć.

Zrobiło się jej ciepło na sercu. Cieszyła się, że dzięki niej

otworzyły mu się oczy. Zrozumiał, że nie jest taki, jakim się widział. Jest dobry, czuły, otwarty na innych. I kocha swoich siostrzeńców. Miło słyszeć, że myśli o niej, że chce ją zobaczyć. Nie powinna się z tego cieszyć, jednak było jej przyjemnie.

- Amy, wiem, że masz sprecyzowane plany na przyszłość.

Urwał na chwilę. Amy domyślała się, że chce zaczerpnąć powietrza, by dodać sobie odwagi.

- Może jednak... - zaczął ponownie. - Może jednak spróbujemy przekonać się, co to jest? - dokończył, wykonując dłonią szeroki gest.

W tym momencie poczuła, jakby sięgnął prosto po jej serce. Zabrał je na zawsze. Już go nie miała, choć nadal oddychała i czuła.

To jakiś cud.

Naraz wszystko stało się jasne.

Olśnienie. Tak! Kocha go.

- Może do siebie pasujemy - cicho ciągnął Pierce. - Wprawdzie mam swoją pracę, ale znajdzie się też czas na podróże. Kilka razy w roku latam do Europy. Amy, jesteś mądrą dziewczyną. To jeden z powodów, dla których tak bardzo mi się podobasz. Jesteś bystra i inteligentna. Znajdziesz sposób... bym wpasował się w twoje życie.

Te słowa poruszyły ją do głębi.

Pierce zaczął bawić się szklanką. Nie patrzył na Amy, co dało jej czas, by się pozbierać.

Nie jest bystrą i inteligentną dziewczyną. Na pewno nie można tego o niej powiedzieć. I nikt tak jej nie postrzega. Przeciwnie. W rodzinnym miasteczku nie pochwalali jej wyborów. Nawet siostry oblatki były nią rozczarowane.

Gdyby Pierce znał prawdę... na tę myśl zeszywniała...
też by nią gardził. Pierce nalegał:

- Oboje jesteśmy inteligentnymi ludźmi. Znajdziemy swoją drogę, wypracujemy sobie własny sposób na życie.

Lęk, jaki w niej narastał, przerodził się w dziką panikę. Dławiło ją w gardle, dusiło w piersi. Popatrzyła na Pierce'a kamiennym wzrokiem.

W pierwszej chwili w jego oczach odmalowały się zdumienie i uraza. Potem chyba gniew.

- Patrzysz na mnie tak, jakbym wystąpił z jakąś gorszą propozycją.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Najważniejsze jest to, jak cię widzą.

Amy już dawno poznała tę prawdę. A teraz okazuje się, że bardzo skutecznie omamiła Pierce'a. Biedak nie wie, z kim naprawdę ma do czynienia. Widzi w niej zupełnie inną osobę. Tak zręcznie go omotała, że nawet gdyby dowiedział się prawdy, nigdy by nie uwierzył. Oczywiście nie ma zamiaru się przed nim zdradzać, nie będzie się demaskować. Przenigdy. Nawet nie dopuszcza do siebie takiej możliwości. Zbyt wiele by ją to kosztowało.

Cóż, niechcący władowała się w niezłe tarapaty. Pierce zaangażował się, nie mając o niczym pojęcia. Nie może mu tego robić. Musi oszczędzić mu rozczarowania.

Przedstawiła mu się jako ktoś, kim naprawdę nie jest. Odgrywała rolę osoby bystrej i inteligentnej. Jednak to dobre przez jakiś czas, przez kilka tygodni, góra kilka miesięcy. Nie dłużej. A już na pewno nie przez całe życie. To zadanie niemożliwe do spełnienia dla kogokolwiek. Zwłaszcza dla niej.

- Pierce...

Urwała. Jej głos zdradzał niepokój i emocje. Musi się uspokoić, opanować nerwy. Nigdy w życiu nie stanęła twarzą w twarz z takim wyzwaniem.

Gdy usłyszała, że to, co między nimi istnieje, jest czymś

więcej niż tylko pociągiem fizycznym, zrobiło się jej ciepło na sercu. Ona też tak myślała, choć sama przed sobą nie śmiała się do tego przyznać. Pierce wypowiedział to głośno, a ona poczuła dziką, szaloną radość. Jednak rozsądek szybko doszedł do głosu. Opamiętała się.

Pierce instynktownie wyczuł, że jego propozycja nie spotka się z pozytywnym odzewem. Widziała to po jego oczach. Choć nic nie powiedziała, jedynie jego imię, zdradził ją głos.

Nie chciała go urazić, ale nie ma innego wyjścia. Lepiej trochę pocierpieć, niż żałować przez całe życie. Nie może dopuścić, by Pierce popełnił wielki błąd.

Bo tak by było, gdyby się zgodziła. Gdyby poszła za głosem serca. Jeśli teraz to przetnie, ocali go, choć on nawet nie będzie o tym wiedział.

Widziała gniewne błyski w jego oczach. To nawet lepiej. Woli, że jest zły, niż gdyby cierpiał.

- Amy, naprawdę nie chcesz spróbować? Chcesz to odrzucić, nie dać nam szansy? Nie mogę w to uwierzyć.

Ile by dała, by powiedzieć „tak”! Pójść śmiało przez życie, ręka w rękę! Jednak nie może tego zrobić. Nie chce zakosztować czegoś, co zaraz miałyby stracić.

Bo tak się stanie, gdy Pierce dowie się wszystkiego.

A ona nie czuje się na siłach, by stawić czoło prawdzie

o swojej przeszłości. Za bardzo ceni i szanuje Pierce'a - i zależy jej, by on też ją szanował. A zatem musi dalej brnąć w kłamstwa, choć nie jest w tym dobra. Nigdy tego nie robiła. Jednak musi, by nie ranić go jeszcze bardziej. No i by prawda nie wyszła na jaw. Inaczej nie będzie mogła spojrzeć mu w oczy.

- Nie chcę - powiedziała. Była spięta jak jeszcze nigdy.

- Wiesz, że mam swoje plany, jasno wytyczoną drogę. Nie chcę tego odrzucić dla kilku upojnych pocałunków.

- Dla ciebie to tylko tyle?

Twarz mu pociemniała. Amy zmusiła się, by wytrzymać jego spojrzenie.

Pierce był zde gustowany i rozczarowany. Ale nie tylko. Było mu bardzo przykro, czuł się głęboko dotknięty. Wszystko przez jej kłamliwe słowa. Jej serce ścisnęło się boleśnie.

- Nie mów, że to, co oboje czujemy, i to od pierwszej chwili, kiedy się poznaliśmy, jest czymś nieistotnym, czymś bez znaczenia.

Amy nie mogła wydobyć z siebie głosu. Nie odezwie się, póki dokładnie nie obmyśli odpowiedzi.

- Dzięki tobie zupełnie inaczej patrzę na wiele rzeczy -ciągnął Pierce.

Wstrzymywała dech i milczała. Jedyne, co mogła teraz zrobić, to patrzeć na niego.

- Ty otworzyłaś mi oczy. Popatrzyłem na siebie z zupełnie innej strony. Moje dotychczasowe wyobrażenia okazały się błędne. Teraz to zrozumiałem. Muszę zmienić swoje plany na przyszłość. Dzięki tobie zaczynam myśleć, że mogę być dobrym mężem i kochającym ojcem.

Będziesz nim! Będziesz, na pewno! - krzyczało jej w duszy, ale nie odważyła się powiedzieć tego głośno. Nie ośmieliła się pokazać po sobie, jak wielką radość sprawiły jej te słowa. Pierce wreszcie zaczął inaczej siebie oceniać.

- Amy, nie mów, że niczego nie czujesz, że dla ciebie to nie miało znaczenia - odezwał się Pierce. - Nie wmawiaj mi, że te kilka tygodni w ogóle na ciebie nie podziałało, nie miało na ciebie żadnego wpływu.

W tonie jego głosu, poza wzburzeniem, zabrzmiała inna, ledwie słyszalna nuta. Prosił ją, by przyznała mu rację.

- Oczywiście... - urwała, zdjęta lękiem. Nie może być z nim szczerą, musi grać do końca. Wyprostowała się. -Pierce, czy to jest teraz ważne? Niedługo wyjadę i...

- To ważne! - Jego oczy zalśniły gniewem. - Bardzo ważne! Nie wierzę, że tylko ja nagle przejrzałem, a dla ciebie to bzdura! Oświadczyłaś jasno, że nie chcesz mieć męża i dzieci. Przyjechałaś zająć się chłopcami, by spełnić prośbę ojca. Poza tym na razie nie możesz latać. Tylko dlatego się zgodziłaś. Jednak żyłaś się z nimi. Nie raz widziałem, jak się do nich odnosisz. Przebywanie z nimi daje ci radość. Zmieniłaś się, obudziły się w tobie nowe uczucia. Sam byłem tego świadkiem. I nie wmawiaj mi, że w stosunku do mnie jesteś obojętna. Bo tak nie jest. Kiedy cię całowałem, twoje ciało ożywało... działało się coś niebywałego.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak mocno zaciskała usta. I palce. Jeśli zaraz nie odsunie się na bezpieczną odległość, będzie po niej. Wyzna mu wszystkie swoje tajemnice. .. i zostanie jej tylko jego zdumienie i pogarda.

Gwałtownie poderwała się na nogi. Niechący chyba popchnęła szklankę. Kostki lodu uderzyły o siebie.

- Powiedziałaś ci już - wyrzuciła z siebie. - Mam ustalone plany na życie. Wytyczone cele. Wyjaśniłam ci to. Bez żadnych niedomówień. Nie chcę się z nikim wiązać. Nie chcę wchodzić w żaden związek. To mnie nie interesuje. Chcę poznać życie, zobaczyć świat - ciągnęła żarliwie. - To jest mój cel, moje marzenie. I nikt mnie nie powstrzyma. Twoje miasteczko to dla mnie za mało. Przez dwadzieścia trzy lata mieszkałam w takiej zapad

łej dziurze, gdzie też nic nie było. I nie zamienię jednej pipidówki na drugą!

Odwróciła się na pięcie i pobiegła do domu.

Z pokoju dochodził cichy odgłos telewizora. Powinna zerknąć na chłopców i powiedzieć im dobranoc, jednak nie chciała pokazywać się w stanie takiego wzburzenia.

Zatrzymała się, słysząc swoje imię. Zdumiewające, jak łatwo potrafi poznać po głosie, który z malców ją woła. Wcale nie musi sprawdzać, czy ma bliźnię na brodzie czy nie.

Odwróciła się.

- Jestem tutaj.

- Amy, możesz podać mi picie? - cichutko zapytał Jeremiah. - Bo ja nie mogę się ruszyć.

- Zaraz ci podam. - Weszła do pogrążonego w ciemności pokoju.

Chłopcy przenieśli się z podłogi na kanapę. Benjamin spał, oparty o ramię brata.

Amy sięgnęła po szklankę i podała chłopcu.

- Może przeniosę Benjamina? - zaproponowała. - Położę go na śpiworze, to będzie ci wygodniej.

- Nie, nie. Umówiliśmy się, że jak jeden z nas zaśnie, to drugi go obudzi. Ten film już prawie się kończy, więc niech on jeszcze pośpi. Obudzę go, jak zacznie się nowy.

Chłopczyk wziął od Amy szklankę i upił spory łyk.

- Dziękuję. - Oddał szklankę, a Amy odstawiła ją na stolik.

- Dobrze mieć kogoś, na kim można się oprzeć - skomentował malec.

Ta niewinna uwaga podziałała na nią zaskakująco sil

nie. Musiała zamrużyć, by powstrzymać cisnące się do oczu łzy.

- Jak tatuś zaczął planować wyjazd do Afryki - rozgadał się Jeremiaś - to najpierw chciał, żeby mama została z nami. Ale my z Benjaminem nie chcieliśmy, żeby tata pojechał sam. Ja i mój brat zawsze jesteśmy razem. Tatuś też powinien kogoś mieć. Bo on miał wyjechać na bardzo długo.

Amy nie mogła wydobyć głosu.

- Jesteś bardzo dobrym bratem, Jeremiaś. I bardzo dobrym synkiem.

- Jak ja się zmęczę, to będę mógł oprzeć się o Benjamina. Wiesz, to dlatego tak dobrze kogoś mieć.

Gorąca łza spłynęła po policzku Amy. Otarła ją pośpiesznie i pociągnęła nosem. Nie odezwała się. Nie mogła mu odpowiedzieć.

Naraz jakiś ruch w przedpokoju zwrócił jej uwagę. Odwróciła się i zobaczyła Pierce'a. Stał na progu i nie spuszczał z niej zielonych oczu. Domyśliła się, że słyszał całą rozmowę. I widział jej reakcję.

Co teraz czuł? Na pewno jest dotknięty. Ma takie mroczne spojrzenie. Przeżywa jej odmowę. Ale jest też zdziwiony i zaskoczony. Przed chwilą odgrywała twardą i nieugiętą, a kilka słów malca wystarczyło, by nie mogła zapanować nad wzruszeniem.

Chciała, by uwierzył, że najważniejsza jest dla niej przygoda, poznanie świata. Że dlatego nie chce angażować się w związek. Ale to było kłamstwo, od początku do końca.

Chciała, by widział w niej kogoś, kim nigdy nie była i nie będzie. I nie chce być.

Pograła bez sensu.

Powinna powiedzieć prawdę. To mu się należy, po prostu. Nawet jeśli zmieni o niej zdanie. Wyprostowała się.

- Moglibyśmy spotkać się w twoim gabinecie? Na kilka słów. Chcę ci coś powiedzieć.

Jego usta, takie uwodzicielskie i kuszące, gdy ją całował, teraz były zaciśnięte w wąską linię. Amy obawiała się odmowy.

Pierce, nie odzywając się, skinął głową i wyszedł z pokoju.

Jeszcze nigdy dotąd nie zależało jej tak bardzo na tym, co ktoś o niej pomyśli. Dziś uświadomiła sobie, że kocha Piercea. Kocha go ze wszystkich sił.

Czyż to nie pech? Znalazła miłość, zrozumiała, że spotkała tego jednego jedyne i teraz ma wyznać mu prawdę o sobie. A to oznacza, że bezpowrotnie i na zawsze go straci.

Noga za nogą powlokła się za nim do gabinetu.

Gdy weszła do środka, Pierce stał przy barku. Tym razem nie wyjął wina, ale sięgnął po butelkę whisky. Nalał do kryształowej szklaneczki złocistego płynu. Odwrócił się i spytał:

- Napijesz się?

- Nie, dziękuję - odmówiła. Teraz nie mogła sobie pozwolić nawet na chwilę słabości. Skoro ma wyznać mu prawdę, musi być silna. Nie wolno jej się załamać i zacząć płakać. Musi się trzymać.

Ostrożnie zamknęła za sobą drzwi i weszła do środka. Zwilżyła językiem usta i nabrała powietrza do płuc.

- Muszę ci coś wyznać. - Znowu zaczerpnęła powietrza, by uspokoić rozdygotane nerwy.

Pierce nie odpowiedział. Stał po drugiej stronie gabinetu i nie spuszczał z niej oczu.

- Ja... nie byłam z tobą do końca szczerą... - zaczęła powoli, gorączkowo szukając odpowiednich słów. - Gdy dzisiaj...

Z trudem przełknęła ślinę. Miała ściśnięte gardło. Odwróciła wzrok. Zmusiła się, by przejść kilka kroków i usiąść na kanapie. Wciąż czuła na sobie jego wzrok.

Skoncentrowała się na szklanym przycisku do papieru, który leżał na stole.

- Wyłożyłam ci wcześniej moje poglądy na życie, małżeństwo, dzieci. Powiedziałam, że dla mnie to pułapka, której za wszelką cenę chcę uniknąć. Mówiłam ci o moich marzeniach, o pragnieniu wyrwania się z małego miasteczka, o chęci poznania świata. Czułam, że jeśli zostanę w domu, uschnę z tęsknoty i żalu, zmarnuję życie.

Popatrzyła na swoje dłonie złożone na kolanach. Dopiero teraz spostrzegła, że z całej siły zaciska palce. Siedziała na brzeжку kanapy, sztywna i wyprostowana jak struna.

- Opowiadałam ci, co myślałam, widząc moje koleżanki wychodzące za mąż, jedna po drugiej. Potem pojawiały się dzieci, przybywało kolejnych obowiązków. Ich życie wydawało mi się monotonne i nudne. Za nic nie chciałam pójść tą samą drogą. Jednak... - Zmarszczyła brwi. - Jednak te kilka tygodni z dziećmi i z tobą wiele mnie nauczyło. Inaczej patrzę na wiele spraw, na życie... Będąc z wami, zaczęłam inaczej myśleć.

Bardzo chciała popatrzeć teraz na niego, ale jeszcze nie czuła się na siłach.

- Doszłam do wniosku, że te wszystkie moje koleżanki, które znalazły... - Miłość. Omal nie powiedziała tego na głos. - Które znalazły męża i urodziły dzieci... mam

przecucie, że one wiedzą coś, o czym ja nie mam pojęcia. - Westchnęła cicho. - To ma związek z tym, co przed chwilą powiedział Jeremiaś. Przez całe lata... - Jej głos stał się cichszy, jakby zagubiła się we własnych myślach, jakby mówiła bardziej do siebie niż do niego. Tak było łatwiej.

- Przez cały czas byłam przekonana, że gdzieś tam, w świecie, czeka na mnie coś wyjątkowego, to, czego zawsze mi brakowało. Ale teraz, po tych kilku tygodniach... - z tobą, dodała w duchu - zaczynam rozumieć, że takie magiczne miejsce może być wszędzie, wcale nie na końcu świata.

Zapadła cisza. Amy podniosła głowę.

O Boże! Zamiast mówić o tym, czego nauczyło ją tych kilka tygodni, powinna od razu wyznać prawdę. Zielone oczy Pierce'a rozjaśniły się nadzieją.

Amy spochmurniała i pokręciła głową. Blask w oczach Pierce'a zgasł. Czuła się fatalnie. Nie miała wyjścia. Musi dobrać do końca.

- Pierce, są rzeczy, których o mnie nie wiesz. Gdy je usłyszysz, zaczniesz inaczej na mnie patrzeć. Nie znasz mnie. Nie jestem... - Dławiło ją w gardle. - Nie jestem taka, za jaką mnie bierzesz.

Pierce postawił szklaneczkę na niskim stoliku i obszedł dzielący ich fotel.

- A więc chodzi o ciebie? - zapytał z niedowierzaniem.

- Byłem pewny, że o mnie. Że jest coś, co cię we mnie odrzuca. Coś, co ci nie odpowiada.

- Słucham? - Amy nie posiadała się ze zdumienia.

-Pierce, ty jesteś wspaniały - powiedziała, zniżając głos.

-Doskonały pod każdym względem.

Za późno ugryzła się w język. Powiedziała za dużo. Ale Pierce nie zareagował, co ją zdziwiło.

Usiadł obok niej.

- Amy, cokolwiek byś mi powiedziała, nic nie zmieni
mojego zdania na twój temat.

Ogarnęła ją panika.

- Pierce... - zaczęła. - Nie chciałam ci mówić o mojej
przeszłości. Nigdy nie miałam takiego zamiaru. Podoba
mi się Amy, jaką we mnie widzisz. Ale to się zmieni, gdy
dowiesz się prawdy. Gdy widzę moje odbicie w twoich
oczach, czuję się silna, mądra, inteligentna... bo ty tak
mnie postrzegasz.

Jego ciepłe dłonie ujęły jej ręce.

- Jesteś taka, Amy. Jak mogłoby być inaczej?
Obserwowałem, jak sobie radzisz z chłopcami. Jesteś
dla nich dobra i oddana, pokochałaś ich. Przejmujesz
się nimi, uczysz ich. Robisz dla nich naprawdę bardzo
wiele. I zależy ci na mnie. Pomagasz mi. Z chłopcami, z
pracą. To dzięki tobie zrozumiałem tyle rzeczy,
zmieniłem zdanie na swój temat, choć najpierw miałem
o to do ciebie żal.

Jak łatwo byłoby zapaść się w otchłań jego oczu, w
jego ramiona! Jednak to byłby niewybaczalny błąd.

- Jesteś silną, mądrą, kompetentną osobą.
Niesamowitą dziewczyną. Jestem o tym przekonany. I
nie mogę pojąć, że ty tego nie widzisz, że inaczej siebie
oceniaasz.

Serce jej krwawiło. Trzeba to zakończyć. Im szybciej,
tym lepiej.

- Nie jestem dziewczyną dla ciebie. Uwierz mi. -
Chciała oswobodzić ręce, jednak Pierce nie puszczał.

Krew szumiała jej w skroniach. Popatrzyła mu prosto
w oczy.

- Nigdy nie spotkałem takiej kobiety jak ty - odezwał
się cicho. - I nie pozwolę ci odejść.

Amy zgarbiła się, a jej wojowniczy nastrój znikł bez śladu.

Zwiesiła głowę.

- Pierce, jesteś najzdolniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek poznałam - wyszeptała. - Ja... nie dorównuję ci pod względem intelektualnym. Nie jestem pewna siebie, w niczym nie jestem dobra. Nie jestem...

- O czym ty mówisz? Jesteś prawdziwą profesjonalistką. Gdy przyjechałaś tutaj, to aż się Ciebie bałem.

- To tylko wrażenie - wyszeptała i zamknęła oczy. - Gdy chodziłam na kursy dla stewardes, instruktor wbijał nam w głowę, że najważniejsze jest to, jak nas widzą. Wzięłam to sobie do serca. I wykreowałam nową Amy, tę, którą znasz.

Mówiła coraz ciszej, a każde słowo przychodziło jej z coraz większym trudem.

Nie mogła się zmusić, by spojrzeć mu prosto w oczy. To, co teraz mu powie, będzie dla niego szokiem. Dobije go. Będzie żałował, że był taki naiwny. Że ją całował, trzymał w ramionach i chciał pogłębić ich znajomość. Wywiodła go w pole. Udawała kogoś, kim nie jest.

- Nie rozumiem.

Nie mogła się już dłużej ociągać. Nie mogła go dłużej zwodzić.

- Ja nie skończyłam szkoły.

Pierce zmarszczył brwi i wyraźnie się rozluźnił.

-1 to jest cały problem? Amy, mnóstwo ludzi nie kończy studiów. Cynthia też nie ma dyplomu. Poznała Johna, gdy była studentką. Zakochali się w sobie i rzuciła studia, by wyjść za mąż. To nie jest nic strasznego. Wielu ludzi zresztą nie zaczyna studiować.

- Chodzi mi o szkołę średnią. Nie skończyłam nawet liceum.

Widziała po jego twarzy, że taka możliwość w ogóle nie przyszła mu do głowy.

- Ale... jak to możliwe? Przecież znasz francuski. Nauczyłaś chłopców liczyć. Przetłumaczyłaś mi list.

Chyba zdał sobie sprawę, że mogła odebrać to trochę jak wyrzut, bo rzekł pośpiesznie:

- Ja cię nie osądzam..

- Nie ma sprawy. Rozumiem. - Tym razem udało się jej uwolnić rękę. Cóż, oto początek końca, podsumowała z rozpaczą. Do Piercea zaczyna docierać prawda. Odsuwa się od niej, może nieświadomie, ale jednak.

- Jak to możliwe w dzisiejszych czasach? - zapytał. Amy lekko wzruszyła ramionami.

- Gdy byłam w ostatniej klasie, mój tata złapał zapalenie płuc. Bardzo ciężko je przechodził. Nie mogliśmy pozwolić sobie na zatrudnienie kogoś do pomocy. Przejęłam prowadzenie motelu. Dlatego musiałam przestać chodzić do szkoły. Myślałam, że to tylko na krótki czas, ale z tygodni zrobiły się miesiące. Tata trafił do szpitala. Choroba go wycieńczyła. Już nigdy nie odzyskał dawnej formy. Nie mogłam machnąć na wszystko ręką i wrócić do szkoły, a jego zostawić samego.

Pierce wyciągnął rękę i delikatnie uniósł jej brodę.

- Amy, mówiłaś wcześniej, że tata tyle dla ciebie poświęcił. Zrobił wszystko, byś mogła być przy nim.

Popatrzyła w jego zielone oczy. Brakowało jej tchu.

- Powinnaś inaczej na to spojrzeć. Ty też masz wielkie zasługi. Też wiele poświęciłaś.

Amy zarumieniła się.

- Zrobiłam tak, bo... bo nie mogliśmy zamknąć motelu. Interes musiał się kręcić. Bardzo kocham moją tatę, a ten motel był dla niego wszystkim. - Umilkła na chwilę. - Wiem, ile mnie to kosztowało, co bezpowrotnie straciłam. Dlatego teraz z takim uporem dążę do celu. Mam swoje ambicje, plany. Zależy mi na tym, by je zrealizować. Wreszcie chcę zrobić coś dla siebie. Myślę, że to mi się należy od życia.

Przedłużająca się cisza stawała się trudna do zniesienia. Paradoksalnie Pierce wydawał się zupełnie rozluźniony. Jakby kamień spadł mu z serca. I jakby coś zaczynało mu się klarować... Amy nie zastanawiała się nad tym, była zbyt poruszona. Kiedy tutaj jechała, ani przez moment nie zakładała, że prawda o jej przeszłości może wyjść na jaw. Dla niej ten temat był bolesny i na zawsze zamknięty. Nie raz doświadczyła ludzkiej złośliwości i pogardy. Od wielu osób. Tyle że w żadnej z nich nie była zakochana.

- Ile miałaś lat, kiedy to się stało?

To nieoczekiwane pytanie zbiło ją z tropu.

- Siedemnaście? Osiemnaście? - Pierce odpowiedział sam sobie. Nie czekał nawet na jej wyjaśnienia. Był pochłonięty swoimi myślami. - Byłaś przecież wtedy nastolatką. Opiekowałaś się chorym ojcem i jednocześnie prowadziłaś motel, który prosperował tak dobrze, że wielka sieć chciała was wykupić.

Znowu zapadła cisza. Amy brakowało powietrza.

- Według mnie - podsumował Pierce - to, czego dokonałaś, dowodzi, że jesteś wyjątkowo sprawna, kompetentna, silna i bystra.

Znowu ujął jej rękę. Nie zauważyła, jak to się stało. Wi

rowało jej w głowie, nie mogła zebrać myśli. Spodziewała się po nim zupełnie innej reakcji. Myślała, że ją skreśli, zmieni o niej zdanie. Nie raz już tego doświadczyła.

- Amy, kocham cię. Widziałem cię w działaniu. Jesteś inteligentna i mądra. I dobra z natury. Chciałbym, żebyś za mnie wyszła. Chciałbym mieć z tobą dzieci.

Nie mogła uwierzyć własnym uszom. Czy to się dzieje naprawdę?

- To niemożliwe! - wybuchła. Upokorzenie i gniew zaburzały jej jasność widzenia. - Co byśmy powiedzieli naszym dzieciom? Tatuś jest taki zdolny, że jest w stanie stworzyć coś, czego nikt inny nie potrafi, ale mamusi nie udało się nawet skończyć liceum.

Wyobraziła sobie tę scenę. To niemożliwe.

Jednak powoli coś zaczynało do niej docierać. Przecież Pierce przed chwilą powiedział, że ją kocha. Chce, by została jego żoną.

Mimo że już wszystko o niej wie.

Jak to możliwe, skoro wie, jaka naprawdę jest?

Tego ani przez moment nie zakładała. Dlatego zdumienie odebrało jej głos. Ale Pierce wcale nie wydawał się poruszony.

- Amy, człowiekowi nie jest potrzebny papierek, by udowodnić, kim naprawdę jest.

- Dobrze ci mówić. Wystarczy, że popatrzyś na ścianę, gdzie wiszą twoje dyplomy.

Uścisnął lekko jej dłoń i przysunął się bliżej.

- To, jaką siebie wykreowałaś...

Jego miękki głos był jak balsam na jej zbolałą duszę. Łagodził jej lęki, kruszył opory.

- Te wszystkie cechy zawsze w tobie były - ciągnął Pierce. - Gdybyś ich nie miała, udawanie nic by nie pomogło.

Wlepiła wzrok w jego twarz. Czy to możliwe, że on tak w nią wierzy?

- Ja... - Głos jej się łamał. - Nie wiem, co powiedzieć.

- Powiedz, że mnie kochasz.

On naprawdę w nią wierzył!

Milczała, więc powtórzył:

- Powiedz, że mnie kochasz.

Kocha go, nad życie! I jest taka szczęśliwa. Jednak jest coś...

Przecież nie może się zgodzić. Popatrzyła na niego przez łzy.

- Ale gdybyśmy mieli...

Dzieci. Nie mogła się przemóc, by to z siebie wydusić. Jednak Pierce od razu domyślił się, co chciała powiedzieć. Jego twarz złagodniała.

- Co byśmy powiedzieli? Jak miałabym wyjaśnić, że...

- Powiemy naszym dzieciom prawdę. - Uśmiechnął się czule. - Prawda jest zawsze najlepsza.

Amy zgarbiła się.

- Ale straszna.

Pierce położył palec na jej ustach.

- Skarbie, błędnie to oceniasz. Z mojego punktu widzenia jest zupełnie inaczej. Jesteś czuła, oddana, zdolna do poświęceń. Taką masz naturę, taka jesteś. To nie są żadne pozory, żadna gra.

Otoczył ją ramieniem i delikatnie uniół jej twarz. Ich spojrzenia się spotkały.

- Ja ciągle czekam.

Popatrzyła w zielone oczy i w jednej sekundzie rozwinęły

się jej obawy, znikły wszystkie rozterki. Pierce czeka. Nie będzie przeciągać tego ani sekundy dłużej.

-Pierce, ja tak bardzo cię kocham... - jej głos nabrzmiały uczuciem łamał się niebezpiecznie - że aż boli mnie serce.

Odszukał jej usta. I wszystkie argumenty o tym, że tak bardzo się różnią, nagle przestały być ważne.

Będzie go kochać w nieskończoność.

EPILOG

Nie ma to jak wiosna w Paryżu! No, chyba że wiosna na francuskiej Riwierze. Choćby Amy bardzo się starała, nie mogłaby powiedzieć, gdzie jest piękniej. I bardziej zachwycająco.

Ale najcudowniejsze chwile przeżyła dziesięć dni temu, gdy została żoną Pierce'a.

Ślub był wspaniały. Przysięgali sobie dożgonną miłość, stojąc na brzegu zatoki. Ona w białej, powiewnej sukni, on w czarnym smokingu. Patrzyła na niego z zachwytem, gdy tata prowadził ją do ukochanego, który wkrótce miał stać się jej mężem. Benjamin i Jeremiaś z dumnymi minami kroczyli po trawie, niosąc atlasowe poduszki, na których lśniły obrączki. Cynthia pełniła funkcję starościny wesela, a John udzielił im ślubu i uroczyście obwieścił, że są mężem i żoną. Przyjaciele i bliscy zgotowali im owację na stojąco.

To był najpiękniejszy dzień w jej życiu.

Zaraz potem rozpoczął się ich miesiąc miodowy i Pierce zrobił jej niespodziankę, zabierając ją do Paryża.

Ujrzała Miasto Świąteł. Cudowne, tętniące życiem miasto, pełne turystów i mieszkańców. Zobaczyła Łuk Triumfalny, wieżę Eiffla, Luwr. Przesiadali w małych kawiarenkach, racząc się mocną kawą i przepyszными ciastkami, od których z pewnością przybrała na wadze.

Po tygodniu spędzonym w Paryżu polecili do Nicei, nad Morze Śródziemne. Wynajęli samochód i jeździli po wybrzeżu. Pojechali do Cannes i Juan-les-Pins, potem w drugą stronę, do malowniczego Villefranche-sur-Mer. Dziś wybrali się do Mentony, niewielkiego przygranicznego miasteczka, skąd w oddali widać było krajobraz włoskiej prowincji.

- Zmęczona?

Amy uśmiechnęła się, widząc niepokój w zielonych oczach męża. Wyciągnęła się wygodnie na łóżku.

- Padnięta - powiedziała.

Tkliwie przesunął palcami po jej nagim ramieniu. Z wrażenia zaparło jej dech.

- Może zgasimy światło i trochę się zdrzemniemy? - zaproponował.

Uśmiechnęła się do niego zmysłowo.

- Dobrze, zgasmy światło - powiedziała cicho. - Ale nie zaśniemy od razu.

Pierce wygiął usta w seksownym uśmiechu, jego oczy pociemniały.

- Miło mi to słyszeć.

Wtulił twarz w jej kark i zamruczał. Amy poczuła rozkoszne dreszcze. Zaśmiała się cicho, chrapliwie.

- O czym myślisz? - zapytał, opierając się na łokciu i patrząc na nią.

- Wiesz, przypomniałam sobie, jak się spotkaliśmy. Byłam zafascynowana twoim umysłem.

Pierce uniósł brwi.

- Moim umysłem?

- Byłeś taki inteligentny. Wydało mi się to bardzo pociągające. I bardzo seksowne.

Pierce się roześmiał.

- Szkoda, że mówisz w czasie przeszłym.

- Och, przecież wiesz. - Zanurzyła palce w jego włosach. - To było na początku. Potem przekonałam się, że to nie wszystko. - Patrzyła na niego uwodzicielsko. - Masz mnóstwo różnych zalet.

Ujęła jego twarz w dłonie, przyciągnęła go ku sobie i pocałowała gorąco.

Nieco później Pierce powiedział:

- Staram się.

Krew zaszumiła jej w skroniach, serce zabiło mocniej.

- Wiem - wyszeptała zmienionym głosem.

Uciekała przed małżeństwem, przed rodziną i dziećmi. Bała się wpaść w pułapkę, wystawić na ryzyko własne uczucia. Jak bardzo się zmieniła! Teraz przeżywa najcudowniejsze chwile, doświadcza najwspanialszych uniesień...

Bo to jest miłość na całe życie.



Nicole Burnham

Królewska niania

Tytuł oryginału: Falling for Prince Federico



ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Nie, ja chyba nigdy tego nie pojmę.

Zdesperowana Pia Renati wpatrywała się w otwartą książkę. Mruczając pod nosem, oparła się barkiem o podświetloną reklamę telefonów komórkowych zdobiącą ścianę hali przylotów międzynarodowego lotniska w San Rimini i przerzuciła kolejną kartkę poradnika dla przyszłych mam. Jak to jest, że nawet kobiety bez medycznego wykształcenia rodzą dzieci?

Zamyśliła się. Jest tyle rzeczy zupełnie niepojętych. Choćby to, że jej przyjaciółka, Jennifer Allen, teraz księżna Jennifer diTalora, zadzwoniła akurat do niej. Księżna spodziewa się dziecka, a ponieważ musi leżeć w łóżku aż do porodu, poprosiła Pię, by do niej przyjechała.

Jennifer zawsze mogła liczyć na Pię. Jeszcze dwa lata temu była jej szefową. W ramach pomocy humanitarnej pracowały w obozie uchodźców. Znały się na wylot. Dla Pii nie było sprawy nie do załatwienia. Tworzenie banków żywności dla uchodźców w krajach Trzeciego Świata, budowa prowizorycznych siedzib w gorącym afrykańskim słońcu, transport rannych do polowych szpitali czy wysiłki podejmowane w celu łączenia rodzin - to był jej chleb

powszedni. Nie bała się ciężkiej pracy, nic jej nie odstraszało. Jednak opieka nad księżną, mającą wkrótce urodzić następcę tronu San Rimini, to prawdziwe wyzwanie. Pia nie miała pojęcia o ciąży i dzieciach. Cała jej wiedza to godzinna lektura tego poradnika.

Rodzina nie dała jej dobrych wzorców. Matka była w domu gościem, sprawy rodziny niewiele ją obchodziły. Ale Jennifer uparła się i tak nalegała, że Pia nie miała serca jej odmówić.

Znów przerzuciła kilka kartek i nagle omal nie upadła z wrażenia. Na całej stronie widniało zdjęcie rodzącego się dziecka. Pia zamknęła oczy.

To już przesada. Mogliby zostawić trochę pola dla wyobraźni. A tu proszę, od razu kawa na ławę.

- *Signorina* Renati? - tuż za nią rozległ się niski, przyjemnie brzmiący głos.

Pia pośpiesznie zamknęła książkę. Głośny gwar nieoczekiwanie ucichł, a spojrzenia zgromadzonych w hali ludzi powędrowały w jednym kierunku.

Pia, choć jeszcze się nie odwróciła, wiedziała już, do kogo należy ten wyjątkowy głos. Wprawdzie spodziewała się, że przyjedzie po nią ktoś z pałacu, ale przez myśl jej nie przeszło, że z lotniska odbierze ją księżę Federico Constantin di Talora, niedawno owdowiały, budzący ogromne emocje wśród kobiet niemal całego świata. Media i kolorowe pisma okrzyknęły go ideałem, księciem doskonałym. Śródziemnomorska uroda, nieskazitelna reputacja, bezgraniczne oddanie sprawom państwa - czegoż więcej trzeba, by stać się najlepszą partią?

Jennifer ani słowem nie uprzedziła Pii, że to właśnie on przyjedzie na lotnisko.

No tak. To było do przewidzenia. Gdy w końcu spotyka ją coś takiego, nie ma nawet czasu na odświeżenie oddechu miętusem czy poprawienie makijażu po całonocnym locie.

Miała tylko nadzieję, że książę nie zdążył zerknąć jej przez ramię i nie zobaczył, co czyta. Odwróciła się, uśmiechając się z przymusem, i stanęła twarzą w twarz z prawdziwym księciem, drugim w kolejce do tronu tysiącletniego państewka San Rimini.

Sądząc po wyrazie jego twarzy, chyba jednak zauważył to fatalne zdjęcie.

Pia spędziła poza domem wiele lat. Od dawna nie miała okazji porozmawiać w ojczystym języku i chętnie pogawędziłaby z kimś, by usłyszeć lokalne ploteczki, ale nie wyobrażała sobie takich pogaduszek z członkiem rodziny królewskiej. W dodatku szalenie przystojnym. Federico Constantin di Talora wyglądał jak gwiazdor kroczący po czerwonym dywanie na oscarowej gali. Nic dziwnego, że ją замуrowało.

- Książę - wykrztusiła. - *Buon giorno. Come sta?*

Ciemnowłosey, niebieskooki książę miał w sobie jakąś nieuchwytną, a jednak wyczuwalną od pierwszego spojrzenia charyzmę. Dar, którym natura obdarza niewielu. Pia poznała go półtora roku temu, gdy przyjechała na ślub Jennifer i księcia Antonia, ale była wtedy tak przejęta, że po oficjalnym powitaniu natychmiast się wycofała.

Federico i jego olśniewająco piękna żona, księżna Lucrezia, bardzo uprzejmie traktowali gości, jednak wyczuwało

się, że uroczysta atmosfera książęcego ślubu nie do końca im się udziela. Lucrezia była wyjątkową kobietą. Wysoka, wiotka jak trzcina, o porcelanowej cerze, prostych ciemnych włosach i pełnych ustach, piękna i elegancka. Wymarzona kobieta na okładki najszykowniejszych magazynów.

A Federico... już sama jego obecność działała na Pię onieśmielająco. Elegancja, majestat i królewska szarfa - takie rzeczy robią wrażenie!

No i ta twarz. Wysokie kości policzkowe, mocno zarysowana szczęka, starannie wygolone policzki, a do tego gładka, oliwkowa skóra, kusząca, by delikatnie przesunąć po niej koniuszkami palców.

Pia przycisnęła poradnik do zielonkawego podkoszulka. Ależ się ubrała... bawełniana bluzeczka, spodnie khaki i sportowe sandały. Mogła włożyć coś bardziej wyszukanego. W dniu ślubu Jennifer miała na sobie klasyczną, nieco sztywną suknię druhny i eleganckie pantofle na obcasach.

Książę ledwie dostrzegalnie skinął prawą dłoń, a stojący obok niego szczupły mężczyzna podszedł i podniósł z podłogi podniszczoną torbę Pii.

- Dziękuję, pani Renati, całkiem dobrze. Mam prośbę. Jeśli nie sprawi to pani różnicy, zostańmy przy angielskim. Staram się szlifować język, a rzadko mam okazję. Spędziła pani w Stanach dużo czasu, prawda?

Pia skinęła głową.

- Tak, możemy rozmawiać po angielsku, nie ma problemu.

Wolałyby rozmawiać po włosku, ale cóż... Choć po włosku książę zwracałby się do niej „signorina”, co jest po-

wszechnie przyjęte w San Rimini, a to nie byłaby chyba najwłaściwsza forma w stosunku do trzydziestodwuletniej kobiety. Pia stanowczo nie chciała być traktowana jak dorastająca panienka. Westchnęła w duchu. Na szczęście książe nie wyglądał na szczególnie rozmownego.

- Doskonale. Księżna Jennifer oczekuje pani z niecierpliwością, więc jeśli jest pani gotowa, możemy jechać. Samochód czeka. - Książe wskazał na metalowe drzwi z boku sali.

Przez szklaną taflę Pia dostrzegła lśniąca czarną limuzynę zaparkowaną na pasie tuż obok samolotu, którym dopiero co przyleciała.

No tak, nie tylko być księciem, pomyślała. Nie trzeba walczyć o miejsce na parkingu, przechodzić przez bramki, wyczekiwać w tłumie umęczonych pasażerów na pojawienie się bagaży na taśmie.

Federico ruszył do drzwi, a ludzie z uśmiechem rozstępowali się przed nim.

Pia starała się nie słuchać komentarzy tłumu. Gapie, tłoczący się teraz przy szybie, byłiby bardzo rozczarowani, gdyby dowiedzieli się, kim jest kobieta, której towarzyszy ich ulubieniec.

Szofer otworzył tylne drzwi mercedesa.

- Pani Renati?

Podniosła wzrok na Federica, z trudem uświadamiając sobie, że książe podaje jej rękę, by pomóc wsiąść do auta.

- Och, dziękuję. - Niełatwo tak nagle się przestawić. Jak miała się odnaleźć w tych wszystkich formach?

Podawała księciu rękę, a on ujął ją mocno, zdecydowanie. Cóż, z pewnością miał to we krwi.

Gdy oboje ulokowali się w miękkich skórzanych fotelach, książę zaczął zabawiać ją rozmową. Zapytał, kiedy ostatni raz była w San Rimini, zainteresował się, jakie imię według niej młodzi rodzice nadadzą swojemu potomkowi, i czy stawia na chłopca czy dziewczynkę, bo Jennifer i Antony nie chcieli tego wiedzieć przed porodem.

Pia odpowiedziała uprzejmie na wszystkie pytania, ale po chwili rozmowa się urwała. Książę w milczeniu przyglądał się gościowi, a Pia czuła się coraz bardziej nieswojo.

Jechali główną ulicą ciągnącą się wzdłuż północnego wybrzeża Adriatyku. Po drodze minęli odrestaurowany Teatr Królewski, po czym krętą, brukowaną drogą pamiętającą dawne wieki wjechali na szczyt najwyższego wzniesienia San Rimini, gdzie wznosił się pałac, pozostawiając za sobą eleganckie kasyna i nobliwe, pełne staroświeckiego uroku sklepy i domy.

Pia uśmiechnęła się do siebie. Nic tu się nie zmieniło od jej ostatniego pobytu. Ileż razy z rozrzewnieniem wspominała lazurową zatokę, fale bijące o brzeg, wybrzeże rozjaśnione światłami kasyn i eleganckich hoteli. Na samą myśl o tutejszych deserach i przepysznych lokalnych daniach ciekła jej ślinka. Makarony na setki sposobów, owoce morza... W czasie pobytu w przygnębiających obozach uchodźców na rozdartych wojną Bałkanach czy w polowych szpitalach w spieczonej upałem Afryce, często wracała myślą do San Rimini. Wspomnienia dawały jej wytchnienie, pomagały zebrać siły. Wyjechała do Stanów na studia, gdy miała dziewiętnaście lat, ale tu był jej dom, jej ojczyzna. Zawsze powracała do San Rimini z radością.

Teraz też by się cieszyła, gdyby nie siedziała na wprost księcia wpatrującego się w nią w milczeniu. Onieśmiał ją i deprymował.

Trwająca pół godziny jazda dłużyła się w nieskończoność. Pia zamyśliła się. Książę wspomniał, że zależy mu na szlifowaniu języka. Może zraziła go, odpowiadając monosylabami i dlatego przestał się odzywać? Wolał milczeć dyplomatycznie.

Zebrała się na odwagę i odezwała się pierwsza:

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że Jennifer i Antony są małżeństwem, a jeszcze bardziej niewiarygodne wydaje mi się to, że niedługo zostaną rodzicami.

Książę odwrócił się od okna i chrząknął. Może powiedziałam coś nie tak? - spłoszyła się Pia. Nie miała zielonego pojęcia o dworskiej etykietce. Chyba rzeczywiście coś było nie tak, bo książę odparł z powagą:

- Są z sobą szczęśliwi, pani Renati.

Pia najchętniej wbiłaby się w skórzane oparcie siedzenia. Musi uważać na to, co mówi. Nie wolno jej pleść byle czego. Ale przecież nie nad wszystkim da się zapanować. Poza tym to już naprawdę przesada. Facet jest wprawdzie księciem, ale w końcu to też człowiek. I co z tego, że ma tytuł? Czy przez to jest lepszy niż ona? No, Jennifer wyraża się o nim w samych superlatywach. A i gazety prześcigają się w zachwytach, rozpisując się, jakim jest wspaniałym ojcem dla swoich synków.

Cóż, kolorowe pisma może i nie są najbardziej wiarygodnym źródłem informacji, ale Jennifer zawsze mówi tylko to, co naprawdę myśli.

Może Pia źle go oceniła na przyjęciu weselnym. Poznała go przecież wieczorem, a on miał za sobą dzień wypełniony oficjalnymi spotkaniami i mnóstwem przedślubnych uroczystości. Pewnie miał już trochę dość, dlatego był nieco zdystansowany.

Jego żona zmarła nagle, miała tętniaka. Jej śmierć z pewnością bardzo go przygnębiła i zmieniła nastawienie do świata. Nic dziwnego, że stał się ostrożniejszy w stosunku do niezamężnych kobiet. Na pewno niejedna ostrzy sobie na niego zęby.

A gdyby Pia wyszła za mąż za wspaniałego mężczyznę i była z nim szczęśliwa, a on nagle by zmarł? Gdyby została młodą wdową z małymi dziećmi, o której względy zabiegałoby wielu mężczyzn, to czy nie byłaby nieufna?

- Wcale w to nie wątpię, Wasza Wysokość. - Wprawdzie nie od razu, ale dobrze, że przypomniała sobie o tytule. Odgarnęła z twarzy pasmo jasnych włosów. Wilgotne morskie powietrze już nie może im bardziej zaszkodzić. Po długim locie z Waszyngtonu wyglądała beznadziejnie. - Chciałam tylko powiedzieć, że trudno mi sobie wyobrazić Jennifer jako matkę. Przez dwa lata pracowałyśmy razem w obozie Haffali. Jennifer robiła wszystko: sprzątała latryny, czyściła brudne namioty, w ciężkich buciorach wspinała się po górach, nosząc zapasy wody. Gdy chodzi o biednych i potrzebujących, nie poddaje się łatwo. Wasza Wysokość sam się o tym przekona. Ale ona chyba nie za bardzo zna się na pluszowych królikach i dzieciennych rowerkach. To miałam na myśli.

Federico skinął głową.

- Rozumiem. W takim razie bardzo się cieszę, że u jej boku będzie ktoś, komu nie brak instynktu macierzyńskiego. Do narodzin dziecka pozostało jeszcze sześć tygodni. To bardzo dobrze, że przez ten czas nie będzie sama.

Z jego twarzy niczego nie można było wyczytać. Ton głosu też nie był żadną wskazówką. Książę zachowywał się dyplomatycznie. Gdyby jednak wiedział, jak bardzo mylił się w ocenie Pii! Z pewnością cofnąłby swe słowa. Z domu nie wyniosła żadnych pozytywnych wzorców, właściwie w ogóle nic. Matka niewiele się nią zajmowała, na dobrą sprawę wychowała się sama. W ogóle nie czuła powołania do macierzyństwa. Jennifer sprawdzi się w tej roli nieporównywalnie lepiej niż ona.

- W pałacu pracuje mnóstwo osób, poza tym Wasza Wysokość jest na miejscu, więc Jennifer nie powinna czuć się osamotniona - odparła.

Wiedziała, że Federico starał się wyjeżdżać jak najrzadziej. Nie chciał zostawiać dzieci. To jego rodzeństwo ciągle gdzieś podróżowało.

- Wydaje mi się, że księżnej Jennifer znacznie bardziej będzie odpowiadało damskie towarzystwo - odrzekł książę. - Towarzystwo kogoś, kto ją wesprze i podtrzyma na duchu. A i w szpitalu zechce mieć przy sobie kogoś bliskiego. Antony prawdopodobnie nie zdąży wrócić na czas.

Pia wołała nie zastanawiać się na razie nad tym. Rozpraszala ją obecność księcia. Zwłaszcza gdy niechcący dotknął kolanem jej nogi.

- Dziwi mnie, że Wasza Wysokość nie namówił brata, by został przy żonie.

Między ciemnymi brwiami Federica zarysowała się pionowa zmarszczka.

- Ludzie odpowiedzialni za cały kraj muszą czasami ponosić ofiary. Tego wymaga nasza rola. Mamy obowiązki względem narodu i państwa. Sprawy prywatne są na dalszym planie. Księżna z pewnością już o tym mówiła. Wszyscy członkowie rodziny panującej muszą się temu podporządkować. Poza tym obowiązuje ich również pełna dyskrecja. Nic co się dzieje w pałacu, nie może wydostać się na zewnątrz.

Aha, o to chodzi. Jennifer mówiła o tym przez telefon. Lekarz zalecił jej leżenie w łóżku, ale nikt spoza pałacu nie miał prawa się o tym dowiedzieć. To tajemnica wagi państwowej. Antony przebywał w Izraelu, gdzie jako jeden z trzech mediatorów brał udział w rozmowach pokojowych, a Jennifer nie chciała, żeby poddani wzięli mu za złe że nie siedzi przy łóżku żony. A z drugiej strony, uczestnicy rokowań musieli mieć pewność, że żadna ze stron nie za wiedzie. Od udziału księcia i ostatecznego efektu rozmów zależał los milionów ludzi.

Federico jednoznacznie dał Pii do zrozumienia, że ma obawy co do jej dyskrecji.

Mylił się. Kto jak kto, ale ona dość się natrzyła na tragiczne konsekwencje politycznych zawirowań. Całym sercem popierała rokowania mogące przynieść upragniony pokój. Choć nie bardzo wyobrażała sobie, jak można wychowywać dzieci, jednocześnie próbując zbawić świat. Obawiała się, że pełnienie odpowiedzialnych ról publicznych nie idzie w parze z rodzicielstwem. Jednak swoje wątpliwości zostawiła dla siebie.

Limuzyna minęła pałacową bramę i Pia ujrzała cudowny ogród różany, a w tle wspaniałą fasadę pałacu. Przez Otwarty szyberdach słychać było śmiechy i radosne nawoływania dziecięcych głosików. Może to dzieci księcia korzystają ze słońca i ciepłego wiatru znad Adriatyku?

Pię korciło, by wyrzeć przez okno i zobaczyć, kto się tak śmieje.

- Wasza Wysokość, zdaję sobie sprawę z konieczności zachowania dyskrecji, proszę się nie niepokoić. Chciałabym jednak o coś zapytać... Czy na miejscu Antonyego, zostałyby książę w Izraelu, czy wróciłby do domu?

Federico wyjrzał przez okno, jakby szukał wzrokiem swoich synów.

- Nie jestem na miejscu mojego brata. On jest następcą tronu i któregoś dnia zostanie władcą. Ma inne obowiązki niż ja.

- Ale gdyby?

- Postąpiłbym tak jak Antony. Ze względu na dobro publiczne. - Federico wyprostował się. - W tej chwili wszystko jest na najlepszej drodze do rozwiązania konfliktu - ciągnął. - Obie strony darzą mojego brata wielkim szacunkiem. Udało mu się doprowadzić do pierwszych ustaleń, co wcale nie było takie łatwe. Dzięki temu cały proces został poważnie przyśpieszony, z korzyścią dla wszystkich, również dla nas. Jennifer doskonale to rozumie. Kiedyś ich dziecko też to pojmie.

Federico mówił z przekonaniem. Pia nie mogła się z nim nie zgodzić. I bardzo ją ujął tym, że tak zdecydowanie bronił brata. Przemawiał stanowczo, choć łagodnie. Lekki uśmiech

błąkał się po jego twarzy, dodając mocy słowom. Jakby księżę wierzył, że przekonają samym spojrzeniem.

Jego niesamowicie błękitne oczy w połączeniu z oliwkową cerą wywierały niezwykle wrażenie. W dziewięciu przypadkach na dziesięć to na pewno działało.

A jednak...

- Zdaję sobie sprawę, że takie rozmowy toczą się własnym rytmem i doceniam postawę Jennifer oraz dobrą wolę i wsparcie, jakiego Wasza Wysokość udziela jej i jej mężowi. Jednak czy Wasza Wysokość nie sądzi, że gdy pojawia się dziecko...

Pod kołami limuzyny zachrząścił żwir. Właśnie podjechali pod tylne wejście. Na progu czekała starsza kobieta w prostej wełnianej spódnicy.

- Przepraszam, pani Renati - księżę skorzystał z pretekstu, by zmienić temat. - To Sophie Hunt, prywatna sekretarka księcia Antonyego. W razie jakiegokolwiek potrzeby proszę zwracać się do niej.

Kierowca wysiadł i otworzył tylne drzwi samochodu. Księżę i tym razem podał Pii rękę i pomógł wysiąść.

Podziękowała uśmiechem. To był miły gest, ale nie powinna się do tego przyzwyczajać. Ani zapominać, kim była. Nie nosiła ciuchów od Armaniego, tylko zwyczajne bojówki.

Federico dokonał krótkiej prezentacji, po czym skinął Pii głową.

- Zostawiam panią w dobrych rękach. Jeszcze raz bardzo dziękuję, że zechciała pani przyjechać. Dziękuję też za dobowanie dyskrecji, również w imieniu mojego ojca, króla Eduarda.

Jeszcze raz jej o tym przypomniał. Powinna trzymać buzię na kłódkę.

Federico pożegnał się i ruszył po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Jakimś cudem zachowywał przy tym wyprostowaną postawę.

Niebywałe.

Pia poruszyła bardzo osobisty temat. Z pewnością mało kto miał odwagę zdobyć się na coś takiego w stosunku do członka rodziny panującej. Tymczasem po księciu spłynęło to jak woda po kaczce. Jakby zagadnęła go o pogodę. Jest dobrze wykształcony, domyśliła się Pia. Umie ukrywać emocje.

Gdyby była tak wychowana jak on, z pewnością by nie naciskała. Ale bardzo chciała usłyszeć odpowiedź. Upewnić się, że własne dzieci są dla niego ważniejsze niż obowiązek i służba. Że są kimś więcej niż tylko pretendentami do tronu.

- Witam, pani Renati - głos pani Hunt wyrwał ją z rozmyślań. Kobieta mówiła doskonałą angielszczyzną z akcentem wskazującym na dobre pochodzenie. - Miałyśmy okazję poznać się w czasie ślubu księcia Antonyego i księżnej Jennifer. Pomogła pani przy aranżacji kwiatów w katedrze, choć jako drużna miała pani wiele innych zajęć.

Pia oderwała wzrok od odchodzącego Federica i uśmiechnęła się do sekretarki.

- Miło, że pani pamięta. Proszę mi mówić po imieniu. Po prostu Pia. Po przejażdżce z Jego Wysokością mam już trochę dość pompy.

Sekretarka roześmiała się serdecznie.

- No tak. Federico bardzo przestrzega dworskiej etykiety, nawet bardziej niż jego ojciec.

Kobiety czekały, aż kierowca wyjmie z bagażnika torbę.

- Pamiętam wszystkich przyjaciół księżnej Jennifer - powiedziała Sophie. - Niektórzy mają tendencję do wchodzenia w bliskie związki z rodziną diTalora.

- Coś mi się obilo o uszy - zaśmiała się Pia.

Amanda Hutton, która też była druzną na ślubie Jennifer, po weselu została jeszcze jakiś czas w San Rimini. Objęła posadę w pałacu. Pia poznała ją tylko przelotnie, ale czytała w prasie, że Amanda wyszła niedawno za księcia Stefana, najmłodszego i najbardziej szalonego z czwórki rodzeństwa. A księżniczka Isabella poślubiła w zeszłym miesiącu jakiegoś Amerykanina.

- Mnie się to nie przydarzy - z przekonaniem powiedziała Pia. - Przyjechałam tu tylko po to, by pomóc przyjaciółce przetrwać końcówkę ciąży.

Jednak gdy Sophie wprowadziła ją do pałacu i szły przez kolejne wspaniałe komnaty, myśli Pii znów poszybowały ku księciu. Miała przed oczami gładki materiał jego białej koszuli, szerokie ramiona, stanowczo zaciśnięte usta.

Właśnie mijały wspaniałą obraz, na którym artysta uwiecznił Federica i jego ojca w czasie defilady wojskowej.

Gdyby Federico trochę się rozluźnił i zaczął zachowywać się bardziej naturalnie, to nawet warto by było lepiej go poznać, nieoczekiwanie pomyślała Pia. Być może te wszystkie kobiety, które z taką emfazą wypowiadają się o nim na łamach kolorowych pisemek, mają trochę racji.

Pia przycisnęła rękę do brzucha. Co też jej chodzi po głowie? Skąd takie myśli? Na pewno nie będzie tego sprawdzać. Ledwie przetrwała półgodzinny jazdę z lotniska i nie-

mai wpadła w panikę, gdy podał jej rękę, pomagając wsiąść do limuzyny.

W sumie nic dziwnego. Od dawna była sama. Żyła wyłącznie pracą, a taki tryb życia wyklucza wszelkie związki. I co z tego, że księżę Federico chyba nikogo nie pozostawia obojętnym? Zwłaszcza kobiet. Ona nie miała u niego żadnych szans, to oczywiste. I nie zamierzała tego sprawdzać. Już nigdy na niego nie spojrzy. To zbyt ryzykowne, a w dodatku mogłoby się skończyć tym, co spotkało Jennifer. A Pia nie miała ochoty na przerabianie poradnika dla przyszłych mamusiek.

I dlaczego znów się jej przygląda?

Federico stał nieruchomo w oknie na piętrze. Miał iść do swoich apartamentów, ale zatrzymał się, by jeszcze raz spojrzeć na Pię stojącą przed wejściem. Czekala, aż szofer wyjmie bagaże i rozmawiała z Sophie.

Zaskakująca dziewczyna. W dodatku ubrana w stylu... jak to nazwać? Hippię? Nie, raczej nie. Ale coś blisko.

Wyglądała na kogoś, kto pewnie stąpa po ziemi. Była naturalna. Niczego nie udawała.

Intrygowała go. Pamiętał ją ze ślubu brata. Odniósł wtedy wrażenie, że nie czuje się u nich dobrze. Była bardzo spięta. Może arystokratyczne otoczenie tak na nią działało. Federico często był świadkiem podobnych reakcji. Media wykreowały taki obraz rodziny panującej, że zwyczajni śmiertelnicy czuli się onieśmieleni i skrepowani.

Z niego też zrobiły chodzącą doskonałość. Do dziś miał im to za złe.

Pia nie powinna mieć takich problemów. Nie pochodzi przecież z arystokratycznej rodziny, choć jeśli księżę dobrze kojarzył, to wicehrabia Angelo, dobry kumpel Antony ego, był jej krewnym w pierwszej linii. Angelo, znany kobieciarz, nie musi się martwić, że gazety zrobią z niego ideał. Jeśli nawet nie on, to matka Pii z pewnością miała okazję otworzyć córce oczy. Jej klientami byli przede wszystkim przedstawiciele arystokracji. A więc dziwne zachowanie Pii musi wynikać z czegoś innego.

Może po prostu przejrzała go na wylot i wyciągnęła właściwe wnioski.

Federico opuścił ciężką zasłonę z czekoladowego aksamitu. Pia weszła właśnie z Sophie do pałacu. Księżę odwrócił się od okna.

Powinien teraz myśleć o swoich synach i kłopotach z ich opiekunką. To już trzecia niania.

Ale jego myśli wciąż wracały do Pii.

Ożenił się z Lucrezią bardziej z poczucia obowiązku niż z miłości. Znali się od dziecka, przyjaźnili i doskonale rozumieli. Nie kochali się, ale to wydawało się bez znaczenia. Oboje zdawali sobie sprawę z roli Federica. Obowiązkiem księcia było znalezienie odpowiedniej żony i zapewnienie następców tronu.

W każdym razie Federico tak właśnie myślał. Dopiero śmierć Lucrezii otworzyła mu oczy. I udane małżeństwo jego rodzeństwa. Dopiero wtedy zrozumiał, jak wielkie znaczenie ma miłość.

Do tego czasu żył w przekonaniu, że żeniąc się z arystokratką, wypełnia swój święty obowiązek względem pań-

stwa. Po śmierci żony zaczął zadawać sobie trudne pytania. Gdyby Lucrezia nie wyszła za niego, być może znalazłaby prawdziwą miłość. Może przez niego nie było jej dane zaznać prawdziwego uczucia? Stefano, któremu zwierzył się kiedyś z dręczących go wątpliwości, zapewniał, że nie ma racji. Lucrezia doskonale wiedziała, co robi. Brat przekonywał go, że nie powinien niczego sobie wyrzucać, że nikogo nie oszukał.

Ale to nie uwolniło go od rozterek. Lucrezia była piękną, inteligentną i błyskotliwą kobietą. Zapewne wielu mężczyzn marzyło o takiej żonie i wielu mogłoby obdarzyć ją prawdziwym uczuciem.

A on jej nie kochał. Szanował ją, lubił, był do niej przywiązany, tylko że to nie była miłość.

Lucrezia umarła, ale zostali mu synowie. Teraz to ich powinien kochać całym sercem. Nie wolno mu ich zawieść. Choć może już to zrobił?

Minął główny hol i skręcił w korytarz wiodący do prywatnych apartamentów. Może kolejne nianie okazywały się nietrafione, bo za mało przyłożył się do znalezienia najlepszej? Może za mało czasu spędzał z synami, nie znał ich dobrze i dlatego nie wie, czego naprawdę im trzeba?

Chyba nie. Arturo i Paolo to wspaniali chłopcy. Uwielbiał przyglądać się ich lekcjom muzyki, zabierać ich do parku czy do muzeum. Ich śmiech dodawał mu sił i wiary w siebie w trudnych chwilach, gdy nie mógł otrząsnąć się z ponurych myśli. Wydawało mu się, że już nic go w życiu nie czeka, że pozostało mu tylko wypełnianie oficjalnych obowiązków.

Rozmowa z Pia i słowa, jakich do tej pory nikt nie odważył się mu powiedzieć, dały mu do myślenia.

Otrząsnął się. Nie, to nie tak. Wprawdzie miał poczucie winy, ale tylko dlatego, że Pia rozmawiała z nim tak otwarcie. Waliła prosto z mostu, a do tego nie był przyzwyczajony. Ta dziewczyna była inna niż ludzie, jakich znał. Ale to jeszcze nie znaczy, że ma rację.

Nagły krzyk wyrwał go z rozmyślań. To głos pięcioletniego Artura. Federico wyjrzał przez okno. Kolejny krzyk doszedł nie z dworu, a z jego apartamentów. Arturo, jak każdy dzieciak w jego wieku, stale na coś wpadał. Federico puścił się biegiem w stronę swoich pokoi. Po chwili usłyszał też płacz małego Paola i wysoki, zdenerwowany głos niani.

- Wasza Wysokość! - Strażnik przy drzwiach poderwał się na widok księcia.

- Co się stało?

Strażnik uniósł dłoń.

- Nie wiem. Ale *signorina* Fennini jest w środku.

Federico skinął głową i ruszył do pokoju dziecinnego.

W razie poważniejszego problemu niania miała obowiązek poinformować strażnika.

Pchnął drzwi i stanął jak wryty.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Tata! Weź go ode mnie! - rozpaczliwie zawył Arturo, widząc na progu ojca.

Pulchna rączka chłopca była uwięziona w antycznej ceramicznej wazie, a trzyletni Paolo, blady jak papier z przeżycia, desperacko próbował uwolnić rękę brata, z całej siły ciągnąc do siebie naczynie. Arturo, krzycząc wniebogłosy, że zaraz urwie mu rękę, starał się powstrzymać malca. Opiekunka gorączkowo rozmawiała z kimś przez telefon. Federico zorientował się, że *signorina* Fennini wzywa pomocy i prosi o natychmiastowe przysłanie lekarza. Przy najmniej raz robiła coś, co powinna, bo zwykle godzinami plotkowała przez telefon ze znajomymi.

Federico podszedł do Paola. Na widok ojca chłopczyk wygiął buzię w podkówkę, ale Federicowi udało się oderwać go od brata. Arturo odetchnął z ulgą.

Księżę zwrócił się do starszego syna:

- Usiądź i opuść rączkę.

Arturo posłusznie usiadł na dywanie i popatrzył na ojca rozszerzonymi oczami, błagając wzrokiem o pomoc.

- Bardzo dobrze. - Federico usiadł obok syna i wziął na kolana Paola.

Starał się uspokoić chłopca, oglądając jednocześnie jego rękę. Nie chciał niczego robić na siłę, bo Arturo już i tak był roztrzęsiony. - Możesz poruszać paluszkami?

Arturo pociągnął nosem i kiwnął główką.

- Tak, tatusiu. Ale nie mogę wyjąć ręki.

- Zaraz przyjdzie lekarz dziadka. Wszystko będzie dobrze. Musisz być dzielny i cierpliwie poczekać, zgoda?

Chłopczyk wyprostował ramionka, a ojciec pogładził go po głowie.

- Świetnie, wyrośnie z ciebie bardzo dobry książę.

Niania odłożyła słuchawkę i dygnęła przed księciem.

- Wasza Wysokość, wezwałam doktora, zaraz tu będzie.

Arturo chciał rozbić wazę, żeby uwolnić rękę, ale książę chyba nie byłby zadowolony. To bardzo cenna waza.

- Lepiej tego nie robić, chłopiec mógłby się pokaleczyć.

Poczekajmy na doktora.

Federico popatrzył na delikatną wazę w kolorze morskiej piany. Pamiątka przywieziona przez mamę z podróży do Turcji, prawie dwadzieścia lat temu. Miała ogromną wartość sentymentalną, ale dla syna poświęciłby ją bez żalu.

Po chwili zjawił się lekarz. Arturo wyciągnął rękę.

- Mój żołnierz wpadł do środka, *dottore* - wyjaśnił. - Ja wcale nie chciałem tego zrobić.

Doktor, który od wielu lat opiekował się rodziną panującą, popatrzył na chłopca z udanym wyrzutem.

- Arturo, nie można wkładać palców tam, gdzie nie należy. Ale to jeszcze nic takiego. Twój wujek Stefano, gdy był mały, zrobił coś znacznie gorszego.

Arturo szeroko otworzył oczy, a mały Paolo zaczął chichotać.

- Wujek? - zapytał z niedowierzaniem. - Wujek Stefano był niegrzeczny?

Widząc, że chłopcy są w dobrych rękach, Federico zdjął Paola z kolan, posadził na podłodze, a sam wstał i odszedł na bok. Popatrzył znacząco na nianię. Dziewczyna podeszła posłusznie.

- Co się stało? - zapytał Federico ściszoneg głosem. Niania zrobiła przeproszającą minę.

- Wasza Wysokość, byliśmy na spacerze w ogrodzie i nagle Arturo przypomniał sobie, że zgubił gdzieś żołnierzyka. Wracaliśmy do pokoju dziecinnego, żeby go poszukać, ale po drodze, nim zdążyłam się zorientować, Arturo włożył rączkę do wazy. Powiedział, że wrzucił do niej żołnierzyka.

- A jak Arturo znalazł się w pobliżu wazy? Przecież ona stała przy wejściu do apartamentów mojego ojca. To nie jest po drodze z ogrodu.

Niania oblała się rumieńcem i zaczęła skubać brzeg szarego podkoszulka, tak skąpego, że odsłaniał kilka centymetrów gołej skóry ponad czarnymi dopasowanymi spodniami. Nie pierwszy raz jej strój budził poważne wątpliwości Federica. Niania została mu polecona przez renomowaną agencję i podobno miała doskonale przygotowanie do pracy w pałacu. Tymczasem była tu już trzy miesiące i nadal nie bardzo sobie radziła.

Sportowy strój z pewnością nikogo by nie raził, ale pod warunkiem, że okrywałby, a nie odsłaniał ciało.

Dziewczyna puściła brzeg bluzeczki.

- Nie wiem, Wasza Wysokość.

- Nie wie pani, jak Arturo znalazł się w pobliżu apartamentów króla? Czy nie wie pani, gdzie znalazł wazę?

Federico starał się zachować spokój. Nie chciał sprawiać dziewczynie przykrości, ale musiał się dowiedzieć jak doszło do wypadku. Czy ona zdaje sobie sprawę, że nie powinna spuszczać chłopców z oczu? Nie pierwszy raz zdarza się jej coś takiego. Chłopcy są jeszcze mali, nie wolno im biegać po pałacu bez opieki. Mogli by niechcący wtargnąć do gabinetu dziadka i przeszkodzić w ważnym spotkaniu czy wymknąć się strażnikom i wyjść na zewnątrz.

Albo, co gorsze, wpaść na którąś z wycieczek oprowadzanych po salach udostępnionych publiczności. A wtedy wszystko mogłoby się zdarzyć. Ktoś mógłby zacząć robić zdjęcia, wypytywać o sprawy rodziny królewskiej, może nawet porwać chłopców.

Federico nawet nie chciał o tym myśleć.

- Nie wiem, Wasza Wysokość - powtórzyła niania drżącym głosem. - Niosłam Paola, bo był zmęczony po spacerze, a Arturo szedł tuż za mną. Odwróciłam się, żeby go o coś zapytać, a jego nie było. Pomyślałam, że może mu się coś pomyliło i poszedł inną drogą.

Federica ogarniał coraz większy niepokój.

- Dlaczego natychmiast nie powiadomiła pani ochrony? Nie zadzwoniła do mnie? Przecież ma pani numer mojej komórki.

- Bo Arturo pojawił się, zanim skończyłam rozmawiać ze strażnikiem. Wynurzył się z korytarza z rączką uwię

ziona w wazie. - Dziewczyna zrobiła się jeszcze bardziej czerwona, a w jej oczach błysnęły łzy. - Bardzo przepraszam. Wiem, że powinnam zadzwonić. Obiecuję, że to się nie powtórzy.

Federico zagryzł wargi, z trudem tłumiąc gniew. Dziewczyna niezależnie od rekomendacji agencji nie mogła mieć zbyt dużego doświadczenia. Skoro miała dopiero dziewiętnaście lat...

- Dobrze, Mona. Ale na przyszłość bardzo proszę przez cały czas mieć chłopców na oku. Gdy mnie nie ma, na pani spoczywa odpowiedzialność za ich zdrowie i życie. Trzeba dmuchać na zimne. Nie wszyscy mają w stosunku do nich dobre zamiary. Jeśli coś takiego jeszcze raz się powtórzy, będziemy musieli poważnie zastanowić się nad pani dalszą pracą.

Mona skinęła głową.

- Tak, Wasza Wysokość.

- Dziękuję - powiedział szorstko Federico, po czym dodał już łagodniejszym głosem: - Doceniam pani starania. Jeśli mógłbym jakoś pomóc, ułatwić pani pracę, proszę dać mi znać.

Mona kiwnęła głową. W tej samej chwili rozległ się radosny krzyk chłopców. Lekarzowi udało się uwolnić rączkę Artura.

- Widzisz, Arturo? Miałeś zaciśniętą pięść, bo trzymałeś żołnierzyka, dlatego nie mogłeś wyciągnąć ręki.

Federico przesunął palcami po twarzy. Wreszcie mu ulżyło. Ale natychmiast pojawiły się wątpliwości. Arturo przez cały czas trzymał żołnierzyka w zaciśniętej dłoni i niania na to nie wpadła?

A on? On też nie. Więc jaki z niego ojciec?

Arturo masował spuchniętą i zaczerwienioną rączkę.

- Ale jak wyjąć żołnierza? Nie mogę go tam zostawić!
- denerwował się.

Lekarz roześmiał się. Przechylił wazę do góry dnem i potrząsnął nią kilka razy. Żołnierzyk wypadł wprost na podstawione dłonie chłopca.

- Właśnie tak. Teraz obaj będziecie bardziej ostrożni, prawda?

Chłopcy z powagą pokiwali główkami. Zależało im, by wyrzucić dobre wrażenie na tacie i niani.

- Tak, *dottore*.

Lekarz obejrzał zaczerwienioną rączkę, upewnił się, że chłopcu nic się nie stało, uśmiechnął się do księcia i wyszedł.

Federico usiadł przy synach. Wcześniej nie wykazał się bystrością, ale to nie znaczy, że cała sprawa ujdzie chłopcom na sucho.

- Paolo, Arturo, co ja wam tyle razy powtarzam?

- Że mamy się słuchać *signoriny* Fennini - odpowiedzili zgodnym szeptem.

- I co jeszcze?

- Nie... znikać... jej... z... oczu.

- No właśnie. - Federico skierował wzrok na starszego syna. - Ty nie usłuchałeś, prawda?

- Tak, tato. - Chłopczyk podniósł ciemnobrązowe oczy i jeszcze mocniej zacisnął paluszki na żołnierzyku, jakby się bał, że ojciec zaraz mu go odbierze. - Obiecuję, że już nigdy tego nie zrobię. Przysięgam!

- No, to trzymam was za słowo. - Księżę przygarnął do

siebie synów, po czym odwrócił się do Mony. - Wieczorem będę na uniwersytecie. W razie potrzeby proszę do mnie dzwonić na komórkę.

- Będę pilnować Artura - z przejęciem zapewnił Paolo.

- Paolo, niech każdy z was odpowiada za siebie. Twój brat obiecał, że będzie grzeczny. Dał mi słowo.

Wychodząc z pokoju, księżę poprawił po drodze stertę dziecięcych książeczek, przy drzwiach odwrócił się i jeszcze raz pomachał chłopcom na pożegnanie. Arturo stał przy lampie obok bujanego fotela i manewrował po jej krawędzi odzyskaną figurką, udając, że żołnierz wyskakuje z samolotu. Paolo, posługując się okazałych rozmiarów książeczką, próbował strącić ludzika z lampy.

A niania jeszcze mu w tym pomagała.

Federico potrząsnął głową. Ta lampa chyba nie doczeka wieczora. Zamknął za sobą drzwi. Przeszła mu ochota na dzisiejszą kolację. Najchętniej by się od niej wymówił i spędził resztę dnia z synami.

Pia Renati miała świętą rację. Obowiązkom poświęcał nieporównywalnie więcej czasu niż własnym dzieciom.

Ledwie wszedł do głównego holu, a od razu pojawiła się jego sekretarka. Idąc za nim krok w krok, bez żadnych wstępów zaczęła wyliczać czekające go w najbliższych dniach zajęcia. Federico słuchał jednym uchem. Gdyby Pia widziała go teraz. Łatwo się domyśleć, jaka byłaby jej reakcja. Spotkanie z przewodniczącym Związku Wędkarskiego, uroczyste przemówienie z okazji otwarcia nowego budynku rządowego...

Ta szczerza do bólu dziewczyna bez zająknięcia wytknę-

łaby księciu zaniedbania. Ciekawe, czy równie szybko znalazłaby właściwe rozwiązanie.

Federico bardzo w to wątpił.

- Minęły już dwa tygodnie i naprawdę nie wiem, czy jestem ci potrzebna. - Pia wyjęła butelkę wody z lodówki. - W pałacu jest mnóstwo ludzi, masz ich na każde skinienie. Obsługa jest chyba więcej niż w Białym Domu i na Downing Street razem.

- Nie zapominaj, że rodzina panująca jest bardzo liczna - odparła Jennifer. - Stąd tyle służby i ochrony. - Jennifer westchnęła i poruszyła palcami stóp.

Nawet w dziewiątym miesiącu ciąży wyglądała rewelacyjnie. Jej płomiennie włosy i porcelanowa cera przyciągały wzrok.

- Ale nie ma nikogo, kto poprawiłby księżnej poduszki pod nogami, tak? - przekornie zaśmiała się Pia. - Biedactwo.

- Sama widzisz. I co z tego, że tyle tu służby? Tylko tobie mogę się pożalić na spuchnięte kostki, ponarzekać, że nie mogę się stąd ruszyć. Przy tobie czuję się swobodnie.

- Nie wiem, czy mam to uznać za komplement.

Pia odkręciła korek butelki i popatrzyła na przyjaciółkę.

- To jest komplement - powiedziała z naciskiem Jennifer. - Jesteś moją przyjaciółką, w twoim towarzystwie czuję się dobrze. Ty traktujesz mnie jak zwykłego człowieka. Inni boją się nawet na mnie spojrzeć. Wiesz, naprawdę trudno mi się do tego przyzwyczaić.

Jennifer pochyliła się, by poprawić poduszkę pod stopami. Pia podała jej wodę.

- To nie jest Haffali, co? - zamyśliła się Pia. - Masz zrobione paznokcie, ułożone włosy i mimo spuchniętych kostek wyglądasz jak prawdziwa księżna. Nikt by nie uwierzył, że jeszcze nie tak dawno w pocie czoła harowałaś w obozie dla uchodźców.

Jennifer roześmiała się w głos.

- Masz rację, raczej nie. Ale wiesz co? Wprawdzie nie tęsknię za wojną, jednak chciałabym robić coś dla innych. Tego najbardziej mi brakuje. Czuję się zupełnie bezużyteczna.

Pia popatrzyła na zaokrąglony brzuch przyjaciółki.

- Teraz powinnaś myśleć przede wszystkim o sobie i o dziecku. Nie zrozum mnie źle. Bardzo nam ciebie brakowało, gdy opuściłaś obóz i wyszłaś za męża, w dodatku za księcia. - Pia zatoczyła ręką koło, wskazując na urządzone z przepychem prywatny apartament Jennifer i księcia Antonyego. - Ale dzięki funduszom, jakie ty i twój mąż zebraliście, studenci, którzy skorzystali ze sponsorowanego przez was programu, zrobili naprawdę wiele. Niektóre obozy zostały zamknięte kilka miesięcy wcześniej, niż planowano, bo można było przemieścić uchodźców. Nie wspomnę już o tym, co zrobiłaś dla mnie osobiście. Dzięki twojej rekomendacji mam nową pracę. Niedługo pojedę do Afryki nieść pomoc chorym na AIDS. A tobie należy się trochę oddechu, dość się napracowałaś. Teraz ciesz się życiem.

Jennifer nic nie odpowiedziała, więc Pia dorzuciła po chwili:

- Jeśli koniecznie chcesz działać, to wysił wyobraźnię i opracuj plan rozszerzenia programu stypendialnego.

To możesz zrobić równie dobrze w królewskim łożu, jak i w zardzewiałej przyczepie na Bałkanach.

- Super - mruknęła Jennifer, pociągając łyk wody. - Miło mieć świadomość, że choć wyglądam jak wieloryb, mogę się jeszcze na coś przydać.

Pukanie do drzwi przerwało rozmowę. Pia poszła otworzyć. Odebrała od ochroniarza stos listów i trzy paczki i wróciła z tym wszystkim do łóżka przyjaciółki.

- Nie wiem, jak dajesz sobie z tym radę - powiedziała, zrzucając ładunek na łóżko.

- Zwykle nie mam czasu - przyznała Jennifer, odwracając kopertę, by przeczytać adres nadawcy. - Większość korespondencji przegląda Sophie. Zaproszenia i takie tam typowe sprawy. Ale ja naprawdę mam już dość beczynności i dlatego od pewnego czasu sama czytam listy.

Pia przyniosła z biurka Jennifer srebrny nóż do papieru, prezent od Antony ego.

- Chyba mam dla ciebie zajęcie. - Jennifer zajrzała do jednej z paczek. - Zamówiłam ten aparat dla Antonyego, na prezent urodzinowy, no i zapomnieli go ładnie zapakować.

Księżna wyjęła z pudełka aparat i pokazała przyjaciółce.

- Dam mu w ten weekend. Ma przyjechać na jeden dzień, tuż przed wznowieniem rozmów. Ale pokój do pakowania prezentów jest w drugim skrzydle, za kuchnią. Nie pójdę tam, a jeśli poproszę kogoś z obsługi, od razu wszystko się rozniesie.

- Pokój do pakowania prezentów? - Pia położyła nóż na stercie kopert. - Żartujesz sobie ze mnie.

Jennifer podała jej aparat i wzruszyła ramionami.

- To jest szokujące, wiem. Ale chyba zrobisz to dla mnie, co?

- No jasne. Przecież po to tu jestem - odparła Pia, biorąc aparat. - Bardzo chętnie. Nie mogę tylko siedzieć i podawać ci chusteczki i wodę. W życiu nie leniuchowałam tyle, co teraz.

- Ja też nie - potwierdziła Jennifer. - Powtarzam sobie wciąż, że to dla dobra dziecka. Na szczęście to już nie potrwa długo. Mam za sobą trzydzieści sześć tygodni, zostały jeszcze cztery.

Pia wyszła z prywatnych apartamentów Jennifer i ruszyła w stronę szerokich marmurowych schodów, z rozkoszą wdychając zapach świeżo ściętej trawy wpadający przez otwarte okna z pałacowych ogrodów. Zrobiło się jej lekko na sercu. Dobrze, że choć na chwilę wyszła z sypialni Jennifer. Nareszcie trochę swobody.

Była bardzo związana z przyjaciółką, ale dwa ostatnie tygodnie dały jej nieźle w kość. Nie przywykła do beczynnego siedzenia w jednym miejscu. Starła się wyręczać Jennifer we wszystkim - podawała jej każdy drobiazg, czytała na głos, poprawiała poduszki. Wprawdzie Jennifer czuła się dobrze, ponieważ jednak kilka tygodni wcześniej miała niewielki krwotok, którego przyczyn nie udało się ustalić, lekarz zalecił kategorycznie, by do końca ciąży nie wstawiała z łóżka. Antony poparł stanowisko doktora, choć oznaczało to całkowite wyłączenie Jennifer z życia publicznego. Właśnie dlatego księżna nie towarzyszyła mężowi w podróży na Bliski Wschód.

Pia miała dość beczynności, ale jednocześnie zdawała sobie sprawę, że jej obecność wpływa kojąco na Jennifer. Z nią przyjaciółka nie czuła się tak osamotniona, zwłaszcza po wyjeździe Antonyego. A i księciu było z pewnością lżej na duszy, kiedy wiedział, że jego żona ma przy sobie przyjaciółkę. Poza tym w towarzystwie Pii Jennifer nie musiała pamiętać o etykiecie i ceremoniale. Mogła użalać się na ciężę i związane z nią niedogodności bez obaw, że rozjeździe się to po pałacu albo, co gorsza, stanie się pożywką dla mediów.

Ale ile można czytać czy gapić się w telewizor? Na początku miało to swój urok, jednak szybko stało się nudne. Pia coraz częściej uciekała myślami do Afryki, gdzie czekała na nią nowa praca, nowe wyzwanie. Gdy tylko Antony wróci do domu, a Jennifer szczęśliwie urodzi dziecko, Pia opuści gościnny pałac. Przeszła już przez wstępne rozmowy w amerykańskiej organizacji humanitarnej do walki z AIDS i została zakwalifikowana na wyjazd do Afryki. Jej zadaniem będzie dopracowanie projektu i nadzór nad zorganizowaniem trzech domów dla sierot po ofiarach AIDS. Musi znaleźć i zatrudnić odpowiednich ludzi. Wprawdzie przy rozszerzającej się w niebywałym tempie epidemii trzy domy nie rozwiążą dramatycznej sytuacji, jednak zawsze to już coś. Przynajmniej część dzieci znajdzie dach nad głową i dostanie szansę na przeżycie. Będą miały zapewnione jedzenie i dostęp do podstawowej edukacji. Nie wspominając już o duchowym wsparciu ze strony wolontariuszy.

Zanim ośrodki zostaną wybudowane, Pia wyruszy w trasę po Mozambiku, Afryce Południowej i Zimbabwie,

by prowadzić szkolenia dla kobiet na temat wirusa HIV. Nawet najbardziej podstawowe wiadomości mogą uchronić przed zarażeniem, a to oznacza, że wiele dzieci nie zostanie sierotami. Wprawdzie w Afryce nie będzie luksusów i przepychu jak w książęcym pałacu, ale świadomość wykonywania pracy użytecznej i przynoszącej wymierne efekty była wystarczającą nagrodą. Pia chciała pomagać nieszczęśliwym dzieciom i nieść pomoc ich rodzinom.

Schodziła wolno po wyłożonych czerwonym dywanem schodach i myślała o swojej sytuacji. Teraz miała wakacje, powinna o tym pamiętać i starać się jak najwięcej skorzystać, bo czas swobody i wypoczynku szybko minie i już wkrótce nie będzie miała okazji posiedzieć w wygodnym fotelu i pogawędzić beztrosko o niczym.

Minęła niewielki gabinet króla. Nie mogła się powstrzymać, by nie zerknąć do środka. Wiedziała od Jennifer, że w tym prywatnym pomieszczeniu król trzyma książki i rodzinne fotografie i często przesiaduje tu do późnej nocy, by zrelaksować się po ciężkim dniu.

Następnie minęła jeszcze cztery sale i pchnęła ciężkie dębowe drzwi do prywatnej jadalni, w której rodzina spotykała się na posiłkach. Oficjalna jadalnia królewska, gdzie przyjmowano głowy państw i wysokich dygnitarzy, znajdowała się w innym skrzydle pałacu, w pobliżu głównego wejścia.

Naraz panującą wokół ciszę przerwało bicie dzwonów największej katedry San Rimini. Dwunasta, samo południe. Pora lunchu. Jednak w jadalni nikogo nie było. Księżna Isabella i książę Nick w drodze powrotnej z podróży

poślubnej zatrzymali się w Nowym Jorku, by swą obecnością uświetnić uroczystość otwarcia wystawy prac artystów z San-Rirrini, a księżę Stefano i jego żona Amanda, przyjaciółka Jennifer, przebywali z dłuższą oficjalną wizytą w Wielkiej Brytanii. Sam król Eduardo, z wyjątkiem oficjalnych okazji, rzadko jadał poza swoimi apartamentami.

Pia naprawdę nie liczyła, że zobaczy siedzącego przy stole Federica, a jednak poczuła się rozczarowana.

Przez dwa tygodnie pobytu w pałacu ani razu go nie widziała. Spotkali się tylko raz, na lotnisku, a potem spędzili ze sobą zaledwie pół godziny w czasie jazdy do pałacu. Jednak nie mogła o nim zapomnieć. Daremnie starała się zająć myśli czymś innym, lekturą, planowaniem czekającej ją pracy. Ciągle miała przed oczami twarz księcia.

Rozejrzała się po jadalni. Federico zapewne jada z dziećmi u siebie. Jennifer też nie schodziła na posiłki. Jadalnia była piękna - ściany wykładane dębową boazerią, ozdobione cennymi tapiseriami, długi, masywny stół. Dla wielu to wnętrze mogłoby uchodzić za zbyt wystawne, ale dla mieszkańców pałacu było pomieszczeniem codziennego użytku. Tu mogli czuć się swobodnie, tu nie obowiązywały oficjalne stroje.

Gdyby jej podopieczni z obozów ujrzeli tę salę! A co dopiero, gdyby przyszło im zasiąść tutaj do stołu! Zresztą ona sama dopiero zaczynała oswajać się z pałacowym przepychem. Nie od razu poczuła się dobrze w eleganckich apartamentach Jennifer i Antonyego, choć Jennifer twierdziła, że wprowadziła wiele zmian, by nieco stonować ich przepych.

Pia przez moment zastanawiała się, jak wyglądają apartamenty Federica. Z pewnością są utrzymane w bardzo oficjalnym stylu. To pasowało i do księcia, i do jego zmarłej żony. Bogate tkaniny, starannie poukładane zabawki, pieczołowicie wyeksponowane cenne prezenty *od* głów państw i dygnitarzy, ogromne łóżce z kosztowną jedwabną bielizną...

Szybko odepchnęła od siebie te myśli. Ciekawe, czy Federico nie miał problemu z przystosowaniem się do takiej scenerii. Wprawdzie wychował się w pałacu, jednak wiele czasu spędzał w podróży, reprezentując kraj na arenie międzynarodowej. Prowadził bardzo intensywny tryb życia: ciągłe spotkania, konferencje, rauty, bale charytatywne. Poznał życie ze wszystkich stron. Bywał w krajach dramatycznie zmagających się z nędzą i w światowych supermocarstwach. Odwiedzał walące się szpitale, widywał nędzarzy i osierocone dzieci, a także światowych przywódców zasiadających w kapiących od przepychu gabinetach i pływających się w luksusie, których od świata upokorzenia i nędzy dzieliła odległość paru kilometrów.

Po śmierci żony Federico znacznie ograniczył obowiązki reprezentacyjne. Starał się jak najwięcej czasu poświęcać synom. Rzadko wyjeżdżał, zazwyczaj przebywał w pałacu. Pewnie też trochę go to męczyło, podobnie jak Pię.

Tylko że ona wkrótce stąd wyjedzie. Federico był w zupełnie innej sytuacji.

- Przestań zawracać sobie nim głowę - przykazała sobie na głos, mijając jadalnię i kierując się do kuchni. Jednak wciąż miała przed oczami twarz przystojnego księcia.

Jak to możliwe, że ktoś, z kim zetknęła się tylko przelotnie, tak opanował jej myśli?

To z powodu nudy. Gdy tylko zajmie się pracą, od razu o nim zapomni.

Pia weszła do kuchni. Jeden z kucharzy wskazał jej drzwi prowadzące do dawnej piwnicy z winami, teraz służącej za pokój do pakowania prezentów. Podczas remontu wybudowano nową piwnicę, a starą odświeżono. Panował tu chłód, nie było okien, a podłoga była wyłożona piękną terakotą.

Większość miejsca zajmował ogromny metalowy stół. Na ścianie umocowano szpule z kolorowymi wstążkami, a po bokach, gdzie wcześniej były przechowywane wina, teraz ułożono rolki różnobarwnych papierów. Nie brakowało taśm, kokard i kolorowych torebek. Na każdej półce znajdowały się nożyczki i nóż do papieru. W osobnej przegrodce leżały eleganckie karnety i koperty ozdobione królewskim herbem. W kosztownym pojemniku umieszczono cenne wieczne pióra.

Pię dosłownie замуrowało z wrażenia.

Położyła aparat i zaczęła przeglądać papiery. Wybrała niebiesko-srebrną kratkę. To będzie odpowiedni deseń. Zastanowiła się, jak umieścić rolkę, by równo odciąć odpowiedni kawałek, po czym nałożyła ją na szpulę.

- Odwrotną stroną, pani Renati.

Pia podskoczyła. Niewiele brakowało, by skaleczyła się ostrzem.

-Och, Wasza Wysokość. Nie usłyszałam, jak książkę wszedł.

Stojący na progu Federico uśmiechnął się. Uprzejmie i oficjalnie. Podszedł bliżej i przełożył rolkę.

- W ten sposób będzie równe cięcie. - Zmarszczył brwi.

- Dobrze powiedziałem po angielsku?

- Jak najbardziej, Wasza Wysokość.

Federico skinął głową, jakby zadowolony z siebie. Już miał odciąć papier, gdy nagle znieruchomiał.

- To dla księżnej Jennifer?

- Nie, to prezent dla księcia Antonyego. Księżna prosiła, bym go zapakowała.

- Wybrała pani odpowiedni wzór.

Federico odciął papier.

- Nie chciałabym być wścibska, Wasza Wysokość...

- Pani Renati, proszę. Jest pani gościem naszego domu i wszystko wskazuje, że pobędzie tu pani jeszcze kilka tygodni. Proszę czuć się swobodnie. Proszę zwracać się do mnie po imieniu. Federico.

- Dobrze, Federico - zgodziła się Pia, choć nadal nie potrafiła się rozluźnić. W dodatku książe wciąż był bardzo oficjalny. Ale skoro nalega, to proszę bardzo.

Poza tym jego imię wymawia się bardzo przyjemnie. Federico - ładnie brzmi i kojarzy się z siłą, z męskością. Idealnie pasowało do stojącego obok mężczyzny.

- Zastanawia mnie, co tutaj robisz - ciągnęła. - Chyba rzadko zaglądasz do tej części pałacu.

Książe uśmiechnął się, jakby nieco rozbawiony. Zrobiło jej się ciepło na sercu.

- To prawda. Ale mam prezent dla księżnej Jennifer. - Federico wskazał na drugi koniec stołu.

Pia dopiero teraz uświadomiła sobie, że książkę wchodząc, położył tam książkę. Przeczytała tytuł i jej oczy zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

- „Pierwszy rok życia dziecka. Poradnik supermamy” - przeczytała na głos.

- Przywiozłem tę książkę ze Stanów, kilka lat temu. Może spodoba się księżnej.

Pia popatrzyła na niego dziwnie.

- Nie rozumiem. Kilka lat temu Jennifer nie była w ciąży.

- Nie. - Federico zawahał się. - No, to wyznam ci pewną tajemnicę.

Pia uniosła brwi.

- Kupiłem tę książkę dla Lucrezii, gdy była w ciąży z Arturem, ale jakoś nigdy nie znalazła czasu, żeby ją przeczytać. Chciałem kupić taką samą dla Jennifer, ale w San Rimi ni jej nie mieli, więc... - Federico podniósł ręce. - Chyba mnie przyłapałaś.

Pia popatrzyła na książkę, potem na księcia. Uśmiechnęła się.

- Prezent przechodni? W Ameryce to ostatnio bardzo popularne.

Federico popatrzył na nią zaskoczony.

- Naprawdę? To się zdarza?

Pia powstrzymywała się od śmiechu.

- Oczywiście. Nie ma się czym przejmować, Jennifer będzie zachwycona.

- Nie wydasz mnie?

Pia z powagą podniosła dłoń.

- Obiecuję.

- Dziękuję. - Książę odwrócił się i popatrzył na kolorowe papiery, szukając właściwego wzoru.

Pia skorzystała z okazji, by mu się przyjrzeć. Był pięknym, postawnym mężczyzną, ale nie tylko. Kupił dla żony ten poradnik, a teraz chciał kupić taki sam dla Jennifer. Aż trudno w to uwierzyć.

- Pani Renati?

Pia oderwała wzrok od książki.

- Pia, proszę.

- Dobrze, Pia. Mogłabyś mi pomóc wybrać papier? Znam nieźle gust brata, ale księżnej nieco gorzej.

- Z przyjemnością.

Pia popatrzyła na niezliczone rolki i wyciągnęła stonowany beżowy papier w roślinny wzór.

- A może taki? - Federico wskazał na różowe owieczki i żółte króliczki na błękitnym tle.

Pia skrzywiła się tylko.

- Ten będzie dobry, kiedy na świecie pojawi się już dzi-dzius. A to prezent dla Jennifer. Opakowanie powinno być eleganckie.

- Mam szczęście, że cię tu spotkałem. Dopiero bym się wygłupił.

Pia położyła rękę na jego ramieniu.

- Nie. Większość mężczyzn na twoim miejscu nawet by nie pomyślała, by kupić kobiecie taki praktyczny prezent, a co dopiero osobiście go zapakować. To naprawdę urocze.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nagle Pia uświadomiła sobie, że wciąż dotyka ramienia księcia. Pośpiesznie cofnęła rękę. Zrobiła krok do tyłu, by nie widzieć jego spojrzenia, po czym zdjęła z półki rolkę beżowego papieru i podała ją Federicowi.

W milczeniu pakowali prezenty, a ciszę przerywał jedynie szelest papieru.

Co jej strzeliło do głowy, by pozwolić sobie na taki bezpośredni gest? Wprawdzie trwało to mgnienie oka, ale nawet przez materiał wykrochmalonej niebieskiej koszuli poczuła twarde mięśnie pod napiętą skórą. Poszła za głosem instynktu. Bez zastanowienia, impulsywnie dotknęła ramienia księcia, by w ten sposób okazać mu wsparcie. Zwyczajny ludzki gest, jakim przez lata podtrzymywała na duchu setki uchodźców. Ale teraz po raz pierwszy odebrała go inaczej, osobiście. Już sama myśl o tym budziła w niej niepokój.

- Skończone. - Federico podniósł swój prezent. - Czy biała kokardka będzie pasować?

Pia potwierdziła skinieniem głowy. Federico odwrócił się i zaczął wybierać kokardę. Pia też kończyła pakować

aparatu. Przykleiła ostatni kawałek taśmy, gdy nagle obok niej coś przemknęło. Podniosła wzrok. To księżę popchnął w jej stronę okazałą niebieską kokardę.

- Myślę, że to mu się spodoba.

Pia wypuściła powietrze. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo była spięta.

- Dziękuję. Doskonale pasuje.

Oderwała kawałek taśmy i przykleiła kokardę.

- Widzisz, sam doskonale wiesz, co robić. Nie jestem ci wcale potrzebna.

- Pozwolę sobie mieć inne zdanie.

Popatrzyła na niego, chcąc odpowiedzieć, ale nie odezwała się. W jego oczach spostrzegła coś nowego. Czyżby z nią flirtował?

Federico pchnął drzwi do kuchni. Kucharze przygadywali sobie wesoło, w tle szumiała zmywarka. Chwila magii minęła.

- Zaniesiemy prezenty księżnej? - Federico przytrzymał drzwi, przepuszczając ją przodem.

- Tak, oczywiście. - Pia wzięła paczuszkę i wyszła. Minęli kuchnię i jadalnię. Po drodze księżę opowiadał o kolejnych salach, ich historii i zgromadzonych w nich dziełach sztuki. Słuchała go uważnie, starając się nie myśleć o tym, jak wspaniale wygląda w tej niebieskiej koszuli, jak przyjemnie pachnie i jak miło brzmi jego głos. Opisywał jej swój rodzinny dom, a ona czuła się niemal tak, jakby sama się tu wychowała.

Wdowiec z dwójką dzieci, upomniała się w duchu. Odpada pod każdym względem. Nawet jeśli jest wspaniały.

Nagle na piętrze, gdzieś niedaleko, rozległ się tupot małych nóżek i roześmiane dziecięce głosy. Jakby sprowokowała je swymi myślami. Federico spochmurniał. Pia domyśliła się, że dzieciom nie wolno się bawić na korytarzu.

Federico nie przyśpieszył kroku.

- To moi synowie, Arturo i Paolo - powiedział spokojnie. - Chyba będziesz miała sposobność ich poznać.

- Sądząc po głosach, dobrze się bawią.

- Na to wygląda - odparł książę ze spokojem.

Jednak jego posępna mina nie wróżyła niczego dobrego. Pia za nic nie chciałaby teraz znaleźć się na miejscu niani chłopców.

Szli po schodach na piętro i Pia weszła właśnie na ostatni stopień, gdy nagle coś śmignęło w powietrzu. Pia poczuła nagły ból w skroni. Odruchowo położyła dłoń na czole, palcami badając skórę. Tupot dziecięcych nóżek gwałtownie ucichł.

U jej stóp leżał ręcznie rzeźbiony bumerang. Federico pochylił się, by go podnieść, i spojrzał na Pię.

- Jesteś ranna! - Pośpiesznie wyjął z kieszeni śnieżnobiałą, wykrochmaloną chusteczkę i przycisnął ją do skroni dziewczyny.

Poprowadził Pię do wyściełanego antycznego fotela stojącego pod szerokim oknem.

- Nic mi nie jest - wykrztusiła.

Przez ostatnie lata nieraz porządnie ucierpiała. Teraz nic szczególnego się nie stało. Nie zrobiło się jej słabo, nie miała zawrotów głowy. Sięgnęła do skroni, by przytrzymać

chusteczkę, i dopiero wtedy zauważyła, że chusteczka jest przesiąknięta krwią.

Usłyszała przerażony krzyk dziecka. Odwróciła się i zobaczyła dwóch małych chłopców. Obaj mieli brązowe oczy, zupełnie niepodobne do błękitnych oczu ojca. Za to ich karnacja, rysy twarzy i ciemne włosy były identyczne jak u Federica.

Młodszy chłopiec, widząc spojrzenie Pii, wygiął usta w podkówkę. Resztką sił powstrzymywał łzy. Był to tak żaloszny widok, że aż ścisnęło się serce. Starszy stał za nim, z niepokojem czekając na reakcję ojca.

Jednak gdy Pia popatrzyła na niego, zrobił krok do przodu. Widziała, że malec zbiera się na odwagę.

- *Mi dispiace, signorina*. Mam nadzieję, że to zbytnio nie boli. - Przeniósł spojrzenie na Federica. - Tato, ja nie chciałem.

Federico zgromił syna wzrokiem.

- Arturo, gdzie jest *signorina* Fennini?

- Tu jestem, Wasza Wysokość! - rozległ się głos niani. Dziewczyna nadbiegła zdyszana, z trudem łapiąc powietrze. Minę miała podobnie spłoszoną jak chłopcy. - Strasznie przepraszam, ale...

- Proszę natychmiast wezwać mojego kierowcę. Muszę jak najszybciej odwieźć panią Renati do szpitala.

Federico chyba usłyszał nieśmiały protest Pii, bo odwrócił się do niej i powiedział:

- W pałacu jest lekarz, ale nie obejdzie się bez szycia, dlatego musimy pojechać do szpitala. Inaczej mogłaby zostać blizna - wyjaśnił.

Oczywiście przesadzał. Przecież nic takiego się nie stało.
Po co od razu do szpitala?

- Naprawdę nie trzeba...

- Już dzwonię! - poderwała się niania.

- *Signorina* Fennini?

Niania odwróciła się i popatrzyła na księcia z lękiem.

Pii naprawdę było szczerze żal dziewczyny.

- Jak już pani wezwie kierowcę, proszę zadzwonić do mojej sekretarki i opowiedzieć jej o wszystkim. Niech znajdzie kogoś do dzieci na dzisiejszy wieczór.

Pia popatrzyła na zmieszaną minę niani i stanowczą twarz Federica. Klamka zapadła, domyśliła się. Zwalnia ją. Nie odezwała się ani słowem, ale serdecznie współczuła dziewczynie.

Nagle ogarnęło ją przejmujące poczucie, że już kiedyś czegoś podobnego doświadczyła. Ile miała lat, gdy po raz pierwszy pracowała jako opiekunka do dzieci? Chyba nie więcej niż ta dziewczyna. Jej praca też miała przykry finał. Długo nie mogła się po tym pozbierać.

Gdy niania odeszła, Pia puściła oko do chłopców. Głowa pulsowała bólem, ale starała się nie zwracać na to uwagi.

- Nie przejmujcie się. Wypadki chodzą po ludziach. Nic takiego się nie stało. - Miała nadzieję, że jej przesłanie dotrze też do księcia. Może da dziewczynie jeszcze jedną szansę.

Chłopcy nadal mieli posępne buzie. Pia wyciągnęła rękę, napięła mięśnie.

- Widzicie, jaka jestem silna? To tylko lekkie draśnięcie, nic poważnego.

Starszy chłopiec, Arturo, wbił wzrok w swoje buciki, ale na jego buzi pojawił się nieśmiały uśmiech.

- Jestem Pia Renati - powiedziała. - A ty jak masz na imię? - zwróciła się do młodszego chłopca.

- Paolo.

- Paolo. To jedno z moich ulubionych imion. Mój tata nazywał się Paolo. Mój ulubiony kuzyn, Angelo, na drugie imię też ma Paolo.

Arturo podniósł głowę, a jego twarz się rozjaśniła.

- Wicehrabia Renati? To przyjaciel mojego wujka Antonyego.

- On jest bardzo fajny - wyszeptał Paolo. - Posłał cioci Jennifer piękne kwiaty. Powiedział nam, że teraz w jej brzuszku rośnie dzidzius.

Pia uśmiechnęła się, choć głowa bolała coraz bardziej.

- To rzeczywiście pasuje do Angela.

Federico zamruczał coś niezrozumiałego.

Z Angelem nie utrzymywała szczególnie bliskich kontaktów, za bardzo się od siebie różnili, a i Federico, sądząc po tym pełnym dezaprobaty odgłosie, raczej nie był do niego dobrze usposobiony. Nic dziwnego. Angelo miał opinię lekkoducha i kobieciarza, a obecność fotoreporterów tylko dodawała mu skrzydeł. Pewnie dlatego Federico zachowywał się w stosunku do niej z taką rezerwą. Zapewne obawia się, że dyskrecja nie jest jej mocną stroną.

Angelo lubił być na świeczniku, ale jednego Pia mogła być pewna - za nic nie zdradziłby reporterom sekretów rodziny królewskiej. Szanował ją i poważał. I wysoko cenił sobie przyjaźń z Antonym. Może powinna szepnąć Jenni-

fer, by przy okazji wyjaśniła to szwagrowi. Przynajmniej jeden kamień spadłby mu z serca.

To wyszłoby mu na dobre, bo teraz naprawdę się nią przejął. Badawczo popatrzył na jej rozcięte czoło.

- Federico, nie jest tak źle - pocieszyła go, przyciskając chusteczkę do czoła. - Przy ranach głowy zawsze jest dużo krwi. Co nie znaczy, że to coś poważnego.

Księżę surowo popatrzył na synów.

- Nie powinni rzucać bumerangiem na korytarzu.

- Celowałeś w okno, prawda, Arturo? - zażartowała Pia.

- Jest otwarte. To prawie tak, jakby się było na dworze.

Arturo nakrył rączką buzię, by ojciec nie zobaczył jego uśmiechu. Pia odetchnęła lżej. Chłopczyk wreszcie trochę się rozluźnił. Jednak Paolo nadal wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami.

- Paolo, mógłbyś coś dla mnie zrobić? Wyjrzyj przez okno i powiedz, czy samochód taty już przyjechał.

Paolo podszedł do okna i wspiał się na palce, by lepiej widzieć.

- Nie, jeszcze go nie ma. - Popatrzył przez ramię i nieśmiało uśmiechnął się do Pii. - Ale widzę dziadka.

Kilka sekund później król Eduardo stanął na szczycie schodów. Najwyraźniej zakończył na dzisiaj urzędowe spotkania, bo był w jasnobezowych spodniach i czarnej koszuli. W tym stroju wcale nie wyglądał na swoje pięćdziesiąt kilka lat. Uważnym spojrzeniem ogarnął chłopców, bumerang i siedzącą pod oknem Pię. Szybko ocenił sytuację. Skinął na wnuków.

Jest urodzonym przywódcą, pomyślała Pia mimowolnie.

Czuła, że powinna wstać, ale król powstrzymał ją ruchem dłoni.

- Proszę nie wstawać. Jest pani ranna, nie ma co bawić się w etykietę. - Przeniósł wzrok na Federica. - Zawozisz panią do szpitala?

-Tak

Nawet gdyby nie znała jego twarzy widniejącej na zdjęciach w gazetach i na tutejszych monetach, od razu wiedziałaby, że ma do czynienia z królem. Jego sposób bycia nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości.

- Na dzisiaj skończyłem już oficjalne zajęcia. - Król popatrzył na syna. - Mogę zająć się chłopcami. Zaprowadzę ich do zbrojowni. To będzie dla nich ciekawe, a przy okazji dowiedzą się trochę o średniowiecznej historii San Rimini.

- Dziękuję, tato. Bardzo dziękuję. - Federico wskazał na sąsiednie krzesło, na którym położył zapakowane prezenty. - Mógłbyś odnieść to księżnej Jennifer i powiedzieć jej, co się stało?

- Oczywiście.

Król wręczył każdemu z chłopców po jednej paczuszce i zwrócił się do Pii:

- Czy podczas pani nieobecności księżnej nie będzie ktoś potrzebny? Mogę to załatwić.

Pia pokręciła głową. W skroniach pulsował ból.

- Raczej nie, Najjaśniejszy Panie. Księżnej zależy na zachowaniu prywatności. A ja będę z powrotem tak szybko, jak tylko to będzie możliwe.

Król przeprosił za zachowanie wnuków i życzył szyb-

kiego powrotu do zdrowia po czym zabrał chłopców i powoli odszedł.

- Dziękuję za wyrozumiałość - odezwał się Federico, gdy król i księżęta zniknęli z pola widzenia.

Pia widziała, że mówi szczerze.

- Masz wspaniałe podejście do dzieci.

Zbagatelizowała komplement.

-To sprawa doświadczenia, przychodzi z czasem.

W obozach miałam do czynienia z wieloma dziećmi.

Już dawno się przekonała, że kilka ciepłych słów może działać cuda. Nieważne, czy chodzi o dziecko żyjące w koszmarnych warunkach czy w królewskim pałacu. To nie ma nic wspólnego z „dobrym podejściem”. I nie wytrzymuje żadnego porównania z codzienną troską rodziców. Jednak nie zamierzała tego mówić Federicowi. Był dla niej taki miły i taki delikatny.

Za oknem zachrząścił żwir na podjeździe. Federico wyrzwał na dwór, by upewnić się, że samochód podjechał, po czym wziął Pię na rękę.

- Wasza Wysokość...

- Federico.

- Federico... naprawdę nie musisz mnie nieść. Dam radę iść. W dodatku pobrudzę ci koszulę.

Federico trzymał ją mocno.

- To nie jest moja jedyna koszula. Weź mnie za szyję. Nie chciałbym cię upuścić na schodach. To bym się dopiero popisał. Przebiłbym własnych synów.

Pia posłusznie objęła go ramieniem. Prawdę mówiąc to, co zrobili jego synowie, wcale nie było takie złe.

Tłum reporterów czekających przed szpitalem naprawdę go zaskoczył.

Co wiedzieli? Że zwolnił opiekunkę, trzecią w ciągu roku? Że przebywająca w gościnie znajoma rodziny została ranna, a przyczynili się do tego jego synowie? I w dodatku sam się wystawia na widok publiczny. Księżę wynoszący ze szpitala śliczną blondynkę, którą przywiózł własną limuzyną. To dopiero news!

Jęknął w duchu. Jego reputacja idealnego księcia i cierpiącego wdowca jak nic zostanie nadwreżona.

Podniósł roletę, by lepiej ocenić sytuację.

Muszą wymknąć się tylnym wyjściem. Oby tylko tam na nich nie czekali. Jeśli prasa zacznie snuć domysły na temat ewentualnych związków między nim i Pią, to dopiero się zacznie. Całymi tygodniami będą szukać najmniejszych punktów zaczepienia. Nie dość, że dziewczyna znajdzie się w niezręcznej sytuacji, to bardzo prawdopodobne, że z czasem wyjdzie na jaw fakt zagrożonej ciąży Jennifer.

A to dopiero będzie nowina! W dodatku o dalekosiężnych i trudnych do przewidzenia skutkach. To mogłoby się odbić na rokowaniach, w których Antony jest mediatorem.

Federico odwrócił się od okna. Lekarz założył już Pii opatrunek. Rana na szczęście okazała się mniej groźna, niż można było przypuszczać. Skończyło się na założeniu trzech czy czterech szwów.

Mimo to Federica nadal nie opuszczało poczucie winy, choć Pia starała się bagatelizować zdarzenie, a nawet po-

cieszyć chłopców. Był dla niej pełen podziwu. Uspokoila zdenerwowane dzieci, podniosla je na duchu. Teraz zaczynała rozumieć, co czuli jego rodzice, gdy jeszcze w przedszkolu Stefano pobit się z dwójką innych chłopców i sprawa dostala się do gazet.

Nie sprawdzil się jako rodzic. Dopuscil do sytuacji, że jego synowie pozostali bez kontroli, a w dodatku ktoś przez nich ucierpiat.

Lekarz zwrócił się do księcia:

- Według mnie pacjentka szybko dojdzie do zdrowia, Wasza Wysokość.

- *Grazie*. Dziękuję za pomoc. Rachunek proszę przysłać do pałacu. Pani Renati nie może być obciążona.

Pia zaczęła oponować, ale Federico uciszył ją podniesieniem dłoni.

- Proszę. Przynajmniej to mogę zrobić.

Doktor skinął głową i wyszedł. Pia błagalnie popatrzyła na księcia.

- Mam ubezpieczenie.

- Ten wypadek to moja wina. Nie ma mowy, bym pozwolił ci wyklócać się z ubezpieczycielem. Ty zajmij się swoim zdrowiem.

Pia westchnęła.

- Nie ma czym się zajmować. Nic takiego się nie stało. Poza tym to nie twoja wina. To przecież tylko dzieci. Takie rzeczy mogą się przytrafić każdemu dziecku.

- Nie moim.

Pia zgrabnie zeskoczyła ze stołu, na którym lekarz zakładał jej szwy.

- Nie obraż się, ale dzieci to dzieci. Z królewskiej rodziny czy nie, wszystkim zdarzają się wypadki.

Federico głośno wypuścił powietrze.

- Masz rację. Staram się być wyrozumiały, jednak tak się składa, że moich synów obowiązują inne standardy. Im wcześniej to do nich dotrze, tym łatwiej im będzie w przyszłości. Jako dziecko doświadczyłem tego samego.

Pia położyła rękę na jego dłoni. Miała miłą, ciepłą skórę.

- Musiało ci być ciężko. Być ciągle pod ostrzałem.

- Może i tak. - Federico popatrzył na jej palce. Miło było czuć dotyk jej miękkiej dłoni i mieć świadomość, że niczego od niego nie chce. - Jednak przyswoiłem sobie odpowiednie zachowania. Nie miałem wyboru.

Urodzenie zdeterminowało nie tylko jego dzieciństwo, ale całe życie. Przyczyniło się do zawarcia małżeństwa z Lucrezią, ma wpływ na sposób, w jaki wychowuje swoje dzieci, określa jego relacje z ludźmi.

Starał się ukryć wrażenie, jakie wywierał na nim lekki, niemal pieszczotliwy dotyk jej palców. Pia chciała go tylko uspokoić, wyciszyć, ale on szybko by się przyzwyczaił do takich gestów.

Kiedy ostatnio miał bliższy kontakt z kobietą? Tylko z Lucrezią. Zresztą to było coś innego. Lucrezię wybrali mu rodzice. Nie była kimś, kto niespodziewanie stanął na jego drodze, niczego od niego nie chcąc, ofiarując mu przyjaźń i wsparcie.

Impulsywny gest Pii niezwykle go poruszył. Nagle spojrział na nią jakby innymi oczami. Zauważył jasną, piegow-

tą twarz, bezpretensjonalny sposób bycia. Przez mgnienie oka zastanawiał się, jak by to było, gdyby wziął ją w ramiona i pocałował. Co by zrobiła? Odepchnęłaby go? Wpadłaby w panikę?

A może odwzajemniłaby pocałunek?

Federico przełknął ślinę. Nie powinien myśleć o Pii, a zwłaszcza o pocałunkach z nią. Miło było z nią pogadać, to urocza i atrakcyjna dziewczyna, a w dodatku ma doskonały kontakt z jego dziećmi, jednak nie wolno mu zapominać o swoim posłannictwie, o roli, jaka przypadła mu w udziale. Wszelkie znajomości, co do których opinia publiczna mogłaby mieć choć cień podejrzenia, były absolutnie niedopuszczalne. I nie chodziło bynajmniej o niego, choć już raz się sparzył, biorąc przyjaźń za miłość. Chodziło o dobro publiczne.

Pia chyba wyczuła jego rozterki, bo przez chwilę milczała. Powoli cofnęła rękę, ale nadal patrzyła mu prosto w oczy.

- Przepraszam, że mieszam się w nie swoje sprawy, ale nie gniewaj się na nianię. To nie jej wina, że nie zdążyłam się uchylić. Nie zwalniam jej.

Pielęgniarka przechodząca korytarzem ciekawie zerknęła do środka. Federico od razu stał się czujny. Wstał i gestem dał znać Pii, by szła do wyjścia.

- Chodźmy.

Ruszyli pustym korytarzem.

Federico wrócił do przerwanej rozmowy.

- Nie martw się o opiekunkę. Po pierwsze, trudno się spodziewać, że po pałacowym korytarzu śmigają bume-

rangi. Po drugie, to nie jest pierwszy incydent. Dlatego nie rób sobie wyrzutów. To nie twoja wina.

Chciał jeszcze coś dodać, ale zbliżyli się do stanowiska pielęgniarek. Federico obiecał lekarzowi, że przywita się z nimi. Takie kontakty z poddanymi były dla niego czymś naturalnym i oczywistym, ale teraz po raz pierwszy nie miał na nie ochoty.

Chciał rozmawiać z Pią. Zapewnić ją, że nie postępuje pochopnie, bo niania już dawno przeciągnęła strunę. Przekonać, że stara się być tolerancyjny dla synów. Zresztą czy ona sama nie widzi, jak bardzo ich kocha? Nie wie, że jest gotów oddać za nich życie?

Przez kilka minut gawędził z pielęgniarkami. Odetchnął z ulgą na widok podchodzącego szofera. Wreszcie mogli wracać do pałacu.

- Obawiam się, że nie uda nam się dyskretnie wyjść - powiedział kierowca, starszy pan po sześćdziesiątce, który pracował dla rodziny królewskiej od czasów, gdy Federico był małym chłopcem. Poprowadził ich do korytarza dla personelu. - Przy wszystkich wyjściach czatują hordy reporterów.

- Podjedź od frontu - zaproponował Federico. - Skoro nie możemy wymknąć się niezauważenie, trzeba wyjść im naprzeciw i odpowiedzieć na pytania. Tylko bądź w pobliżu i miej włączony silnik.

Szofer skinął głową i ruszył przodem.

- Ja chyba nie będę musiała rozmawiać z reporterami?
- przeraziła się Pia. - Nie jestem w tym dobra. I nie mam pojęcia, co powiedzieć. W dodatku kiepsko się prezentuje, tylko popatrz!

- Dziennikarze rzucają się na mnie. Trzymaj się z tyłu, a dadzą ci spokój. - Federico uśmiechnął się. - Gdyby tak się nie stało, nie przejmuj się. Wyglądasz bardzo dobrze.

- Szkoda, że nie mam lusterka - denerwowała się Pia.

- Na pewno mam rozmazany tusz i...

- Przestań. - Książę obrócił ją do siebie i popatrzył na jej twarz. Zimne fluorescencyjne światło nadawało jej żółtawy koloryt, ale to nie umniejszało urody Pii. Burza jasnych włosów wyglądała urzekająco. Federico strzepnął ze swetra Pii biały kłaczek gazy, odgarnął za ucho pasmo włosów. - Tusz wcale się nie rozmazał. Masz może szminkę?

- Niestety. W ogóle nie mam torebki. Wyglądam blado, prawda?

Federico uśmiechnął się, by dodać jej otuchy.

- Zapewniam cię, że nie. Pytałem o pomadkę, bo odciągnęłaby uwagę od bandaża na czole.

- Jest aż tak źle?

- Nie. Powiem ci, że... - Przesunął koniuszkiem palca po brzegu białej gazy. - Jak na kobietę, której przed chwilą założono szwy, wyglądasz rewelacyjnie.

Federico mówił szczerze. Większość kobiet na jej miejscu byłaby załamana, słysząc, że czeka na nich gromada reporterów, ale Pia była inna. Miała w sobie wewnętrzną siłę i wiarę. To mu się podobało. Był pewien, że ona nie wpada w histerię, nie dramatyzuje.

Zupełnie nie przypominała wyfiokowanych pańienek bywających na pałacowych imprezach, które za wszelką cenę próbowały nawiązać z nim kontakt, by w ten sposób się wybić.

- Różnie to można rozumieć. - Poczul na twarzy tchnienie jej oddechu i owionął go owocowy zapach szamponu.

- Ale skoro uważasz, że wyglądam dobrze, to wierzę ci na słowo.

- I słusznie.

- Za to ty masz krew na koszuli.

- Już ci mówiłem, to nie jest moja jedyna koszula. Mam nadzieję, że na zdjęciach tej plamy nie będzie widać.

Federico pochylił się i musnął ustami jej czoło, tuż poniżej bandaża. Miał to być krótki pocałunek, taki dla dodania odwagi przed spotkaniem z reporterami, a jednak gdy usta Fedrica dotknęły miękkiej skóry Pii, a na twarzy poczuł muśnięcie jej włosów, zamknął oczy i rozkoszował się cudowną chwilą.

Nagle usłyszał głębokie westchnienie, a palce Pii delikatnie dotknęły jego piersi. W tym momencie jego starannie ułożony życiowy plan rozsypał się jak domek z kart.

ROZDZIAŁ CZWARTY

A więc to tak wygląda, gdy pokusa okazuje się silniejsza od rozumu.

Kiedy ich usta się spotkały, z piersi Pii wyrwało się ciche westchnienie. Federico chciał, by pocałunek trwał w nieskończoność. Ciepło i bliskość Pii, i z trudem powstrzymywana, a jednak wyczuwalna żarliwość uwodziły go, odrzucały. Musiał jednak pamiętać, że są granice, których nie wolno mu przekroczyć.

Odsunął się, choć w głębi duszy wiedział, że za późno. Niewinny pocałunek zburzył porządek jego świata. Federico po raz pierwszy w życiu poszedł za głosem instynktu, za głosem swojego ciała. Pia była zwyczajną dziewczyną, która nie wyciąga odruchowo ręki, by pomóc jej wsiąść do limuzyny, protestuje, gdy bierze ją na ręce, która z pewnością woli dresowe spodnie od eleganckich spódniczek i przemawia do jego dzieci, jakby doskonale je rozumiała. Całując ją, odrzucał wszystko, co dotychczas najbardziej się dla niego liczyło - zasady i zdrowy rozsądek. Od dziecka uczono go, że musi powściągać emocje, opierać się pokusom. Dla członka

rodziny królewskiej, który miał do spełnienia dziejową misję wynikającą z urodzenia, Pia była osobą znajdującą się poza kręgiem zainteresowań.

A jednak był teraz z nią, przez tę krótką, wyjątkową chwilę, gdy nie towarzyszyły mu kamery, wysocy urzędnicy czy surowe spojrzenie ojca.

Ile by dał, by zatrzymać tę chwilę! Odgarnął dłońmi jasne pasma zasłaniające jej twarz i popatrzył w oczy Pii zamglone tęsknotą.

Odczuwał dzikie pragnienie, by przygarnąć ją do siebie jeszcze bliżej i jeszcze raz poczuć smak jej ust.

Opanował się. Już samo odkrycie, jak bardzo tego pragnie, było dla niego szokiem. Nie mógł tego zrobić, nie wolno mu się zapomnieć. Ryzyko było zbyt duże. Gdyby prasa się o tym dowiedziała... Musiał dochować wierności wizerunkowi idealnego księcia, wzorowego członka królewskiego rodu, inaczej ucierpi na tym i Pia, i jego rodzina, i cały kraj.

Nie mógł jej pocałować.

- Pia - odezwał się cicho, przerywając ciszę pustego korytarza. - Ja...

Zapomniał, co chciał powiedzieć, bo jej palce dotknęły górnego guzika jego koszuli.

- Co robisz?

Popatrzyła mu prosto w oczy. Jeszcze nigdy dotąd nie czuł takiej głębokiej więzi i porozumienia z innym człowiekiem. I to go poraziło.

Nie mógł już dłużej. Zamknął oczy i pocałował ją jeszcze raz, zatracając się w jej bliskości, w jej ciepłe, w jej dotyku.

Pia odwzajemniła pocałunek. Jej ciepłe dłonie, błędząc po jego piersi, ześlizgnęły się na dół i mocno objęły go w pasie.

Ten pocałunek upajał, ale było w nim jeszcze coś. Żarliwość zmieszana z niewinnością.

Gdyby Federico nie był księciem, gdyby nie znajdowali się w miejscu publicznym... Z Lucrezia nigdy nie przeżył podobnego stanu uniesienia, wszechogarniającego poczucia porozumienia i szaleńczego pragnienia domagającego się natychmiastowego spełnienia.

Do diabła!

Znowu odsunął się, choć ciało wrywało się do niej.

Od śmierci Lucrezii minął dopiero rok, powinien o tym pamiętać. Nie może sobie pozwolić na pragnienia. Pod żadnym pozorem. Jak to o nim świadczyło? Całował się z inną kobietą, choć tak niedawno pochował żonę.

- Pia, przepraszam... - wykrztusił. - To... to nie było w porządku.

- Rozumiem. - Cofnęła dłonie i odsunęła się. - Nie powinnam...

- Nie, nie chodzi o ciebie. Gdybym nie był księciem, nawet przez moment bym się nie zastanawiał... - urwał, szukając właściwych słów, co mu się nigdy nie zdarzyło. Bo nigdy nie był tak zakłopotany. - Posunąłbym się dalej. Jesteś wspaniałą kobietą, ale moje życie nie należy do mnie. Mam zobowiązania względem rodziny i kraju. I muszę im sprostać.

Nie patrzył jej w oczy, tylko utkwiał wzrok w bandażu wystającym spod splątanych włosów.

- Odkąd Lucrezia... minęło tak niewiele czasu i...

Jak miał jej to powiedzieć? Co zrobić, by go zrozumiała? Chciał ją pocałować, pragnął tego rozpaczliwie, ale musiał pamiętać o zasadach, o swojej pozycji.

- Szanuję jej pamięć i...

- Nie tłumacz się. Nie ma sprawy - powiedziała zdecydowanym tonem, jakby chciała mieć to jak najszybciej za sobą.

Widział, że jest zdenerwowana, choć starała się to ukryć.

- Chyba powinniśmy już iść. Samochód pewnie podjechał, a reporterzy czekają.

Federico przełknął ślinę. Chciał powiedzieć coś więcej, załagodzić sytuację, jednak milczał. Lekcje etykiety i dyplomacji okazały się w tej chwili kompletnie nieprzydatne. Brakowało mu słów. Odwrócił się i ruszył korytarzem ku podwójnym drzwiom prowadzącym na zewnątrz. Pia szła tuż za nim. Ledwie pchnął drzwi, usłyszał jej śmiech. Zatrzymał się i popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Rozśmieszyłem cię?

- Pomyślałam, że przynajmniej nie muszę się martwić, że nie mam szminki.

- Chyba nie. - Wygiął usta w uśmiechu, doceniając jej dobrą wolę w rozładowaniu napięcia. Jednak gdy popatrzył przez oszklone drzwi, musiał się bardzo starać, by utrzymać ten uśmiech.

Przed szpitalem czekało około trzydziestu dziennikarzy i fotoreporterów. Wycelowane aparaty, naszykowane mikrofony, a z tyłu dwa rzędy samochodów ekipy telewizyjnej.

zyjnych, większość z włączonymi, migoczącymi światłami i antenami satelitarnymi na dachach.

- No, nieźle się zapowiada - wyszeptała Pia. Już się nie śmiała.

- Będzie dobrze - zapewnił ją Federico. - Spotykam się z mediami kilka razy w tygodniu. Trzymaj się za mną. Kierowca jest sprytny i wie, co robić. W razie gdyby do czegoś doszło, w odpowiednim momencie podjedzie i przeprowadzi nas do limuzyny. Ale nie będzie takiej potrzeby.

Dziennikarze spostrzegli wychodzących i w tłumie zapanało ogromne poruszenie.

- Wasza Wysokość!

- Jak się czuje *signorina* Renati?

- Co Pia Renati robi w pałacu?

Dziennikarze prześcigali się w pytaniach. Idąca obok księcia Pia, oszołomiona potokiem szybkich słów, zesztyniała. Federico objął ją w pasie, zachęcając, by szła dalej. Sam uniósł rękę, uciszając rozgorączkowanych dziennikarzy.

Tłum cofnął się nieco.

Księżę puścił Pię i zwrócił się do dziennikarzy.

- Dziękuję państwu za zainteresowanie - mówił spokojnym, wyważonym głosem. - Niestety, nie mogę poświęcić państwu dużo czasu. Jak sami państwo widzą, pani Renati potrzebuje teraz wypoczynku.

Jakaś dziennikarka z lokalnej stacji podsunęła mikrofon jeszcze bliżej.

- Wasza Wysokość, czy możemy się dowiedzieć, co się stało? I jaki jest powód wizyty pani Renati w pałacu królewskim?

- Witam, pani Amalio - Federico przywitał się uprzejmym tonem, takim, jakim zawsze porozumiewał się z przedstawicielami mediów. - Pani Renati jest gościem naszej rodziny. Dziś po południu, gdy bawiła się z moimi dziećmi, odniosła niegroźne obrażenie. Ma rozcięte czoło. Na szczęście rana nie jest poważna. Jak państwo widzą, założono opatrunek i wracamy do domu. - Księżę uśmiechnął się. - Nie stało się nic poważniejszego niż tydzień temu, gdy w pani studiu piesek zerwał się ze smyczy.

Amalia podziękowała za wypowiedź, uśmiechając się na wspomnienie tamtego wydarzenia. Pies, dla którego szukano rodziny, nieoczekiwanie wyrwał się i przewrócił krzesło, zrzucając dziennikarza.

Amalia skinęła na kamerzystę i ruszyła w stronę samochodu.

Z grona stojących wysunął się inny reporter. Federico rozpoznał w nim doświadczonego dziennikarza „San Rimini Today”, brukowej gazety szukającej taniej sensacji. Księżę uśmiechnął się, ale w duchu już szykował się na pytania osobistej natury.

- Wasza Wysokość - zagadnął reporter, niebezpiecznie blisko podsuwając mikrofon. - Czy to prawda, że Pia Renati gości w pałacu od ponad dwóch tygodni? Skoro tak, to chyba kryje się za tym coś więcej! Czy Wasza Wysokość zechce nas oświecić?

W tłumie zawrzało. Federico, szukając właściwej odpowiedzi, uspokajająco podniósł rękę, ale gwar nie ustawał. Mikrofon natarczywego reportera niemal dotykał twarzy księcia, a co gorsza, obcesowe pytanie podgrzało atmosferę.

Nawet Amalia pośpiesznie zawróciła kamerzystę, by niczego nie uronić z odpowiedzi.

- Podobno Wasza Wysokość zwolnił dziś *signorinę* Fenini, opiekunkę książąt - reporter mówił donośnie, by wszyscy dobrze słyszeli. - A teraz dowiadujemy się, że Pia Renati po południu bawiła się z chłopcami. Czy to znaczy, że obejmie posadę niani?

- Jak już powiedziałem, *signorina* Renati jest przyjaciółką naszej rodziny.

Federico odwrócił się, dając tym znak, że zakończył odpowiedź. Jednak dziennikarz nie rezygnował. Jeszcze bardziej podniósł głos.

- W takim razie czy między księciem i Pią Renati jest jakiś związek, o którym media powinny wiedzieć? Dlaczego bawiła się z pana synami?

Federico zignorował pytanie. Zapytał, czy są jeszcze inne, a spojrzeniem dał znak kierowcy. Książęca limuzyna zaczęła przeciskać się przez tłum.

- Wasza Wysokość, czy obecność *signoriny* Renati w pałacu wiąże się z księżną Jennifer? - Federico poznał głos dziennikarki z włoskiego kanału informacyjnego. - Wiem z pewnych źródeł, że pani Renati pracowała z księżną w obozie dla uchodźców. Księżna od tygodni nie pokazuje się publicznie. Krążą plotki, że być może jej ciąża nie przebiega tak, jak powinna.

- Nie pojechała z księciem Antonym do Izraela, choć takie były plany - podchwyciła inna dziennikarka.

Federico chciał jak najszybciej uciąć rozmowę o Jennifer,

- Jak państwo wiedzą, rozmowy pokojowe zostały opóź-

nione o miesiąc w stosunku do pierwotnego terminu. Księżna Jennifer jest w dziewiątym miesiącu ciąży. To nakłada na nią pewne ograniczenia. Podobnie jak na każdą inną kobietę w jej stanie. Podróże zagraniczne absolutnie nie wchodzi teraz w grę.

- I to wszystko? - zawzięty reporter brukowca nie poddawał się. - Księżna przestała pokazywać się publicznie tuż przed przyjazdem pani Renati. Dzień wcześniej w ostatniej chwili odwołała kolację w ambasadzie francuskiej, której celem było zbieranie funduszy na jej program stypendialny. Czy to znaczy, że jej ciąża jest zagrożona? Czy to jest powód obecności pani Renati w pałacu?

- Absolutnie nie - głos Pii zaskoczył go. Chcąc podszlifować język, prosił, by rozmawiała z nim po angielsku. Teraz pierwszy raz usłyszał ją, jak mówi po włosku, z lokalnym akcentem. - Jak już stwierdził Jego Wysokość...

- Pracuje pani w organizacji humanitarnej. Czy to nie dziwne, że ma pani tyle urlopu? A może już pani nie pracuje? - naciskał reporter, podsuwając jej mikrofon. - To wyjątkowy zbieg okoliczności.

Federico widział minę Pii, gdy gorączkowo szukała słów. Chciał pospieszyć jej z pomocą. Odwrócił się do reportera, ale Pia odezwała się pierwsza:

- Właśnie zakończyłam duży projekt w Stanach, a nowego jeszcze nie zaczęłam.

- A więc ma pani przerwę? - Oczy reportera błysnęły. - To znaczy, że aktualnie pani nie pracuje. Czy nie rozważa pani możliwości przyjęcia posady w pałacu?

- Może jako niania księcia Artura i księcia Paola? - do-
rzuciła Amalia, puszczając oko do Federica na znak, że od-
gadła pałacową tajemnicę.

W tej samej chwili tuż obok księcia i Pii zatrzymała się
limuzyna. Otworzyły się drzwi. Federico skorzystał z za-
mieszania i przemówił do dziennikarzy:

- Przepraszam, że nie mogę poświęcić państwu więcej
czasu, ale obowiązki wzywają mnie do pałacu. *Signorina*
Renati też powinna odpocząć. Jeśli mają państwo jeszcze
jakieś pytania, proszę skontaktować się z moją sekretarką
i umówić się na indywidualny wywiad. Dziękuję państwu.

Niemal wepchnął Pię do samochodu, po czym sam
szybko wsunął się do środka. Zamknął drzwi i zastukał
w szybę oddzielającą ich od kierowcy, dając znak, że mo-
gą ruszać.

- Chciałam jakoś pomóc. Przepraszam, jeśli powiedzia-
łam coś nie tak - Pia przeszła na angielski. - Liczyłam, że
w ten sposób odwrócę ich uwagę od Jennifer. Obiecałam
jej... Naprawdę nie chciałam... Przez myśl mi nie przeszło,
że zobaczą we mnie kandydatkę na nianię dla twoich dzie-
ci. Wkrótce zacznę pracę w Afryce. Gdyby dobrze po-
szukali, sami by się o tym dowiedzieli.

- Prawdopodobnie wiedzą. Nie zdradzają się w nadziei,
że wyciągną coś więcej - wyjaśnił Federico.

Jego myśli przez cały czas krążyły teraz wokół innego
tematu. Pia miała świetny kontakt z jego synami. Z pała-
cowych plotek wiedział, że nie miała zbyt wielu zajęć. Do-
trzymywanie towarzystwa Jennifer na dłuższą metę mogło
być bardzo nużące...

Może póki nie znajdzie kogoś na stałe...

Zaryzykował.

- Chłopcy z miejsca cię polubili. To niebywałe, bo zwykle są bardzo nieufni w stosunku do osób, których nie znają. Gdybyś była zainteresowana...

- Ty chyba żartujesz. - Jej oczy się rozszerzyły. - Przepraszam. Tak mi się wyrwało. Twój synowie są uroczy, ale ja jestem potrzebna Jennifer.

- Ale czujesz się strasznie znudzona, prawda?

- Tego nie powiedziałam.

Federico popatrzył na nią znacząco.

Pia podniosła rękę, poddając się.

- No dobra, zdemaskowałeś mnie. Okropnie się nudzę. Nie zrozum mnie źle. Miło mi z Jennifer, naprawdę. Jest moją najlepszą przyjaciółką. Ale nie mam co robić. Jej stan ją męczy, źle sypia... Zresztą trudno się dziwić. Dlatego kiedy tylko ma sposobność, zapada w drzemkę.

- Skoro tak, to może rozważysz...

- Nie, to odpada. Byłabym najgorszą niańką na świecie. Poza tym mam pracę. Za kilka tygodni lecę do Afryki. Tam nie będę mieć dla siebie ani minuty, dlatego tu muszę korzystać z wolnego czasu. Nawet jeśli nic ciekawego się nie dzieje.

W jej głosie zabrzmiała ledwie słyszalna, nowa nuta. Nie chciała być nianią w ogóle czy tylko nianią jego dzieci? Po tym, co między nimi zaszło, ten drugi wariant był bardzo prawdopodobny.

Choć doskonale by się nadawała do tej roli. Miała świetne podejście do dzieci. Chłopcy od razu ją zaakceptowali.

A poza tym przez lata pracowała w trudnych warunkach, co oznacza, że jest dobrze zorganizowana. Na pewno nie straciłaby kontroli nad dziećmi.

Im dłużej Federico o tym myślał, tym bardziej zapalał się do swojego pomysłu.

- Minie kilka tygodni, nim uda mi się znaleźć odpowiednią opiekunkę - powiedział, starając się, by jego głos brzmiał normalnie. - Bardzo szybko nawiązałaś kontakt z moimi synami. Pomyśl, może w ramach zwalczania nudy mogłabyś pobyc z nimi przez kilka godzin dziennie.

Pia już miała stanowczo odmówić, gdy dodał:

- To by odciągnęło dziennikarzy od Jennifer i problemów z jej ciążą. A im bliżej rozwiązania, tym ich zainteresowanie będzie większe.

- Czyja wiem...

- Dla mnie nie byłabyś wynajętą opiekunką do dzieci. Jesteś przyjacielem rodziny i...

I kimś więcej, dodał w duchu. W tym cały problem. Przedstawiał jej tę propozycję, bo chciał ją poznać bliżej, częściej widywać. Dziś spotkali się dopiero drugi raz od jej przyjazdu do pałacu. Wścibskie pytania dziennikarzy zainspirowały go. To wspaniała kombinacja. Za kilka tygodni Pia i tak wyjedzie. Nawet jeśli nigdy więcej nie miałby jej dotknąć, sama jej obecność zmieni jego życie, natchnie nowym duchem.

Musi zacząć na nowo żyć, choćby ze względu na dzieci. Znowu zacząć odczuwać. Cokolwiek. Coś, co wyrwie go ze stanu odrętwienia, z bierności, by mógł odnaleźć radość i sens życia, by odrodziło się w nim dawne podej-

ście do spoczywającej na nim odpowiedzialności i obowiązków.

- I?

Łagodny głos Pii wyrwał go z tych rozważań. Wzruszył ramionami, siłąc się na nonszalancję.

- I mam nadzieję, że to rozważysz. Gdy Jennifer utnie sobie drzemkę, nie miej żadnych oporów przed przyjściem do moich dzieci.

Celowo nie dodał „i do mnie”.

- Wasza Wysokość, *signorina* Renati, jesteśmy już na miejscu.

Federico zamrugął, zaskoczony słowami kierowcy. Wyjrzał przez okno. Rzeczywiście, właśnie przejechali wysoką kutą bramę i mijali ogród na tyłach pałacu.

- Trafisz do apartamentów Jennifer i Antony'ego? - zapytał Federico.

Myśl, że ich wspólny czas lada moment się skończy, nie była mu miła. Chciałby przeprosić Pię za to, co wydarzyło się w szpitalu. I desperacko chciałby to powtórzyć.

- Myślę, że tak. Dziękuję. - Po jej zaróżowionych policzkach zgadywał, że myśli dokładnie o tym samym, co on.

Wysiadła, nim szofer zdążył otworzyć jej drzwi. Uśmiechnęła się przez ramię i wbiegła na schody.

Tyle ją widział.

Książę podziękował szoferowi i powoli zaczął wchodzić na schody. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się takim głupkiem.

- Ty kretynko! Zachowałaś się jak kretynka! - Pia wymyślała sobie pod nosem, pędząc korytarzami w stronę

apartamentów Jennifer. Co w nią wstąpiło, by całować się z księciem? I w dodatku wcale nie ukrywać, że to się jej podoba.

Owszem, nie ona zaczęła. Jednak Federico od razu się opamiętał. Gdy tylko dotknął jej ust. W końcu kim ona jest? Zwyczajną dziewczyną, osobą z innej sfery. Czego zresztą dowiodła, wdając się w tę idiotyczną i niepotrzebną rozmowę z reporterami. Brak jej wyrafinowania i ogłady. Zachowuje się beznadziejnie. I jak zadurzona fanka nie może oderwać od niego oczu. Od mężczyzny z dwójką dzieci. Osoby publicznej. Księcia. Człowieka absolutnie poza jej zasięgiem, nawet gdyby naprawdę tego chciała. A nie chce.

Ale co to był za pocałunek!

Podchodząc do strażnika pilnującego dostępu do książęcych apartamentów, starała się wziąć w garść. Ale gdy tylko skręciła i zniknęła mu z oczu, podniosła dłonie do ust. Przesunęła koniuszkiem palca po wargach, wracając myślą do tamtej chwili.

Oliwkowa skóra Federica była ciepła i gładka, dokładnie taka, jak to sobie wcześniej wyobrażała, gdy obserwowała go na lotnisku. Ale ten pocałunek pokazał go z innej strony; było w nim coś więcej, niż mogła się spodziewać.

Ciekawe dlaczego? Z pozoru Federico wydawał się chłodny i opanowany, a jednak to nie do końca prawda. Pod zrównoważoną pozą kryło się coś więcej, buzowały intensywne emocje. Dostrzegła to już w szpitalu, gdy lekarz zakładał jej szwy. Federico naprawdę się przejmował. Później, gdy stanowczo odrzuciła propozycję zajęcia się jego

dziećmi, w jego oczach pojawił się szczery żal. Księżę Federico nie jest wcale taki posagowo doskonały, jak to mogłoby wynikać z prasowych doniesień. Może nawet on sam nie do końca zdawał sobie z tego sprawę. Ten pocałunek... włożył w niego serce i duszę. Tak nie całuje ktoś, kto jest w żałobie po ukochanej żonie. Zresztą sam to w pewien sposób przyznał. Wycofał się ze względu na opinię publiczną, nie z powodu tego, co czuł.

Czy to możliwe, że jego też tak trafiło jak ją? Czy też odczuwał to niezwykle porozumienie, niesamowitą więź, jaka wytworzyła się między nimi?

Pia pokręciła głową i weszła do apartamentu Jennifer.

- Przestań się tym przejmować - przykazała sobie. Nic z tego nie będzie, więc nie warto się denerwować.

- Właśnie. Nie przejmuj się. - Aż podskoczyła, słysząc głos Jennifer. - Choć jak na razie to ja nie mogę na ciebie patrzeć.

Pia zatrzymała się na progu sypialni i ze zdumieniem popatrzyła na przyjaciółkę. O co jej chodzi? Czym ją tak zdenerwowała? Była zła, że mówiła do siebie na głos. Całe szczęście, że nie wymieniła imienia księcia.

Czyżby Jennifer już widziała wiadomości? Niemożliwe, by relacja ze szpitala pojawiła się tak szybko. A wraz z nią spekulacje na temat stanu księżnej.

Pia popatrzyła na przyjaciółkę ze zdziwieniem.

- Nie możesz na mnie patrzeć?

Jennifer rozjaśniła się w uśmiechu.

- Ja nie mogę ruszyć się z łóżka i mam duże szanse na tytuł najgrubszej ciężarnej w dziejach San Rimini, a ty stoisz

sobie obok Federica i wyglądasz jak trzcina, choć podobno ekran każdemu dodaje parę kilogramów. Dlatego nie mogę na ciebie patrzeć.

Pia przewróciła oczami i roześmiała się. Powinna się domyślić, że Jennifer tylko się z nią droczy. Jednak po dzisiejszym dniu jej poczucie humoru gdzieś się ulotniło.

- Już to pokazali w telewizji?

- Tak. - Jennifer wyłączyła telewizor i rzuciła pilot w róg łóżka. - W wiadomościach o piątej. Większość lokalnych kanałów dała to na czołówkę. - Księżna zmieniła głos, udając telewizyjnego sprawozdawcę: - Księżę Federico i Pia Renati dosłownie przed chwilą opuścili szpital...

Pia westchnęła ciężko.

- Nie złość się na mnie. Myślisz, że tego chciałam? Pokazać się w telewizji? W dodatku wyszłam na idiotkę.

Jennifer przestała się uśmiechać i popatrzyła na przyjaciółkę ze szczerym współczuciem.

- Przepraszam cię, Pia. To moja wina. Powinnam pomyśleć o tym, nim cię tutaj ściągnęłam. Tak już jest, że media przez cały czas skupiają się na rodzinie królewskiej. Również na naszych znajomych. Naprawdę doceniam to, co dla mnie zrobiłaś. - Spochmurniała. - Nie miałam pojęcia, że już się plotkuje na temat mojej ciąży.

- Nie przejmuj się tym - odparła Pia. - Ale następnym razem sama sobie zapakuj prezent. Słabo mi wychodzi uchylanie się przed bumerangiem.

Jennifer popatrzyła na jej obandażowane czoło.

- Boli cię?

- Nie tak bardzo. Bywało gorzej.

- Chłopcom na pewno jest bardzo przykro. To świetne dzieciaki.

- Wiem. Cóż, to był wypadek. Po prostu... - Pia urwała i przysiadła na krawędzi łóżka. - Jen, mam okropne wyrzuty sumienia, że przeze mnie niania została zwolniona. Fatalnie się przez to czuję.

Pia wciąż miała przed oczami surową twarz Federica, gdy patrzył na Monę. Ta nieprzyjemna sytuacja przypominała jej wydarzenie sprzed lat.

Miała wtedy szesnaście lat i była to jej pierwsza praca. Koniecznie chciała udowodnić mamie, że potrafi być niezależna. Została opiekunką pięcioletniej dziewczynki. I zawiodła. Powierzone jej dziecko spadło z ogrodowej huśtawki, przez nią. Za bardzo rozbijała huśtawkę. Widziała upadające dziecko, słyszała rozpaczliwy krzyk. Te przerażające sekundy na zawsze zapisały się w jej pamięci. Ojciec dziecka spojrział na nią tak samo, jak dziś Federico na Monę.

- Pia. - Jennifer popatrzyła na nią z powagą. - Nie rób sobie wyrzutów. To nie przez ciebie Mona straciła pracę. W tym miesiącu już trzeci raz nie dopilnowała chłopców. Niedawno Paolo jakoś się jej wymknął. Znaleźli go schowanego obok pałacowej jadalni, gdzie wydaje się uroczyste przyjęcia na wysokim szczeblu. To jest w drugim skrzydle, daleko od apartamentów Federica. W normalnym domu nic by się nie stało, ale w pałacu to niedopuszczalne. Mona sama się o to prosiła.

- Dla chłopców to musi być ogromne przeżycie - powiedziała Pia.

Wiedziała coś o tym z własnego doświadczenia. Gdy była mała, matka przerzucała ją od znajomych do znajomych, a sama biegła z przyjęcia na przyjęcie. To prawda, że jako organizatorka tych imprez nie miała wyboru, jednak dla dziecka to było straszne.

Pia przez całe dzieciństwo marzyła, by mieć swoje miejsce, jakiś bezpieczny azyl. I kogoś, kto by się o nią troszczył, komu by na niej zależało.

- Chłopcy niedawno stracili matkę, a teraz odchodzi trzecia z kolei niania. I wszystko w ciągu jednego roku - dodała. - To naprawdę okropne. Takie dzieci potrzebują poczucia stabilizacji, bezpieczeństwa.

- Wiem. Wszyscy się bardzo staramy. Nick i Isabella czytają im bajki na dobranoc. To już się stało zwyczajem. Nim zostałam przykuta do łóżka, uczyłam ich grać w warcaby. A Stefano zapisał ich do szkółki narciarskiej w Austrii, chłopcy już nie mogą się doczekać wyjazdu. - Jennifer odetchnęła głęboko. - Robimy, co możemy. Federico nie ma szczęścia do opiekunek. Ale chłopcy wiedzą, że wszyscy ich kochają, a przede wszystkim ojciec.

Pia pokiwała głową.

- Zaraz będą wiadomości, może obejrzymy? Chciałabym zobaczyć, jak fatalnie wypadłam - zmieniła temat.

- Włącz, nie ma sprawy.

Pia cicho westchnęła i włączyła telewizor. Dobrze wiedzieć, że cała rodzina troszczy się o Artura i Paola, jednak ciocie i wujkowie nie zastąpią im matki. Zwłaszcza że ojciec był tak bardzo zajęty.

- Wiesz co? - zagadnęła Jennifer, kiedy rozległ się syg-

nał wiadomości. - Pomysł dziennikarzy nie jest wcale taki głupi.

Pia usiadła w fotelu.

- Jaki pomysł?

- Żebyś została nianią Paola i Artura.

Czy to spisek? Pia popatrzyła na Jen ze zdumieniem.

- To może, skoro już tu jestem, zostanę sekretarką króla Eduarda? Albo pokojówką u Stefana? Czasami przydałby mu się ktoś do wyprasowania koszuli. Ile jeszcze macie wakatów? Napiszę życiorys i złożę papiery...

- Mówię poważnie - przerwała jej Jennifer i udała, że rzuca w przyjaciółkę poduszką. - Byłaś uszczęśliwiona, gdy poprosiłam cię o zapakowanie prezentu. Wreszcie mogłaś zrobić coś innego niż podawanie wody czy czytanie na głos.

- Chyba już ci powiedziałam, że teraz będziesz sama pakowała swoje prezenty?

Jennifer puściła tę uwagę mimo uszu.

-Uważam, że doskonale nadajesz się na nianię. Nie musisz siedzieć przy mnie non-stop. Mogłabyś pobyć trochę z dziećmi. Chłopcy byliby wniebowzięci, a ty miałabyś okazję pospacerować po świeżym powietrzu, poruszać się. - Księżna podniosła ręce, uciszając protest przyjaciółki. - Mam pomysł! Mogłabyś pojechać z nimi do Palazzo d'Avorio, tuż nad brzegiem morza. Odpoczęłabyś na plaży, gdzie nikt poza rodziną królewską nie ma wstępu. Federico na pewno by się zgodził.

- Nie ma mowy - odparła Pia, wpatrując się w ekran. Właśnie kończyła się prognoza pogody, z której wynika-

ło, że początek września jest wprost wymarzony na plażowanie, ale nic z tego. - Ja nie nadaję się do opieki nad jego dziećmi.

- W Haffali zajmowałaś się całą gromadą dzieci.

- To było co innego. Większość tych dzieci miała przy sobie przynajmniej jedno z rodziców. Ja tylko się z nimi bawiłam. Robiłam baloniki z jednorazowych rękawiczek, pokazywałam, jak ze sznureczka zrobić na palcach kołyskę. To było zupełnie co innego. Nie byłam za nie odpowiedzialna.

- Co ty opowiesz? Czym różni się zabawa z dziećmi Federica od tego, co robiłaś w Haffali? - Jennifer wzruszyła ramionami. - Oczywiście, że Paolo i Arturo żyją w zupełnie innych warunkach niż tamte, uciekające przez wojnę dzieci, ale idea jest taka sama. Dzieci potrzebują kogoś, kto poświęci im czas i uwagę. Ty doskonale się w tym sprawdzisz. Jesteś odpowiedzialna, przekonałam się o tym na własne oczy. Radzisz sobie nawet w bardzo trudnych sytuacjach. - Jennifer umilkła, a po chwili dodała: - Chyba że jest jakiś inny powód, dla którego wolisz trzymać się od nich z dala. Albo z dala od Federica.

Bingo. Pia wbiła oczy w ekran, by Jennifer nie widziała jej twarzy. Przyjaciółka potrafiła rozszyfrować każdego. Taki miała talent. Między innymi tym ujęła Antony'ego. I swoich poddanych.

Pia nie chciała, by Jennifer domyśliła się jej zauroczenia księciem. Woląca się z tym nie zdradzać. Ani z myślą, że może dałaby sobie jednak radę z jego dziećmi.

Chłopcy byli niesforni, ale cudowni! Od razu ją zawojo-

wali. Poza tym, co podkreśliła Jennifer, miałyby okazję wyjść trochę z pałacu, zażyć ruchu i świeżego powietrza.

Oczywiście nie mogłaby być zdana wyłącznie na siebie, to byłoby zbyt dużym obciążeniem. Za bardzo by się denerwowała. Potrzebowałyby kogoś do pomocy, w ostateczności mógłby to być Federico.

Cóż, to miałyby nawet dobre strony. Spędzając z księciem więcej czasu, szybciej zrozumiałyby, że jej fascynacja nie ma żadnej przyszłości. Wybiłaby sobie z głowy wszelkie rojenia. Bo równie dobrze mogłaby liczyć na randkę z Bradem Pittem.

Wyprostowała się i popatrzyła na przyjaciółkę. Nim nadejdzie czas wyjazdu do Afryki, zdąży się opamiętać. Tak będzie.

- Jeśli w ten sposób uda się utrzymać media z dala od ciebie, to jestem gotowa część czasu spędzać z dziećmi.

Twarz Jennifer rozjaśniła się w szerokim, porozumiewawczym uśmiechu.

- Świetnie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Przemyślałam twoją propozycję.

Federico podniósł wzrok znad „San Rimini Today”.

Na progu rodzinnej jadalni stała Pia i zaciskając palce na kłamce, uśmiechała się niepewnie.

Jak długo tu stoi, zastanawiając się, czy wejść? - przebiegło mu przez myśl. Było wcześniej i choć promienie słońca dopiero zaczynały rozjaśniać wnętrze, intuicja podpowiadała mu, że Pia już dawno jest na nogach. Miała starannie uprasowane ubranie i gładko przyczesane włosy. Wyglądała zupełnie inaczej niż wczoraj.

Federico wskazał ręką tace uginające się od jedzenia: jajka, bekon, tosty, świeże owoce. Ten widok podrażniał wzrok i budził apetyt. Nie tylko na jedzenie. Ale on nie chciał teraz wspominać tamtego wrażenia, które przepełniło go, gdy dotknął jej cudownie miękkich ust.

- Zapraszam - powiedział z uśmiechem. - Jem sam, a kucharz przygotował tyle, że spokojnie wystarczy dla całej rodziny.

Pia przez moment wahała się, ale w końcu przestąpiła próg i przysiadła na krześle na wprost Federica.

- Dziękuję. Odwykłam od takiego jedzenia, zbyt dłu-

go zadowalałam się puszkami. Dopiero tu, w San Rimini, przypominam sobie prawdziwe smaki.

Pia popatrzyła po półmiskach.

- Chyba tego najbardziej mi brakuje, gdy siedzę gdzieś na odludziu. Nie ma filmów, nie ma telewizji. Nie ma nawet klimatyzacji. Ale przede wszystkim nie ma ciepłego, świeżego jedzenia.

Federico nie mógł się nie roześmiać.

- Jak widzisz, ja nie znam tych problemów, dlatego jestem pełen uznania dla twojej pracy, w dodatku w tak trudnych warunkach.

Pia nie skomentowała jego słów, jednak Federico zauważył, że sprawił jej przyjemność. Z przyjemnością patrzył, jak nalewa sobie kawę i dodaje mleko. A więc lubili taką samą kawę. Pia uniosła filiżankę do ust. Może mają jeszcze inne wspólne upodobania?

Oderwał oczy od jej ust i spytał:

- A jak rana? Mam nadzieję, że dzisiaj lepiej?

Pia skinęła głową.

- Dziękuję, całkiem dobrze.

Książkę przełknął ślinę. Czuł się nieco spięty. Starannie złożył gazetę i położył ją obok talerza. Może to właśnie jest powód jej nieoczekiwanego przyjscia. W porannym wydaniu na pierwszej stronie zamieszczono relację o „intrygujących” sprawach, jakie dzieją się w pałacu, i spekulacje na temat roli Pii.

- To dobrze. Przemyślałaś moją propozycję?

- By pobyć trochę z dziećmi - uściśliła i popatrzyła na niego znad brzegu filiżanki. - Pobawić się z nimi, dotrzy

mać im towarzystwa. Przynajmniej do czasu, póki nie zatrudnisz na stałe nowej niani. Jennifer podsunęła mi pomysł, żeby pojechać z nimi do Palazzo d'Avorio. Jeśli chłopcy zechcą, w co wątpię.

Federico powstrzymał uśmiech. Czemu ona aż tak się zarzeka?

- No to się mylisz. Ten pomysł z pewnością bardzo im się spodoba. - Pia w niczym nie przypomina jej kuzyna Angela. On wpadłby tutaj z triumfalną miną, z dumą wymachując gazetą. A skoro ona do tej pory nie wspomniała, że widziała dzisiejsze sensacyjne doniesienia, to lepiej o nich nie rozmawiać. Po co niepotrzebnie zaogniać sytuację? Już i tak między nimi aż iskrzy. Choć może jednak powinien wyjaśnić... Książę nabrał powietrza i zaczął: - Pia, co do wczorajszego dnia...

- Zostawmy to. - Pia machnęła ręką. - Naprawdę nie ma potrzeby do tego wracać.

- Jednak czuję...

- Stało się i koniec. Nie ma o czym rozmawiać. Bo więcej się nie powtórzy.

Federico otworzył usta, po czym szybko je zamknął. Co ona ma na myśli? Pocałunek? Czy może historię z bumerangiem?

A może czytała ten artykuł?

Pia wzięła tost i nałożyła sobie na talerz jajka.

- W takim razie mogę zapytać, dlaczego zmieniłaś zdanie? - zapytał książę. - Chodzi mi o dzieci.

Pia wzruszyła ramionami.

- Przyjechałam, by pomóc Jennifer przetrwać ten trudny

okres. Obiecałam, że zrobię wszystko, by nie dostarczać mediom pożywki do spekulacji na temat jej ciąży. Przynajmniej do zakończenia rozmów, w które jest zaangażowany jej mąż, lub do przyjścia na świat dziecka. Jeśli opieka nad twoimi synami odwróci uwagę prasy od Jennifer, a jednocześnie chłopcy będą mieli trochę rozrywki, to tym lepiej.

Federico starał się nie pokazać po sobie rozczarowania. Ani słowem nie wspomniała o nim. Mówiła tylko o jego synach.

Wprawdzie niczego się nie spodziewał, ale w głębi duszy miał jednak nieśmiałą nadzieję. Nawet jeśli z góry wiedział, że i tak nic by z tego nie było.

Pia uśmiechnęła się do niego i odstawiła półmisek na środek stołu.

- A twoi synowie są naprawdę uroczy.

Po tych słowach już musiał się roześmiać.

- Zdajesz sobie sprawę, że to ci sami chłopcy, którzy wczoraj załatwili cię bumerangiem?

Pia uśmiechnęła się serdecznie.

- Jasne. Ale chyba nie zamierzają tego powtarzać?

- Mam nadzieję. - Federico upił łyk kawy i dodał: - Dostali go w zeszłym tygodniu od australijskiego ambasadora. Nie nabrali wprawy w rzucaniu, a ja nie miałem serca zabrać im takiej atrakcyjnej zabawki. Dlatego bardzo cię proszę, bądź ostrożna.

- Następnym razem zdążę się uchylić.

- Świetnie. - Federico chrząknął i dodał: - Zamierzałem zabrać ich dziś do zoo, ale po wczorajszym dniu nie jestem pewny, czy to dobry pomysł. Obawiam się towarzystwa re-

porterów. Zresztą zapowiadają deszcz. Może ty masz lepszy pomysł?

Pia odstawiła filiżankę.

- Na dzisiaj?

- Tak, jeśli oczywiście masz czas.

- Jen zamierzała uporządkować zdjęcia i powkładać je do albumów, a to może robić w łóżku. Ma wszystko, czego jej potrzeba, więc obejdzcie się bez mnie. Nie sądziłam tylko, że zacznę natychmiast.

Federico zmarszczył brwi. Dlaczego ona jest taka spięta? Przecież chodzi tylko o pobycie z dziećmi.

A może chodzi jednak o wczorajszy dzień? Mimo zapewnień, że sprawa została zamknięta.

- Zrobisz, jak zechcesz. Choć przyznam, że byłoby mi bardzo miło, gdybyś mogła nam towarzyszyć.

- Czy to znaczy... że nie masz dziś żadnych zajęć?

- Ponieważ wczoraj zwołałem Monę, wprowadziłem zmiany do mojego planu, by być z chłopcami przez następny tydzień czy dwa. Przez ten czas chyba znajdę odpowiednią nianię.

Pia wyprostowała się.

- No dobrze. W takim razie zaplanujmy coś.

- Na pewno? - Federico nie chciał, by czuła się do czegoś zmuszana, a tym bardziej, by robiła coś wbrew sobie.

- Na pewno. Masz coś na uwadze?

Zastanowił się.

- Zabawy na powietrzu odpadają. Szkoda. Może zabierzemy ich do muzeum?

- To też raczej miejsce publiczne, nie sądzisz?

- Masz rację, ale może nie aż tak ciekawe dla dziennikarki jak zoo. Trudniej zrobić zaskakujące ujęcie.

- Prawda. Jennifer mówiła, że uczyła ich grać w warcaby. Może nauczymy ich jakiejś innej gry? Przyda się na kiepską pogodę. Choć wydaje mi się, że im najbardziej zależy na twoim towarzystwie. Nie na wycieczce do zoo czy do muzeum, ale na byciu z tobą. - Pia uśmiechnęła się przekornie. - A ty będziesz miał okazję podszkolić swój angielski.

Przez chwilę wpatrywał się w nią w milczeniu. No tak, dlaczego dopiero teraz to wydaje mu się takie oczywiste? Lucrezia dawała chłopcom masę wolnego czasu. Siedzieli w dzieciennym pokoju i nie robili nic szczególnego, czasem wychodzili na spacer po pałacowych ogrodach. Po śmierci żony koniecznie chciał okazać chłopcom, jak bardzo mu na nich zależy, dlatego starał się zaplanować każdą chwilę, którą mógł im poświęcić, by maksymalnie wykorzystać czas. W dodatku większość tego czasu spędzali na oczach innych.

Chciał dobrze, ale chyba przesadził. Może rzeczywiście chłopcy najbardziej potrzebowali niewymuszonej wspólnej zabawy, zwykłego bycia razem.

Miękki głos Pii wyrwał Federica z zamyślenia.

- Przepraszam. Twój angielski jest świetny, zwłaszcza że nie studiowałaś w Stanach, jak księżę Stefano i księżna Isabella. Nie powinnam sobie tak żartować. Ani wypowiadać się na temat twoich dzieci. Zawsze się zagalopuję i...

- Nie, bardzo sobie cenię twoją szczerłość - przerwał jej księżę i popatrzył pogodnie na Pię, jakby chciał dodać jej otuchy. - Myślę, że masz rację. Taki dzień na luzie może być bardzo przyjemny - powiedział i pochylił się w jej

stronę. - No to czego nie powinniśmy planować? - A widząc jej minę, dodał: - Nie wiem, czy kiedyś się tego nauczę. Zawsze wszystko planuję, mam to we krwi. Już nie potrafię inaczej.

- A ja wprost przeciwnie. Gdy pracowałyśmy w Haffali, Jennifer układała plan na każdy dzień, a ja tylko go wypełniałam punkt po punkcie. Na koniec upewniałam się, czy wszystko zrobione.

Zaskoczyła go. Wprawdzie jej mało uporządkowany wygląd powinien dać mu do myślenia, ale tego się nie spodziewał.

- Trudno w to uwierzyć. Twoja matka jest osobą nadzwyczaj zorganizowaną.

Pia skrzywiła się. Trwało to mgnienie, ale dało mu do myślenia. Zrobił jej przykrość. Czyżby Sabrina Renati krytycznie odnosiła się do poczynąń córki?

- Znasz moją matkę? - zapytała lekko.

- Oczywiście. - Postanowił udawać, że niczego nie zauważył. - Jak wiesz, nasi ojcowie razem chodzili do szkoły. Gdy twój tata zmarł i mama otworzyła firmę, mój ojciec jako jeden z pierwszych zlecił jej zorganizowanie przyjęcia.

- Nie wiedziałam. To na pewno bardzo jej pomogło, wyrobiła sobie nazwisko.

- Sabrina sama zapracowała na dobrą opinię - z przekonaniem skomentował Federico. - W południowej Europie jest uważana za jedną z najlepszych w branży. Mój ojciec i Antony stale korzystają z jej usług. Ojciec nawet chciał ją zatrudnić na ten weekend bo wydajemy doroczny bal,

z którego dochód zostanie przeznaczony na wsparcie badań nad cukrzycą.

Pia popatrzyła na niego chmurnie.

- Moja mama tu będzie?

- Niestety, nie. Wcześniej podpisała umowę na przygotowanie trzydniowego festiwalu w Berlinie. Zlecenie od kancлера. - Federico zaśmiał się cicho. - Mojemu ojcu rzadko ktoś odmawia. Był bardzo zawiedziony.

Pia kiwnęła głową, ale jej spojrzenie pozostało nieprzeniknione.

- Nie miałam pojęcia, że wyjechała z kraju. Domyślam się, że król zatrudnił kogoś innego?

- Owszem. - Federico widział, że ten temat nie był dla niej miły. Wskazał ręką na drzwi. - Chłopcy mieli lekcję muzyki. Sprawdźmy, czy już skończyli?

Pia kiwnęła głową i wstała od stołu.

- No to co będziemy z nimi robić?

- A pytałeś ich, na co mają ochotę?

Federico uniósł brwi.

- W ogóle o tym nie pomyślałem. Moi rodzice nigdy mnie nie pytali.

- To spróbuj. Może spodobają ci się ich pomysły.

- Nie wiem, czy dobrze robimy - mruknął Federico, przerzucając sterty dziecinnych ciuszków w poszukiwaniu żółtego sztormiaka Artura. Pokojówki nie radziły sobie z bałaganem panującym u chłopców. Pia sprawdzała rozmiar niebieskiego płaszcza przeciwdeszczowego pożyczonego od sekretarki księcia.

Federico wreszcie znalazł sztormiak. Leżał w najdalszym kącie garderoby.

- Książęta nie powinni biegać po deszczu. To jest źle widziane. W dodatku mogą się zaziębić.

Pia popatrzyła na niego sceptycznie. Włożyła płaszcz i przykucnęła, by pomóc Paolowi wsunąć rączki w rękawy.

- Jako dziecko nigdy nie biegałeś po deszczu? Nie chlapałeś się w kałużach?

- Poznałaś mojego ojca, króla Eduarda, prawda? Oczywiście, to było absolutnie wykluczone. Ojciec w życiu by się na to nie zgodził. - Federico zaśmiał się. - Ja też nie powinienem.

- Ale tatusiu! Obiecałeś! - Paolo z niepokojem popatrzył na ojca.

- Paolo, idziemy! Prawda, tatusiu? - Arturo też wbił w ojca pytający wzrok. Gorączkowo wpychał nóżkę w kałosz, by jak najszybciej być gotowym do wyjścia, nim ojciec się rozmyśli.

Federico zwichrzył chłopcu włosy.

- Od tamtej pory minęło tyle lat, że przez ten czas dziadek pewnie stał się trochę bardziej wyrozumiały. Gdybym teraz był dzieckiem, może by mi pozwolił na taką zabawę. A ja dałem wam słowo, prawda?

- Tak! - radosnym chórem wykrzyknęli chłopcy i z rozmachem przybili piątkę, po czym rzucili się do wyjścia z takim impetem, że omal nie przewrócili Pii.

Może jednak Federico miał rację, zastanowiła się, gdy kilka minut później patrzyła na rozbrykanych chłopców. Zaziębić się raczej nie zaziębią, ale ich ubranka mogą nie-

źle ucierpieć. A co gorsza, mogą poślizgnąć się na mokrej ziemi i zrobić sobie krzywdę.

Wyszli z pałacu. Dzieciaki pobiegły przodem w stronę schodów wiodących do ogrodu. Lecieli jak opętani, co chwila oglądając się za siebie, by sprawdzić, czy ojciec na nich patrzy. Pia obawiała się nie na żarty, że zaraz sturlają się ze schodów.

Paolo z głośnym okrzykiem zeskoczył z ostatniego stopnia prosto w kałużę. Prysnęła woda, bryznęły grudki błota i ochlapały spodnie chłopczyka. Pia zerknęła na księcia, spodziewając się dezaprobaty. Odetchnęła, widząc, że Federico sprawdza kieszenie, szukając aparatu, a potem mruczy pod nosem. Był zły na siebie, że o tym nie pomyślał.

Arturo, którego czujnej uwagi nie uszła reakcja ojca, krzyknął radośnie i też skoczył w kałużę, ochlapując brata brudną wodą. Przez chwilę chłopcy taplali się w błocie. W końcu Federico zszedł do nich i stanowczo nakazał im wyjść na żwirowy podjazd oddzielający pałac od ogrodu.

- Pokażemy *signorinie* Renati huśtawki? - zapytał.

- Tak, tak! - zawołał Arturo, wyrывая się do przodu.

Przy kolejnej kałuży kątem oka spojrział na ojca. Ominął wodę i pobiegł żwirową alejką przez ogród różany.

- Dasz radę biec? - zawołał Federico, przyśpieszając kroku.

- A mam wybór? - zapytała Pia, wyciągając nogi, by nie zostać w tyle.

Na szczęście miała odpowiednie na taką okazję ubranie. W przeciwieństwie do Federica, który pozostał w tym samym stroju co na śniadaniu, w czarnych spodniach, stalowym krawacie i jasnoszarej koszuli. Nie miał nawet płasz-

cza przeciwdeszczowego, tylko czarny dwurzędowy trencz. Ubiór odpowiedni na oficjalną okazję, nie na zabawy z dziećmi. Książę przeskoczył przez kałużę i złapał młodszego syna. Pia popatrzyła na jego wyglansowane pantofle. Dzisiejszy dzień z pewnością je nadweręży.

Biegła obok Federica. Książę przytrzymał na biodrze piszczącego z radości Paola, Arturo pędził przodem. Mimo wysiłku było jej radośnie i lekko na sercu. Ciepłe krople deszczu padały na twarz. W wilgotnym powietrzu zapach rozkwitłych róż wydawał się jeszcze bardziej intensywny i upajający.

Dobiegli do końca ogrodu. Za żywopłotem i zwirowaną ścieżką ciągnęły się zielone trawniki. Arturo biegł dalej. W cieniu dwóch rozłożystych drzew Pia zobaczyła huśtawki. Zimozielone rośliny i iglaki osłaniały teren, ukrywając go przed oczami ciekawskich. Tej części ogrodu nie widać ani z pałacu, ani z ulic biegnących wzdłuż kutego ogrodzenia.

- Jakie zaciszne miejsce - zachwyciła się. - Myślałam, że w pałacu wszystko jest widoczne jak na dłoni.

- Niespodzianka, co? - odparł Federico, stawiając Paola na ziemi i obserwując, jak malec biegnie do huśtawki. - Mojej mamie bardzo zależało, byśmy mieli normalne dzieciństwo. Starła się trzymać nas z dala od kamer. To miejsce to jej zasługa. Z nim wiąże się najwięcej wspomnień. Antony i ja spędziliśmy tu niemal całe dzieciństwo. Później przyszła pora na Stefana, choć on wolał spacerować po ogrodzie.

- A twoja siostra?

Federico wzruszył ramionami i zaczął bujać Paola.

- Isabella od dziecka siedziała z nosem w książkach. Gdy tu przychodziła, nie bawiła się, tylko czytała. Zazwyczaj jednak przesiadywała w starej części pałacu.

Arturo huśtał się wysoko, krzycząc z radości. Odchylił głowę i uniósł buzię do nieba.

Pia uśmiechała się, ale w głębi duszy poczuła ukłucie zazdrości. Jakże inaczej wyglądało jej dzieciństwo! Ile by dała, by tak jak Isabella mieć jakieś miejsce tylko dla siebie, swój azyl.

Patrzyła na Artura. Chłopiec starał się rozbujać huśtawkę jeszcze bardziej. Wznosił się coraz wyżej. Pia zerknęła na księcia. Paolo domagał się, by i jego rozbujać tak wysoko.

- Mieliście wspaniałą mamę - powiedziała do Federica.

- Cudowną. Ciągłe mi jej brakuje. Byłem na studiach, kiedy zmarła. O wiele za wcześnie. - Zniżył głos, by chłopcy go nie słyszeli. - Nie wyobrażam sobie, jak bym się czuł, gdybym był wtedy w ich wieku. Moje życie byłoby zupełnie inne.

- Twój ojciec uczyniłby wszystko, byś miał dobre dzieciństwo - powiedziała z przekonaniem. - Choć jedna osoba nie jest w stanie zastąpić obojga rodziców. Ale jestem pewna, że twój tata zrobiłby to samo, co ty robisz dla swoich dzieci. Umiałbyś to docenić, tak jak kiedyś będą ci wdzięczni twoi synowie.

Federico spuścił głowę i sposepniał. Bolało go, że jego synowie wychowują się bez matki. Nagły krzyk Artura wyrwał go z zamyślenia. Nim Pia zdążyła zorientować się, co się dzieje, Federico rzucił się do przodu.

Sparaliżowana przerażeniem patrzyła, jak Arturo zeskakuje z huśtawki. Federico pochwycił go w ostatniej chwili.

- Arturo! - odezwał się gniewnie, gdy złapał oddech. - Ile razy mówiłem, że nie można skakać z huśtawki?

Arturo zrobił niezadowoloną minę.

- Kiedy to mówiłeś, miałem cztery lata. Teraz mam pięć - odparł z naciskiem. - Za dwa tygodnie idę do zerówki!

- To nie ma znaczenia. Zapamiętaj sobie, że nie można skakać, gdy masz nogi wyżej niż moja głowa. Mogłeś zrobić sobie krzywdę. Zwłaszcza że trawa jest mokra.

- A ja nie skakałem! Tata, patrz na mnie! - chichotał Paolo, próbując mocniej rozbujać huśtawkę. Niebezpieczeństwo w ogóle do niego nie docierało.

- Bardzo ładnie, Paolo - wykrztusiła Pia. Dopiero teraz udało się jej wydobyć z siebie głos. - Jesteś bardzo grzeczny.

Chłopczyk uśmiechnął się do niej promiennie. Cieszył się, że tym razem nie jemu się dostało. Ale Pii nie było do śmiechu. Powróciło wspomnienie zdarzenia sprzed lat.

Minęło tyle czasu, a ona wciąż nie była zdolna do działania, nie sprawdzała się w chwili próby.

Federico zareagował instynktownie, jak ojciec ratujący swoje dziecko, a ona stała nieruchomo, sparaliżowana strachem, z sercem bijącym tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

Arturo zrobił niepewną minę, przeprosił ojca i wrócił na huśtawkę.

- Nic ci nie jest? - zapytała Pia, bo Federico nie podniósł się z ziemi.

- Nie, nic. Trochę się zdenerwowałem. Oni wciąż mnie

nie słuchają. - Uśmiechnął się lekko i zniżył głos: - W każdym razie Arturo. Przez cały czas muszę mieć go na oku. Jest bardzo podobny do Stefana. Często próbuje, jak daleko może się posunąć, nim zostanie skarcony.

- Gdyby był moim synem, dostałabym zawału.

- Przyzwyczaiłabyś się. Dzieci już takie są. - Federico podszedł do Paola, pomógł mu zejść z huśtawki i podsadził go na zjeżdżalni.

Wrócił do Pii.

- II właśnie to jest w nich ujmujące. W moim życiu wszystko jest uporządkowane i przewidywalne, z wyjątkiem dzieci. To ogromny plus i duża przyjemność.

Pia przyznała mu rację, ale w głębi duszy wątpiła, czy na jego miejscu czułaby to samo. Dzieci i tak dostarczają tylu emocji, że takie ryzykowne sytuacje nie są do niczego potrzebne.

Federico zyskał w jej oczach. Uznawał prawo synów do zabawy i poznawania świata. Jak niesprawiedliwie go oceniła w czasie jazdy z lotniska! Uważała, że nie poświęca synom wystarczająco dużo czasu i uwagi. Bardzo się pomyliła.

Arturo wspiął się na zjeżdżalnię i zjechał głową do przodu. Podniósł się, podbiegł do ojca i złapał go za nogę.

- Tatusiu, pobawimy się w chowanego?

- Ale tylko tutaj - zgodził się Federico. - Pod żadnym pozorem nie możecie iść dalej niż do fontanny. Przez cały czas muszę wiedzieć, gdzie jesteście.

Mały Paolo zmarszczył czołko.

- To jak mamy się bawić w chowanego, skoro ty będziesz wiedzieć, gdzie jesteśmy?

- Nic nie rozumiesz. - Arturo przewrócił oczami. -
Chodzi o coś innego. Możemy się chować tylko w tej części ogrodu, nigdzie dalej. Bo to by nie było bezpieczne.

Paolo rozjaśnił się.

- No dobrze! Tata, szukaj mnie!

Pobiegł przed siebie ile sił. Wyglądał zabawnie w kaloszach i żółtym, sięgającym do kolan sztormiaku płaczącym mu się wokół nówek. Dobiegł do najbliższego klombu róż i odwrócił się.

- Czy *signorina* Renati też może się schować?

- Tak - odparł książkę i machnął do Pii. - Leć.

Uśmiechnęła się. Może dlatego, że wreszcie oddalili się od huśtawek, a może dlatego, że rozbawiło ją to oględne zaproszenie malucha, który po wypadku z bumerangiem był przy niej taki onieśmielony. Nie czekając na dalsze zachęty, puściła się biegiem za Paolem.

Gdy tylko Federico zniknął im z pola widzenia, Paolo przestał biec. Zatrzymał się i popatrzył na Pię.

- Znam świetną kryjówkę. Chcesz się ze mną schować?
Jak mogła mu odmówić?

- Jasne.

Chłopiec poprowadził ją ścieżką wiodącą pod obrośniętą różami pergolą. Pociągnął ją w bok. Między różami a bukszpanowym żywopłotem był wąski skrawek porośniętej trawą ziemi.

- Tata na pewno tu nie zajrzy - zapewnił malec.

- Wspaniałe miejsce - wyszeptała Pia, ścierając kroplę deszczu z dziecięcego noska. Przykucnęli przy zielonej ścianie. - Tylko trzeba uważać, żeby się nie pokłuć.

- Tak. Te róże mają okropne kolce. Zobacz. - Paolo wyciągnął rączkę. - W zeszłym tygodniu się ukłułem. Ale wcale tak bardzo nie bolało.

Chłopczyk pochylił się i ostrożnie rozgarnął kolczaste gałązki, by lepiej widzieć ścieżkę. Arturo, który najwyraźniej wpadł na ten sam pomysł co młodszy brat, przemknął obok nich. Zrobił minę do Paola, obejrzał się, by sprawdzić, czy ojciec nie nadchodzi, i pospiesznie ukrył się po drugiej stronie pergoli.

- Mama pokazała mi to miejsce, gdy byłem malutki - wyszeptał Paolo. - *Signorina* Fennini nigdy mnie tu nie znalazła.

Pia z uśmiechem popatrzyła na zaróżowioną buzię chłopca. Trudno jej było wyobrazić sobie wytworną księżną Lucrezię bawiącą się tu z dziećmi w chowanego.

Dobrze, że chłopcy ją pamiętają i wspominają. Wprawdzie od jej śmierci nie minęło dużo czasu, ale dla dzieci rok liczy się inaczej niż dla dorosłych.

Na ścieżce rozległy się kroki. Za zieloną zasłoną mignęły czarne noski butów Federica i pochłapane błotem mankiety spodni. Pia uśmiechnęła się, widząc, jak przeciąga palcami po ciemnych, mokrych od deszczu włosach. Potrzebował trochę luzu, chwili oddechu od etykiety. Może nawet bardziej niż jego synowie.

Czy jej się wydaje, czy w deszczu niebieskie oczy księcia błyszczą bardziej niż zwykle?

- Arturo, Paolo, *signorina* Renati! - zawołał Federico. - Osiem, dziewięć, dziesięć! Szukam!

Paolo przylgnął do niej mocno i zachichotał radośnie.

Federico musiał go usłyszeć, bo uśmiechnął się lekko, jednak nie dał po sobie niczego poznać. Poszedł dalej ścieżką okrążającą ogród, z udaną paniką nawołując chłopców.

Pia popatrzyła na podekscytowaną buzię Paola.

- Fajna zabawa, co? - zapytała z uśmiechem.

Chłopczyk z przejęciem pokiwał głową.

- Pobawisz się z nami jutro?

- Zobaczymy, kotku - odpowiedziała.

Poza jedną dramatyczną chwilą, kiedy Arturo próbował zeskoczyć z huśtawki, było bardzo przyjemnie. Jennifer miała rację, namawiając ją do wyjścia. Zresztą nawet ten skok nie był aż tak przerażający. Powinna się trochę oswoić z wygłupami dzieci i przestać reagować histerycznie.

- Ja bym chciał - z przejętą miną powiedział Paolo. - Moja mamusia umarła i chcę mieć nową, żeby się ze mną bawiła.

Pii głos uwiązł w gardle. Co można odpowiedzieć na takie wzruszające wyznanie?

- Chodź, idziemy. - Paolo pociągnął ją za ramię. - Tata zaraz tu wróci. Musimy schować się gdzieś indziej.

- Czy tak można?

Chłopczyk wzruszył ramionami i uśmiechnął się psotnie.

- Arturo robi tak cały czas.

Rozbawiona Pia pokręciła głową i ruszyła za malcem. Kamyki chrzęściły pod nogami. Federico z pewnością to słyszał. Ciekawe, kiedy ich nakryje.

Na myśl, że mógłby ją znaleźć schowaną między różami a żywopłotem, serce zabiło jej mocniej.

Nabrała powietrza. Jakże wspaniale pachniał przesycony wilgocią ogród!

Co się z nią dzieje? Nie powinna pozwalać sobie na takie myśli. Federico jest ojcem Artura i Paola, to wszystko. Musi uwolnić się od rojeń na jego temat. Dzieciom należy się spokój i poczucie bezpieczeństwa, nikt obcy nie powinien zakłócać ich dzieciństwa. Zresztą już niedługo stąd wyjedzie. W Afryce czeka ją tyle pracy. Musi się otrząsnąć, przecież po to teraz z nimi jest. Żeby wybić go sobie z głowy.

Naraz ujrzała ogromną fontannę i stanęła jak wryta. Zaparło jej dech. W życiu nie widziała czegoś równie pięknego.

W środku wznosiła się wielka kamienna rzeźba w kształcie rozwiniętego kwiatu, z którego na wszystkie strony wylewała się woda. Na jego liściach przycupnęły leśne nimfy przechylające rzeźbione dzbany, a spływające z nich strumienie spadały w dół, rozpryskując się perliście na przejrzystej tafli.

- Ładna, prawda? - zapytał Paolo.

- Przepiękna. - Kto by pomyślał, że w sercu tętniącego życiem miasta istnieje taka oaza spokoju i harmonii. Pia przez chwilę przyglądała się fontannie. - Ale twój tata powiedział, że nie można iść dalej niż do fontanny. Więc może zawróćmy i...

Gdzie się podział Paolo?

Nagle rozległ się plusk. Odwróciła się i serce jej zamarło.

- Paolo! Paolo!

Chłopczyk leżał w fontannie, buzią w wodzie. Poły złotego sztormiaka unosiły się na powierzchni, a nóżki i rączki dziecka leżały nieruchomo.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pia wskoczyła do fontanny. Serce biło jej jak oszalałe.

Boże, proszę cię, nie pozwól mu umrzeć!

Nie mogła opanować drżenia rak. Przecież to niemożliwe, żeby tak szybko się utopił. Minęło zaledwie kilkanaście sekund. Pociągnęła za sztormiak. Paolo podskoczył jak piłka, śmiejąc się do rozpuku i chlapiąc na nią wodą.

- Oszukałem cię! - krzyczał radośnie, uszczęśliwiony i uśmiechnięty od ucha do ucha.

Pia usiadła w wodzie. Nie zważała, że jest przemoknięta do suchej nitki. Zamknęła oczy.

- Paolo, śmiertelnie mnie przeraziłeś. Proszę, nigdy już tego nie rób.

- Przecież to było śmieszne! Myślałaś, że wpadłem!

- Paolo! - tuż za nimi rozległ się donośny, surowy głos Federica. - Natychmiast wyjdź z wody! Rozumiesz?

Zaskoczony chłopiec znieruchomiał. Najwidoczniej nie spodziewał się, że ojciec przyłapie go na tym żarcie. Popatrzył na Pię i powoli ruszył do brzegu fontanny. Z zaczerwienioną buzią podszedł do ojca.

Księżę patrzył surowo.

- Paolo, zapamiętaj sobie, nigdy, pod żadnym pozorem

nie wolno ci wchodzić do fontanny - rzekł głosem nieznośnym sprzeciwu.

- Ja tylko chciałem nabrać *signorinę* Renati. - Chłopcu zbierało się na płacz, ale zdołał powstrzymać łzy. - To było fajne.

- To było niebezpieczne, a nie fajne. Poza tym - Federico przeniósł spojrzenie na Pię, a Paolo uczynił to samo

- dla *signoriny* Renati jesteś fajny i tak, nie musisz nic robić. Więc koniec z takimi sztuczkami. Rozumiesz?

Chłopczyk pociągnął nosem i odsunął z buzi ociekające wodą włosy.

- Tatusiu, przepraszam, że byłem niegrzeczny. Nigdy więcej nie będę - zapewnił ze skruchą.

- No już dobrze, w porządku. - Federico pogłaskał chłopca po mokrej głowie. - Jesteś taki mokry, że zaraz się przeziębisz. Wracamy do domu. Musisz się przebrać w suche rzeczy.

- Naprawdę musimy iść?

Federico uniósł brew. To wystarczyło, by chłopiec z miejsca umilkł.

- Tato! - na ścieżce pojawił się Arturo. - Wcale mnie nie znalazłeś! - zawołał z rozżaleniem.

- Bo tak dobrze się ukryłeś - z uznaniem rzekł ksiązę.

- Następnym razem znajdź inną kryjówkę. W chowanego nie jestem taki dobry jak ty.

Arturo roześmiał się.

Ksiązę popchnął synów w kierunku pałacu.

- Musimy wracać, żebyście przebrali się w suche rzeczy. Jak na dzisiaj wystarczy zabawy na dworze.

- Pooglądamy filmy? - zapytał Paolo. - Proszę!

- Tatusiu! Miał być western! - zawołał Arturo, chwytając ojca za rękę. - Obiecałeś rano.

- Nie posłuchaliście mnie dzisiaj, więc telewizji nie będzie - odparł Federico. - Może jutro.

Chłopcy zamruczeli pod nosem, ale żaden nie odważył się zaprotestować. Federico podał dłoń Pii.

- Bardzo cię przepraszam - zaczął łagodnie. - Przez myśl mi nie przeszło, że Paolo mógłby... Przecież wie, czego mu nie wolno. Naprawdę nie rozumiem, co w niego dzisiaj wstąpiło.

Chciał zwrócić na siebie uwagę, domyśliła się Pia.

- Nic się nie stało. Widocznie od czasu do czasu trzeba się zmoczyć.

Federico puścił rękę Pii i odgarnął z jej twarzy pasmo włosów. Od razu przeszył ją dreszcz.

- Dzisiaj już i tak jest wystarczająco mokro. Deszcz pada i pada.

- Nie narzekaj. Mokry ogród tak cudownie pachnie. I nikogo nie ma. Wspaniale mieć ogród tylko dla siebie.

-To prawda. Rzadko zdarzają się takie chwile. Wiesz, o czym myślę? - Błękitne oczy księcia napotkały jej wzrok.

Przypomniała sobie tamten pocałunek.

Federico musnął dłonią jej policzek i natychmiast cofnął się o krok, jakby z obawą.

- Chodźmy.

Ruszyli za dziećmi. Pia starała się nie myśleć, jak cudownie by było, gdyby trzymał ją teraz za rękę. Albo pociągnął pod pergolę i pocałował.

Nie, nie może do tego wracać. Powinna myśleć o wszystkim, tylko nie o księciu. Przecież postanowiła, że dziś wyleczy się z tego zauroczenia.

- Dla mnie to był przyjemny spacer, mimo zachowania moich synów - rzekł Federico, zerkając na Pię z ukosa. - Z Lucrezią nigdy nie bawiliśmy się z dziećmi w ogrodzie. Chłopcy zawsze chodzili z nianiami. Teraz widzę, że to był duży błąd.

Zaskoczył ją tym stwierdzeniem.

- Paolo napomknął, że to mama pokazała mu kryjówkę za pergolą. - Uśmiechnęła się. - To było bardzo miłe z twojej strony, że nas nie znalazłeś.

Odpowiedział uśmiechem.

- Na tym polega zabawa. Wracając do tego, co powiedziałaś. .. Nie wydaje mi się, by Lucrezia bawiła się z nimi na dworze. To raczej... - urwał, szukając odpowiedniego określenia. - To nie było w jej stylu. Wolała siedzieć w pałacu, czytać im albo grać z nimi w różne gry.

- Więc dzisiejszy spacer był dla nich miłą odmianą - odparła Pia ostrożnie.

Musi zachować dyskrecję. Skoro Paolo skłamał albo wyobrażał sobie, że matka bawiła się z nim w ogrodzie, to tylko znaczy, że jej śmierć wstrząsnęła nim bardziej, niż Federico przypuszcza. Chłopcu musiało to bardzo ciążyć, jeśli dopytywał się, czy Pia zostanie jego nową mamą.

Federico zmienił temat.

- Czytujesz nasze lokalne brukowce, prawda?

Dziwne pytanie.

- Czasem mi się zdarza. Gdy jestem w San Rimini. Na

przykład u fryzjera. Innymi słowy, okazjonalnie. - Pia zerknęła na niego. - Dlaczego pytasz?

- W takim razie wiesz, jak mnie nazywają. Idealny książę. Zmusiła się, by stłumić uśmiech. Sądząc po jego minie, nie przejmował się tym przezwiskiem, ale na wszelki wypadek lepiej obrócić to w żart.

- Może gdzieś obito mi się o uszy. Chyba coś czytałam. Choć może chodziło o Stefana? - Udała, że się zastanawia.

- To na pewno o tobie?

Znacząco patrzyła na jego pochlapane błotem buty i spodnie i z trudem stłumiła śmiech, bo Federico natychmiast zrobił przesadnie przerażoną minę.

W końcu nie wytrzymał i roześmiał się głośno. Nawet chłopcy zatrzymali się i popatrzyli za siebie, by sprawdzić, co się stało. Pia ucieszyła się, że tak się odprężył. Zawsze sprawiał wrażenie sztywnego i niedostępnego, ale okazało się, że to tylko pozory, maska, którą wkłada przed światem. W głębi duszy był całkiem inny - otwarty, szczery, z poczuciem humoru.

- To na pewno nie dotyczyło Stefana, zapewniam cię - rzekł ze śmiechem. - Choć Stefano jest przekonany o swojej doskonałości. No, i księżna Amanda też. Co do mnie... mój dzisiejszy strój na pewno na to nie wskazuje.

Strzepnął liść, który przyczepił mu się do nogawki i odwrócił się do Pii.

- Nie cierpię tego przezwiska.

- Dlaczego? - spytała, myśląc jednocześnie, że dla niej jest chodzącym ideałem, ale za nic mu tego nie powie. Za bardzo by się przed nim odkryła.

Starannie dobierała słowa:

- Wydaje mi się, że nazywają cię tak, bo dla wszystkich stanowisz wzór księcia. Potrafisz się zachować, wiesz, co w danym momencie powiedzieć, nigdy nie dałeś powodu do plotek, nie masz na koncie żadnych skandali. Jesteś idealnym przedstawicielem swojego kraju. Domyślam się, jak wiele musiało cię to kosztować. - Uśmiechnęła się. - Łowcy sensacji na pewno połamali sobie na tobie zęby.

- Być może. Jednak nie jestem ideałem. Kiedyś tak o sobie myślałem, nim... Kiedyś. Byłem dumny z siebie. Teraz inaczej na to patrzę. Na przykład... - Popatrzył na idących przed nimi chłopców. Licytowali się, który z nich ma bardziej ubłocone kalosze. - Po śmierci Lucrezii nie byłem dla nich dobrym ojcem, choć powinienem. Myślałem, że robię dobrze, planując każdą spędzaną z nimi chwilę, zabierając ich to tu, to tam. To było bez sensu - powiedział z przekonaniem. - Teraz to widzę.

Federico zatrzymał się. Pia też przystanąła.

- Nie docierało do mnie, że moi synowie są normalnymi chłopcami, potrzebują zabawy i nieskrępowanej wolności. I nie powinni spędzać czasu z nianią, tylko z własnym ojcem.

- No cóż, teraz to wiesz - rzuciła lekko Pia. - Będziesz się z nimi bawić, nawet gdy już znajdziesz dla nich nianię. - Oby tylko była to właściwa osoba, pomyślała. Taka, która będzie bawić się z nimi w chowanego, pokazywać magiczne sztuczki, budować namiot z koców... Odepchnęła od siebie te myśli. - Po dzisiejszym dniu oni też już to wiedzą.

Ku jej zaskoczeniu, ujął ją za rękę. Mimo chłodu i wilgoci, jego dłoń była cudownie ciepła.

- Zrozumiałem to tylko dzięki tobie. Dziękuję.

- Nie ma za co - odparła, a jej głos zabrzmiał bardziej miękko, niż zamierzała.

Doświadczyła tego na własnej skórze. Przez całe dzieciństwo czuła się zaniedbywana przez matkę. Wiedziała, jak bardzo dzieci potrzebują miłości. I czasu. Federico nie ma go zbyt wiele, na pewno za mało, ale swoich synów kocha całym sercem. Jest dobrym ojcem, bardzo się stara.

Federico nie puszczał jej dłoni. Gdyby mogła coś dla nich zrobić, wynagrodzić im cierpienie. Być mamą dla Paola, dać mu pewność, że nie musi udawać topielca, by zwrócić na siebie uwagę. By miał poczucie, że jest dla niej ważny.

- To wielka rzecz. - Uścisnął jej dłoń, puścił ją i ruszył do przodu. - Pia, będziesz wspaniałą żoną i matką. Mam nadzieję, że twój przyszły mąż i twoje dzieci będą umieli to docenić.

Uśmiechnęła się z przymusem. Federico już tego nie widział. Złapał synków pod pachy i niósł zaśmiewających się chłopców do pałacu. Patrzyła na nich i serce jej zamierało. Oto ile są warte jej rojenia.

Nigdy nie będzie matką. Nie dla nich, choć Paolo tak prosił. Słowa Federica nie pozostawiały złudzeń. Dobrze się zaasekurował, żeby przypadkiem nie robiła sobie jakichś planów.

Chyba straciła rozum, wyobrażając sobie coś więcej, pozwalając sobie na marzenia. Co z tego, że się całowali, skoro jasno powiedział, że to dla niego za wcześnie. I choć nie mo

gła się z tym pogodzić, musiała przyjąć jego słowa. Najwyraźniej jeszcze nie odżałował żony. Zresztą sądząc po tym, jak zareagowała na skok Artura z huśtawki czy wyglup Paola...

Zagryzła usta. Chciałaby być matką, czuć to, co czuje Federico, gdy bierze na ręce dzieci, jednak prawda była bezlitosna.

Dla wszystkich to by się źle skończyło.

Dlaczego się nie powstrzymał? Po co to powiedział?

Z hamowanym gniewem powiesił mokry sztormiak Artura i poszedł do łazienki, by wysuszyć synom włosy. Przez całe życie uczył się panować nad słowami, nie wrywać się z niepotrzebnymi stwierdzeniami.

Co go napadło, że tak się zagalopował? Po co mówił, że będzie z niej dobra żona? Ale to szczerą prawdą, bez dwóch zdań. Jej pogoda ducha, poczucie humoru i inne zalety na pewno to zagwarantują. Zdawał sobie jednak doskonale sprawę, jak to zabrzmiało. Zwłaszcza po tych pocałunkach.

Wszystko jest jasne - sytuacja zaczynała go przerastać. Wolał udawać, że między nimi nic nie ma, ale to bez sensu. Oboje czuli to samo. A on raz już się sparzył i nie chciał tego powtórzyć. Powinien ugryźć się w język.

Widział jej twarz, nim odwrócił się, by pobiec do chłopców, gdy dodał, że będzie dobrą matką.

Już jej wcześniejsze zachowanie przy śniadaniu powinno być dla niego sygnałem. I jej przesadna reakcja, gdy Arturo zeskoczył z huśtawki. Była przerażona. Nie raz był świadkiem podobnych zachowań, nadmiernej troski o zdrowie i bezpie-

czeństwo dzieci. Z doświadczenia wiedział, że tak reagują ludzie, którzy mają problemy z akceptacją własnego rodzicielstwa. Coś w tym musi być. Postara się to wyjaśnić.

Był zły na siebie. Jego nieprzemyślana uwaga musiała ją bardzo urazić. Nic dziwnego, że od razu skreśliła do apartamentów Jennifer. Mówiła, że martwi się o przyjaciółkę, ale unikała jego wzroku.

I przypomniała mu, że powinien szukać niani.

- Tato? - Paolo wysunął głowę zza drzwi. - Masz ręcznik?

- Tak. - Federico zaczął wycierać mokrą czuprynę synka, starając się nie myśleć już o Pii. - Paolo, idź po pizzamę. Dziś zrobimy kąpiel przed kolacją.

- Z pianą i bąbelkami?

Federico udał, że się poważnie zastanawia. Chłopczyk objął go za nogę.

- No dobrze - zgodził się książę z uśmiechem.

- Wiesz, tato, dziś było fajnie.

- Bardzo się cieszę.

- Zrobimy tak jeszcze kiedyś?

- Oczywiście.

- I *signorina* Renati będzie moją nową mamusią?

Federico znieruchomiał.

- Dlaczego o to pytasz?

Paolo wzruszył ramionkami.

- Bo ją lubię. Jest fajna. Powiedziałem jej, że byłoby dobrze, gdyby została moją mamą.

No nie!

- Powiedziałeś jej to? - spytał Federico, a gdy Paolo skinął głową, dodał: - I co ona odpowiedziała?

Chłopczyk zastanowił się.

- Nie pamiętani - odparł. - Chyba doszliśmy do fontanny i zapomniałem. Mogę włożyć piżamę w żabki?

- Oczywiście.

Paolo uśmiechnął się i pognął do pokoju.

Federico podniósł z podłogi ręcznik. Chyba upuścił go mimowolnie, kiedy Paolo zaskoczył go swoim pytaniem.

Dzięki Bogu, że trzylatek nie umie się na niczym dłużej skoncentrować, za to Pia z pewnością doskonale wszystko zapamiętała.

Gdy wykąpie chłopców, poprosi sekretarkę, by umówiła kandydatki na nianie. A kiedy spotka Pię, przeprosi ją i spróbuje dowiedzieć się czegoś więcej.

Bo jak powiedział Paolo, dzisiejszy dzień koniecznie trzeba będzie powtórzyć.

- Przemokłaś do nitki! - zawołała Jennifer na widok wchodzącej Pii.

Pia powiesiła mokry płaszcz w łazience i wróciła do pokoju.

- Zachwalałam ci uroki plaży - rzekła Jen, zdumionym wzrokiem obrzucając przyjaciółkę - ale nie w taki deszcz!

- Nie byliśmy na plaży. Chłopcy chcieli iść do ogrodu, pochlapać się w kałużach.

Jennifer odłożyła albumy ze zdjęciami, robiąc miejsce na łóżku, ale Pia pokręciła głową.

- Najpierw muszę się przebrać. Dzięki Paolowi jestem kompletnie przemoczona.

- Widzisz! - zaśmiała się Jennifer. - Mówiłam ci, że się

rozerwiesz. Chłopcom na pewno też bardzo się podobało. Federico w życiu by z nimi nie wyszedł na deszcz. - Na widok szerokiego uśmiechu Pii, zdumiała się jeszcze bardziej. - No nie, nie powiesz mi, że Federico z wami poszedł! Nie uwierzę! Jak go namówiłaś? Nie płakał, że zmarnuje sobie kosztowny garnitur? Chyba stał cały czas pod parasolem.

- W ogóle nie miał parasola, nie płakał i nie trzeba go było namawiać. W każdym razie ja nie musiałam. Chłopcy poprosili, żeby wyjść do ogrodu, więc wyszedł.

- Niesamowite. - Jennifer podłożyła sobie dłonie pod plecy i zaczęła masować obolałe mięśnie, wciąż patrząc na Pię. - Wiesz, to bardzo dobrze. Najwyższy czas, aby się trochę otrząsnął i rozluźnił. Od śmierci Lucrezii ani razu nie widziałam, żeby się uśmiechnął. Bardzo się zmienił. Jest zupełnie inny niż wtedy, kiedy go poznałam. Zawsze był uosobieniem elegancji i klasy, ale na gruncie prywatnym był świetnym facetem. Wesoly, ożywiony, dowcipny...

- Zamyśliła się. - Pamiętasz, przyjechałam tu na bal dobroczynny, kiedy zbierano środki na nasz obóz w Haffali. Wtedy go poznałam. Jedną z pań obsługujących bal, hrabina, a jakże, pozwoliła sobie na jakąś kąśliwą uwagę pod moim adresem. Federico, by mnie udobruchać, zażartował sobie na jej temat. Wiesz, jak mnie tym wtedy zaskoczył?

- Wzruszyła ramionami. - Tak czy inaczej przez ostatni rok nie było mu do śmiechu. Może to wyjście z dziećmi na deszcz to dobry znak.

Federico robił sobie żarty z jakiejś arystokratki? O to Pia by go nie podejrzewała. Wprawdzie miał poczucie hu-

moru, ale żeby aż tak? Chętnie wypytałaby przyjaciółkę o szczegóły, ale ktoś zapukał do drzwi. Poszła otworzyć. Na progu stała Sophie.

Dygnęła i podała plik korespondencji.

- Dzwoni pani mama. Przełączyłam do pani pokoju, ale w każdej chwili mogę przekierować rozmowę tutaj.

W pierwszej chwili Pia chciała powiedzieć, że nie będzie rozmawiać, ale czas i miejsce nie były odpowiednie na takie demonstracje. Zresztą nie miała zamiaru wprowadzać Jennifer w swoje prywatne problemy.

- Nie, dziękuję. Właśnie szłam do siebie, żeby się przebrać. - Pospiesznie ruszyła do pokoju gościnnego przylegającego do apartamentów Jennifer i Antonyego.

Z lekkim wahaniem podniosła słuchawkę. Czy mama widziała wiadomości? Czy może doszły ją plotki, że przebywa w pałacu?

Pia nabrała powietrza.

- Cześć, mamó.

- Pia! Tak się cieszę, że wreszcie cię złapałam! Nic nie powiedziałaś, że będziesz w San Rimini. Jestem teraz w Berlinie, kończę projekt, ale mogę przylecieć jutro...

- Nie trzeba, mamó. Jestem tu dość zajęta.

- No to co się dzieje? Widziałam cię w telewizji z księciem Federikiem. Nie miałam pojęcia, że się znacie. Wiem, że przyjaźnisz się z księżną Jennifer, ale... Pia, czy to prawda? - w głosie Sabriny zabrzmiała nadzieja. Pia natychmiast stała się czujna. - Spotykasz się z księciem Federikiem?

Pia popatrzyła na zdobiony sufit. No tak, przed mamą

nie ukryje się żadna plotka. Z pewnością jest wniebowzięta, że jej córka ma coś wspólnego z przystojnym księciem.

- Nie, mamó. Jestem z wizytą u Jennifer. Nic takiego. Niedługo jadę do Afryki. Zaczynam tam nową pracę, ale przedtem chciałam zobaczyć się z Jen.

-Aha.

- Mamó, nie bądź taka zawiedziona.

- Kochanie, nie o to chodzi - odpowiedziała matka żarliwie.

- Chcę dla ciebie jak najlepiej. Chcę, żebyś była szczęśliwa.

- I jestem. Uwielbiam swoją pracę.

- Praca to jeszcze nie wszystko, uwierz mi.

Słuchawka o mało nie wypadła Pii z rąk.

- I to mówi ktoś, dla kogo praca jest najważniejsza? Zobacz, ile poświęcasz jej czasu i wysiłku. Nie robiłabyś tak, gdybyś tego nie kochała.

- Nigdy nie powiedziałam, że jest inaczej. Jeśli chcesz do czegoś dojść, musisz się starać. Poświęcić czas i siły. - Sabrina westchnęła. - Wiem, nie byłam idealną matką. Cóż, w życiu zawsze trzeba dokonywać wyborów, a to nie jest łatwe. Tak czy inaczej mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa - dodała z wymuszoną wesołością. - Gdybyś chciała mnie złapać, pojutrze będę w San Rimini. Albo wcześniej, jeśli zmienisz zdanie.

- Dam ci znać.

- Dobrze. Masz moją komórkę. Pia, Kocham cię.

Pia zawahała się przez chwilę, po czym powiedziała:

- Dziękuję za zainteresowanie, mamó. Naprawdę. Niedługo się odezwę.

Odłożyła słuchawkę i poszła do łazienki. Zrzuciła mo

kre ubranie i przebrała się w białą bluzkę i czarne spodnie. Miała iść do Jennifer, ale wyciągnęła się na łóżku i przycisnęła dłonie do skroni.

Dlaczego rozmowa z matką nagle skojarzyła się jej z Federikiem i jego sytuacją? Nie powinna współczuć Sabrinie. A jednak czuła wyrzuty sumienia. Może powinna być bardziej wyrozumiała, bardziej doceniać jej starania.

Była poruszona. Może dlatego, że Sabrina przyznała, że nie była idealną matką. Musiała dokonywać wyborów.

Więc trzeba było wybrać taką pracę, by choć czasami być w domu, pomyślała Pia.

Ale to nie było sprawiedliwe. Matka nie miała wielkiego wyboru. Była wdową z malutkim dzieckiem, w sumie bez zawodu, bo gdy poznała przyszłego męża, zrezygnowała ze studiów. Żona arystokraty nie potrzebowała wyższego wykształcenia, ważniejsza była ogłada towarzyska. Tego akurat Sabrinie, choć pochodziła z biednej rodziny, nigdy nie brakowało.

Po śmierci męża zajęła się tym, do czego była najbardziej predestynowana.

Z Pią było podobnie. Też poszła za głosem serca. Postanowiła pomagać ludziom, którzy sami sobie nie potrafili poradzić - uchodźcom, biedakom, chorym. Dzięki nim czuła się potrzebna, jej życie miało sens. Im bardziej dystansowała się od światowego życia pochłoniętej kolejnymi projektami matki, tym było jej z tym lepiej. Przynajmniej tak sądziła.

Potarła dłońmi twarz, po czym wstała, poszła do łazienki i rozwiesiła mokre rzeczy. Zadzwoni do niej, kiedy tylko

Sabrina wróci z Niemiec. Przeszłości nie da się cofnąć, ale teraz, gdy obie są dorosłe, może zdołają naprawić wzajemne stosunki. A przynajmniej zaczną darzyć się większym szacunkiem.

Zapisała sobie w kalendarzu, by zaprosić matkę na lunch. Może nie da się tak szybko odbudować nadszarpniętych więzi, ale najwyższa pora przestać uciekać od problemów.

Pochłonięta tymi myślami, ruszyła do drzwi. I nagle przed oczami ujrzała postać Federica. Przecież miała wybić go sobie z głowy, a tymczasem po tym dzisiejszym popołudniu jeszcze bardziej ją do niego ciągnęło.

Musi się wycofać, bo to się źle skończy. Ba, łatwo powiedzieć, trudniej wykonać. Wykazała się przytomnością, przypominając mu o konieczności znalezienia nowej niani. Na nią niech lepiej nie liczy. Jeszcze jedno takie popołudnie z chłopcami i ich seksownym tatusiem, a nie opędzi się od marzeń o wspólnych dzieciach i szczęśliwym życiu aż po grób.

Jak Jennifer i Antony.

Otrząsnęła się. Jennifer nie wyglądała dziś najlepiej. Masowała bolące plecy, czego wcześniej nie robiła. Pia stała już w drzwiach, kiedy zadzwonił telefon. Pewnie mama o czymś zapomniała.

- Chcesz mi jeszcze coś powiedzieć?

- Pia?

Pia poznała głos. To Ellen z organizacji humanitarnej.

- Cześć, Ellen. Przepraszam, myślałam, że to ktoś, z kim przed chwilą skończyłam rozmowę. Rzadko miewam telefony. O co chodzi?

Po kilku minutach rozmowy Pia odłożyła słuchawkę i ruszyła do Jennifer, podzielić się najnowszymi wieściami. Tak oto jej problem z Federikiem sam się rozwiąże.

Bo przecież przestanie roić o niedosiężnym księciu, gdy będą ich dzielić trzy tysiące kilometrów, prawda?

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Federico. Federico, obudź się.

Słyszał ten głęboki głos jak przez mgłę. Przekreślił się na bok, by znowu zapaść się w ciszę.

- Dajcie mi spokój - wymruczał sennie, próbując wrócić do przerwane go snu.

Śniło mu się, że spaceruje z Pia po ogrodzie. Byli sami, dzieci zostały w pałacu. Pia przekonywała go, by odwołał spotkanie z kandydatkami na nianię, bo nowa opiekunka nie będzie potrzebna.

Jednak głęboki głos nie dawał za wygraną.

- Obudź się! - Ktoś zaczął nim potrząsać.

Federico zamrugał i usiadł raptownie na łóżku. Rozejrzał się zdziwiony, że jest we własnej sypialni.

- Tata? - zapytał zmienionym, zmęczonym głosem.

- Przepraszam, ale bez ciebie się nie obejdzie.

Federico popatrzył na ojca. Król był w granatowym garniturze, w którym przyjmował gości na uroczystej kolacji. Książę zerknął na budzik. Jedenasta. Jeszcze nie było tak późno. Widać chłopcy zmęczyli go dzisiaj bardziej, niż myślał. Nie słyszał pukania ojca. Król rzadko zaglądał do jego prywatnych apartamentów. Mieszkali pod jednym dachem,

co było korzystne z wielu powodów, ale każdy miał zapewnioną prywatność.

- Co się stało? Coś z chłopcami? - zapytał Federico, ale nim ojciec zdążył odpowiedzieć, opamiętał się. Przecież wiedziałby o tym pierwszy. A więc chodzi o coś innego.

- Wyjeżdżasz?

Już kilka razy król musiał nagle opuścić kraj. Tak było po tragicznym trzęsieniu ziemi w Turcji, w czasie konfliktu bałkańskiego, zawsze wtedy, gdy jakiś kryzys wymuszał improwizowane konferencje przywódców sąsiadujących państw. Tylko że wtedy Antony był na miejscu i to jego budzono.

- Z chłopcami wszystko w porządku. Chodzi o księżnę Jennifer. Musisz zawieźć ją do szpitala. *Signorina* Renati już wcześniej powiadomiła mnie, że zaczął się poród. Wygląda na to, że teraz akcja przyspieszyła. Na wszelki wypadek lepiej nie czekać do rana. Ja zajmę się chłopcami.

Federico odrzucił kołdrę, wstał z łóżka i podszedł do szafy.

- A nie lepiej, żeby zawiózł ją kierowca Antonyego?

- Nie ma go w pałacu. Można go wezwać, ale to niepotrzebnie zaintryguje paparazzich. Moi goście właśnie wyjeżdżają, więc jeden czarny mercedes więcej nie wzbudzi podejrzeń. *Signorina* Renati pojedzie z wami i zostanie w szpitalu do przyjazdu Antonyego.

- On już wie?

- Zadzwoiłem do niego. Na miejscu ma mój samolot, więc tylko się zbierze i o świcie rusza w drogę.

Federico wyjął parę czarnych skarpetek.

- Nie ma sprawy. Mam wrócić czy zostać w szpitalu?

- W razie gdybyś był tutaj potrzebny, dam ci znać. Odwołałem poranne zajęcia. Godzinę temu Isabella i Nick przylecieli z Nowego Jorku, więc możesz zostać, jeśli uznasz za stosowne. O chłopców się nie martw. Zjemy sobie razem śniadanie, a Isabella już nie może się doczekać, by dać im prezenty ze Stanów.

Federico wyjął wieszak z szarym polo i czarne spodnie. To będzie dobry zestaw. Szkoda, że nie ma czasu na prysznic i golenie. Zawsze starał się wyglądać świeżo. Reporterzy stale na niego polowali, a poza tym będzie przecież Pia. Wprawdzie w środku nocy i w takich okolicznościach nie powinien myśleć o zrobieniu na niej dobrego wrażenia, jednak zależało mu na tym. Śnił o niej i obudził się, myśląc o niej, więc coś w tym było.

- Domyślam się, że mam się pośpieszyć - powiedział.

- Pia pomaga Jennifer zapakować najpotrzebniejsze rzeczy, więc spokojnie możesz wziąć szybki prysznic. Księżna była przekonana, że do porodu ma jeszcze tydzień czy dwa.

- Też tak myślałem.

Gdy ojciec wyszedł, Federico stanął pod strumieniem chłodnej wody. Już się rozbudził. Uśmiechnął się do siebie. Jutro weźmie na ręce nowo narodzone dziecko, przypomni sobie moment, gdy na świat przyszli najpierw Arturo, a potem Paolo. Wydawało mu się, że było to tak dawno.

Nie było mu łatwo godzić codzienne obowiązki z wychowaniem chłopców, ale chętnie powitałby na świecie nowe maleństwo. Zazdrościł bratu. Dziecka i żony.

Zakręcił wodę. Nagle tknęła go nieoczekiwana myśl. Je-

śli urodzi się chłopiec, to zajmie jego miejsce w kolejce do tronu.

Odwiesił rącznik i roześmiał się. Po raz pierwszy w życiu nie zależało mu na tym. Odkąd na świecie pojawili się książę William i książę Harry, media straciły zainteresowanie dla rodzeństwa księcia Karola. To piękne rokowania.

Teraz w świetle fleszy znajdzie się nowy potomek królewskiego rodu i jego rodzice. Dziennikarze wreszcie dadzą mu spokój. Będzie mógł zająć się synami.

Dzisiaj naprawdę otworzyły mu się oczy. Zrozumiał, czym może być ojcostwo. Dzięki Pii. Kobiecie, która sama nie ma dzieci. Wkrótce oboje będą świadkami przejmującego zdarzenia - cudu narodzin.

Czy dla niej to też będzie takie głębokie przeżycie jak dla niego? Czy to ich zbliży?

Federico wsunął do kieszeni portfel i dziarskim krokiem ruszył do apartamentów Jennifer.

Zostanie w szpitalu tak długo, jak długo będzie tam Pia. Postanowione.

Pia zmuszała się do zachowania spokoju. Musi napić się kawy, najlepiej podwójnej. Te godziny spędzone przy cierpiącej przyjaciółce dały jej w kość. Choć Jennifer i tak radzi sobie świetnie. Jej szło znacznie gorzej. Starła się podtrzymać przyjaciółkę na duchu, ale miała dość.

- Jak się czuje księżna?

Pia zatrzymała się, słysząc głos Federica. Nawet o siódmej rano brzmiał miło i spokojnie.

- Jeszcze tu jesteś? - zdumiała się.

Federico uśmiechnął się, wysunął nogi spod krzesła, na którym przesiedział już długie godziny.

- Dwie godziny temu dzwoniłem do ojca. Antony la-da moment wylądaje. Chcę poczekać do jego przyjazdu.

- Podniósł się i położył rękę na ramieniu Pii. - Pytałem o Jennifer, ale powinienem zapytać, jak ty się czujesz. Wyglądasz. .. blado.

- Dzięki za delikatność. Na pewno wyglądam fatalnie.

- Nie - zaśmiał się. - Nie jest aż tak źle. Poza tym nigdy bym nie pozwolił sobie na takie stwierdzenie. Księciu to nie przystoi.

Pozostawiła jego słowa bez komentarza.

- Idę do automatu. Marzę o kawie.

- Ja też się chętnie napiję.

- Wiesz, w obozie uchodźców wiele razy miałam do czynienia z rodzającymi, ale z Jennifer to całkiem inna sprawa.

Jest moją przyjaciółką i... - Pia urwała nerwowo. - Ona cierpi, a ja nie mogę jej pomóc. I to tak długo trwa... Chyba wychodzi ze mnie zmęczenie.

Daremnie próbowała się uspokoić.

- Pytałeś o nią. Jak na pierwsze dziecko świetnie sobie radzi. Teraz dostaje znieczulenie. Mam nadzieję, że po tym poczuje się lepiej.

Wiedziała, że ten nerwowy potok słów ją zdradza, ale nie mogła się opanować. Federico bez słowa przyciągnął ją do siebie.

- To jest ogromne przeżycie. Przeraza cię, przytłacza, a jednocześnie oszałamia. - Nabrał powietrza. - Jesteś świadkiem narodzin nowego życia. To zmienia twoje spój-

rzenie na wiele rzeczy, ustala nowe proporcje. Zaczynasz widzieć, co jest ważne.

Pia uśmiechnęła się do siebie. Po ciężkiej nocy potrzebne jej były słowa otuchy i wsparcia.

- Pomyśleć, że kobiety robią to bez przerwy - wymru-
czała.

- Nie bez przerwy. Raz, dwa razy w życiu. - Zaśmiał się.

- Moja mama rodziła cztery razy.

- To chyba nie dla mnie. Nawet raz. Wystarczy, że posie-
działam przy Jennifer.

Federico przesunął dłonią po jej plecach. To było przy-
jemne, a jednocześnie niepokojące.

- Wydaje mi się, że czasem trudniej jest temu, kto patrzy.
Byłem przy narodzinach moich synów. Za pierwszym ra-
zem omal nie zemdlałem. Pielęgniarka ratowała mnie wo-
dą. A Lucrezia ledwie się odrobinę spociła.

Odchyliła głowę, popatrzyła na jego twarz.

- Nie mówisz poważnie. Prawie zemdlałeś? Ty?

- Naprawdę. Niewiele brakowało, a... - Federico zarumie-
nił się. - Mówiłem ci, że nie jestem ideałem. Gdybym rzeczy-
wiście był taki doskonały, stałbym przy niej i trzymałbym ją
za rękę. Przejęty i przepełniony dumą. Na szczęście mamy
podpisaną ze szpitalem umowę o zachowaniu pełnej dyskrec-
cji, więc nic nie przedostało się do prasy.

- Przy Paolu pewnie było łatwiej.

- Tak. Tobie z Jennifer też dobrze pójdzie. - Przytulił ją
mocniej, a ona oparła głowę o jego policzek. Zrobiło się jej
tak błogo, że gdy z sali wyszła pielęgniarka i skinęła na nią,
ogarnął ją żal.

- Przynieść ci kawę? - zapytał Federico.

- Skoro sam książkę to proponuje...

- Z mlekiem, bez cukru, tak?

Popatrzyła na niego z nieukrywanym zdziwieniem.

- Zauważyłem wczoraj przy śniadaniu - wyjaśnił. - Sam piję taką.

Gdy po pięciu minutach otworzyły się drzwi, na progu stanął nie Federico, a Antóny. Podał Pii kawę, ale oczy miał utkwione w żonie.

- To ja was teraz zostawię - szepnęła Pia.

Antony uściśnął jej rękę i kiwnął głową.

- Pia, nie wiem, jak ci dziękować.

Jennifer, która po znieczuleniu cierpiała znacznie mniej, przyłączyła się do podziękowań. Pia powiedziała jej jeszcze kilka słów otuchy i wyszła na pusty korytarz.

- Antony dał ci kawę? - spytał Federico, przechadzając się od ściany do ściany.

- Owszem. Nie co dzień zdarza się obsługa w książęcym wydaniu. - Pia odetchnęła głęboko.

Książę zatrzymał się i popatrzył na drzwi.

- Ile to jeszcze potrwa?

- Myślę, że jakieś dwie godziny. Może trzy.

Oboje popatrzyli na duży zegar. Wskazówka przeskoczyła właśnie minutę.

- Nie zdążyłem kupić prezentu dla dziecka. Tutaj jest sklep, pewnie go zaraz otworzą. Może zajrzymy?

Pia kiwnęła głową.

Wyszli z oddziału położniczego i wsiedli do windy.

W ograniczonej przestrzeni jeszcze mocniej odczuwali swo-

ją obecność. Po kilku sekundach winda stanęła na niższym piętrze, rozsunęły się drzwi. Na wózku siedziała wymęczona dziewczynka z nogą w gipsie. Pielęgniarka już miała wtoczyć wózek, ale na widok księcia zawahała się. Federico zachęcił ją, by weszła.

- Pan jest księciem Federikiem? - z przejętą miną zapytała dziewczynka.

Księżę pochylił się, by mogła mu się przyrzec.

- Tak, to ja. Jak masz na imię?

- Carlotta.

- Bardzo ładnie. - Popatrzył na jej gips. - Carlotta, ty chyba złamałaś nogę.

- Spadłam z równoważni.

Federico ujął jej ramię.

- Jesteś silną dziewczynką. Myślę, że niedługo znowu będziesz ćwiczyć.

Drzwi zamknęły się bezszelestnie, a pielęgniarka nacisnęła przycisk piętra.

Księżę znów pochylił się do Carlotty. Zniżył głos, ale mówił tak, by Pia i pielęgniarka go słyszały. - Pewnie chcesz, żeby twoi znajomi pierwsi złożyli podpisy na gipsie, ale może pozwolisz mi się podpisać?

- Naprawdę? - rozpromieniła się mała.

- Z wielką chęcią.

Pielęgniarka podała księciu długopis, a on złożył na gipsie zamaszty podpis.

Winda zatrzymała się.

- Życzę ci szybkiego powrotu do zdrowia, Carlotto.

I bądź miła dla pani pielęgniarki.

- Będę!

Pielegniarka podziękowała promiennym uśmiechem i wyjechała wózkiem z windy. Razem z dziewczynką pomachały im na pożegnanie.

Federico odwrócił się do Pii.

Nagle wyciągnął dłoń i dotknął jej twarzy.

- Co to?

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że otarł jej łzę.

- Pewnie uważasz, że jestem beksą - powiedziała, a widząc jego zdziwioną minę, dodała: - No bo się rozklejam. Najpierw ledwie się trzymałam przy Jennifer, przedtem przy Paolu. Teraz wzruszyłam się, bo tak miło podszedłeś do tej małej. - Pia poczuła, że się rumieni. - Nie zawsze jestem takim mazgajem.

- Na pewno nie. Przy twojej pracy człowiek musi mieć ogromny hart ducha. Inaczej by nie wytrzymał.

- Dzieci zawsze tak na mnie działają. - Wiedziała, że niepotrzebnie papie, ale nie mogła się opanować. - Nie umiem się z nimi obchodzić, a kiedy widzę, że cierpią, jak ta dziewczynka...

- Teraz to ty żartujesz.

- Ależ skąd.

- Masz wspaniałe podejście do dzieci. Jak było z Arturem i Paolem? - Gdy Federico mówił o dzieciach, jego twarz łagodniała. - Nie tylko wczoraj w ogrodzie, nawet w czasie tej historii z bumerangiem. Ktoś inny na twoim miejscu wpadłby we wściekłość, a ty rozegrałaś to tak, że choć chłopcy byli winni, nie bali się. Załagodziłaś sytuację, choć sama zostałaś skrzywdzona.

Wyszli z windy i ruszyli korytarzem w kierunku sklepu z upominkami.

- Masz wrodzony dar. I to nie tylko jeśli chodzi o dzieci. W nocy pielęgniarka powiedziała mi, że dzięki tobie Jennifer tak świetnie się trzyma. Masowałeś ją, pomagałeś kontrolować oddech... Myślę, że z jakichś powodów się nie doceniasz.

Federico zatrzymał się i popatrzył jej w oczy. Pia zniechęciła się.

- O co chodzi? - zapytała niepewnie, zaskoczona powagą malującą się na jego twarzy.

- Chciałem ci powiedzieć... Wczoraj źle się wyraziłem. Gdy wychodziliśmy z chłopcami z ogrodu.

- Co masz na myśli?

- Powiedziałem wtedy, że będziesz dla kogoś dobrą żoną i matką.

Pia roześmiała się i ruszyła przed siebie. Nie chciała, by widział, jak działają na nią te słowa.

- To był miły komplement. No, chyba że wcale tak nie myślisz.

- Nie w tym rzecz. - Federico dotknął jej ramienia. - To było po tym, co się nam przydarzyło. Po tym, jak cię pocałowałem. Wczoraj nie powiedziałem tego, co myślałem naprawdę. Ty byłabyś cudowną żoną dla mnie. I matką dla moich dzieci.

Pia starała się nie okazać po sobie wrażenia, jakie wywarło na niej to wyznanie.

- Wczoraj w ogrodzie było wspaniale. Czuję się swobodny, rozluźniony, jak chyba nigdy przedtem. Wprawdzie

z Lucrezią nie mieliśmy żadnych problemów, ale wczoraj to było coś innego. Zacząłem się zastanawiać, czy my...

Pia zacisnęła palce na kubku z kawą. Chyba śni, chyba to nie dzieje się naprawdę? Czy on mówi o niej? O kobiecie, która nie potrafi odróżnić Prady od Gucciego?

Niemożliwe.

-My?

- Oczywiście nie teraz. - Jakaś ledwie słyszalna nuta w jego głosie uzmysłowiła jej, że Federico chyba się denerwuje. - Mam jeszcze żalobę. Mówię to szczerze. Lucrezia była mi bardzo bliska. Ale gdybym miał powtórnie się ożenić, to... to tylko z kobietą taką jak ty.

Ujął jej dłoń i delikatnie zacisnął palce. Ten czuły gest miał jednoznaczną wymowę.

- Jak człowiek, który ma dwójkę małych dzieci, który żyje w świetle kamer, może prosić kobietę, by zgodziła się z nim czasem być?

Pia wpatrywała się w niego w milczeniu, porażona tym, co powiedział, i pasją malującą się w jego oczach. Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Federico powoli odciągnął ją od sklepowej wystawy. Szli korytarzem, szukając schronienia przed ciekawskimi spojrzeniami. Księżę pociągnął ją do niewielkiego pomieszczenia, zamknął drzwi na zasuwkę.

- To biuro naszego lekarza - zniżył głos do szeptu. Wyjął jej z rąk kubek po kawie i przyciągnął ją do siebie. - Muszę mu przypomnieć, żeby je zamykał.

- Chyba przyjechał skoro świt, żeby dowiedzieć się o Jennifer - wyjąkała Pia.

Federico ścisnął jej dłoń. Był tak blisko, że nie mogła zebrać myśli.

Rozejrzała się po pokoju. Światło z korytarza sączyło się przez przydymioną szybę w drzwiach, lekko rozjaśniając pokój. Po jednej stronie biurka stała kartoteka. Wszędzie panował wzorowy porządek.

Pia czuła, na co się zanosi. I choć rozum ostrzegał, ciało się radowało. Cofnęła się o krok.

- Skoro nie zamknął, to pewnie zaraz tu przyjdzie...

- Godzinę temu wyszedł z porodówki, miał w ręku kluczyki do samochodu - powiedział Federico, obracając ją ku sobie i dotykając jej ust.

Lęk mieszał się z pragnieniem, obawa z radością. Po raz pierwszy zostali sami, po raz pierwszy nikt im nie przeszkodzi. Jak walczyć z taką pokusą?

Pia przyłgnęła do niego mocno i oddała pocałunek. Czowała na plecach jego silne, ciepłe dłonie, upajał ją dotyk jego muskularnego ciała. Jak ma mu powiedzieć, że już niedługo wyjeżdża? I że nie są dla siebie?

Och, przecież to tylko pocałunek!

Chciała zapomnieć, wybić sobie z głowy tego mężczyznę, ale wszystko na nic. Federico na zawsze pozostanie w jej sercu, nigdy go nie zapomni. Wciąż o nim myśli.

Cóż takiego może się stać tu, w szpitalu? Czemu więc odmawiać sobie tej jednej chwili szczęścia? Niech zostaną chociaż wspomnienia. Gdzieś tam w Afryce, padając ze zmęczenia, będzie wracać myślami do tej chwili.

Przeciagnęła dłońmi po jego mocnych ramionach, po muskularnym torsie.

-Kiedy...

- O piątej rano - wyszeptał, czytając w jej myślach. - Nim chłopcy się obudzą. To jedyna pora, kiedy jestem sam.

Czy będzie żałowała?

Znów przywarł do jej ust. Drobnymi pocałunkami ob-
sypywał jej twarz i szyję. Przytuliła się do niego mocno
i zarzuciła mu ręce na szyję. Jak to by było, gdyby...

Zanurzył palce w jej włosach, podniósł głowę i popa-
trzył jej prosto w oczy. Pochylił się, jakby chciał dotknąć
ust Pii, jednak zawahał się. Musnął jej policzek i wyszep-
tał do ucha:

- Czy to znaczy, że może zostaniesz?

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

Cofnął się, gdy nie odpowiedziała. W jej oczach dostrzegł niepokój.

- Na trochę - uściślił. - Nie jako niania moich synów. Zobaczymy, do czego to doprowadzi. Czy to się nam nie należy?

Chyba że nie chcesz, dodał w duchu. Może za bardzo naciskał? Może wszystko dzieje się za szybko? W tych sprawach brakowało mu doświadczenia. Nie spotykał się z dziewczynami, nie umawiał się na randki. Pia obudziła w nim nowego ducha, tchnęła w niego życie. Przepęłniało go tyle pragnień. Może dlatego robił coś nie tak, jak powinien?

- Nie mogę. - Jej oczy pociemniały, a z twarzy trudno było coś wyczytać. - Nie chodzi o ciebie, Federico. To przeze mnie.

Opuścił ręce i uśmiechnął się z przymusem. Mało przekonująco.

- Obejrzałem sporo amerykańskich filmów. To chyba zawoalowany sposób powiedzenia „nie”?

- Nie, to nie to... Wczoraj dzwoniła moja zwierzchniczka z Waszyngtonu. Nie mogę tu dłużej zostać, zaczynam pracę. Za tydzień muszę być w Afryce.

- Jeśli nie chcesz jechać, możesz to odłożyć.

Pia otworzyła usta, ale Federico uprzedził ją.

- Ale ty nie chcesz zostać. Trudno. - Odwrócił się do wyjścia.

Zatrzymała go, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Federico, przepraszam cię. Nawet nie wiesz... - Oczy błysnęły jej podejrzenie, ale powstrzymała łzy. - Bardzo bym chciała spróbować, bardziej niż myślisz. Po prostu nie mogę. Byłoby gorzej, tylko byś ucierpiał.

Lucrezią. Chodzi jej o Lucrezię. Federico potrząsnął głową i przysiadł na biurku obok Pii. Nie miał zwyczaju opowiadać komukolwiek o swoich osobistych sprawach. Nie tylko dlatego, że nie leżało to w jego charakterze. Ta zasada obowiązywała całą rodzinę królewską, ze względów bezpieczeństwa. Ale jeśli teraz się przed nią nie otworzy, może na zawsze pogrzebie swoje szanse na szczęście.

Los obszedł się z nim okrutnie, odbierając mu żonę, ale jednocześnie dał mu drugą szansę. Nie może jej zaprzepaścić. Tylko jak wytłumaczyć to Pii?

Było tylko jedno wyjście - powiedzieć jej wszystko, niczego nie ukrywając. I mieć nadzieję, że zrozumie.

- Pia, muszę ci coś wyjawić. - Nabrał powietrza. - Nie byłem do końca szczery, gdy spotkaliśmy się na lotnisku i rozmawialiśmy o Jennifer i Antonym. - Widząc jej zaniepokojoną minę, dodał: - Nie popierałem ich małżeństwa, a nawet zniechęcałem mojego brata.

Pia popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Dlaczego?

- Wydawało mi się, że powinien ożenić się z arystokrat-

ką. Z kimś, kto zna nasz kraj, nasze tradycje. Dla kogo posłannictwo następcy tronu i wynikające z tego zobowiązania są czymś oczywistym. Nie wierzyłem, że Amerykanka, działaczka organizacji humanitarnej, nadaje się na przyszłą królową. Myślałem tak, mimo że Jennifer wywarła na mnie wielkie wrażenie. I mimo że Antony... - Federico urwał.

- Ją kochał? - zapytała cicho Pia.

- Tak. Gdy tylko ją zobaczyłem, nie miałem wątpliwości. Antony wodził za nią oczami, świata za nią nie widział. A ona wcale nie traktowała go jak księcia, tylko jak normalnego mężczyznę. I on ją za to uwielbiał. Była dla niego wyzwaniem, inspirowała go.

Pia słuchała w milczeniu, uważnie. Patrzyła na niego przenikliwie.

- Dlaczego mi to mówisz?

- Bo bardzo się myliłem. Antony nie mógłby wymarzyć sobie lepszej żony, lepszej matki dla swoich dzieci, lepszej kandydatki na przyszłą królową. - Federico zaczerpnął powietrza i popatrzył na drzwi.

Kilka pięter nad nimi Antony i Jennifer witają na świecie swoje dziecko, stają się rodziną. Ich miłość jeszcze się pogłębi, ich związek się umocni. Z nim i z Lucrezia tak nie było. Nawet narodziny dzieci nic nie zmieniły.

Federico przeniósł wzrok na Pię.

- Pomyliłem się w ocenie księżnej Jennifer i być może myliłem się w innych sprawach. - Pogładził ją po ramieniu. - Popełniłem błąd, żeniąc się z Lucrezią. Zrozumiałem to po jej śmierci. Gdy dotarło do mnie, że Stefano za-

czyna ulegać namowom ojca i jest bliski wycofania się ze ślubu z Amandą...

- Niemożliwe! - Pii zaparło dech.

Federico machnął ręką.

- Zostawmy to. W takich rodzinach jak nasza małżeństwa są aranżowane. Tak jak moje i Lucrezii. Dopiero gdy umarła, uświadomiłem sobie, ile przeze mnie straciła. Mogła być z kimś, kto by ją kochał. Prosiłem Stefana, by nie powtórzył mojego błędu. - Federico uściśnął dłoń Pii. - Wczoraj zrozumiałem jeszcze coś. Małżeństwo z Lucrezią również i mnie pozbawiło szansy na szczęście i prawdziwą miłość. Nie tylko ona straciła, ja także.

- Ożeniłeś się, choć jej nie kochałeś? - głos Pii zadrżał.

Federico potrząsnął głową.

- Kochałem ją, na swój sposób. Ale to nie była prawdziwa miłość. Zналиśmy się od dziecka, razem dorastaliśmy, byliśmy przyjaciółmi. Ożeniłem się z nią, bo takie było moje przeznaczenie, moja rola. Dla dobrej rodziny, kraju, narodu. Od dziecka przygotowywano mnie do tego. Miałem poślubić przedstawicielkę arystokratycznego rodu i dać krajowi następcę tronu. To miało zapewnić państwu stabilność, niezależnie od szerzących się wokół konfliktów, trudnej sytuacji na Bałkanach, korupcji toczącej rządy sąsiednich krajów.

Widząc nieprzekonaną minę Pii, dodał:

- Nie zrozum mnie źle. Nasze stosunki układały się bardzo dobrze, brakuje mi jej. Jednak w naszym małżeństwie nie było żaru i pasji, nie było namiętności.

- Zrobiłbyś to jeszcze raz?

Federico podniósł się i popatrzył jej prosto w oczy.

- Nie. I nie tylko dlatego, że mam poczucie winy wobec Lucrezii. Postąpiłem tak, jak powinien postąpić ktoś na moim miejscu, ale przez to pozbawiłem się czegoś bardzo ważnego. Najważniejszego. Nie poszedłem za głosem serca. Gdybym ożenił się z kimś takim jak ty... Z kimś, dla kogo byłbym normalnym człowiekiem, nie księciem. Odebrałem sobie tę możliwość. - Ujął jej twarz w obie dłonie. - Pia, czuję, że taka miłość, jaka stała się udziałem Antonyego i Jennifer, i nam może być dana. Prawdziwa miłość. Ale jeśli odjedziesz, nigdy się o tym nie przekonamy.

Delikatnie bawił się koniuszkami jej palców, z uniesieniem myśląc, ilu ludzi zaznało czułego dotyku tych rąk. Gdy pomagała chorym i cierpiącym, pocieszała osieroczone dzieci, niosła strawę potrzebującym.

Jak mógł choć przez chwilę uważać, że ma niedbały strój czy potargane włosy? To ona jest ideałem, nie on.

- Wiem - powiedział żarliwie - że jesteś całkowicie oddana swojej misji, dlatego chcesz jechać do Afryki, nie zważając na to, co dyktuje ci serce. Ale w ten sposób jesteś na najlepszej drodze, by powtórzyć mój błąd. Chyba przyznasz mi rację?

Ku jego zaskoczeniu, Pia pokręciła przecząco głową. Jej usta drżały.

- Już chyba wiem, dlaczego mówią o tobie, że jesteś ideałem - wyszeptwała. - Bo dopatrujesz się w ludziach dobra, nawet gdy go w nich nie ma. - Przyłożyła palec do swoich warg, po czym dotknęła nim jego ust. W jej oczach był tylko smutek i ból. - Ja nie jestem taka szlachetna, Federico. Wyjeżdżam, bo nie jestem dość silna, żeby tu zostać.

Pia podeszła do drzwi i odsunęła zasuwkę.

- Spotkamy się na górze, u Jen. Chciała, żebym była, gdy dziecko przyjdzie na świat. Kiedy to się stanie, każde z nas pójdzie swoją drogą. I zrobi to, co uzna za najlepsze - powiedziała, po czym odwróciła się i ruszyła do windy.

Gdy tylko zamknęły się drzwi windy, Pia oparła głowę o ścianę. Wreszcie została sama. Otarła łzy. Dlaczego ten Federico jest taki... taki cholernie doskonały?

I dlaczego ona taka nie jest?

Pozwoliła się pocałować, bo była pewna, że nic dla niego nie znaczy. Że Federico, który wciąż opłakuje żonę, jest poza jej zasięgiem i zapomni o niej, zanim jej samolot wyląduje w Afryce.

Tymczasem okazało się, że jest inaczej. On dopiero teraz odkrywał - chyba po raz pierwszy - czym jest prawdziwa miłość. Ta świadomość sprawiała jej ogromną radość. Jednak nie może ulec pokusie, wiedząc, że nigdy do końca nie będzie jego. Postąpiłaby tak, jak on względem Lucrezii.

Nawet jeszcze gorzej.

Zdusiła szloch. Nie mogła się rozklejać. Jennifer czeka na nią, potrzebuje jej. Musi zapomnieć o sobie i o wyznaniu Federica. Wkrótce weźmie na ręce nowo narodzone maleństwo i to jest teraz najważniejsze.

Może zakochała się w Federicu. Może? Przecież go kocha. Zakochała się, zanim ją pocałował, zanim usłyszała prawdę o jego małżeństwie. Ale z ich związku nie wynikło by nic dobrego. I w rezultacie ucierpiałyby dzieci.

Jest tyle kobiet, lepszych od niej, które z radością poślubią księcia.

Winda zatrzymała się na oddziale położniczym. Przy stanowisku pielęgniarek falowały niebieskie baloniki, uśmiechnięci lekarze i pielęgniarki rozprawiali wesoło, poklepywali się po ramionach.

Świętowali narodziny następcy tronu.

Pia przedarła się przez rozradowany tłum i z rozpromienioną twarzą weszła do sali Jennifer.

Federico zatrzymał się przy uchylonych drzwiach. Antony siedział na niewygodnym krześle przy łóżku Jennifer i chyba się zdrzemnął. Pii nie było.

Już miał odejść, gdy Antony cichutko chrząknął. Nie chciał budzić żony.

- Wszystko dobrze? - bezgłośnie zapytał Federico.

Antony skinął głową, wyprostował się i gestem przywołał brata.

- Mój syn jest w sali noworodków, po drugiej stronie korytarza. Ma już za sobą pierwszą kąpiel.

Federico uśmiechnął się, słysząc dumę w głosie brata.

- Enzo jest pewnie tak samo zmęczony jak jego mama.

Antony kiwnął głową.

- To był dla nas wszystkich trudny dzień. Jeśli chciałbyś zobaczyć...

- Jasne. Pójdę do niego, a ty odpoczywaj. Jak wrócisz do pałacu, nie będziesz wiedział, w co ręce włożyć. - Skinął głową w kierunku okna. Na dole kłębił się tłum żądnych wieści reporterów. - Dziecko, dziennikarze, rokowania...

- Wiem, wiem. - Antony odetchnął głęboko, oparł się wygodniej i zamknął oczy.

Federico wycofał się. Zazdrościł bratu tej chwili.

Jak łatwo wyobrazić sobie podobną scenę. Pia obok niego, ich głowy na poduszkach. Chłopcy już usnęli, a oni omawiają plany na następny dzień. Odgarnia jej z twarzy pasmo jasnych loków, zagląda w jej śliczne orzechowe oczy, całuje na dobranoc. Albo na dzień dobry. Jest przy niej, troszczy się o nią, tak jak Antony o Jennifer.

Federico zamruczał pod nosem. Pia jest piękną dziewczyną. Jakże inną od wyfiokowanych, rozpieszczonych arystokratek, z jakimi zazwyczaj miał do czynienia. Ona ma wielkie serce i wspaniały umysł. I jest dla niego prawdziwym wyzwaniem.

Kiedy Lucrezia umarła, był pewien, że już nigdy nie zwiąże się z żadną kobietą. A teraz chciał być z Pią. Pragnął tego. I tym razem nie będzie oglądać się na to, co powiedzą inni.

Zamruczał znowu. On też nie jest jej obojętny. W pewnym sensie sama to przyznała. Poza tym nikt go tak nie całował jak ona.

Tylko co ją tak bardzo przeraża?

Pielęgniarka wprowadziła go do sali noworodków. Ledwie zdążył pomyśleć, że może Pia tu jest, a ujrzał ją pochylającą się nad łóżeczkiem.

Była odwrócona tyłem. Pielęgniarka popatrzyła na niego z ciekawością. Znacząco położył palec na ustach. Kobieta zrozumiała gest. Skinęła głową.

- Może go pani potrzymać, *signorina* Renati - zwróciła się do Pii. - Księżna pozwoliła.

- Nie - wyszeptała Pia. Mówiła po włosku miękko i melodyjnie, ale w jej głosie słychać było niepokój. - Tak jest mu dobrze.

Pielęgniarka uśmiechnęła się miło.

- Księżna powiedziała, że pani będzie jego mamą chrzestną. Trzeba nabrać wprawy. A takie maleństwa bardzo lubią, jak się je bierze na ręce. - Pielęgniarka pokazała fotel na biegunach stojący w rogu sali. - Proszę usiąść, ja podam pani maleństwo.

Pia zawahała się, ale usiadła w fotelu. Nadal nie widziała Federica.

- Nie umiem obchodzić się z dziećmi.

Pielęgniarka podała jej opatulonego jak naleśnik noworodka.

Dziecko szeroko otworzyło oczka.

- Niech się pani nie obawia, *signorina*. On panią polubi.

- Nie w tym rzecz - wyszeptała Pia, z zachwytem patrząc na maleństwo. - Boję się, żeby nie zrobić mu krzywdy.

Pielęgniarka usiadła w fotelu na wprost niej.

- Niech się pani nie boi. Doskonale sobie pani radzi.

Proszę zobaczyć, chce wyciągnąć rączkę, żeby złapać panią za palec.

Federico jeszcze przez chwilę chłonał tę scenę.

Pia usiadła wygodniej, rozluźniła się.

- W książkach i poradnikach to wszystko wygląda tak prosto - westchnęła.

- Tak samo łatwo schudnąć, jeśli wierzyć reklamom - odpowiedziała pielęgniarka. - Do wszystkiego trzeba trochę wprawy. Nie ma się czego bać. Nic mu pani nie zrobi.

Pia westchnęła głęboko.

A Federico odwrócił się i cicho wyszedł.

- Wasza Wysokość, za pół godziny przychodzi pierwsza kandydatka, chrzest jest o jedenastej, a na popołudnie są umówione trzy panie. Chce pan przejrzeć ich dokumenty?

Federico podniósł głowę znad biurka. Znowu bujał w obłokach. Wcześniej nigdy tego nie robił, ale ostatnio to mu się zdarzało coraz częściej. Znowu myślał o Pii.

Sięgnął do stosu papierów leżących na biurku i przerzucił je pobieżnie. Nawet gdyby z Pią poszło mu tak, jak sobie życzył, i tak musi znaleźć nianię, ale na samą myśl, że z grona zdenerwowanych dziewczyn musi wybrać najbardziej odpowiednią...

Dlaczego nie udało mu się przekonać Pii?

Przez ostatni tydzień prawie jej nie widywał. Jutro Pia leci do Afryki. Wiedział o tym od Antonyego.

- Wasza Wysokość? Mogłabym pomóc?

Zamrugał. Znowu wpatrywał się w dal i myślał o niebieskich migdałach.

- Przepraszam. Nie mogę się skupić.

- Widzę. - Teodora uniosła brwi. - Może przejrzę te aplikacje?

- Nie, dziękuję. Już to zrobiłem. Teraz muszę osobiście porozmawiać z kandydatkami. - Sekretarka skinęła głową.

- Do której potrważą dzisiejsze rozmowy?

- Powinny się skończyć koło szóstej. Wasza Wysokość będzie mógł spędzić wieczór z chłopcami. Księżna Isabella zabierze ich zaraz po chrzcie i zajmie się nimi.

Federico postukał ołówkiem w biurko. To może nie najlepszy pomysł, ale gdyby...

- Czy dałoby się przełożyć te popołudniowe spotkania na jutro? Mam coś pilnego. Gdyby to było możliwe, wolałbym zrobić sobie wolne popołudnie. Jak pani myśli?

Zaskoczył ją.

- Oczywiście, Wasza Wysokość - odparła. - Księżna Jennifer już zaplanowała powrót z kościoła, ale...

- Niech pani poprosi jej asystentkę, żeby to zgrała. Tylko proszę zachować dyskrecję, by *signorina* Renati nic nie wiedziała. To ma być niespodzianka.

Pia przesunęła stopą po marmurowej podłodze katedry. Jednym uchem słuchała księdza dziękującego za błogosławieństwo, jakim dla rodziców i całego kraju jest mały książe.

Najlżejszy dźwięk nie zakłócał ciszy panującej w kościele. Jaśniały witraże, a w powietrzu prześwieconym słonecznym blaskiem unosiły się drobinki kurzu. W ceremonii brała udział tylko najbliższa rodzina. Żadnych tłumów, żadnych dziennikarzy.

Słowa księdza odbijały się echem od kamiennego sklepienia. Pia patrzyła na małego Enza śpiącego w ramionach Jennifer, w liczącym dwieście lat uroczystym królewskim stroju z białej koronki. Przed laty chrzczono w nim jego ojca.

Pia nie odrywała oczu od dziecka, żeby nie patrzeć na stojącego na wprost niej Federica.

Powinna się domyśleć, że Jennifer i Antony poproszą

go na ojca chrzestnego. Ona i Federico zostali chrzestnymi rodzicami Enza. Na zawsze będą ze sobą związani, choćby symbolicznie. Dobrze, że nie ma zwyczaju, by chrzestni wspólnie wychowywali niemowlę.

Nie chciała rozpamiętywać tego, co powiedział, gdy spotkali się w kościele. Choć organy grały głośno, ona i tak doskonale słyszała. Pochwalił jej blad różową sukienkę i pantofelki na obcasach. Wszystko pożyczone, rzecz jasna. Napomknął też, że Paolo i Arturo nie mogą się doczekać, by spotkać ją na uroczystym przyjęciu wydawanym w pałacu z okazji chrzcin.

Dodał, że będzie im jej brakowało. Mówiąc to, pochylił się i zniżył głos. Nie miała wątpliwości - mówił również o sobie.

Na przyjęciu będą siedzieć obok siebie.

Przesunęła wzrokiem po jego zgrabnej sylwetce podkreślonej granatowym garniturem. Liczyła, że przez ten tydzień, zajęty obowiązkami, przestanie zawracać sobie nią głowę. Dwa razy widziała go w telewizji. Z okazji oddania do użytku wyremontowanej zabytkowej kamienicy i gdy odpowiadał na pytania dziennikarzy na temat niani dla synów. Potwierdził, że Pia jest przyjaciółką rodziny. I zaprzeczył, jakoby coś ich łączyło.

Tego chciała, jednak w głębi duszy coś się w niej buntowało. Marzyła, by o niej nie zapomniał.

Ksiądz pokropił główkę Enza święconą wodą. Chłopczyk wydawał się kruchy i malutki. Uśmiechnęła się do niego. Przez ostatni tydzień oswoiła się z nim, czuła się pewniej. Choć nie odważyłaby się czegokolwiek zrobić,

gdyby nie było przy niej Jennifer czy Antonyego. Na pewno by nie została z nim sama. Wspomnienia z przeszłości nadal napawały ją lękiem.

Podjęła słuszną decyzję, choć tak trudno się z nią pogodzić. Nie patrzyła na Federica, to było ponad jej siły, jednak instynktownie czuła na sobie spojrzenie jego niebieskich oczu.

Rozległy się dźwięki organów. Król podszedł do rozpromienionych rodziców. Przed katedrą zebrały się rozentuzjasmowane tłumy mieszkańców, każdy chciał zobaczyć najmłodszego księcia.

Pia cofnęła się i stanęła za królem. Już miała wymknąć się do którejś z czekających limuzyn, gdy król zaczął dziękować jej za opiekę nad Jennifer. Federico wykorzystał sytuację i podszedł bliżej. Gdy tylko król skończył, książę ujął ją za łokieć i pociągnął do wyjścia.

- Jedź do pałacu ze mną.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zerknęła na niego z ukosa.

- Miałam jechać ze Stefanem i Amandą...

- Plany się zmieniły - rzekł. - Ojciec jedzie z Jennifer, Antony i dziecko pojadą pierwsi, a Isabella i Nick ze Stefanem i Amandą. Wychodzi na to, że ty jedziesz ze mną.

Nagle Pia doznała olśnienia. To on zmienił plan.

- Poza tym wypada, żeby rodzice chrzestni jechali razem, chyba się zgodzisz?

- Tylko czy prasa nie zacznie tego komentować?

- Oczywiście chłopcy jadą z nami, więc nic nie może się stać.

Nie miała wyjścia.

- No dobrze. Pojadę z wami.

Rozejrzała się, szukając chłopców. Byli dziś wyjątkowo grzeczni. Przez całą ceremonię siedzieli jak trusie obok dziadka.

Federico spostrzegł ich pierwszy. Stali przy bocznych drzwiach i chichotali. Pia i Federico podeszli bliżej. Gdy chłopcy ich zauważyli, błyskawicznie schowali za siebie rączki.

- Już idziemy, tatusiu? - zapytał Arturo.

- Tak. Ale najpierw pokaż mi, co tam masz.

- Byliśmy głodni - wyrwał się Paolo, a brat zmierzył go groźnym spojrzaniem. - Ksiądz nam pozwolił.

- Arturo? - Księżę przeniósł wzrok na starszego syna. Arturo westchnął głęboko, wyciągnął ręce przed siebie.

Trzymał w nich miniaturowe batoniki.

- Wiem, że nie powinniśmy, tato. Ksiądz nam dał. Jesteśmy okropnie głodni.

- Możecie zjeść po jednym. Resztę dostaniecie później. Arturo, mruczając pod nosem, oddał czekoladki.

Federico wziął chłopców za ręce i ruszyli do limuzyny.

Pia z trudem skrywała uśmiech. Nic dziwnego, że maluchy są głodne. Uroczystość trwała dość długo. Jej samej zaburczało w brzuchu na widok czekoladek. Na szczęście zanim zacznie się przyjęcie dla arystokracji i członków parlamentu, podadzą jakieś przekąski.

Zejdzie też z oczu księciu. Ledwie się opanowała, by teraz nie przysunąć się do niego bliżej, nie położyć ręki na jego kolanie i nie wyznać, że popełniła fatalny błąd. Że chce zostać i przekonać się, co z tego wyniknie.

- A więc jutro lecisz do Afryki - odezwał się, gdy kierowca ruszył, podążając za samochodem króla.

Skinęła głową.

Federico pozwolił chłopcom zjeść drugą czekoladkę. Gdy zaczęli szeleścić papierkami, powiedział, zniżając głos:

- Wiem, że czas i miejsce nie są odpowiednie, ale muszę z tobą porozmawiać przed twoim wyjazdem. W szpitalu zajrzałem do sali noworodków. Widziałem cię, choć ty

mnie nie zauważyłaś. Powinienem coś wtedy powiedzieć, ale nie chciałem przeszkadzać.

Pia odwróciła się i popatrzyła na niego. A zatem wszystko słyszał. Cóż, może dobrze się stało. Teraz przynajmniej nie będzie jej zatrzymywać.

- Pia, dlaczego powiedziałaś pielęgniarce...

Nagle Paolo zaczął wydawać jakieś dziwne dźwięki.

- Paolo? Paolo, co ci jest?

Buzia dziecka zrobiła się czerwona. Chłopiec próbował zakaszleć, ale nadaremnie. Patrzył tylko przerażony, błagając wzrokiem o pomoc.

- Zakrztusił się - rzuciła Pia, pospiesznie odpinając pas i klękając przed chłopcem. Błyskawicznie wypięła go z fotelika, przytrzymała i kilka razy uderzyła w plecy. W zaciśniętej piąstce Paolo trzymał papierek po czekoladce.

Szybko rozluźniła mu krawat, rozpięła koszulkę. Pochyliła go i ponownie uderzyła. Federico klęczał obok niej.

-Paolo, nie. Paolo... - Przechylił się do kierowcy. - Zjedź na pobocze - rozkazał. - I dzwoń po karetkę.

- Wasza Wysokość, jeśli się zatrzymamy, otoczy nas tłum - szofer wskazał głową na wiwatujących ludzi. - Karetkę się nie przebiję. Lepiej wyprzedźmy króla i jak najszybciej jedźmy do pałacu - dodał, sięgając po telefon, by powiadomić królewskiego lekarza.

Pia posadziła sobie chłopca na kolanach. Paolo wciąż nie mógł złapać oddechu.

- Teraz ścisnę cię mocno pod żebra, tutaj - powiedziała,

przykładając do ciała chłopca splecione pięści. - Oprzyj się o mnie i postaraj się rozluźnić.

Przerażony Arturo płakał wniebogłosy. Federico nie zwracał teraz na niego uwagi. Przyklął przed Paolem, namawiając, by zrobił to, o co prosiła Pia. Chłopczyk popatrzył mu w oczy i napięte mięśnie rozluźniły się. Pia nacisnęła mocno. Jeszcze raz. I znowu.

Paolo, proszę cię, błagała w duchu. Chłopczyk nie wydawał żadnego dźwięku, jego buzia ściemniała. Pię ogarnęła panika. Przed oczami ujrzała twarz spadającej z huśtawki dziewczynki.

Modląc się w duchu, nacisnęła po raz czwarty. Omal nie krzyknęła, gdy z buzi chłopca wypadła czekoladka. Prześlizgnęła się po spodniach księcia i upadła na podłogę.

Paolo opadł na jej piersi, łapczywie wciągając powietrze. Po chwili zaniósł się płaczem.

Federico objął ich oboje.

- Już dobrze, Paolo. Już nic ci się nie stanie, nie płacz. Wszystko będzie dobrze.

Pia oparła głowę o główkę dziecka i odetchnęła z ulgą. Co by zrobiła, gdyby jej wysiłki nie przyniosły rezultatu? Jak to by się skończyło? Jak Federico zniósłby taki cios?

- Przestraszyłeś mnie, Paolo - wyszeptała, przytulając chłopczyka mocno.

- Mnie też - wymamrotał Federico.

- I mnie! - wykrzyknął Arturo, przechylając się i przytulając z całej siły do ramienia ojca.

Pia ostrożnie oswobodziła się z mocnego uścisku Fe-

derica. Niebezpieczeństwo minęło. Musiała wziąć się w garść.

Kierowca nadal gnał po krętych ulicach na łeb na szyję, a ona wciąż siedziała na podłodze, wtulona w chłopców i w Federica. Było jej tak błogo... Jakby wreszcie znalazła rodzinę, o jakiej marzyła, gdy była dzieckiem.

- Chodź, posadzę cię w foteliku - powiedziała do Paola, gdy samochód wziął kolejny ostry zakręt. - Nim znowu coś się wydarzy.

Paolo kiwnął główką. Cichutko usiadł w foteliku, a Pia zapięła mu pas. Federico pochylił się do szyby kierowcy, powiedział, że niebezpieczeństwo minęło i można zwolnić.

- *Grazie milla*, Pia. - Federico położył jej rękę na ramieniu. - Nie wiem, czy ja bym potrafił...

- Na pewno. Na pewno byś sobie poradził. - Pia usiadła na swoim miejscu i wyjrzała przez okno. Już było widać fasadę pałacu. - Ja też nigdy wcześniej tego nie robiłam. Wprawdzie przeszłam kurs pierwszej pomocy, ale nie wiedziałam, czy w razie prawdziwego wypadku zachowam zimną krew.

- Powinnaś mieć taką wiarę - odparł książę.

Pia popatrzyła na Paola. Buzia chłopca powoli odzyskiwała normalny kolor. Może Federico miał rację. Może powinna mieć więcej wiary w siebie.

Dziennikarze i reporterzy kłębili się przed wejściem do pałacu. Natychmiast obstąpili limuzynę, zarzucając księcia pytaniami. Dlaczego wyprzedzili inne samochody? Dlaczego siedzieli na podłodze? Co tam robili? Czy stało się coś nadzwyczajnego?

Federico zapewnił, że zaraz udzieli odpowiedzi. Najpierw pomógł wysiąść Pii. Oślepiąca błyskiem aparatów, kurczowo chwyciła go za rękę.

Książę przekazał synów sekretarce i lekarzowi. Pospiesznie opowiedział sekretarce o zdarzeniu. Gdy chłopcy zniknęli, wszedł z Pią na schody i zaczął rozmowę z dziennikarzami.

Stała na schodku tuż przed zgromadzonymi reporterami. Już raz to przeżyła, ale teraz było jeszcze trudniej. Miała jeszcze większy mętlik w głowie. I nie radziła sobie z uczuciami, jakie obudził w niej książę.

- Wasza Wysokość...

Federico uniósł rękę, by uciszyć falujący tłum.

- Zdarzył się mały incydent - zaczął. - Nic poważnego.

W drodze z kościoła pozwoliłem Paolowi zjeść czekoladkę, a on postanowił ją połknąć.

Rozległy się śmiechy, jednak widać było, że to wyjaśnienie nie było wystarczające.

- Dzięki *signorinie* Renati nic złego się nie stało. Jak państwo widzieliście, Paolo jest cały i zdrowy. Zakrztusił się z wrażenia po chrzcie kuzyna, to wszystko.

Rozległy się kolejne pytania, na które Federico spokojnie odpowiadał. Gdy pod pałac podjechała limuzyna z królem, dziennikarze rzucili się w jej stronę.

- Chodźmy. - Federico pociągnął Pię do pałacu.

Minęli służbę stojącą przy wejściu i ruszyli w stronę sali balowej.

- Dobrze, że już nas puścili, bo umieram z głodu - uśmiechnęła się Pia.

Federico nie odpowiedział. Weszli do rotundy przed salą balową i księżę poprowadził Pię do kanapy przed wielkim oknem wychodzącym na ogrody.

- Federico?

- Nie uciekniesz tak łatwo. Ani przede mną, ani przed rozmową.

Byli sami. Rodzina królewska jeszcze nie weszła do pałacu, dziennikarze na pewno trochę ich przytrzymają.

- Federico, posłuchaj...

- Dlaczego tak przerażają cię dzieci? Dlaczego używasz tego jako wymówki? Chcesz wyjechać, choć wiesz, że jesteśmy sobie przeznaczeni?

Przełknęła ślinę. Najpierw namawiał, by została na próbę, teraz mówi, że są sobie przeznaczeni, choć celowo trzymała się od niego jak najdalej...

- Jak na kogoś, kto przez całe życie uchodził za doskonałość, potrafisz walić prosto z mostu.

-Pia...

- No dobrze, dobrze. - Starła się nie myśleć o tym, że księżę nadal trzyma jej dłonie. - To nie dzieci mnie przerażają, choć mam świadomość, że brak mi kwalifikacji, by podjąć się opieki nad nimi. Nie chodzi o Artura i Paola, ale o dzieci w ogóle. Dlatego nie mogę z tobą zostać. Nie jestem właściwą osobą.

- Już ci raz powiedziałem, że będziesz wspaniałą matką. i mówiłem szczerze. Widziałem, jak chodziłaś przy Jennifer. Zrezygnowałaś z pracy, choć wiem, jak jest dla ciebie ważna. Obserwowałem, jak radzisz sobie z moimi synami. - Zacisnął mocniej lewą dłoń wokół jej ręki. Uniósł jej brodę, by po-

patrzyła mu prosto w oczy. - Nie mów, że tak nie jest. Zostań. Lub odejdz, jeśli musisz. Ale znajdź inną wymówkę.

Łzy ścisnęły jej gardło. Federico się mylił. Nie była taka. Nie nadaje się na matkę. Jego synowie to urocze dzieci, ale spędzała z nimi czas, by zabić nudę. I uwolnić się od Federica.

I to się jej nie udało.

Pokusa, by zostać, była ogromna. Żadna kobieta na jej miejscu by tego nie odrzuciła.

Nie mogła im tego zrobić. Ani dzieciom, ani Federico wi. Zasługiwał na oddaną, kochającą żonę. Na kogoś, kto go doceni, kto pokocha go całym sercem.

Mówi, że ją kocha, ale przecież wcale jej nie znał.

- Federico, muszę wyjechać. Uwierz mi, to najlepsze wyjście.

- Dlaczego tak w siebie wątpisz? - Przeszywał ją wzrokiem. - Czy... czy nie możesz mieć dzieci? Dlatego jesteś taka wrażliwa...

- Nie, nie dlatego. Nie wiem, czy mogę mieć dzieci. Tego nigdy nie wiesz, póki nie spróbujesz.

Gładził delikatnie jej dłoń.

- Przepraszam. Musiałem zapytać - odezwał się miękko.

- W takim razie czym tak się dręczysz? Bałaś się, że zrobisz krzywdę Enzowi. Skąd takie myśli?

W jego oczach było tyle miłości i niepokoju, że nie mogła już dłużej ukrywać prawdy. Może gdy mu powie, zrozumie i nie będzie jej zatrzymywać.

- Jak się pewnie zorientowałeś, nie mam najlepszych stosunków z matką.

W jego oczach odmalowało się zdziwienie.

- Owszem, zauważyłem, że wolisz o niej nie mówić.

- Ona jest dobrym człowiekiem, teraz zaczynam bardziej ją doceniać, ale gdy byłem mała, nigdy jej przy mnie nie było. - Pia zaśmiała się gorzko. - Gdy skończyłam szesnacie lat, miałam dość takiego życia. Zostałam opiekunką dziecka sąsiadów. To była dziewczynka, mniej więcej w wieku Artura.

Federico słuchał uważnie, jakby domyślając się dalszego ciągu.

- I co się stało?

- Powiem w skrócie. Dziecko spadło z huśtawki. Przez mnie, huśtałam ją za wysoko. Mała złamała obojczyk, miała uszkodzone nerki. - Pia zamknęła oczy. Widok przerażonej buzi dziewczynki będzie ją prześladować do końca życia. - Czułam się strasznie - mówiła dalej. - Próbowałam wytłumaczyć się jej ojcu, ale nie słuchał. Krzyczał na mnie. To był duży, postawny mężczyzna. Bałam się go, choć przed wypadkiem zawsze był dla mnie miły. Powiedział, że źle zrobił, że mi zaufał, nie powinien zatrudnić dziewczyny, którą nie chciała się zajmować jej własna matka.

Skrzywiła się, widząc jego minę.

- Wiem, nie powinnam aż tak brać sobie tego do serca. Ten człowiek był w szoku, bardzo zdenerwowany. Jednak jego słowa tkwią we mnie. To, co powiedział o mamie, było prawdą. Słyszałam to też od innych.

- I dlatego uważasz, że nie możesz ze mną zostać? Naprawdę sądzisz, że zrobisz krzywdę moim dzieciom?

Pia przycisnęła palce do oczu, by powstrzymać łzy.

- Świadomie na pewno nie. Jednak jest we mnie tyle obaw. Może nie są do końca racjonalne, ale za bardzo mi na tobie zależy. Chyba się w tobie zakochałam. - Pia przygryzła usta. Nie powinna mu tego mówić, ale nie mogła się opamiętać. - Kocham cię tak bardzo, że nie chcę narażać twoich dzieci. Na świecie są tysiące kobiet, gotowych na wszystko, byle być z tobą. Pięknych, inteligentnych i bez moich beznadziejnych rozterek.

Cichy śmiech Federica wprowadził ją w zakłopotanie.

- Pia - rzekł z uśmiechem, potrząsając głową. - Nawet nie wiesz, ile mamy z sobą wspólnego. Też nie wierzyłem w siebie. Po małżeństwie z Lucrezia byłem pewien, że miłość nie jest mi sądzona, że nie jestem do niej zdolny. Tak jak ty uważasz, że nie nadajesz się do dzieci.

- Piękna para - Pia odwzajemniła uśmiech. - Tylko jak udowodnisz, że do siebie pasujemy?

- Oboje staramy się pokonać własne uprzedzenia. Od czasu gdy cię poznałem, nie tylko odczuwam bardziej intensywnie, ale stałem się lepszym ojcem. Ty też zrozumiesz, że nie wyrządzisz krzywdy dzieciom. - Umilkł na chwilę, po czym dodał: - Zobacz, jak świetnie poradziłaś sobie z Paolem. A to nie była twoja wina. To ja pozwoliłem mu zjeść czekoladkę i nie przypilnowałem go.

- Dzieci są nieprzewidywalne. Nigdy nie wiadomo, co wymyślą. Teraz poszło dobrze, ale przy fontannie wpadłam w panikę. A gdy Arturo skakał z huśtawki, nie mogłam ruszyć się z miejsca. Sparaliżował mnie strach.

Z korytarza dobiegły wesołe głosy.

- Posłuchaj - szybko zaczęła Pia. - Nie mamy już czasu na rozmowę. Powiem ci tylko, że zasługujesz na kogoś lepszego niż rozhisteryzowana blondynka, która przy byle okazji wpada w panikę. Za bardzo zależy mi na tobie i twoich dzieciach.

Federico spochmurniał.

- Ty jesteś najlepsza, dla mnie i dla dzieci. Nie rozumiesz tego? Jesteś silniejsza, niż myślisz. Nic dziwnego, że przeraziłaś się na widok Artura spadającego z huśtawki. Miałaś prawo. Ale na pewno podświadomie czułaś, że nic mu nie grozi. Przy Paolu nie zastanawiałaś się ani sekundy. Widziałem was z daleka. Od razu wyciągnęłaś go z wody, choć był w niej tylko moment. Nie mogło mu się nic stać.

- A jednak...

- A jednak zachowałaś spokój i zimną krew, gdy zaczął się krztusić. Lekarz by się lepiej nie sprawił. Uratowałaś mu życie.

Pia wstała. Na wysokich obcasach nie czuła się pewnie.

- Cieszę się. Na pewno nabrałam trochę wiary. Ale jeden dzień nie wystarczy, by pozbyć się lęków, nawet tych irracjonalnych.

- Tym bardziej zostań. - Federico stanął obok niej i pogładził ją po policzku. - Zostań - wyszeptał. - Daj sobie czas. Daj nam czas.

Był tak blisko, że czuła jego ciepło, zapach jego wody. I błagalnie patrzył jej w oczy.

- A co z moją pracą? - zapytała wolno. - Nie mogę wszystkiego rzucić. Liczą na mnie.

Jego oczy nagle rozbłysły, jakby pytanie Pii obudziło w nim nadzieję.

- Porozmawiaj z Jennifer. Nie siedzi w obozie uchodźców, ale nadal działa. I bardzo dużo robi. Możesz pójść tą drogą. Spędziłaś długie miesiące w różnych zakątkach świata, niosąc pomoc ludziom. Na własnej skórze doświadczyłaś życia, jakie przyszło im wieść. Tacy jak ja nie mają o tym pojęcia. Pomyśl, jaki byłby efekt, gdyby działania na rzecz zwalczania AIDS w Afryce połączyć z możliwościami królewskiej rodziny.

Pia milczała.

Federico westchnął i opuścił ręce.

- Jeśli uważasz, że musisz jechać, bo masz zobowiązania, zrozumieć. Boję się tylko, że nie wrócisz. Że znowu zaczniesz się zadreć. Będziesz szukać ucieczki przed lękami i angażować się w kolejne przedsięwzięcia.

Pia popatrzyła na niego zaskoczona. Czyżby rzeczywiście tak było? Uciekała przed matką, to prawda. Gdy po studiach szukała pracy, skorzystała z pierwszej okazji, by wyjechać jak najdalej od niej. Ale czy ucieka również przed życiem?

Z trudem przełknęła ślinę.

- Wiesz o mnie więcej niż ja sama. - Nigdy by w to nie uwierzyła, ale naprawdę tak było. - Jak to możliwe?

Przesunął palcem po wycięciu jej sukni.

- Bo jesteśmy do siebie bardzo podobni. Praca jest dla ciebie ucieczką. Podobnie jak dla mnie. Teraz to zrozumiałem. - A widząc jej minę, dodał: - Powiedziałem ci w szpitalu, że nie kochałem Lucrezii. Oświadczyłem się, bo to wydawało

mi się naturalne. Wiedziałem, że ona idealnie nadaje się do roli księżęcej małżonki. Wmówiłem sobie, że powinienem to zrobić. A tymczasem prawdziwy powód był inny... zależało mi na dobrej opinii. Nim Antony ożenił się z Jennifer, media wariowały na jego temat. Przedstawiano go jako playboya. Wiedziałem, że ojciec zaaprobuje Lucrezię. Była inteligentna, piękna, pochodziła z dobrej rodziny...

-Ale?

- Świetnie się rozumieliśmy. Myślałem, że to miłość, ale to był po prostu bardzo wygodny układ. I już nie musiałem się bać, że wdam się w jakiś romans i trafię na okładki brukowców. Uważałem, że reputacja jest ważniejsza od uczucia.

Pia widziała, jak bardzo jest spięty.

- Musiałem stracić Lucrezię i poznać ciebie, by uświadomić sobie, czym naprawdę może być miłość. Teraz, gdy już wiem, nie chcę jej utracić. Nie chcę, byś wyjechała.

- Nawet gdyby twoja reputacja miała na tym ucierpieć? Powiedziałeś, że jeszcze oplakujesz żonę. Pomyśl, jak zareagują media, jeśli zostanę? A twoi poddani?

- A jeśli chcę podjąć ryzyko?

Zaśmiała się.

- Nie powinienesś...

- Powinienem. I zrobię to. Powiedz tylko, że nigdzie nie wyjedziesz.

W tym samym momencie do rotundy wszedł król otoczony rodziną, gośćmi i tłumem reporterów. Pstrykały aparaty, strzelały flesze. Nie minęło kilka sekund, a kamery i aparaty zwróciły się w stronę Federica i Pii.

Pia uśmiechnęła się do księcia. Czowała się jak nurek skaczący z klifu w nieznane głębiny. Skinęła głową.

Twarz Federica rozjaśniła się w uśmiechu. Pochylił się i pocałował Pię.

Natychmiast otoczyli ich reporterzy, rozległy się pod-ekscytowane głosy. Pia śmiała się radośnie. Tak, musiała zaryzykować.

- Wątpię, by nadal nazywali mnie idealnym księciem - wyszeptał jej do ucha Federico.

- Mylisz się - odparła. - Jesteś moim idealnym księciem. I codziennie będę ci o tym przypominać.

RS

EPILOG

Trzy lata później

- Nie, ja tego chyba nigdy nie pojmem - wyszeptała Pia, zniżając głos, by Paolo i Arturo jej nie słyszeli.

- To nie ma znaczenia. - Federico pogładził ją po plecach, pochylił się i pocałował ją w czubek głowy. - Spróbujmy razem.

-*Mamma*, mówiłaś, że to nieładnie szeptać - powiedział Paolo.

- Masz rację. Daję wam zły przykład. - Pia puściła oko do Paola. Był teraz taki jak Arturo wtedy, gdy niechcący dostała od nich bumerangiem. Paolo wyrósł na bystrego pierwszaka.

Obaj mówili do niej *mamma*. To było dla niej największą nagrodą.

- Moim zdaniem mama daje wam dobry przykład - rzekł Federico, biorąc do ręki rysunek Artura. - Dzieci w przytułku w Zimbabwe bardzo się ucieszą, gdy dostaną listy od was i waszych kolegów.

- I moje rysunki - dodał Paolo, pokazując im akwarel

kę przedstawiającą chyba jego samego. - Niedługo do nich pojedziemy?

Pia i Federico wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Mama chyba przez jakiś czas nie będzie mogła pojechać do Afryki - odpowiedział książę. - Pracuje teraz nad bardzo ważnym projektem.

- Co to za projekt? - Arturo wyprostował się przy biurku, odkładając ołówek. - To coś z dziećmi?

Pia uśmiechnęła się. Przypomniała sobie prezent, jaki wczoraj wieczorem dostała od Federica. „Pierwszy rok życia dziecka. Poradnik supermamy”, trzecie wydanie.

- Tak, to coś z dziećmi, ale...

- Na razie to tajemnica - dokończył Federico. - Później wam o tym opowiemy, zgoda? Teraz trzeba tutaj posprzątać. Wasza nowa niania zjawi się lada chwila. Zabierze was do kina.

- Znalazłeś nam w końcu nianię? - zapytał Paolo. - *Mamma* mówiła, że to chyba nigdy nie nastąpi.

- To prawda - przyznała Pia. - Ale znaleźliśmy kogoś, kto właśnie przeszedł na emeryturę, a przez całe życie najbardziej chciał zajmować się dziećmi. I teraz ma szansę.

Arturo rozpromienił się.

- To babcia Sabrina, prawda?

Pia uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Posprzątajcie szybko, bo inaczej się nie dowiecie.

- To babcia! - Chłopcy radośnie przybili piątkę i pośpiesznie zaczęli sprzątać.

Federico pochylił się do Pii.

- Jak sobie pójdą, będziemy mogli to uczcić.

- Mamy być z Nickiem i Isabella w Muzeum Królewskim na otwarciu wystawy sztuki średniowiecznej.

- No to się trochę spóźnimy.

- Nie możesz... no wiesz. Przecież ja...

- Zawsze można spróbować.

Pia okrążyła stół, by pomóc chłopcom składać rysunki.

- Skoro Wasza Wysokość nalega. Przecież nie mogę uciec.

- Nie - potwierdził, sięgając przez stół i zaciskając dłoń wokół jej palców. - Nie możesz.

RS

L'ARLEQUIN

Romans[®]

Wielkanocna

5,99 zł

promocja cenowa

NR15 04/07 CENA 5,99 ZŁ W TYM 0% VAT INDEKS 360325

Liz Fielding
Powrót wiosny



Liz Fielding

Powrót wiosny



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jacqui Moore starała się przeniknąć wzrokiem nisko zawieszone, kłębiaste chmury, by utrzymać swój bezcenny samochód na krętej, obrzeżonej kamiennym murem drodze, zbyt wąskiej, by czuła się za kierownicą swobodnie. Nie po raz pierwszy tego dnia żałowała, że przystała na tę propozycję.

- Tylko na chwilę zaopiekujesz się dzieckiem, Jacqui. To nic trudnego dla osoby tak doświadczonej jak ty.

- Nie jestem nianią. Już nie.

- To tylko dwie godziny - ciągnęła Vickie Campbell, jakby Jacqui w ogóle się nie odzywała. - Nie prosiłabym cię o to, gdyby nie zupełnie wyjątkowa sytuacja. Selina Talbot jest naszą specjalną klientką.

- Selina Talbot?

- Nareszcie mnie słuchasz - zauważyła Vickie z satysfakcją.
- Wiesz, że zaadoptowała osierocone dziecko uchodźców?

- Tak, widziałam jej zdjęcie w „Celebrity”.

- Szukamy dla niej kogoś naprawdę dobrego.

- Tak? - Jacqui zachnęła się gwałtownie. - A więc dlaczego jedna z twoich cudownych nian nie zajmie się jej małą córeczką?

- Właściwie mam już odpowiednią kandydatkę, ale jest na wakacjach.

- Na wakacjach! Co za ciekawy zbieg okoliczności. Nie wiem, czy sobie przypominasz, ale prosiłaś mnie, żebym do ciebie wpadła w drodze na lotnisko. - Jacqui położyła znamienny nacisk na ostatnie słowo. - Powiedziałaś, że masz do mnie ważną sprawę.

- Ach tak. - Vickie otworzyła szufladę biurka i podała jej grubą kopertę. - Od państwa Gilchrist.

Jacqui rozdarła kopertę, opatrzoną znaczkiem z Hongkongu, i wysypała zawartość na dłoń. Wizytówka spadła na podłogę. Podniosła ją i z lękiem odwróciła. Przeczytała wiadomość.

Mrugając gwałtownie, pochyliła głowę, jakby chciała wymazać ten widok sprzed oczu.

- Co się stało? Czy Gilchristowie przysłali ci jakąś pamiętkę?

- Coś w tym rodzaju - wykrztusiła Jacqui.

Vickie wyjęła jej z ręki mały przedmiot.

- Och, to bransoletka na breloczki. Zaczęli kolekcję od maleńkiego serduszka. Jakie śliczne... - Odwróciła bransoletkę do światła i zmrużyła oczy. - Tu jest coś wygrawerowane. ... „Zapomnij i uśmiechnij się”. - Zmarszczyła brwi.

- Co to znaczy?

- To znany cytat z Christiny Rossetti - mruknęła Jacqui.

- Lepiej zapomnieć i uśmiechnąć się, niż pamiętać i się smucić.

- Och, tak... Rozumiem. - Potem Vickie dodała: - Może to i dobra rada.

- Tak - przyznała Jacqui.

- Wiem, jak bardzo przeżyłaś jej utratę, Jacqui - powiedziała Vickie. - Po tym, co dla niej zrobiłaś, ona nigdy cię nie zapomni..

Dobrze wiedziała, ile zrobiła. Już nigdy więcej nie podejmie takiego ryzyka.

- Zapaść?

Jacqui wyciągnęła rękę, a Vickie zapięła jej bransoletkę. Byłoby dziwne, gdyby schowała ją do koperty.

- No cóż - powiedziała - już pójdę.

- Nie spiesz się. Twój samolot odlatuje dopiero za parę godzin. A ponieważ kupiłaś bilet na tanią linię, wygląda na to, że potrzebujesz pieniędzy. Od miesiący nie pracujesz.

- Od miesiący nie pracuję dla ciebie - poprawiła ją Jacqui.

- Tak jak zamierzałam. Ale zatrudniłam się w pewnym miłym, małym biurze. Ustalone godziny pracy, wolne weekendy i całkiem niezłe pieniądze.

Vickie z niedowierzaniem przewróciła oczami.

- Poprosili mnie, abym została - dodała Jacqui. - Na stałe.

- Nie mogło być tak wspaniale, skoro się wycofałaś.

Jacqui doskonale wypełniała swoje obowiązki, jednak praca była nużąca i monotonna. Nienawidziła każdej spędzonej w biurze minuty, lecz potulnie harowała przez sześć miesięcy. No i wreszcie miała dość. Będzie musiała spróbować czegoś innego. Może jej rodzina miała rację? Dwa tygodnie wakacji da jej czas na podjęcie decyzji, co zrobić z resztą życia.

- Będziesz przejeżdżać obok tego domu - nalegała Vickie, wdzierając się w jej myśli.

- Doprawdy? Autostrada biegnie prosto przez Little Hinton, nieprawdaż?

- Niezupełnie, ale niewiele trzeba zjechać. Wieś znajduje się najwyżej osiem kilometrów od najbliższego zjazdu.

- Osiem? Chyba w linii prostej!
- No, może dziesięć. Pokażę ci na mapie.
- Dziękuję, i tak tam nie wstąpię.
- Będę z tobą szczerą...
- Co za miła odmiana.
- Liczę na ciebie. Och, błagam cię... Selina Talbot przyjeżdża lada moment. Muszę mieć czas na znalezienie kogoś odpowiedniego.

- Jeśli lubisz działać w stylu Machiavellego, powinnaś mieć plan awaryjny.

- Proszę cię. To tylko przelotne zajęcie. Nie zostawisz przecież małej, zapłakanej dziewczynki w moim biurze, prawda?

Jacqui tak mocno zacisnęła dłoń wokół łańcuszka, aż zaczęła odczuwać ból.

- Przeżyję to.
- Proszę cię, Jacqui. Mam spotkania, wywiady...
- I biuro pełne pracowników.
- Którzy są bardzo zajęci. Po prostu odwieź Maisie do domu jej babci, a potem możesz jechać do ciepłych krajów i na dwa tygodnie zapomnieć o naszym deszczu.
- Myślisz, że wzbudzisz we mnie poczucie winy? - spytała Jacqui z nonszalancją.

Wprawdzie wakacje nie były jej pomysłem, tylko rodzina na nie nalegała, ale Jacqui i tak już dojrzewała do tej myśli. Cóż, każdego ranka przeglądała się w lustrze. Powinna wyjść i zostawić Vickie z całym tym jej bałaganem.

- Zapłacę ci podwójnie.
- Musisz być naprawdę zdesperowana.
- A gdy wrócisz - ciągnęła Vickie, jakby Jacqui w ogóle się nie odzywała - pogadamy o twojej przyszłości.

- Nie mam żadnej przyszłości - oświadczyła gwałtownie Jacqui, podejrzewając, że własne sprawy wymykają jej się spod kontroli.

Zgodziła się przyjechać do agencji po drodze na lotnisko tylko po to, by powiedzieć Vickie prosto w oczy, żeby na zawsze wykreśliła ją ze swoich rejestrów. Ostatecznie i nieodwołalnie. Koniec z nagrywaniem na jej sekretarkę kuszących propozycji pracy.

W słonecznej Hiszpanii będzie przynajmniej z dala od takich pokus.

- W każdym razie jako opiekunka do dzieci - dodała, kierując się do drzwi. - Przyślę ci pocztówkę.

Vickie skoczyła na równe nogi, gotowa zagrozić Jacqui drogę do wyjścia, gdy w drzwiach stanęła Selina Talbot - wysoka, piękna blondynka, warta tych milionów dolarów, które zarobiła, pracując jako topmodelka w znanej firmie kosmetycznej.

Maisie, jej sześcioletnia adoptowana córka - znana z setek kolorowych zdjęć w magazynach, przedstawiających „szczęśliwą rodzinę” - stała u *jej* boku.

Mała dziewczynka nie miała na sobie normalnego, wygodnego ubrania, jakie włożyłaby jej na podróż każda normalna niania. W białej, szerokiej sukience z tiulu, przepasanej szarfą - stanowiącej znakomity kontrast dla skóry w kolorze ciemnej czekolady - oraz w białych rajstopach i satynowych pantofelkach wyglądała jak mała księżniczka. Całości dopełniała błyszcząca tiara na czubku pokrytej lokami głowy. Brakowało tylko skrzydeł.

Jednym paluszkiem trzymała matkę za palec. W drugiej ręczce miała białą torbę z lnu, na której widniała satynowa aplikacja z jej imieniem. Logo designera wyhaftowane ta-

kim samym kolorem świadczyło, że było to unikalne dzieło wykonane dla małej modelki.

U większości znanych Jacqui małych dziewczynek - a poznała ich sporo - w pięć minut taki strój byłby brudny i wygnieciony.

Ale Maisie Talbot prezentowała się jak lalka z wystawy.

Większość dzieci, które zostawały pod opieką obcych ludzi - a Jacqui mnóstwo razy była tą „obcą osobą” - z rozpaczy czepiałyby się swoich matek.

Ale Maisie stała spokojna, milcząca i opanowana. Selina Talbot zaś pocałowała powietrze nad głową córki i - wysłuchawszy Vickie, która szybko przedstawiła Jacqui Moore jako „doświadczoną nianię, o której pani opowiadałam” - podała jej białą torbę podręczną i wyszła, nie okazując żadnych oznak matczynego niepokoju.

Jacqui, pod wpływem nagłego współczucia dla tego dziecka-lalki, zapragnęła wziąć małą na ręce i uściskać. Jednak impuls zgasł, gdy spojrzała w oczy Maisie. Odbijał się w nich wystudiowany chłód, taki sam jak w spojrzeniu jej matki na paryskich wybiegach.

- Chciałabym już iść, Jacqui - odezwała się Maisie wyniośle i podeszła do drzwi, czekając, aż ktoś je dla niej otworzy. Potem ze zniecierpliwieniem uderzyła stopą w podłogę.

Vickie Campbell bezgłośnie powtarzała słowo „proszę”. Jacqui naprawdę miała wielką ochotę wyjść, pozostawiając ją z tym problemem. I to nie błagalna mina Vickie sprawiła, że zmieniła decyzję. Nie potrafiła odrzucić dziecka, które pomimo pozorów chłodu i opanowania wyglądało na ogromnie samotne.

- Jesteś mi winna przysługę, Vickie - poddała się w końcu, niezdolna odeprzeć ataku z dwóch stron.

- Zgoda. - Vickie uśmiechnęła się z ulgą. - Koniecznie odwiedź mnie po powrocie, a dostaniesz pracę, którą będziesz zachwycona.

Czyżby wpadła w starannie zastawioną pułapkę?

- Chodźmy, Maisie, zanim założą mi blokadę na koła.

- Czy to twój? - spytała dziewczynka z niesmakiem, gdy podeszły do starego volkswagena.

- Mój. - Jacqui otworzyła drzwi.

- Podróżuję tylko mercedesami - oświadczyła dziewczynka.

Jacqui dobrze wiedziała, dlaczego Vickie obawiała się zostać sam na sam z Maisie Talbot.

- To jest mercedes - oznajmiła z wigorem.

- Nie wygląda.

- Doprawdy? Po prostu ma dziś swój nieformalny dzień.

Maisie zmarszczyła brwi.

- Co to jest nieformalny dzień?

Jacqui zdążyła pożałować, że nie trzymała języka za zębami. Musi uważać, gdy następnym razem będzie usiłowała przechytrzyć małą.

- To taki dzień, gdy możesz pójść do pracy ubrana na przykład w dzinsy zamiast w kostium.

- Dlaczego ktoś chciałby to robić?

- Dla zabawy. - Ale ponieważ ideałem zabawy Maisie było strojenie się, dodała: - Och, czasami po to, żeby zebrać pieniądze na jakiś zbożny cel. Dorośli płacą za to, że przychodzą do pracy ubrani jak im się podoba. Czy na przykład nie chciałabyś zamiast szkolnego mundurka włożyć do szkoły tę sukienkę i jednocześnie zebrać trochę pieniędzy?

- Ja nie chodzę do szkoły.
- Nie chodzisz?
- To nauczyciel do mnie przychodzi. - I dodała: - Czy właśnie dlatego nie nosisz odpowiedniego uniformu? Ubrałaś się tak, żeby wpłacić pieniądze na jakiś cel?

Jacqui, która nigdy nie nosiła żadnego uniformu, pominęła tę uwagę milczeniem i zaczęła robić w samochodzie porządki. Zebrała z tylnego siedzenia papierki po cukierkach, następnie postawiła białą torbę obok swojej i powiedziała:

- Wskakuj, Maisie, i zapnij pas.

Mała weszła do środka jak księżniczka do rolls-royce'a i ostrożnie rozpostarła sukienkę na siedzeniu. Dopiero gdy była zadowolona z efektu, pozwoliła zapiąć sobie pas.

Jacqui spróbowała nawiązać rozmowę:

- Czy też chcesz zostać modelką, tak jak mama?

- Już to robiłam, ale to strasznie nudne. - Maisie poślą jej spojrzenie pełne irytacji.

- Słyszałam o tym. - Jacqui siadła za kierownicą, włączyła silnik i ruszyła z miejsca.

- Gdy dorosnę, zamierzam zostać lekarzem tak jak...

- Jak kto?

Ale Maisie nie odpowiedziała. Wyjęła ze swojej torby odtwarzacz CD i włożyła słuchawki do uszu, dając do zrozumienia, że zakończyła konwersację.

Świetnie, pomyślała Jacqui. Zaczynała się przyzwyczajać do podróży bez niekończącej się dziecięcej paplaniny.

- Jesteśmy na miejscu, Maisie - powiedziała, skręcając na rondzie w kierunku Little Hinton.

- Nie, jeszcze nie. - Maisie nawet nie podniosła oczu.

Oczywiście miała rację.

Wioska znajdowała się w odległości raczej piętnastu niż ośmiu kilometrów od autostrady, ale łatwo ją było znaleźć. Był tam sklep, poczta, pub i mała szkoła, gdzie dzieci bawiły się na boisku, oraz domy rozrzucone wśród zieleni. W ciągu pięciu minut Jacqui sprawdziła je wszystkie i wcale się nie zdziwiła, że nie znalazła pomiędzy nimi Samotnego Szczytu.

Wioska znajdowała się w niewielkiej dolinie, za którą wznosiło się pasmo wzgórz tonących w nisko zawieszonych chmurach. Nietrudno było zgadnąć, że rezydencja nosząca nazwę Samotny Szczyt musiała znajdować się gdzieś tam.

- Niewielkie zboczenie z drogi... - mruknęła pod nosem, zatrzymując się przed sklepem. - Możesz zapomnieć o pocztówce, Vickie Campbell.

- Mówiłam ci, że to jeszcze daleko - wtrąciła Maisie.

- To prawda.

- Tam! - Wskazała wzgórze tonące we mgle.

- Poczekaj, spytam o drogę.

- Znam drogę. Powiedziałam ci, że to tam, na górze.

- Poczekaj, zaraz wracam.

Dziewczynka wruszyła ramionami i założyła słuchawki na uszy.

- Samotny Szczyt? Jedzie pani do Samotnego Szczytu?
- Spojrzenie pełne wątpliwości, jakim obrzuciła ją ekspedientka, nie podziałało na Jacqui krzepiąco. - Czy tam się pani spodziewają?

Jacqui miała na końcu języka niezbyt uprzejmą ripostę, ale na prowincji ludzie na ogół byli wścibscy, a ona potrzebowała wskazówek.

- Tak, spodziewają się mnie.

- Może pani przy okazji zawieźć im korespondencję? - Nie czekając na odpowiedź, sprzedawczyni podała reklamówkę pełną pocztę.

- Jeśli udzieli mi pani wskazówek. Jestem trochę spóźniona.

- Oczywiście. Niech pani tylko nie pędzi w górę tą drogą. Nigdy nie wiadomo, co się wyłoni zza zakrętu. Kiedyś spotkałam lamę... - Ekspedientka wyprowadziła Jacqui ze sklepu i zaczęła objaśniać: - Pojedzie pani tędy, za szkołą skręt w lewo i w górę. Tam jest jeden dom. Nie można się zgubić. Ale naprawdę proszę uważać. Niebo jest pochmurne, a droga pełna kolein i dziur. Dobra tylko dla wozów terenowych. - Obrzuciła volkswagena powątpiewającym spojrzeniem. Gdy spostrzegła Maisie, spytała: - Czy to...?

- A potem sama zdecydowała, że tak, więc dodała: - Prawdziwa z niej laleczka, prawda? Jej matka tak samo wyglądała w jej wieku... Nie, nie całkiem tak samo... - Być może zrozumiałwszy, że jej słowa mogą mieć rasistowski posmak, dodała: - Zawsze wyglądała jak mała księżniczka.

- Dziękuję za wskazanie drogi. - Jacqui uśmiechnęła się przyjaźnie. - I za przestrogi. Będę uważać na dziury. I na lamy.

Naprawdę uważała. Zaciskając zęby, wolniutko wspinała się pod górę, a wycieraczki ledwie nadażały ściągać błoto klejące się do szyby.

- Już prawie jesteśmy na miejscu - powiedziała krzepiąco bardziej do siebie niż do Maisie, która ignorowała wstrząsy jak prawdziwa mała księżniczka.

Tortura ciągnęła się jeszcze przez kilometr. Jacqui z napięcia zeszytniały ramiona. Gdy zakiełkowała jej myśl, że przegapiła dom albo w ogóle pojechała złą drogą, nag-

le jakby znikąd wyłoniła się stara, porośnięta bluszczem brama. Wyglądała, jakby nie otwierano jej od lat. Wisiąły na niej dwie tablice. Na jednej pewnie był napis „Samotny Szczyt”, ale czas go zatarał. Druga, nowa tablica informowała, że „Wstęp wzbroniony”.

Jacqui wysiadła z samochodu i, starając się ominąć błoto, podniosła ciężki bolec, po czym pchnęła z całej siły zarzewiając bramę i... prawie poleciała na twarz, ponieważ naoliwione skrzydła gładko się rozchyliły.

Maisie, nadal zajęta słuchaniem płyty, nic nie powiedziała, gdy Jacqui otrzepała błoto z butów i znów zasiadła za kierownicą. Uśmiechała się tylko znacząco, z satysfakcją, wyraźnie pokazując, co sobie myśli.

Jacqui wrzuciła bieg i po chwili znalazła się przed dużym budynkiem pokrytym piaskowcem koloru kości słoniowej, z wieżami po obu stronach i dachem zwieńczonym blankami. Przypominał raczej twierdzę niż dom, w którym mieszka czyjaś babcia.

Dla Jacqui, która przecież nigdy tu nie była, rezydencja wyglądała dziwnie znajomo. Ogarnęły ją złe przecucia. Niemal zaczynała współczuć Maisie.

To było śmieszne. Przecież za chwilę drzwi otworzą się i dziecko znajdzie się w uścisku kochających babcinych ramion.

Ale drzwi pozostawały zamknięte.

Nie chcąc wystawiać satynowych bucików Maisie na pastwę kapryśnej pogody, powiedziała:

- Poczekaj tutaj. Zadzwoń do drzwi.

Maisie chciała coś powiedzieć, ale tylko westchnęła.

Jacqui, chroniąc się przed zimnym, wilgotnym powietrzem, wbiegła na schodki i podeszła do nabijanych żela-

znymi ćwiekami drzwi. Nie było tu dzwonka elektrycznego, tylko staromodny dzwonek ręczny.

Gdy podniosła rękę, srebrna bransoletka zsunęła się i w tym momencie przyczepione do niej serduszko zamiotało w świetle dnia. Na chwilę zastygła, a potem mocno pociągnęła rączkę dzwonka. Usłyszała staroświecki brzęk.

Gdzieś rozległo się żałosne wycie psa.

Jacqui nerwowo rozejrzała się wokół, jakby z mgły miał wyłonić się pies Baskerville'ów. To śmieszne. Nie była w Dartmoor... Niemniej jednak zadrżała i jeszcze mocniej pociągnęła za dzwonek.

Dwa razy.

W końcu usłyszała szcęk odsuwanej zasuwy. A potem, gdy ktoś uchylił drzwi, uświadomiła sobie, dlaczego ten dom wydawał jej się znajomy. Widziała go w książce z bajkami, którą dostała w dzieciństwie. Były to przerażające opowieści o czarownicach, karłach i olbrzymach.

W takim domu mieszkał jeden z olbrzymów...

I nadal mieszka.

Jacqui miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, ale mężczyzna, który jej otworzył, groźnie nad nią dominował. To prawda, że stała stopień niżej niż on, ale tu nie chodziło jedynie o wzrost. Miał tak szerokie ramiona, że wypełniał całą framugę. Gęste, ciemne włosy, które od miesiący nie widziały nożyczek, przypominały lwia grzywę.

- Słucham? - spytał zniechęcająco.

Było trochę za późno na żal, że nie trzymała się swojego pierwotnego planu i nie mknie teraz autostradą na lotnisko, wyobrażając sobie hiszpańską słoneczną plażę, na której będzie się wylegiwać przez najbliższe dwa tygodnie.

Wzięła się w garść. Odsunęła myśli o olbrzymie, który

tak bardzo ją kiedyś przerażał, ponieważ piekł chleb z mielonych dziecięcych kości, i wyciągnęła rękę w przyjacielskim geście.

- Nazywam się Jacqui Moore... - Ale on najwyraźniej potrzebował więcej informacji, by wymienić uścisk dłoni, więc dodała: - Z agencji Campbell.

- Czy pani coś sprzedaje? Bo jeśli tak, to obawiam się, że podjęła pani niepotrzebne ryzyko...

-Więcej niż ryzyko - wtrąciła trochę zbyt szorstko i opuściła rękę. - Czy nie powinien pan zrobić czegoś z tą drogą?

- To moja sprawa. Proszę uważać, gdy będzie pani zjeżdżać w dół. - Cofnął się i zaczął zamykać drzwi.

Jacqui stała jak zamurowana. Ale gdy szpara w drzwiach zaczęła się niebezpiecznie zmniejszać, zrobiła to, co zaradna niania zrobić powinna: włożyła nogę w tę szparę.

Olbrzym spojrział na jej stopę w butach do kostek, a potem na nią.

- Coś jeszcze? Chyba nie przyjechała pani po to, by poskarżyć się na stan drogi?

- Nie, jak również nic nie sprzedaję. Jestem tymczasową nianią.

- Doprawdy? - Otworzył drzwi trochę szerzej, uwalniając jej stopę. Nie cofnęła jej jednak, nawet wtedy, gdy zmierzył ją od stóp do głów. W końcu pokręcił głową. - Nie jestem całkiem przekonany. Mary Poppins nie wyszłaby z domu bez parasolki.

Miała naprawdę dość rozmowy z olbrzymem, a poza tym powinna już być gdzie indziej.

- Czy może pan przekazać pani Talbot, że tu jestem? - powtórzyła opanowanym tonem. - Oczekuje mnie.

- Wątpię. - Linie wokół jego ust pogłębiły się, choć nie zmienił wyrazu twarzy.

- Słucham? - Przez chwilę stała jak zahipnotyzowana. - Przywiozłam Maisie... - Odwróciła się, ale nie po to, aby wskazać dziewczynkę, lecz by dać sobie trochę oddechu.

Olbrzym z dziecięcej bajki nie robił na niej aż takiego wrażenia.

- Widzę - odpowiedział, choć Maisie zapadła się głębiej w siedzenie i widać było tylko błyszczącą tiarę. Uśmiech zamarł mu na ustach. - Ale po co...?

- Ma tu zostać.

- Z panią Talbot?

W jego głosie brzmiało zdumienie. Patrzył na nią tak, jakby postradała zmysły.

- Z panią Kate Talbot, jej babcią - wyjaśniła z przesadną cierpliwością. - Zostałam zaangażowana przez panią Selinę Talbot poprzez agencję Campbell. Miałam przywieźć Maisie do Samotnego Szczytu. Mam napięty harmonogram, będę więc ogromnie wdzięczna, jeśli mogłabym ją przekazać i ruszyć w swoją drogę.

- Rozumiem panią, ale to niemożliwe. Przykro mi, że jechała pani na próżno. - W jego głosie nie słychać było współczucia. - Moja ciotka...

- Pańska ciotka?

- Moja ciotka, czyli babcia Maisie, czyli pani Talbot - odparł z beczelną ironią - bawi obecnie u swojej siostry w Nowej Zelandii.

Jacqui wzięła głęboki oddech.

- Zaszło jakieś nieporozumienie - powiedziała głośno, jakby przekonywała samą siebie. Vickie potrafiła działać podstępnie, ale nie była głupia i poważnie traktowała swój

biznes. - Pani Talbot dziś rano przywiozła córkę do agencji Campbell. Byłam tam przypadkiem...

- Miała pani pecha.

- Chciałam tylko podkreślić, że nie zrobiłaby tego, gdyby wiedziała, że jej matka wyjechała. Musiała z nią rozmawiać, uzgodnić termin...

- Pani by to zrobiła. Ja na pewno też. - Raz jeszcze usta olbrzyma wykrzywiły się w grymasie, który z trudem można by nazwać uśmiechem. Ale tym razem żadna oznaka rozbawiania nie sięgnęła oczu. - Już jako dziecko Sally... Selina uważała, że jej życzenia są dla matki rozkazem. Nie nauczyła się nikogo o nic prosić. Być może, gdy się spogląda na życie tak jak ona, nie trzeba tego robić.

-Ale przecież...

- Tym razem będzie musiała odłożyć życie towarzyskie na drugi plan i choć raz odegrać rolę prawdziwej matki.

-Ale...

Mówiła do zamkniętych drzwi.

Harry Talbot zamknął drzwi i oparł się o nie na dłuższą chwilę, czując, jak strużka potu spływa mu po karku. Nie miało to nic wspólnego z mozolną pracą przy zepsutym bojlerze.

Do diabła z Sally! Do diabła z Jacqui Moore! Do diabła ze wszystkimi...

Wyprostował się, wziął kilka uspokajających oddechów i odwrócił się do drzwi, oczekując na kolejny dzwonek. Postanowił, że nie włączy się w żadną grę prowadzoną przez jego rodzinę.

Opieka nad menażerią Sally była niewielką ceną za jego samotność. Zwierzęta przynajmniej nie mówiły. Nie zada-

wały pytań. Nie wpatrywały się w niego, zastanawiając się, czy nie oszalał.

Tak jak Maisie.

Tak jak ta kobieta...

Chociaż nikt do drzwi nie zadzwonił, nie uwierzył, a nawet nie miał nadziei, że odjechały. Nie uruchomiła samochodu, wiedział więc, że panna Jacqui Moore - która w obcisłych dżinsach i takiej samej bluzce wcale nie przypominała Mary Poppins - zadzwoni do agencji po instrukcje, a potem wróci i zażąda schronienia dla swej podopiecznej.

Ale na razie nie zamierzał się tym martwić. Musiał naprawić bojler.

Jacqui usłyszała za sobą dźwięk otwieranych drzwi samochodu. Odwróciła się i zobaczyła, jak Maisie ostrożnie wysiada, uważając na kałuże.

- Maisie, zostań w środku... - Powinna się zastanowić. Najpierw zadzwoni do Vickie, która przyśle kogoś na zastępstwo.

- Muszę iść do łazienki - oświadczyła dziewczynka. - Natychmiast!

Jacqui z mieszanymi uczuciami spojrzała na dzwonek do drzwi.

- Poczekaj chwilkę, Maisie. - Zdając sobie sprawę, że każda oznaka słabości zostanie niemiłosiernie wykorzystana, założyła kosmyk wilgotnych włosów za ucho i, lekko drżąc, ponieważ zimno zaczęło przenikać jej cienkie ubranie, wyciągnęła telefon i wybrała numer Vickie.

-I chce mi się pić - dodała Maisie, nie zwracając uwagi na nakaz pozostania w miejscu.

- Proszę - poprawiła ją automatycznie Jacqui.
- Proszę. - Maisie westchnęła.
- W mojej torbie jest sok pomarańczowy.
- Chciałbym wypić coś ciepłego - powiedziała Maisie tonem małej księżniczki.

Dziecko miało rację. Jacqui również chętnie wypłaby herbatę.

- Tylko zadzwonię, a potem coś ustalimy.

Maisie wzruszyła ramionami.

- Szybciej, szybciej... - mamrotała Jacqui do słuchawki, czując, jak z każdą chwilą robi jej się chłodniej. - Naprawdę powinnaś poczekać w samochodzie, Maisie...

Rozejrzała się wokół, ale dostrzegła tylko rąbek białej sukienki znikającej za rogiem.

ROZDZIAŁ DRUGI

- O cholera!

Jacqui nie miała wyboru. Rzuciła się za Maisie na tył domu, gdzie znajdował się ogromny, brukowany dziedziniec, a za nim ciągnęły się stajnie.

Dobiegła do Maisie, gdy dziewczynka wchodziła przez tylne drzwi, które mimo złej pogody były szeroko otwarte.

- Co robisz?

- Nikt nie korzysta z frontowych drzwi - powiedziała Maisie kategoriycznym tonem.

-Nie?

- Oczywiście, że nie. Powiedziałabym ci, gdybyś mnie spytała.

Nie zważając na błoto, które przywarło jej do butów, wkroczyła do środka, jakby była właścicielką rezydencji Samotny Szczyt.

Jacqui przeszła za nią przez obszerną sień zasłaną butami i parasolami, z rzędem woskowanych kurtek na wieszaku, jakby dziedziczonych z pokolenia na pokolenie, do ogromnej kuchni ogrzewanej staroświeckim piecem.

Przy piecu znajdowało się legowisko, które przyjaźnie dzieliły płożożółty kurczak z nastroszonymi piórami i dwa, a może trzy pręgowane koty. Były tak do siebie po-

dobne i tak w siebie wtulone, że trudno było je rozróżnić. Obok duży, kudłaty ogar lizał zabłocone łapy.

Jacqui była tak zmęczona, że chętnie położyłaby się obok nich. Ale zamiast tego odwróciła się do Maisie i powiedziała:

- Czasami lepiej jednak nie czekać, aż zostaniesz o coś zapytana.

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

- Nie chciałaś słuchać, gdy powiedziałam ci, że znam drogę. Chodź. - Otworzyła kolejne drzwi i wyprowadziła Jacqui z przytulnej kuchni do pełnego przeciągów wewnętrznego holu, a stamtąd na schody, które kiedyś, w czasach, gdy ludzie mieszkający w takich domach mieli służbę, były właśnie dla niej przeznaczone. - Tędy!

- Co to znaczy? - mruknęła, gdy pod wpływem przeciągu zrobiło jej się jeszcze chłodniej w przemoczonym ubraniu. Następnie przymknęła oczy i, przypominając sobie, że Maisie miała zaledwie sześć lat, a ona była dorosła i powinna nad sobą panować, powiedziała: - Przepraszam. Nie chciałam być niegrzeczna.

- W porządku.

Ale nic dziś nie było porządku. A największy błąd popełniła, odpowiadając na telefon Vickie. Zamierzała przekonać ją, że naprawdę skończyła z tym zawodem... Lecz Vickie powiedziała o tej paczce i wtedy Jacqui odkryła, że nie była wcale tak obojętna i silna, za jaką się uważała.

Odetchnęła głęboko, a gdy otworzyła oczy, okazało się, że właśnie popełniła kolejny błąd, ponieważ Maisie zniknęła.

Wspaniale!

Sześć miesięcy, które przepracowała w biurze, najwyraźniej stępiły jej instynkt opiekuńczy.

Gdy rozejrzała się wokół, zobaczyła sześcioro drzwi, z których miała wybrać te właściwe. Otworzyła najbliższe, ale za nimi znajdowała się wielka spiżarnia pełna wiktuałów na co najmniej pół roku. Nie było tu jednak Maisie.

Gdy podchodziła do kolejnych drzwi, telefon, który trzymała w ręce, zapiszczał. Do licha, podczas pościgu za uciekającą księżniczką nie przerwała połączenia z biurem Vickie.

Przyłożyła telefon do ucha i rzuciła bez wstępów:

- Vickie, mam duży problem...

- Jacqui? Czy to ty?

- Tak, ja. - Otworzyła kolejne drzwi. - Jacqui, którą wysłałaś na próżno... - Te prowadziły do małego, rzadko używanego saloniku. Na sofie wylegiwały się dwa stare labradory. - Dobre pieski - powiedziała w odpowiedzi na groźne machnięcia dwóch ogonów, a potem wróciła do tematu: - I która wystawi ci za to wszystko rachunek!

- Rachunek?

- Jacqui, która wylądowała tam, gdzie diabeł mówi dobranoc, z zarozumiałą sześciolatką, która nie tylko ubiera się jak księżniczka, ale, co gorsza, za taką się uważa...

- Nagle przerwała, ponieważ zorientowała się poniewczasie, o co tu chodzi.

Jakaż była głupia!

Vickie powiedziała, że nowa niania, którą wybrała dla pani Seliny Talbot, przed objęciem obowiązków wyjechała na wakacje. To oczywiste, że Jacqui była tą wybraną nianią! Po prostu Vickie jeszcze jej o tym nie powiedziała, mając nadzieję, że za pomocą swoich sztuczek złapie ją w sidła.

Co za idiotka! Nawet coś wspomniała o zbiegu okoliczności, ale nie skojarzyła faktów! „Zawieź ją do domu jej babci”, a nie do „jej babci”.

I rzeczywiście, nie powitała jej miła staruszka, tylko jakiś gbur, który nawet nie chciał ich wpuścić do środka. Na co Vickie liczyła? Zapewne na jej poczucie odpowiedzialności. Wiedziała, że Jacqui zrezygnuje z wakacji i zajmie się opuszczonym dzieckiem aż do powrotu jej matki. W końcu co innego jej pozostało?

- Jacqui? Jesteś tam?

- Tak, ale już niedługo. Trochę późno do mnie dotarło, lecz w końcu cię zdemaskowałam, Vickie Campbell. Ale zapewniam cię, że to się nie uda!

- O czym ty mówisz?

Co za niewinny głosik!

- O podstępnym planie wciągnięcia mnie z powrotem na listę pracowników twojej agencji! Bo sobie wymyśliłaś, że nadal mam zarabiać dla ciebie pieniądze! Właśnie o tym mówię! Nie będę tego więcej robić, Vickie! I dobrze o tym wiesz!

- Jacqui, jesteś bardzo zdenerwowana. Miałaś wypadek? Z Maisie wszystko w porządku?

- Maisie? Niepokoisz się o Maisie?

No właśnie. Gdzie jest Maisie? Otworzyła kolejne drzwi. Tym razem był to mały gabinet, w którym panował bałagan. Jacqui nie była pewna, które uczucie zaczynało w niej dominować: wdzięczność losowi, że dotąd uniknęła ponownego spotkania z olbrzymem, irytacja na Maisie czy raczej złość na siebie, że była tak łatwowierna.

- Niepokoję się o was obie - powiedziała Vickie.

- A ja się denerwuję, ponieważ mój samolot niedłu-

go odlatuje. Mam bilet last minute, na pewno więc nie odzyskam pieniędzy. Ostrzegam, wyrwę ci je z gardła! - A potem dodała słodkim jak miód głosem: - Naprawdę, mam nadzieję, że pani Selina Talbot zrozumie, dlaczego proste, dwugodzinne zlecenie tyle ją kosztowało. Samolot, zaliczka za hotel, straty moralne... - Nagle wrzasnęła ile sił w płucach: - Maisie! Gdzie się podziewasz, u diabła?

- Jacqui? Zgubiłaś ją?!

- Chwilowo tak. Ale zajmę się nią do chwili, gdy tu po nią przyjedziesz.

- Ja? Ja nie mogę tam przyjechać! Mam ważne spotkanie w banku... - A potem, ponieważ Jacqui tajemniczo milczała, spytała z troską: - Właściwie to gdzie wy jesteście?

- W korytarzu Samotnego Szczytu. Maisie też gdzieś tu jest, ale dokładnie nie wiem gdzie. Jedyna osoba, której tu nie ma, a być powinna, to babcia Maisie.

- Nie rozumiem... A gdzie ona jest?

- W Nowej Zelandii.

- Co ona, na litość boską, robi w Nowej Zelandii?

- Pewnie jest na wakacjach.

- Och, przepraszam...

- Nie przepraszaj, tylko natychmiast tu przyjeżdżaj. Droga zajmie ci półtorej godziny. Jeśli wskoczysz do auta, może zdążę na samolot. Wtedy moja zemsta będzie nieco mniej okrutna.

- Jacqui, bądź rozsądna. Nie mogę teraz wyjechać...

- Po prostu musisz. Zegar tyka. Już straciłaś minutę.

- Daj mi dziesięć minut. Zadzwoń do Seliny. Dowiem się, co się dzieje.

- To miło z twojej strony, ale już cię rozgryzłam i po-

wtarzam: żadna propozycja nie skłoni mnie, bym przyjęła tę pracę.

-Ale...

- A tak przy okazji, ten olbrzym to naprawdę miła niespodzianka. Skąd go wytrzasnęłaś? Nie, tylko mi nie mów! Już wiem! Został po świątecznych jasełkach? Świetnie musiał wypaść w roli Heroda. Nawet nie potrzebował charakteryzacji.

- Jacqui, gdzie ty jesteś? Zaczynam się martwić...

Wrzask Maisie, dochodzący gdzieś z górnego piętra, przywrócił ją do rzeczywistości.

- W Samotnym Szczycie, w Little Hinton, Vickie. I uważaj na tylne zawieszenie, jak będziesz jechać pod górę. Koleiny są bardzo głębokie, a miejscowa ludność... - Gdy odwróciła się w stronę schodów, przekonała się, że nie jest sama. Olbrzym, którego zaalarmował krzyk Maisie, zablokował jej drogę. - Nie jest zbyt przyjaźnie nastawiona - dookończyła.

Zawsze była z siebie dumna, że należy do tych nowoczesnych, rozsądnych kobiet, które niezależnie od sytuacji potrafią zachować zimną krew. Ale tym razem, być może dlatego, że groźny król Herod pojawił się nie wiadomo skąd, mocno ścisnęło ją w sercu.

Był tak realny, tak męski. I wyraźnie zirytowany, że jego dom stał się obiektem inwazji.

I oto nowoczesna, dzielna kobieta, która zawsze zachowuje zimną krew, cicho pisnęła. Taki pisk mogła wydać mysz podczas spotkania z silnym, głodnym kocurem.

- Nadal tu jesteście. - W oczywisty sposób widok Jacqui nie sprawiał mu przyjemności, ale też nie był nim szczególnie zaskoczony.

- Maisie musiała pójść do łazienki - powiedziała.

-I nie pozostawiła pani wyboru. Wiem, jak ona się zachowuje. Nauczyła ją tego wybitna specjalistka w tej dziedzinie.

- To dom jej babki - podkreśliła Jacqui, zła na siebie, że się usprawiedliwia, gdy on zachowuje się gburowato. Maisie ma prawo tu przebywać. Właściwie, co on tutaj robił?

- Ale, jak pani widzi, jej babki nie ma. Nie ma komu się nią zająć.

- Musiało zająć jakieś nieporozumienie.

- Powinna to pani ustalić z Sally. Mnie wystarczy, że mam na głowie ten cały jej zwierzyniec.

To była odpowiedź na pytanie, którego nie zadała.

- Robie, co w mojej mocy. - Machnęła telefonem.

- Tę przyjemność zostawiam pani. Mam robotę w piwnicy. - Pchnięciem otworzył drzwi ukryte w boazerii.

- Jacqui, gdzie jesteś? - rozległ się dziecięcy głos.

- Proszę nie kazać Jej Wysokości czekać - złośliwie mruknął olbrzym.

- Ma pan rację. - Zaczęła się cofać w stronę schodów. Oczywiście nie z przerażenia. Właściwie nie było nic groźnego w jego zachowaniu. Tylko był irytująco... duży. To wszystko.

Po chwili namysłu doszła do wniosku, że powinna być mu wdzięczna za jego obecność. Gdyby zastała dom zamknięty, musiałaby wracać do Londynu. I ostatecznie pożegnać się ze słonecznymi wakacjami.

- Pójdę do Maisie. - Cofnęła się o kolejny krok. Był to o jeden krok za dużo, ponieważ potknęła się o schody, straciła równowagę i, łapiąc się poręczy, upuściła telefon.

Gdy już przemknęło jej przez myśl, że nic jej nie ocali przed upadkiem, olbrzym wyciągnął ręce i chwycił ją w powietrzu. Nagle znalazła się w bardzo silnych objęciach.

Nie miała talii osy ani bioder modelki, należała do podstawnych kobiet, ale przez jedną chwilę, wpatrując się w te złote, tygrysie oczy, poczuła się bardzo drobna i krucha. Był to oczywiście kompletny nonsens, wiedziała bowiem, że powinna zrobić wysiłek i stanąć na własnych nogach, zanim biedny człowiek dozna urazu kręgosłupa.

Nim jednak dokonała tego wysiłku, nim zdołała odebrać się od miękkiej, wełnianej koszuli, olbrzym sam odsunął ją na bezpieczną odległość.

Chociaż mocnymi rękami nadal ścisnął ją w talii, w jego zachowaniu nie było nic niewłaściwego. Po prostu zastosował konieczne środki ostrożności. Czekał, aż Jacqui odzyska równowagę i złapie oddech.

Cóż, zajęło jej to więcej czasu, niż powinno. Może dlatego, że patrzenie na kogoś z dołu, nawet gdy chodziło o mężczyznę, było dla niej niezwykłym doświadczeniem. A poza tym z bliska okazało się, że... było na co popatrzeć.

Nie chodziło o jego niezwykle oczy ani o szerokie ramiona, choć ich rozmiar był naprawdę imponujący. Ani nawet o jego wzrost. Zresztą te dwa metry z hakiem nie wydawały się jej już tak bardzo przytłaczające. To prawda, że nawet na wysokich obcasach musiała zadzierać głowę, ale nie aż tak wysoko, i po raz pierwszy, odkąd w szkole przerosła wszystkie dziewczyny - i wszystkich nauczycieli - poczuła się tak, jakby znalazła się na właściwym miejscu. Och, powinna się odsunąć...

Zanim zdążyła wprowadzić myśl w czyn, zapytał:

- W porządku?

-Tak.

- Na pewno?

- Na pewno. - Wyprostowała się,

- Przydałoby się coś na nerwy, Jacqui Moore - oznajmił, puszczając ją w końcu.

- To był męczący dzień. - Zadrżała z zimna.

- Jak każdy, w którym spotyka się moją kuzynkę. - Następnie stwierdził odkrywczo: - Zmarzła pani.

- Trochę. To z powodu wilgoci. Mgła przenika wszystko. Niezbyt zdrowo mieszkać w chmurach.

- Znam gorsze miejsca. A mgła na wzgórzach ma swoje zalety. Na przykład nieproszeni goście rzadko tu zaglądną.

- Nie będę nadużywać pańskiej gościnności ani chwili dłużej, niż to konieczne. - Dała do zrozumienia, że pojęła aluzję. - Muszę zdążyć na samolot.

- A więc lepiej wziąć się w garść.

Urocze. Po prostu urocze. Przypomniała sobie, że olbrzym z jej bajki również nie nastrajał do śmiechu. A już na pewno nie czytałaby o nim żadnemu dziecku na dobranoc.

- Najpierw znajdę Maisie, potem zadzwonię. - Schyliła się po telefon.

Uprzedził ją, podniósł komórkę i podał jej. Długie palce musnęły jej dłoń.

- Niech pani wytrze się do sucha. W łazience są czyste ręczniki.

- Dziękuję, panie...

- Talbot - odpowiedział.

Czekała, aż powie coś więcej. Ale tego nie zrobił. Właściwie co ją obchodziło, jak miał na imię? Jeśli wołał,

by ich stosunki pozostały formalne, nie miała nic przeciwko temu.

- Jesteśmy rodziną - dodał po chwili.

- Cóż, panie Talbot, mogę tylko przeprosić za nadużycie pańskiej gościnności. Ale ponieważ załatwienie tej sprawy zajmie trochę czasu i niepokojenie pana wydaje się nieuchronne, zastanawiam się, czy mogłabym poprosić pana o filiżankę herbaty? - Czekwała na zapewnienie, że nie sprawi mu to kłopotu, ale gdy tak się nie stało, dodała: - A ja tymczasem pójdę zaopiekować się Maisie. Chyba że woli pan sam się nią zająć, wtedy zdążę na samolot.

- Nie może jej pani ze mną zostawić.

Oczywiście, że nie mogła tego zrobić. Ale czy była to tylko reakcja przerażonego mężczyzny, który najprawdopodobniej nie lubił dzieci?

Musiała przyznać, że w jego głosie nie słychać było przerażenia. Wprost przeciwnie, mówił jak mężczyzna, który wie, o czym mówi, i robi to bez emocji.

- Przecież jest pan tu jedynym krewnym Maisie - twierdziła stanowczo, choć oczywiście wiedziała, że nie wolno jej zostawić dziewczynki pod opieką wuja bez przyzwolenia Seliny Talbot. W przeciwieństwie do kompletnie nieodpowiedzialnej matki, niania z agencji nie mogła porzucić dziecka i uciec.

Przez chwilę zdawał się rozważać ten problem, a potem spytał, lekko wzruszając ramionami:

- Indyjską czy chińską?

Udało jej się stłumić triumfalny uśmiech.

- Indyjską, proszę. To odpowiednia chwila na coś orzeźwiającego, nieprawdaż?

Nie czekała, by sprawdzić, czy się z nią zgodził, tylko energicznie ruszyła po schodach w poszukiwaniu swojej podopiecznej.

Maisie ze spuszczoneymi rajstopami, podpierając się rękami w talii, stała w drzwiach łazienki i patrzyła na Jacqui ze złością.

- Gdzie byłaś? Czekam tu całe godziny!

- Ścisłej, minuty. I gdybyś naprawdę poczekała, zamiast zniknąć.,.

- Powiedziałam przecież, że muszę!

- Wiem - odparła Jacqui łagodniejszym tonem. - Ale już więcej nie znikaj, dobrze? - A gdy nie usłyszała odpowiedzi, spytała z naciskiem: - Maisie?

- Słyszałam, w porządku.

Podciągnęła jej rajstopy, a potem, gdy Maisie myła ręce, skorzystała z rady Talbota i użyła ręcznika. Przy odrobinie szczęścia ubranie wyschłoby w kuchni, a ona nie nabawiłaby się zapalenia płuc. Ale, sądząc z przebiegu zdarzeń, trudno było na to liczyć.

- Chodźmy, Maisie, spróbujemy rozwikłać tę sytuację.

- Jaką sytuację?

- Twojej babci tu nie ma.

- Wiem. Ale to nie ma znaczenia. Mogę tu zostać, aż wróci mama. Mam swój pokój w wieży. Został urządzony specjalnie dla mnie. Ma fioletoworóżowe ściany i kolorowe firanki, przez które widać wybieg dla osiołków i kucyka. Ten kucyk jest mój.

- Naprawdę? Też miałam kucyka, gdy byłam w twoim wieku. Był pomarańczowy, a na zadku miał wymalowane jabłko.

Maisie popatrzyła na nią ze współczuciem.

- Mój kucyk jest prawdziwy. Nazywa się Krówka. Chcesz go poznać?

- Tak, ale nie mamy na to czasu, Maisie. Potrzebujesz nie tylko pokoju. Potrzebujesz kogoś, kto się tobą zajmie.

- Przecież jest Harry... - Harry? Ma na imię Harry? - I Susan...

- Susan? - Czyżby olbrzym miał żonę? Wspaniale... Jeśli Harry Talbot jest żonaty lub ma przyjaciółkę, wszystko może się ułożyć. Oczywiście, jeśli Vickie porozumie się z Seliną Talbot przed jej wyjazdem z kraju. - Kto to jest Susan?

- Przychodzi tu codziennie rano, żeby posprzątać i ugotować.

- Och, wspaniale! - Nie. Wcale nie było wspaniale. Zmuszając się do uśmiechu, Jacqui powiedziała: - Posłuchaj, Maisie, nastąpiło jakieś nieporozumienie, ale nie ma się czym martwić. Pani Campbell, ta pani z agencji, zadzwoni do twojej mamy i coś ustali.

Maisie westchnęła.

- Nie będzie mogła tego zrobić. Moja mama jest już w samolocie, a tam, niestety, trzeba wyłączyć telefony komórkowe.

- To prawda...

- Moja mama mówi, że to naprawdę okropne, ale przez to są zakłócenia w elektryczności, a jeśli tak się dzieje, nie można oglądać filmu.

- Rozumiem. - Jacqui była pewna, że jeśli naprawdę dochodziło do „zakłóceń w elektryczności”, to już nic nie można było oglądać, ale mając w perspektywie podróż lotniczą, wołała się nad tym nie zastanawiać. - Czy wiesz, dokąd leci twoja mama?

- Będzie miała sesję zdjęciową na Wielkim Murze w Chinach. To po drugiej stronie kuli ziemskiej, wiesz?

- Słyszałam.

- To strasznie długa podróż, tak mi powiedziała.

Nie taka strasznie długa, ale Jacqui była pewna, że pani Talbot dopiero jutro odbierze telefon.

Maisie popatrzyła na nią ogromnymi oczami.

- Wszystko będzie w porządku. Możesz zostać i mną się opiekować.

Nie! Nie...

- Zobaczmy, co powie pani Campbell. - Odsunęła od siebie dziwaczną myśl, że dziecko było zaangażowane w ten podstęp. To byłaby paranoja...

- Nie chcesz się mną opiekować? - spytała Maisie.

- Tu nie chodzi o to, czego ja chcę.

Maisie popatrzyła na nią spokojnie; jej ciemne oczy były szeroko otwarte i niewinne.

- A może chodzi o to, że nie jestem prawdziwą córką swojej mamy? I że mam inny kolor skóry?

ROZDZIAŁ TRZECI

Jacqui poczuła się tak, jakby uszło z niej powietrze.

Kolor skóry dziewczynki był ostatnią rzeczą, jaka przeszła jej przez myśl, ale być może Maisie, jako adoptowana córeczka sławnej Seliny Talbot, narażona była na różne nieprzyjemne uwagi, czasami bezmyślne, czasami płynące z zazdrości.

Była tak pochłonięta własnymi problemami, że dała się zwieść pewności siebie małej księżniczki.

Tak czy owak, najmniej, czego teraz potrzebowała, było branie odpowiedzialności za czyjeś dziecko. Ale matka Maisie leciała właśnie na drugi koniec świata, a babcia już przebywała na antypodach. Pozostawał tylko olbrzym, który nie chciał się nią zaopiekować...

Musiała zapewnić Maisie bezpieczeństwo niezależnie od tego, jak bardzo pokrzyżuje to jej własne plany.

- Nie, Maisie. To nie ma absolutnie nic wspólnego z tym, że jesteś adoptowana - rzekła stanowczo. - Chodzi po prostu o to, że...

Mała popatrzyła jej prosto w oczy.

- Myślę, że dlatego Harry mnie nie chce - powiedziała.

Jacqui była zszokowana.

- Och, jestem pewna, że to nieprawda - stwierdziła, zarazem jednak dobrze pamiętała, jak obojętnie, bez żadnej

emocji patrzył na czekającą w samochodzie Maisie, która zsunęła się na siedzeniu, by się ukryć przed wujem.

Jacqui starała się przypomnieć sobie wszystko, co na temat tej adopcji wyczytała w kolorowej prasie. Nie pamiętała jednak szczegółów.

Nie wiedziała, kim jest Maisie ani skąd pochodzi. I czy zachowanie Harryego Talbota można jakoś wytłumaczyć.

Harry...

To imię do niego nie pasowało. Było ciepłe, pieszczotliwe. Odpowiednie dla mężczyzny, który potrafi przytulić, powiedzieć coś pokrzepiającego, który zna słowa dziecięcych kołysanek... Nie pasowało do mężczyzny, który odrzuca małą dziewczynkę, dlatego że została adoptowana.

Nie potrafiła nawet znaleźć wystarczająco okropnego imienia dla takiego człowieka.

Zapragnęła mocno uściskać Maisie. Pokazać, że przynajmniej jedną osobę na świecie obchodzi, co się z nią dzieje.

Och, znów zadziałał jej instynkt opiekuńczy.

Niedobrze.

Zwalczyła w sobie to pragnienie, zebrała się w sobie i zamiast uściskać małą, usiadła na najwyższym stopniu, by znaleźć się na poziomie wzroku Maisie. Następnie ujęła jej dłonie i poważnym tonem powiedziała:

- Posłuchaj mnie. Nawet gdybyś była niebieska, miała różowe włosy i pomarańczowe piegi, dla mnie byłoby to bez znaczenia.

Maisie popatrzyła na nią uważnie. Potem obojętnie wzruszyła ramionami.

- W porządku.

Nie było na jej twarzy bezgranicznej ufności, ale w przy-

padku dzieci nie można się spodziewać natychmiastowych rezultatów. Trzeba zasłużyć na ich zaufanie. Postanowiła więc być całkowicie szczerą.

- Jesteś mądrą dziewczynką, dlatego nie będę niczego owijać w bawełnę. Mamy problem. Otóż zgodnie z planem miałam przywieźć cię tutaj i przekazać pod opiekę twojej babci. Wiesz, że nie miałam tu z tobą zostać, prawda?

Maisie znów wzruszyła ramionami. Tym razem unikała spojrzenia Jacqui i wbiła wzrok w swoje pantofelki.

- Wiem.

- To nie dlatego, że cię nie lubię, ani dlatego, że jesteś czarna, ale dlatego, że mam wsiąść do samolotu... - Zerknęła na zegarek. Miała coraz mniej czasu. - Och, naprawdę wkrótce.

- Zupełnie jak moja mama. - Było to obojętne, spokojne stwierdzenie.

Jacqui zrozumiała, że stała się kolejną osobą, która ją porzucała. To nie w porządku ze strony Maisie...

- Wcale nie. Twoja mama pracuje, co jest bardzo ważne. Ja miałam lecieć do Hiszpanii... - Do licha, już mówiła o tym w czasie przeszłym! - Na wakacje.

- Aha. - Maisie, która wyglądała na trochę zniechęconą, natychmiast pojaśniała. - Musisz jechać do Hiszpanii? Tutaj też można miło spędzić wakacje. - A potem, zapewne przypomniawszy sobie o obecności Harryego w rezydencji, dodała: - Zazwyczaj.

- Jestem pewna, że tak. Gdy jest tu twoja babcia. No i możesz jeździć na swoim kucyku.

- Tu jest mnóstwo zwierząt. W naszym domu w Londynie ich nie mamy, bo miasto nie jest dla zwierząt. Mama zawsze, gdy znajdzie jakieś zwierzątko, wysyła je do bab-

ci. Tu jest dużo miejsca. Są psy, koty, kurczaki i króliki...
- Uniosła ręce w radosnym geście. - Nawet osiołki, które są zbyt stare, aby wozić dzieci po plaży. Ale jeśli musiszjechać. ... - Opuściła drobne dłonie, a jej twarz posmutniała.
- Zrozumiem.

- Nigdzie nie pojedę, aż znajdę kogoś, kto się tobą zajmie. Zgoda?

Maisie nie podniosła wzroku, tylko zaczęła wbijać czubek satynowego pantofelka w zniszczony dywan.

- Nawet jeśli przez to nie zdążysz na samolot?

- Nawet jeśli nie zdążę na samolot.

- Obiecujesz?

Danego dziecku słowa nie można złamać. Należało jej wypowiadać z ogromną ostrożnością i rozmysłem, zwłaszcza że czasami nie sposób było go dotrzymać.

Maisie czekała z niepokojem na jej odpowiedź.

- Obiecuję, Maisie. - W końcu nie było to zobowiązanie na całe życie.

- A jeśli nie znajdziesz nikogo, to zostaniesz i zaopieczysz się mną, aż moja mama wróci?

- Znalazła pani wszystko, co potrzeba?

Jacqui nie sądziła, że kiedykolwiek ucieszy ją widok Harry'ego Talbota. Teraz była naprawdę zadowolona, że przerwał jej rozmowę z Maisie.

- Tak, dziękuję. - Szybko wstała.

- Idźcie teraz do kuchni, tam się ogrzejecie. - Popatrzył na małą z wyżyn swego ogromnego wzrostu. - Cześć, Maisie.

Jacqui poczuła, jak Maisie ukradkiem wzięła ją za rękę, po czym spuściła wzrok i powiedziała:

- Cześć, Harry. Mogę zobaczyć szczeniaki Meg?

Szczeniaki, króliki, osiołki i własny kucyk. Łatwo było zrozumieć, dlaczego Maisie chciała tu zostać.

- Ale co się stało z lamą?

- Jest w stajni. Ale nie pójdziesz tam w takim stroju.

- Maisie się przebierze - powiedziała Jacqui. - Gdyby był pan tak uprzejmy i przyniósł jej torbę z samochodu. Jest otwarty...

Harry Talbot spiorunował ją wzrokiem.

- Przyniosę szczeniaki do kuchni. - I wyszedł.

Ale zaparzył dla nich dzbanek herbaty, a na stole leżało smakowite ciasto z wiśniami.

Gdy Jacqui kroїła ciasto, zadzwoniła komórka. To była Vickie. Jacqui podała Maisie talerzyk i wyszła do przyległego pokoju, by swobodnie porozmawiać.

- Nie mogę porozumieć się z Sally - usprawiedliwiła się Vickie. - Zostałam jej wiadomość. Jak tylko się odezwie, podejmiemy decyzję, co dalej.

- To miło z twojej strony, ale zgodnie z tym, co mówi Maisie, Selina Talbot jest teraz w drodze do Chin. Wiadomość odbierze dopiero jutro.

- Cholera!

- Co się stało, Vickie? Nie uważasz, że powinnam znać prawdę?

- Przysięgam, Jacqui, że nie wiedziałam, dokąd ona się udaje. To miało być proste, krótkie zlecenie. Dostarczyć dziewczynkę do babci, nic więcej... Zaraz, powiedziałaś Chiny?!

- To tam, skąd pochodzi jedwab. Zamierza pospacerować po Wielkim Murze. Ale musisz mieć z kimś kontakt na wypadek niespodziewanej sytuacji.

- Oczywiście, że tak. Hm, no tak... z jej matką.

- Daj spokój...

- Uwierz mi, Jacqui, bardzo bym chciała znów cię zaangażować, bo z ciebie urodzona niania, ale nie jestem tak podła, bym z premedytacją wpakowała cię w kabałę.

- Naprawdę? A więc dlaczego tu jestem?

- Owszem, posłużyłam się małym podstępem, by skłonić cię do tej misji. Chciałam ci w ten sposób przypomnieć o twoich talentach, zanim wyjedziesz, by leżeć na plaży i zastanawiać się nad swoją przyszłością. I przyznaję, że przetrzymałam tę kopertę z Hongkongu, aż znajdę dla ciebie odpowiednią pracę, która by cię skusiła...

Jacqui żałowała, że Vickie nie włożyła na wieki tego listu do szuflady.

- Mogłabym cię oskarżyć...

- Przepraszam, ale byłam zdesperowana. Nie wiedziałam, w jaki sposób przekonać cię do pracy, do której jesteś stworzona. Ale nie jestem idiotką. Nie chciałam cię zrazić ani do siebie, ani tym bardziej do współpracy z moją agencją. Musisz mi uwierzyć...

Pomyśli o tym później. Teraz była to strata czasu.

- O co tu więc chodzi? Wygląda na to, że doskonałe stosunki matki i córki, o których tyle piszą w kolorowej prasie, to lekka przesada. Ale trudno mi uwierzyć, że Selina Talbot jest aż tak obojętna wobec Maisie. Musiała przecież rozmawiać ze swoją matką, zanim kazała odwieźć do niej dziecko.

- Nie mam pojęcia, co się stało. Być może jej asystentka coś pokręciła i doszło do nieporozumienia. A więc kto jest teraz w domu?

- Kuzyn Seliny, ale wykluczone, by zostawić z nim Maisie.

Mała zapewnia, że codziennie przychodzi tu kobieta, która sprząta i gotuje.

- A ty powinnaś złapać samolot.

- Tak Więc gdzie teraz jesteś? Zakładam, że już w drodze? - naciskała, ale bez większej wiary.

- Jacqui, proszę, spróbuj zrozumieć. Gdybym mogła, oczywiście już bym tam była... Ale mam ważne spotkania, nie zdołam wyrwać się z biura przed szóstą i...

- I...?

- Nic.

- Co znaczy „nic”?

- Och, dostałam bilety do Covent Garden od pewnego klienta. To wielka gala, rozumiesz? Ale naprawdę, gdybym zdażyła...

- Przestań! Nie oszukuj samej siebie. To jasne, że jeśli w pół godziny nie zjawi się tu Mary Poppins, mam zapomniać o wakacjach, tak?

- To prawda. Oczywiście Selina Talbot zwróci ci wszystkie poniesione wydatki...

- Łatwo rozporządzasz jej pieniędzmi. Ale mój stracony lot to obecnie najmniejszy problem, prawda? Jest tu mała dziewczynka, którą nie ma kto się zaopiekować.

- Ty tam jesteś. Skoro twoje plany legły w gruzach, możesz podjąć tę pracę, prawda?

- Co ty powiesz? - Nawet nie zaproponowała, że spróbuje znaleźć kogoś w zastępstwie! - Jak długo to potrwa?

- Nie wiem. Powiedziałam ci, że chodziło tylko o odwiezienie dziewczynki, ale jutro oczywiście porozmawiam z Seliną. Na razie jest z tobą, Jacqui.

- Olbrzymowi to się bardzo nie spodoba. Nie lubi towarzystwa.

- Olbrzymowi? To ten mężczyzna, z którym nie chcesz zostawić Maisie? Dasz sobie radę? Może zabierz małą do hotelu, aż coś ustalę z Seliną?

- Maisie chce tu zostać, chociaż nie lubi wuja. Wydaje mi się, że jest raczej gburowaty niż niebezpieczny... - Głos jej zamarł, gdy przypomniała sobie jego oczy, ręce. Był niebezpieczny. Istniało poważne niebezpieczeństwo... - Będziemy się trzymać od niego jak najdalej. A ty porozmawiaj z Seliną.

- Jesteś nieoceniona, Jacqui. W przyszłości podwoję ci stawkę.

- Nie przekupisz mnie, nie licz na to. Jestem na wakacjach, zapomniałaś? Powiedziałam ci pół roku temu, że już nigdy nie zrobię tego dla pieniędzy. Podtrzymuję swoje słowa.

-Ale...

- Ale nic. Skoncentruj się na złapaniu Seliny Talbot. Muszę już iść, by zanieść Harryemu Talbotowi dobrą wiadomość, że ma w domu gości.

- Jestem ci bardzo wdzięczna, Jacqui.

O tak, jesteś, pomyślała Jacqui, wyłączając telefon. Gdy podniosła wzrok, zobaczyła stojącą w drzwiach Maisie, która z rozpromienioną twarzą trzymała na rękach małego czarnego labradora, który strasznie się wiercił.

- Spójrz, Jacqui, jaki uroczy!

- Piękny. - Kucnęła obok dziewczynki, pogłaskała szczeniaka i bezwiednie objęła dziewczynkę i jej pieska. - Jak ma na imię?

- Pewnie nie ma żadnego.

- Pomyśl o tym. - Jacqui powoli odsunęła ramię i wstała, - On chyba już tęskni za rodzeństwem. - Nie było sen-

su zwlekać z przekazaniem Harryemu złej wiadomości. - Muszę porozmawiać z panem Talbotem.

- Zszedł do piwnicy. - Maisie zaniósła szczeniaka do kuchni i wsadziła do koszyka, w którym mrowiło się od jego rodzeństwa. - Chyba naprawia piec. Ale to i tak nic nie da, bo babcia mówi, że ten bojler jest do niczego. Dlatego ona... - Maisie urwała.

- Co, Maisie?

- Dlatego chce kupić nowy.

- Ach tak... W takim razie lepiej mu nie przeszkadzajmy. Pójdę po rzeczy do samochodu.

- Możesz podjechać od tyłu, będzie bliżej do drzwi. Tak robią wszyscy. - Oderwała wzrok od koszyka ze szczeniakami. - Pomyślałam, że powinnam ci o tym powiedzieć, gdybyś sama nie spytała.

- Mądrze pomyślałaś, Maisie.

- Możesz wstawić samochód do garażu.

- Poczekam na zaproszenie od gospodarza. Zaraz wracam. Nie ruszaj się. I niczego nie dotykaj. - A potem, gdy Maisie otworzyła usta, by zaprotestować, dodała: - Prócz szczeniaków.

- Dobrze, Jacqui.

- Obiecujesz?

Dziewczynka podniosła wzrok i uśmiechnęła się. W tej chwili Jacqui zrozumiała, że jej los został przypieczętowany. Nigdzie nie wyjedzie, dopóki nie zapewni Maisie należytej opieki.

- Obiecuję, Jacqui.

Harry Talbot uniósł głowę. Starał się stłumić poczucie winy, słysząc głośny, zgrzytliwy dźwięk ruszającego samo-

chodu, świadczący, że podczas podróży pod górę doszło od uszkodzenia tłumika.

Obiecał ciotce, że zreperuje bojler, i dotrzyma słowa. Ostatnią rzeczą, na jaką miał teraz ochotę, były kontakty z ludźmi. Poprosił nawet listonosza, żeby zostawiał pocztę w sklepie na dole.

Do diabła, przyjechał tutaj, aby uciec od świata. Pobyć trochę w samotności. Czy prosił o zbyt wiele?

Rzucił klucz francuski i skierował się na schody. Jeśli Jacqui Moore zjedzie w dół z uszkodzonym tłumikiem, to zgubi go na głównej drodze.

Gdy dotarł do frontowych drzwi, nie było już śladu po samochodzie. Wyteżył słuch, ale nie usłyszał odgłosu silnika. Zaskakujące. Powinien przyjąć to z ulgą.

Miał poczucie winy. Zadzwoń do warsztatu w wiosce, żeby wyglądali na Jacqui Moore i pomogli jej.

Pies - zwinny mieszaniec, przypominający ogara - dołączył do niego w nadziei na kolejny spacer.

- Zapomnij, kolego. - Złapał go za obrożę. - Wejdziemy od tyłu. Susan zabije nas, jeśli zobaczy błoto na podłodze.

Gdy zobaczył volkswagena na tylnym dziedzińcu, stanął jak wryty. Powinien wiedzieć. To byłoby zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

Jacqui Moore, przestraszona przez psa, który podbiegł do niej ochoczo, podniosła głowę znad bagażnika, jakby została przyłapaną na gorącym uczynku.

- Co, do cholery, pani tu robi?

Przecież widział. Rozpakowywała samochód!

- Czy mógłby pan złagodzić język w obecności Maisie?

- Podała małej torbę.

- Przepraszam. - Przywołał psa do nogi. - Powtórzę pytanie: co wy, u diabła, robicie?

Jacqui pochyliła się nad bagażnikiem i ostentacyjnie podniosła następną torbę, zyskując tym samym trochę na czasie. Rozumiała, że Harry Talbot chciał być sam. Poczuli się dotknięta, ale najważniejsza była Maisie. Nienawidziła spięć i kłótni, lecz nie miała wyboru. Najlepiej mieć to od razu za sobą. Harry Talbot musiał zrozumieć, że ona, niania Jacqui Moore, nie pozwoli się sterroryzować.

- Zanieś torbę do środka, Maisie, i zostań tam.

Dopiero gdy mała odeszła, zwróciła całą uwagę na Harry'ego Talbota. Szara, wełniana koszula zwisała mu luźno na ramionach, świadcząc, że ostatnio sporo stracił na wadze. Pomimo że znoszone dżinsy nadal przylegały do potężnych ud, marszczyły się na zapadniętym brzuchu, co tylko podkreślało...

- Słucham? - spytał ostro, gwałtownie sprowadzając ją do rzeczywistości.

- Otóż, panie Talbot... - powiedziała, próbując wymazać sprzed oczu niestosowne obrazy. - To jest samochód, a to torba. A ja wyjmuję tę drugą z tego pierwszego.

Złośliwość i gburowatość okazały się błędem. Harry wiedział to już od jakiegoś czasu. Jacqui była słodką, pojętną blondynką i miała wydatne, gorące usta, ale nie brakowało jej języka w gębie.

Poza tym, a może przede wszystkim, była nianią, a one z reguły były czujne i zdeterminowane, bo tego wymagała ich praca. Na potwierdzenie tego obdarzyła go chłodnym spojrzeniem szarych oczu, nie pozostawiając żadnych wątpliwości, że nie zamierza się poddawać.

- Dlaczego? - Było to uzasadnione pytanie.

- Nadzwyczajna sytuacja.

Gdy pokręciła głową, jej miękkie włosy zakołysały się, jakby prosząc o dotknięcie. Ile czasu minęło, odkąd dotykał włosów kobiety...

Mocno zacisnął pięści.

Jacqui schyliła się do wnętrza bagażnika po następną torbę.

- Nie wygląda pan na głupca. - Wyprostowała się i odwróciła do niego.

Nie miał zamiaru rozprawiać na ten temat. W ogóle miał już dość tej rozmowy.

- Nie możecie tu zostać. Naprawdę.

Uśmiechnęła się.

- Przykro mi, ale samochód został uszkodzony, a Maisie jest zmęczona, zaś pan, zgodnie ze swoimi słowami, nie może się nią zająć.

- Ale... - Nagle zdał sobie sprawę, że otwiera się przed nim ziejąca otchłań. Jeśli oświadczy, że potrafi zająć się małą dziewczynką, ta kobieta po prostu stąd odjedzie, zostawiając go z Maisie.

Przyjechał do Samotnego Szczytu w poszukiwaniu samotności i spokoju. Ona musi stąd zniknąć. I zabrać z sobą dziecko. Zaraz.

- Czy nie wspominała pani, że spieszy się na samolot? Skoro tak, to...

- Zawsze latają jakieś samoloty. - Wyciągnęła rękę, jakby chciała dotknąć jego ramienia i upewnić, by się nie martwił ich obecnością. - Będziemy się trzymać od pana z daleka.

Odsunął się, zanim zdążyła go dotknąć.

- To niemożliwe. Porozmawiam z Sally...

- Hm, to nie będzie łatwe. Nie jest pan pierwszy w kolejce. W tej chwili pańska kuzynka leci do Chin.

- Chin?

- Tam, skąd pochodzi jedwab. - Odwrócili się na dźwięk głosu Maisie, która stała w drzwiach. - Jacqui powiedziała tak przez telefon.

- Podśluchiwałaś? - Jacqui próbowała sobie przypomnieć, czy powiedziała coś, czego Maisie nie powinna usłyszeć.

- Nie.

Maisie podniosła na nią oczy, w których malował się niewinny wyraz. Widziała to sto razy. Podśluchiwała...

- Czekałam, aż skończysz, to wszystko. - Wbiegła do domu, pies za nią.

- Kiedy Sally dotrze do Chin? - spytał Harry.

- Nie mam pojęcia. - Objuczyła się bagażami i zatrzasnęła bagażnik. - Przypuszczam, że jutro, ale nie wiem, o jakiej porze. Być może wcześniej odczyta wiadomość, jeśli ma przesiadkę. Oczywiście będzie to środek nocy. I tak pewnie poczeka z telefonem.

Harry wątpił, czy różnica czasu powstrzyma jego kuzynkę. Był też absolutnie pewien, że nawet jeśli zadzwoni do domu, to nie okaże skruchy. Uzna za oczywiste, że ktoś posprząta zrobiony przez nią bałagan. Zawsze tak postępowała, i to od najmłodszych lat.

- Innymi słowy, mam was obie na noc - stwierdził z westchnieniem.

- Dzięki za zaproszenie. - Uśmiechnęła się. Ale nie był to miły uśmiech. Raczej pełen zrozumienia, że czekają go ciężkie czasy. - I za herbatę. O której jest obiad? .

- O której pani go poda, panno Moore. Ja potrafię tyl-

ko parzyć herbatę. - Chciał jednego: żeby stąd odjechała i każdy sposób był dobry.

- Czyżby ktoś pana zaprogramował na męskiego szowinistę?

- To u mnie genetyczne.

Zauważył z zainteresowaniem, że jej oczy zapłonęły, przybierając kolor srebra. Zapewne była wściekła. Nie zapewne, a na pewno.

- Spytałam tylko, o której pan jada - powiedziała z udawanym spokojem. - Nie chciałabym panu przeszkadzać. Oczywiście zapraszamy pana na podwieczorek na piątą w pokoju dzieciennym.

- W mojej lodówce nie ma żadnych rybnych paluszków czy parówek.

- Domyślam się, ale damy sobie radę.

Wzruszył ramionami.

- Maisie ma własny pokój we wschodniej wieży. - Oparł się naturalnemu odruchowi, by wyjąć jej z rąk torby i zanieść do domu. Im gorsze zdanie sobie o nim wyrobi, tym staranniej będzie go unikać. Nieprzystępny mruk, arogant, tak powinna o nim myśleć. - Pani może zająć sąsiedni pokój. Ale proszę się zbytnio nie zadamawiać. Nie zostanie tu pani ani chwili dłużej, niż to konieczne.

- Niebawem! To ostatecznie dowodzi, jak niewiele mamy z sobą wspólnego - stwierdziła chłodno. - Z drugiej jednak strony to samo obiecałam Maisie. Powiedziałam jej, że zostanę tak długo, aż znajdę kogoś, kto się nią zaopiekuje. - Uśmiechnęła się lekko.

Zignorował ten uśmiech.

- Cieszę się, że to słyszę. Proszę dać mi kluczyki, a wprowadzę samochód do garażu.

- W porządku. - Ta niespodziewana troskliwość zbiła ją z tropu. - Dziękuję, ale...

- Takiego grata nie można zostawić na noc na dworze, bo zardzewieje do reszty. Jutro rano zerknę na tłumik. Nie chcę, aby cokolwiek opóźniło pani wyjazd.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Po spotkaniu z Harrym Talbotem Jacqui tak bardzo się trzęsła, że gdy wchodziła po schodach, jej nogi przypominały galarete.

Na szczęście Maisie niewiele zrozumiała z tej mało budującej wymiany zdań i radośnie podskakiwała, prowadząc ją na drugie piętro.

Ale na co liczyła? Powinna wiedzieć, że olbrzym nie będzie zachwycony ich towarzystwem. Oczywiście, nie musiał traktować jej jak wroga, ale...

Lecz ona też nie zachowała się jak należy...

Jeśli Harry Talbot przypominał gniazdo os, nie powinna pakować w nie ręki.

To nie było do niej podobne. Zawsze zachowywała się taktownie, liczyła się ze zdaniem drugiej osoby. Czasami nawet dawała wejść sobie na głowę; chociażby ostatnio Vickie Campbell.

Jednak Harry Talbot doprowadził ją do białej gorączki, a ona, zamiast uspokoić sytuację, tylko dołała oliwy do ognia.

Stawienie mu czoła, jeśli to byłoby konieczne ze względu na Maisie, należało do jej obowiązków. Ale, niestety, zrobiła coś więcej.

Oczywiście została sprowokowana.

Patrzył na nią tak, jakby przybyła tu tylko po to, by go zirytować. A przecież nie dlatego zrezygnowała ze słonecznych wakacji, by rozkoszować się wietrzną i mglistą angielską wiosną!

- To mój pokój - oznajmiła Maisie, otwierając drzwi.

Jacqui oderwała myśli od Harryego Talbota. Pokój na szczycie wieży, który ukazał się jej oczom, przypominał komnatę księżniczki z bajki. Stało tu łóżko z koronkowym baldachimem i udrapowanymi zasłonami oraz meble ręcznie malowane w kwiatowe wzory w ostrych kolorach - od fiołkoworóżowego do purpury - zgaszonych nieco zielenią liści i gałęzi drzew.

Harry Talbot chyba zreperował piec, ponieważ w pomieszczeniu było ciepło i nie czuło się wilgoci.

- Uroczy pokój, Maisie. Czy babcia urządziła go specjalnie dla ciebie?

- Nie, mama zatrudniła dekoratora.

Głupie pytanie, pomyślała Jacqui, ganiąc się w duchu, podczas gdy dziewczynka podbiegała do okna.

- Możesz zobaczyć stąd pole, na którym pasie się moja Krówka.

Jacqui pospieszyła do okna, by podziwiać kucyka, ale przez zaparowaną szybę niewiele było widać.

- Niezbyt ładna pogoda. - Maisie zmarszczyła brwi. - Pewnie jest mu zimno.

- Skąd wiesz, czy nie stoi w stajni, gdzie jest ciepło i sucho?

- Pójdziemy sprawdzić?

Jacqui wołałaby trzymać się z daleka od zabudowań. Harry Talbot obiecał, że zajmie się jej samochodem i nie

chciała znów wpaść na niego. Ale Maisie nie była przyzwyczajona, żeby czegokolwiek jej odmawiano.

- W porządku, ale najpierw musisz się przebrać. Czy masz coś... - powstrzymała się, by nie powiedzieć „sensownego” - odpowiedniego do konnej jazdy? - Przypomniała jej się Bonnie Butler z „Przeminęło z wiatrem”, ubrana w błękitną, aksamitną amazonkę i strusie pióra. A może nie było tam piór? - Jakies spodnie? - Otworzyła torbę Maisie.

Wymijając sukienkę po sukience i wkładając je na różowofioletowe, watowane wieszaki, Jacqui doszła do wniosku, że biała, tiulowa suknia, w której dziewczynka podróżowała, była niezwykle skromna.

Maisie przywiozła nawet parę cienkich skrzydełek wrózki na jakąś nadzwyczajną okazję! Naszywane perełkami oraz srebrnym i różowym haftem, były rzeczywiście bardzo ładne, ale niewiele miały wspólnego ze zdrowym rozsądkiem.

Nie znalazła natomiast džinsów. Ani pary markowych bryczesów, ani zrobionych na obstalunek oficerek. Nie było żadnych spodni. Ani toczka. Ani różowych, błyszczących kaloszy. Tylko liczne pary satynowych pantofelków pasujących do sukienek.

- Kalosze i płaszcze są w sieni - wyjaśniła Maisie.

- W porządku. Zaniosę moją torbę do pokoju i pójdziemy wybrać coś odpowiedniego.

Jej sypialnia, sądząc po spłowiałych tapetach, nie została dotknięta ręką dekoratora przez ostatnich pięćdziesiąt lat, Ale była ciepła i przytulna.

Dziesięć minut później szły przez dziedziniec na spotkanie z kucykiem. Jacqui, która miała na nogach swoje bu-

ty do kostek, nie musiała, tak jak Maisie, zakładać kaloszy. Pożyczyła tylko starą, woskowaną kurtkę.

Najmniejsza kurtka była zbyt duża dla Maisie. Dziewczynka zawinęła rękawy, ale Jacqui i tak nie mogła powstrzymać uśmiechu, patrząc, jak nieporadnie idzie przez podwórze w za dużych, zielonych kaloszach, z wystającą spod kurtki białą sukienką i błyszczącą tiarą, sterczącą na ciemnych włosach.

Maisie na pewno nie była tuzinkową dziewczynką.

- Dokąd to? - Harry stał w drzwiach do garażu, wycierając brudne od smaru ręce w szmatę.

- Maisie chciała przywitać się z Krówką. - Dlaczego jej głos brzmiał tak defensywnie? - Ze swoim kucykiem - wyjaśniła, widząc, że nie zorientował się, o czym mówi.

- Ach, więc on tak się nazywa... W porządku. Ale nie oddalajcie się zbyttnio. Łatwo zabłądzić w taką mgłę.

- Nie ma szans, żeby pana zgubić.

- To jest żart w pani stylu? - powiedział chłodno.

Nawet jeśli miał to być żart, to raczej nie wypalił, bo Harry wcale nie zanosił się ze śmiechu.

- Tak... Nie... Przykro mi. - I było jej przykro. - Naprawdę.

Wskazał głową odległy koniec podwórza.

- Kucyk stoi w ostatnim boksie. Nie dawajcie mu cukru. Jest stary i ma starte zęby. Znajdźcie marchewkę w żłobie przy ścianie.

Maisie pobiegła naprzód, ale Jacqui się nie poruszyła. Zrobiła przed chwilą bezduszną uwagę, zupełnie nie w swoim stylu, ale nie zamierzała dać mu satysfakcji i uciec.

- Co z moim samochodem? - spytała.

- Nie jestem mechanikiem, ale sądzę, że tłumik dokonał swego żywota. Zadzwońię do warsztatu. Niech się pani nie martwi. Dopiszą do mojego rachunku.

- Dziękuję.

Wzruszył ramionami.

- Myślę, że wystarczająco dużo ucierpiała pani od rodziny Talbotów jak na jeden dzień. Radzę już pójść i upewnić się, że Maisie nie została stratowana przez swego konika.

- Nie śmiałby tego zrobić.

W końcu Harry zdobył się na coś, co można by nazwać uśmiechem.

Przez chwilę stali w milczeniu.

- Idę zamknąć garaż...

- Ja też już idę...

Poruszył się pierwszy. Patrzyła za nim przez moment, a potem opanowała emocje i poszła w kierunku stajni.

- Znalazła pani coś na podwieczorek?

Jacqui spojrzała znad garnka, w którym mieszała sos. Nie widziała Harryego od czasu, gdy zostawiła go przed garażem. Nie ucieszyła się na jego widok, ale w końcu nie był ludojadem.

Oby tylko znów się z czymś nie wygłupiła...

- Gotuję spaghetti carbonara. A właściwie penne carbonara. Łatwiej sobie z nimi poradzić.

Uniósł brwi.

- Podwieczorki przygotowywane przez nianie, jak widać, bardzo się zmieniły od czasów mojego dzieciństwa. Mogłem tylko liczyć na makaron z serem.

-Nianie się zmieniają, dzieci też. Okazuje się, że to jedna z ulubionych potraw Maisie, a ponieważ wszystkie składniki były pod ręką... Ale kiedyś przygotuję paluszki rybne, o których pan wspominał. Oczywiście nie z mrożonek. Zrobię je sama.

- Nie wiedziałem, że pani potrafi.

Miała ochotę na złośliwą ripostę, ale ugryzła się w język. Maisie chciała tu zostać, więc drażnienie Harryego nie miało sensu.

- Takie rarytasy słono kosztują w eleganckich restauracjach. - Och, wcale nie wyglądał na bywalca ekskluzywnych lokali. - Jest pan głodny? Zrobiłam trochę więcej. - Nie chciała, by odmówił, zastosowała więc drobny wybieg. - Wstawię resztę do lodówki. Będzie pan mógł sobie podgrzać w dowolnym czasie.

Wyczuła, że się zawahał. Z jednej strony miał ochotę na prawdziwe jedzenie, nie takie z puszki, lecz z drugiej - chętnie by wyekspediował stąd Jacqui.

- Dziękuję - powiedział w końcu.

To nie z powodu rozczarowania ścisnęło jej się serce. Przez ulotną chwilę miała nadzieję, że Harry usiądzie przy stole i przyłączy się do nich. Wyobraziła sobie, jak nawiązuje z Maisie nić porozumienia przy wspólnym jedzeniu, a ona patroluje im niczym dobra wróżka.

Żałosne!

Tylko Maisie, jedyna wśród nich, miała skrzydła.

Ale Harry Talbot nadal był w kuchni. Chociaż całą uwagę skupiła na sosie, czuła za sobą jego obecność.

- Są lody w zamrażarce, jeśli Maisie ma ochotę - powiedział. - Chyba że woli pani zrobić jakiś oryginalny deser.

Starał się być miły. Na chwilę. Zamierzała wynagrodzić go uśmiechem, ale gdy się obróciła, już go nie było.

Wykapała Maisie, położyła ją do łóżka i zaczęła czytać bajkę o małym misiu.

Maisie usnęła, nim skończyła lekturę. Jacqui obserwowała przez chwilę, jak mała równomiernie oddycha, potem poprawiła kołdrę i przygasiła światło.

Gdzieś na drugim końcu świata inne dziecko wkrótce się obudzi i wyciągnie rączki w oczekiwaniu na pieszczotę innej kobiety...

Zamrugła i, dotykając bransoletki, stłumiła ból. Kąpiel. Potrzebowała ciepłej wody o zapachu lawendy. Musiała zapomnieć i uśmiechnąć się... Uspokoić cierpiące serce...

Włożyła szlafrok i zeszła na dół, żeby zaparzyć herbatę.

Paliły się tylko lampki pod szafkami, a środek kuchni tonął w półmroku. Kura w koszyku poruszyła się i zagadkała z dezaprobatą. Ominęła ją szerokim łukiem. Niezbyt lubiła kury, nawet te całkiem udomowione.

Koty poruszyły jedynie wąsami. Odwróciła się, dopiero kiedy podbiegł do niej pies w nadziei, że dostanie coś do jedzenia.

Harry Talbot siedział przy kuchennym stole i kończył kolację. Nie wiadomo, które z nich było bardziej zaskoczone.

- Przepraszam - powiedziała - myślałam, że już dawno pan skończył.

-I tak by było, gdyby nie te cholerne osły! Niewdzięczne bestie uciekły, gdzie pieprz rośnie, gdy przyszedłem je

nakarmić. - Odchylił się na krześle. - Zanim zagnałem je z powrotem, byłem cały w błocie.

To wyjaśniało, dlaczego niesforne, ciemne włosy miał gładko szesane do tyłu i był ubrany w czyste dżinsy i granatową podkoszulkę. Wyglądał bardzo pociągająco.

- A co z lamą? Czy też uciekła?

- Skąd pani wie o lamie?

- Kobieta w sklepiku ostrzegła mnie, bym uważała na drodze.

- Kate znalazła dla niej dom w małym stadzie po drugiej stronie doliny.

- A ja myślałam, że ekspedientka fantazjuje.

- Nie, tym razem nie fantazjowała... A tak w ogóle, co pani tu robi?

- Nic - zachnęła się. - Przyjdę później. Nie będę przeszkadzać.

- Już pani to zrobiła, więc może pani zostać. Po co pani tu przyszła?

Nie zmienił swoich manier. Wszystko pozostało po starciu.

- Zamierzałam zrobić sobie coś ciepłego do picia.

- Proszę się nie krępować. Już skończyłem. - Zostawił na wpół zjedzony posiłek i zabrał się do wyjścia.

- Zrobić też panu...? - spytała cicho, uznając, że choć jedno z nich powinno zdobyć się na uprzejmość. No i padło na nią.

- Odgrywanie domowej bogini nie zmieni mojego nastawienia do pani, panno Moore. Potrafię sam zaparzyć sobie kawę.

- Oczywiście, że pan potrafi. Inaczej musiałby pan się bez niej obyć.

I tyle, jeśli chodzi o grzeczność. Choć próbowała nie dopuścić, by ją rozzłościł, wystarczyło jego jedno zdanie...

- Właściwie robię herbatę. - Z trudem próbowała się opanować. - Nie podważając pańskich wybitnych umiejętności w tym zakresie, mogę również zaparzyć panu kawę. Może pan wypić ją później, jeśli nie chce pan zostać.

Zapadła cisza. Atmosfera była aż gęsta od niewypowiedzianych słów. Nawet pies się nie poruszył.

Harry stał, jakby stopy wrosły mu w ziemię. Umysł podpowiadał mu, by wyjść. Nie znosił ludzi. Nie znosił tej bazy, która w jednej chwili była słodką kobietką, a w drugiej potrafiła ukąsić ciętym językiem. To było skomplikowane. Zbyt trudne. Od dawna myślał bardzo prosto, tylko o jednym - jak przetrwać. Jeśli straci ten cel z oczu, wiedział, że straci rozum.

Potrzebował samotności. To był jedyny sposób na przeżycie.

Ale jego ciało, które od dawna poddawało się jego woli, nagle stało się niezdolne do wykonania najprostszego rozkazu.

Cisza zdawała się napinać jak struna, lada moment mogła pęknąć. Jacqui nie rozumiała, co sprawiało mu taką trudność, że nie mógł odpowiedzieć na proste pytanie. Widziała, że bił się z myślami.

Drgnęła, gdy w końcu poruszył się i zaniósł talerz do zlewu. Zeskrobał resztki do kubła, opłukał talerz i włożył go do zmywarki.

- Jest pani bardzo irytującą kobietą, wie pani? - powiedział, trzaskając drzwiczkami.

To zależy od punktu widzenia. Ona uważała, że Harry był jeszcze bardziej irytujący. Ale dobre maniery - a może tylko instynkt samozachowawczy - tym razem powstrzymały ją od riposty. Zamiast tego przeszła przez kuchnię i nastawiła wodę w czajniku.

- Dobra kucharka, ale irytująca - ciągnął.

- To lepiej, niż irytująca zła kucharka. Żadnych zalet.

Nie był przygotowany do polemiki.

- Czy Maisie już śpi? - spytał.

- Już prawie dziesiąta. Oczywiście, że śpi.

- To nie takie oczywiste. Zazwyczaj nie śpi do późna w nocy, kręcąc się wśród dziwacznych przyjaciół Sally.

- Miała ciężki dzień. Nawet nie wytrzymała do końca bajki.

- Zdumiewające.

- Niezbyt pan ją lubi, prawda?

- Sally powinna poprzestać na ratowaniu zwierząt. Może je porzucić, gdy już zrobi sobie z nimi zdjęcie.

Co? Co on sugeruje?

- Maisie nie została porzucona!

- A jak by pani to nazwała?

- Jestem pewna, że dzisiejsze wydarzenia są tylko niefortunnym zbiegiem okoliczności. - Nie chciała oceniać sytuacji, dopóki nie pozna wszystkich faktów. - Właściwie chciałam pana o coś spytać... Czy Maisie ma tu jakieś ubrania odpowiednie do zabawy na dworze? W jej pokoju nic nie ma, ale to jak komnata z bajki o księżniczce. Dżin-sy byłyby niedopuszczalnym dysonansem.

- Przykro mi, ale nie mogę pani pomóc. Zresztą Maisie nie będzie potrzebować tych ubrań, ponieważ tu nie zostanie.

Jacqui nie była wybuchową kobietą, ale najchętniej złapałaby Harryego za kudły i mocno sponiewierała. Niestety, najpewniej pękłby ze śmiechu, lepiej więc nie ryzykować.

Zagotowała się woda. Gdy Jacqui parzyła sobie herbatę, a Harry'emu kawę, wszystko przemysłała.

Jeśli będzie się starała go przekonać i jej się nie uda, to on jeszcze mocniej okopie się na swoich pozycjach. Im więcej razy Harry powtórzy, że Maisie tu nie zostanie, tym trudniej przyjdzie mu się z tego wycofać.

A Maisie chciała tu zostać...

Lepiej poczekać, aż Vickie złapie kontakt z Seliną Talbot. Wtedy wszystko się rozwiąże.

Na szczęście Harry jak na razie nie zamierzał uciekać, była więc okazja, by porozmawiać. Postara się go nie przestraszyć - dziwna myśl, zważywszy, że to on przypominał ludojada - i znaleźć jakąś płaszczyznę porozumienia.

Do tej pory nie rozmawiali z sobą normalnie.

- Ta kura mieszka w kuchni? - To pierwsze, co przyszło jej do głowy. - Czy jest chora?

- Kotka przyniosła ją, kiedy była kurczaczkiem, i uznała za swoje dziecko.

- Czyżby ta kura myślała, że jest kotem?

- To teoria ciotki Kate. - Spojrzał na nią wymownie.

- Pan w to nie wierzy?

- Nie zauważyłem problemu z identyfikacją, kiedy strączy pióra, ale jeśli miałyby pani wybór między koszykiem przy piecu a powrotem do zimnego kurnika, co by pani wybrała?

- To głęboko cyniczny punkt widzenia.

- A jaka jest pani odpowiedź?

- To inteligenta kura... Dopiero koty się zdziwią, gdy zniesie jajko.

Hm, prawie go miała. Właściwie się nie uśmiechnął, ale przynajmniej wykrzywił kącik ust. Podniósł dzbanek z kawą i nalał sobie filiżankę.

Klasyczne zachowanie, by odwrócić jej uwagę, pomyślała. Zrobiłaby to samo, gdyby próbowała ukryć uśmiech. Lub łzy.

Może jeszcze nie wszystko stracone.

- Dokąd pani się wybierała? - Zerknął na nią z ukosa i przyłapał, że go obserwuje.

- Nigdzie - powiedziała z lekka podenerwowana.

- Mam na myśli wakacje.

Och, to. Zdażyła już zapomnieć o Hiszpanii. Zresztą tu było aż nadto gorąco. I to nie z powodu tłoku. Przestrzeni było dosyć, ale pluszowy szlafrok okazał się o wiele za ciepły.

I niewystarczająco przyzwoity. Co prawda miał normalną długość, ale teraz Jacqui wydawało się, że powinien zakrywać kostki. I był zbyt opięty. Nawet nie śmiała spojrzeć w dół w obawie, że mógł się rozchylić i wyeksponować uda. Jeszcze tego brakowało, żeby zaczął patrzeć na *jej* nogi...

Nie wydawał się zainteresowany jej nogami. Wprost przeciwnie, utkwiał wzrok w jej dekolcie, tam, gdzie stykały się poły szlafroka.

Przypomniała sobie, że pod szlafrokiem nie ma skromnej piżamy, jaką zwykle nosiły nianie, zmuszone wstawać w środku nocy do płaczącego dziecka.

Oczywiście bawełniane szorty i koszulka na ramiączkach w gruncie rzeczy nie miały w sobie nic frywolnego. Na hiszpańskiej plaży nosiłaby jeszcze mniej...

Ale teraz nie była na plaży, tylko sama w domu z mężczyzną, którego nie znała. I on gapił się na jej dekolt.

Niedobrze.

Tym gorzej, że serce zaczęło jej bić szybciej.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Z mlekiem? - Nie czekając na odpowiedź, Jacqui poszła do lodówki, owijając się ściślej szlafrokiem.

- Nie, dziękuję - powiedział, gdy podała mu dzbanek.

Miała wrażenie, że zauważył jej manewry ze szlafrokiem, choć powstrzymał się od triumfalnego uśmiechu.

Wyjęła torebkę z herbatą i dołała sobie mleka.

- Nie za późno na czarną kawę?

Posłał jej ostrzegawcze spojrzenie typu: „Uważaj, stąpasz po cienkiej linii!”. Pewnie miało to ją skłonić do ucieczki.

- Nic osobistego, panie Talbot, to zawodowa uwaga.

- Proszę łaskawie zatrzymać ją dla Maisie, panno Mary Poppins.

Jeśli chciał, żeby się wycofała, musiał bardziej się postarać. Ostatecznie Mary Poppins była doskonałą nianią, osobą ze wszech miar pozytywną.

- Brak snu każdemu psuje humor. - Wytrzymała jego spojrzenie, choć harda była tylko na zewnątrz. Zarazem głos wewnętrzny podpowiadał jej: „Dotknij go, on potrzebuje kogoś, kto go przytuli”.

- Ma pan rację, to nie moja sprawa. Proszę tylko mnie nie winić, jeśli znów pan nie zaśnie.

- A dlaczego nie? Przecież oboje świetnie wiemy, że to przez panią nie mogę spać.

Umilkł, zaskoczony własnymi słowami. Zapomniał, co chciał powiedzieć. Czas stanął, powietrze zgęstniało.

Jacqui stała się świadoma swego ciała jak nigdy dotąd, a oczyma duszy zobaczyła Harryego, jak w przyćmionym świetle sypialni leży na plecach, oparty o poduszki, z gołymi ramionami pod głową i szeroko otwartymi oczami. I myśli o niej.

Uff... Co tu dużo mówić, poczuła seksualne podniecenie, ze wszelkimi tego oznakami. Ale cóż, od dawna, wciąż pochłonięta pracą, zapomniała o fizycznych potrzebach ciała.

- A więc jestem jak kolec w pańskim materacu - powiedziała, żeby rozładować napięcie. A ponieważ nie chciała rozprawić o jego materacu, wróciła do wcześniejszego pytania: - Wybierałam się do Hiszpanii.

- Do Hiszpanii? Zaraz... Ach, pani wakacje! Wybierała się pani sama?

Na pewno wcześniej nie zadałby tego pytania. Najmądrzej byłoby wziąć kubek, powiedzieć dobranoc i wycofać się w zacisze swego pokoju. Ale wtedy już nigdy nie poznałaby choć trochę Harryego Talbota.

A powinna, oczywiście ze względu na Maisie.

Napiła się herbaty, ponieważ zaschło jej w ustach, i powiedziała:

- Czy to ma znaczenie?

- Jeśli miała pani jechać ze swoim chłopakiem, na pewno bardzo się zezłościł tą nagłą zmianą planów.

- Jeśli bym jechała ze swoim chłopakiem, sama bym się najbardziej wściekła. Ale proszę się uspokoić, nie musi się pan obawiać, że rozwścieczony facet stanie na pańskim progu i zrobi awanturę albo coś jeszcze gorszego.

Wcale się nie uspokoił, wręcz przeciwnie, był zawiedziony. Pewnie z radością przyjąłby w swym domu zirytowanego samca, który by mu pomógł w dziele gnębienia Jacqui Moore, a potem zabrał ją z sobą na zawsze.

- Jest mnóstwo lotów do Hiszpanii. Samochód da się łatwo naprawić. Straciła pani tylko jeden dzień.

By wyrazić tę treść, równie dobrze mógł złapać Jacqui za kark i bez słowa wystawić za próg.

- Sprawa nie jest tak prosta. To był bilet last minute. Nie lecis, tracisz.

- Nie można zmienić terminu?

- Nie lecis, tracisz - powtórzyła z lekką irytacją. - Ale proszę się nie przejmować. Agencja załatwi to z pańską kuzynką. Obiecano mi rekompensatę.

- Świetnie. Ale dostanie pani pieniądze najwcześniej za dwa tygodnie.

- To nie ma znaczenia. Pracuję na zlecenie. Mogę zrobić sobie przerwę, kiedy zechcę.

- Mógłbym pokryć pani straty, a potem rozliczyć się z Sally.

- Wielkie nieba, naprawdę chce się pan mnie pozbyć!

- Udała, że traktuje to jako dowcip. - Zapłata za naprawę samochodu, do tego rekompensata za stracone wakacje. No, no...

- Usiłuję postępować rozsądnie.

Rozsądnie!

Rozsądnie byłoby, gdyby powiedział: „Przykro mi, że doznałaś tylu kłopotów. Rozgość się przynajmniej do czasu, aż moja beznadziejna rodzina załatwi to między sobą”.

Albo coś w tym rodzaju.

- Pan naprawdę nic nie rozumie?

- Niby czego?

Upiła trochę herbaty, a potem odważyła się na niego spojrzeć sponad kubka. Wyglądał na człowieka naprawdę zdesperowanego, ale nie miała specjalnych wyrzutów sumienia. To on zachowywał się jak gbur.

- Tego, że nie mogę nigdzie wyjechać, dopóki Maisie nie będzie bezpieczna.

- Mam inny pomysł, panno Moore. Proszę wyjechać do Hiszpanii i zabrać z sobą Maisie. - Czekał na pełną zapału odpowiedź, a kiedy się nie doczekał, dodał zachęcająco: - W ten sposób, leżąc na słońcu, jeszcze pani zarobi.

Roześmiała się.

- Rzeczywiście ma pan bardzo mizerne pojęcie o opiece nad dzieckiem.

- Dopłacę pani.

- Przykro mi - skłamała, bo Harry wcale nie zasługiwał na współczucie. - Przynajmniej z dwóch powodów nie mogę przyjąć tej propozycji. Po pierwsze, potrzebna by była notarialna zgoda na wywóz Maisie z kraju. Po drugie, nic pan o mnie nie wie... - Nagle zrobiła się na niego zła, że nie posiadał żadnych uczuć rodzinnych i poczucia odpowiedzialności. - Czy pan ma pojęcie, ile można dostać za ładną, zdrową małą dziewczynkę na nielegalnym rynku adopcji?

- Z pewnością lepiej znam się na sprawach finansowych niż pani. Poza tym nie jestem tak głupi, na jakiego wyglądam. Zadzwońtem do agencji i urocza pani Campbell wysłała mi pani CV wraz z referencjami.

- Doprawdy?

- Dlaczego pani porzuciła studia na drugim roku?

Zostawiła to pytanie bez odpowiedzi. To była zwykła przepychanka, próba sił, demonstracja, że naprawdę wszystko o niej wiedział. A ona nie wiedziała o nim nic. Z wyjątkiem tego, że miał zły charakter.

Stanowczo to nie był jej dobry dzień.

Najpierw mała księżniczka, potem olbrzym...

- A więc wyjaśniliśmy już ten mały problem - ciągnął.
- Prześle faksem pisemną zgodę do agencji. Jaki jest drugi powód?

Najwyższy czas, by zdobyła punkt.

- Maisie chce tu zostać. A moja praca... - nie był to najlepszy moment, by powiedzieć mu, że nie otrzymała za to zapłaty - moja praca polega na tym, by uczynić ją szczęśliwą. Nie mogę postąpić wbrew woli Maisie. - By uniemożliwić mu wszelkie protesty, wstała gwałtownie. - Dobranoc, panie Talbot. - Ruszyła do drzwi. - Miłych snów.

Ostatnie dwa słowa były błędem i tylko dlatego, że niosła kubek z gorącą herbatą, nie puściła się biegiem.

- Mam na imię Harry - powiedział, gdy była już w progu. - Mów do mnie Harry. - Tego się nie spodziewała. - Myślę, że wymieniliśmy dostatecznie dużo złośliwości, żeby porzucić zbędne ceremonie, nieprawdaż?

Gdy spojrzała na niego, musiała przyznać, że ją pociągał. Gdyby obciął włosy i ogolił się, kobiety mdlałyby na jego widok.

Jaka szkoda, że jego dusza nie pasowało do tego pięknego ciała...

- Poddaje się pan, panie Talbot?

Zacisnął szczękę. Czyżby go zraniła?

Niemożliwe, by facet tej postury i tego charakteru był taki wrażliwy. Pożałowała, że nie trzymała języka za zę-

bami i nie uśmiechnęła się zachęcająco, by dać mu szansę sprecyzowania propozycji.

Ale wtedy Harry Talbot uniósł potężne ramiona i powiedział:

- Nie, panno Moore. Po prostu proponuję rozejm na dzisiejszą noc.

Nie stała mu się krzywda. Był taki sam jak zawsze.

Wyobraziła sobie, że została uwięziona na spowitym mgłą wzgórzu z małą księżniczką i złym olbrzymem... Co powinna zrobić, żeby zmienić Harry'ego Talbota w księcia z bajki? Na razie zaparzyła mu dobrą kawę, ale niewiele to pomogło.

Pocałunek byłby tradycyjnym lekarstwem...

- W takim wypadku - powiedziała szybko, spłoszona własnymi myślami - do następnej bitwy. Dobranoc, pannie... dobranoc, Harry.

Czekała z ręką na klamce, mając nadzieję, że zrobi jakiś pojednawczy gest. Zaproponuje coś więcej.

Ale on tylko powiedział:

- Dobranoc, Jacqui.

Nie miała wyboru, jak zniknąć, ale wchodziła po schodach z uczuciem żalu.

Nie potrafiła tego sprecyzować, nabrała jednak niepokojącej pewności, że zbliżyła się do czegoś niezwykle ważnego, ale - zbyt zajęta obroną własnej pozycji - nie zdołała tego rozpoznać.

Wstąpiła do Maisie, poprawiła jej kołdrę, a potem z ciężkim sercem poszła do siebie.

Harry nie poruszał się przez dłuższą chwilę. Kawa w kubku całkiem wystygła. Czekał, aż wszystko wróci na

swoje miejsce, jakby obecność Jacqui Moore spowodowała niebywałe zakłócenia atmosferyczne.

Po chwili kot przeciągnął się i podszedł do drzwi jak ciemny cień wyruszający na nocne łowy. Stary ogar wstał i dotknął pyskiem dłoni swego pana, przypominając o wieczornym spacerze.

Zwierzęta wydawały się nieświadome nadal uchwytnych w powietrzu zawirowań, związanych z niedawną obecnością Jacqui.

Harry zdjął z kołka płaszcz i wyruszył na wzgórze. Stare labradory ruszyły przodem, ale ogar dotrzymywał mu towarzysztwa, gdy zdecydowanym krokiem maszerował w dal, chcąc za wszelką cenę wymazać pewną nianię ze swego umysłu i serca.

Jacqui zostawiła Maisie, która wahała się, co włożyć: sukienkę z różowej tafty czy żółtego jedwabiu, i zeszła na dół, by poszukać dla małej jakiegoś praktycznego i wygodnego ubrania.

Zajrzała do gabinetu, ale nie było tam Harryego. Nic nie świadczyło o jego obecności. Poczta, którą zostawiła na jego biurku, wciąż leżała nieruszona.

W kuchni zastała kobietę w średnim wieku, która wymowała naczynia ze zmywarki.

- Pani jest Susan? - spytała, ucieszona widokiem potencjalnego sojusznika. - Nazywam się Jacqui. Jestem tymczasową opiekunką Maisie. Czy pan Talbot wyjaśnił już nieporozumienie?

- Pan Harry? Nie, ale staram się mu schodzić z drogi - powiedziała gosposia. - Przychodzę tu codziennie, ponieważ obiecałam to pani Talbot. Pilnuję, żeby miał

coś do jedzenia. - Wzruszyła ramionami: - Oczywiście słyszałam, że ktoś przywiózł wczoraj wieczorem panienkę Maisie.

Jacqui nie była zdziwiona, domyśliła się bowiem, że jej przyjazd oplotkowano w wiejskim sklepiku.

- Spodziewałam się, że zastanę tu panią Talbot. Maisie miała z nią zostać podczas nieobecności swojej matki.

- Doprawdy? To dopiero nowina! Starsza pani pojechała przecież do swojej siostry do Nowej Zelandii.

- Dowiedziałam się o tym dopiero od pana Talbota, jak tu dotarłam.

- Zapłacił za wszystko. Popłynęła pierwszą klasą.

- To szczerze z jego strony.

- Być może - powiedziała Susan z wahaniem, którego Jacqui nie rozumiała.

- Nie wiedziała o przyjeździe Maisie?

- Nie. Panna Sally nigdy nie robi takich dalekosiężnych planów.

Jacqui zmarszczyła brwi. Dalekosiężnych?

- Kiedy pani Talbot wyjechała do Nowej Zelandii?

- W listopadzie zeszłego roku.

- To przecież pięć miesięcy temu!

- To prawda. Nie spieszyła się. Popłynęła statkiem i dotarła tam na Boże Narodzenie.

-Och.

- Nie było przecież sensu jechać tam na pięć minut.

- Kiedy wraca?

- Nie wiem. W ostatnim liście napisała, że jeśli pan Harry jest tu szczęśliwy i daje sobie radę, to przedłuży swój pobyt.

- A jest tu szczęśliwy?

- Tego bym nie powiedziała. Ale nie spieszy się z wyjazdem. Chyba tylko tutaj czuje się jak u siebie.

Powstrzymała pytanie cisnące się na usta, by nie wyjść na wścibską. Powinna jednak wielu rzeczy się dowiedzieć, bo sytuacja stawała się coraz dziwniejsza.

- Nie rozumiem, dlaczego panna Talbot przysłała tutaj Maisie. Musiała wiedzieć, że matki tu nie ma...

- Ona żyje we własnym świecie. Zawsze tak było.

- Mimo to dziwię się, że popełniła taki błąd. - Jacqui nastawiła czajnik. - Zrobić pani herbatę?

- Na razie nie, dziękuję. Idę nakarmić kury, ale po powrocie chętnie się napiję. Jest bardzo zimno. - Z dezaprobatą obrzuciła wzrokiem lekki strój Jacqui i skierowała się do drzwi.

Jacqui była rozczarowana. Nie lubiła plotek, zarazem miała jednak nadzieję, że gawędząc przy herbacie, uzyska odpowiedzi na różne pytania, które nie dawały jej spać pół nocy.

- Zgoda... Ale zanim pani wyjdzie, jeśli można, chciałabym o coś spytać.

- Może pani - odpowiedziała Susan z rezerwą - Ale nie obiecuję, że odpowiem.

- Chodzi o to, że Maisie nie przywiozła z sobą odpowiednich ubrań. W jej pokoju nic nie znalazłam, a pan Talbot nie wie, gdzie jest dodatkowa garderoba.

- A niby skąd miałby wiedzieć.

- Tym bardziej ja nie wiem. - Jacqui z trudem pohamowała narastającą irytację.

- On zwykle baluje po świecie. Nie odzywa się miesiącami, a nawet latami. A potem zjawia się ni stąd, ni zowąd.

Och, więc tylko zbieg okoliczności sprawił, że go tu spotkała...

Chciałaby dowiedzieć się czegoś więcej, ale Susan już wychodziła do sieni.

- Może więc pani wie? - spytała zdenerwowana.

- Ona nie trzyma tu ubrań. - Susan wyszła do sieni i sięgnęła po płaszc. - Jej ostatnia niania zawsze pakowała wszystko, co było potrzebne. - W tych słowach pobrzmiwała nuta ledwie zawołowanej przygany.

- Ona wiedziała, że przyjeżdża tu na dłużej, a ja miałam tylko przywieźć Maisie do babci. No i teraz muszę sobie radzić z tym, co mam. Z różową taftą i kaloszami.

- Proszę zajrzeć do starego pokoju dzieciennego - powiedziała Susan łagodniej. - Może znajdzie tam pani coś, co należało do panny Sałły. Piąte drzwi na górze.

- Dziękuję, Susan. - Jacqui uśmiechnęła się. - I zapraszam na herbatę i kanapkę z bekonem, gdy już nakarmisz kury.

- Dziękuję, wrócę za pół godziny. - Gospościa rozpromieniła się.

Jacqui weszła na półpiętro i zgodnie z instrukcją skrzyła w prawo; znalazła się w szerokim korytarzu oświetlonym rzędem okien, skąd rozciągał się wspaniały widok na wzgórze.

Błyszczącą podłogę przecinał turecki chodnik, przy wewnętrznej ścianie stały stare skrzynie, a na ścianach wisiało kilka dobrych płócien. Była to prawdziwa pańska rezydencja.

Szkoda tylko, że gospodarz do niej nie pasuje, myślała, licząc drzwi. Dotarła do piątych. To było centralne miejsce w domu i raczej nie spodziewała się znaleźć tu pokoju dzie-

cinnego, ale otworzyła drzwi i weszła do środka. Ponieważ było wcześniej rano, a wzgórze spowijała mgła, w pokoju panowały jeszcze ciemności. Sięgnęła do kontaktu.

Gdy światło imponującego żyrandola rozbłysło, od razu zorientowała się, że miała rację. To nie był pokój dziecinny, ale główna sypialnia, wytwornie umeblowana, zapewne jeszcze w czasach regencji. Pośrodku pokoju stało wielkie łóże z baldachimem wspartym na czterech kolumnach.

Gdy odwróciła się, by jak najszybciej uciec, zmierzyła się twarzą w twarz z Harrym Talbotem. Stał przed komodą, najwyraźniej szukając bielizny.

Nie dość, że weszła do pokoju bez pukania, to na dodatek on właśnie wyszedł spod prysznica, ubrany jedynie w ręcznik opasający biodra.

Gdy z impetem odwrócił się do niej, ręcznik przegrał z siłą ciężenia. I opadł.

Nie poruszył się, by go podnieść. Chciała go przeprosić i już otworzyła usta, ale nie mogła wydobyć głosu.

Był taki piękny...

Smukły, a jednocześnie mocny i umięśniony jak grecki bóg. Z jego włosów, gęstych i ciężkich, skręconych w grube loki, wolną, zmysłową strużką spływały krople wody. Obserwowała, jak jedna kropla ścieka na jego ramiona, a potem płynie po klatce piersiowej.

Był piękny jak Dawid Michała Anioła.

W kontraście z tym pięknem blizny szpecące jego plecy były tym bardziej straszliwe.

Niewiele myśląc, wyciągnęła ku niemu rękę, ale zanim jej palce dotknęły pokaleczonej skóry, złapał ją za nadgarstek i gwałtownie wypchnął z pokoju.

- Zostań tu - odezwał się. - Nie ruszaj się. - Nie czekając, aż go posłucha, zamknął jej drzwi przed nosem.

Nie musiał tego mówić. Nawet gdyby chciała uciekać, nogi odmówiłyby jej posłuszeństwa. Cała się trzęsła. Zakryła usta dłońmi, jakby powstrzymując krzyk.

Co mu się stało...? Nigdy w życiu nie widziała tak okropnych blizn.

Oparła się o futrynę drzwi, prawie wpadając na niego, gdy je znów otworzył, owinięty grubym szlafrokiem.

- Wszystko w porządku? - spytał, ściskając jej ramiona, żeby trzymać ją na dystans.

Gdy jego płace wpiły się w jej ciało, nawet nie jęknęła. Ani przez chwilę nie wierzyła, że robił to celowo. Nie spytała również, co miał na myśli. Po prostu skinęła głową.

Rozluźnił uścisk, ale nie puścił jej.

Być może, pomyślała, widząc z bliska jego wymizowaną twarz, jakby od dawien dawna nie sypiał - to on potrzebował wsparcia.

- Cóż takiego nie może poczekać? Czyżby Sally zadzwoniła?

Tak trzeźwo. Tak rzeczowo. Pomiął milczeniem to, co zobaczyła, ale bolesne wbicie palców w jej skórę świadczyło, że był bardzo poruszony.

- Nie. Jest zbyt wcześnie, żeby powiadamiać agencję. Wcale nie szukałam ciebie. Szukałam starego pokoju dzieciennego. Susan powiedziała, że mogę znaleźć tam coś odpowiedniego dla Maisie. Na górze, piąte drzwi, poinstruowała mnie.

Jakby to miało znaczenie, co powiedziała Susan! Albo w jakim stroju Maisie będzie bawić się w stajni...

Musiała wiedzieć...

- Harry...

- Myślała, że wejdiesz na frontowe schody. To tędy. -
Wziął ją pod ramię i mocno podtrzymując, jakby miała za-
raz zemdleć, poprowadził z powrotem korytarzem. - Dalej
sobie poradzisz. - Szybko obrócił się i odszedł.

- Harry!

Zatrzymał się na progu swego pokoju.

- Nie pytaj - ostrzegł.

Przez moment żadne z nich się nie poruszyło, żadne
nie powiedziało ani słowa. Potem Harry wszedł do środka
i zamknął drzwi.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Maisie nie zachwyciła się znalezionymi ubraniami. Zdecydowanie wolała swoją różową, taftową sukienkę.

- Te ciuchy śmierdzą - skwitowała, krzywiąc nos.
- Dawno nie były noszone. Oczywiście najpierw je upierzemy. Chciałabym tylko sprawdzić, czy pasują.
- Nie pasują.
- Być może - przyznała Jacqui z szelmowskim uśmiechem. - Twoja mama musiała być od ciebie wyższa.
- To nieprawda. Powiedziała mi, że była tego samego wzrostu.

Odwołanie się do jej ambicji przyniosło oczekiwany rezultat.

- Skoro do niej należały, to muszą pasować.

Maisie chwyciła bluzę z dziecienną aplikacją na przodzie i rozpostarła ją przed sobą.

- Moja mama nigdy by nie ubrała się w coś takiego.

Przewidując tę reakcję, Jacqui pokazała jej fotografię, którą odpięła z tablicy korkowej w starym pokoju dzieciennym. Była wymięta i trochę już wyblakła. Czy Selina zachowała zdjęcie z powodu szczeniaka, którego trzymała na rękach? Czy może raczej dlatego, że za nią stał jej starszy kuzyn, Harry, i opiekuńczo obejmował ją ramieniem?

Wszystko jedno. Najważniejsze, że miała na sobie właśnie tę bluzę.

- Po co by trzymała coś tak beznadziejnego? - spytała Maisie, odwracając się od zdjęcia, wcale niespeszona tym, że jednak się pomyliła.

- Czasami trzyma się ulubioną sukienkę, nawet wiedząc, że już nigdy nie będzie pasować.

Maisie wzruszyła ramionami.

- Być może... Czy to wujek Harry stoi obok mamy?

Jacqui spojrzała znów na fotografię, a potem zwróciła ją dziewczynce.

- Dlaczego sama go nie spytasz?

- Nie trzeba - odparła Maisie, bawiąc się guzikiem. - To na pewno on.

- Chyba że ma brata bliźniaka.

Jacqui już wiedziała, dlaczego Selina trzymała tę fotografię w widocznym miejscu. Dorosły Harry miał kilka poważnych wad, ale wtedy był tylko bardzo przystojnym chłopcem. Mógł być dla małej Seliny idolem. Położył rękę na jej ramieniu... Pewnie ta bluza stanowiła specjalną pamiątkę.

- Na razie jest kiepska pogoda, więc nie możesz wyjść na dwór - powiedziała. - Wrzucę bluzę do pralki, a po południu, jeśli się przejaśni, zrobię ci w niej fotografię.

Brak odpowiedzi.

- Ze szczeniakiem - zachęciła. - Pokażesz oba zdjęcia mamie, gdy wróci do domu. Jestem pewna, że jej się spodobają.

- Jeśli Harry da się sfotografować - stwierdziła Maisie, nie zważając, że zapędza się w kozi róg - zdjęcie będzie takie samo.

- Świetny pomysł. - Czy Harry Talbot tak myślał, to już inna sprawa.

- Poprosisz go o to? - spytała Maisie z naciskiem.

- Oczywiście, kochanie. Oczywiście, że go poproszę.

- Najpierw poproś - powiedziała dziewczynka z determinacją. - Zanim to włożę.

Tego się mogła spodziewać.

Maisie była bystra i, jak widać, potrafiła się targować.

Jacqui na szczęście nie musiała od razu przystępować do negocjacji, ponieważ Harry'ego nie było w pobliżu. Po śniadaniu zostawiła Maisie w kuchni, gdzie Susan piekła ciasto, i poszła zadzwonić do Vickie.

Gdy otworzyła drzwi do gabinetu, Harry spojrzał na nią znad stosu listów tak złym wzrokiem, że instynktownie zrobiła krok w tył. To jednak prawdziwy ludojad, pomyślała z desperacją.

- Przepraszam, nie chciałam ci zakłócić spokoju.

- W ogóle go zakłócasz swoją obecnością w tym domu.

- Wziął głęboki oddech, a może policzył do dziesięciu, by odzyskać zimną krew. - Rozumiem, że nic na to nie można poradzić, ale czy przynajmniej mogłabyś przestać się wokół mnie kręcić?

- Bardziej by pomogło, gdybyś nie czuł się obrażony samym moim widokiem.

- Och, nie przesadzaj, jesteś przewra... - zaczął z irytacją, potem umilkł, zastanawiał się przez chwilę. I zrobił to, co na ogół robią mężczyźni, gdy dociera do nich, że postąpili źle. Zaatakował. - Czy to ty zostawiłaś ten stos śmieci?

- Jeśli masz na myśli pocztę, to tak. Właścicielka skle-

piku na dole prosiła, bym ją przywiozła. Zatrzymałam się, pytając o drogę.

- Kiedy będziesz stąd wyjeżdżać, sugeruję, byś zabrała to z powrotem i powiedziała jej...

- Mam lepszy pomysł, panie Talbot - przerwała mu ostro. Cokolwiek mu się w życiu przytrafiło, nie była to jej wina i nie zamierzała zbierać za to cięgów. - Powiedz jej to sam! - Wiedziała, że jeszcze chwila, a naprawdę skoczą sobie do oczu, więc zmieniła temat. - Czy miałeś wiadomość od swojej kuzynki?

- Nie. Z twojej agencji też brak wieści, jak przypuszczam?

- Właśnie zamierzałam tam zadzwonić.

- Nie krępuj się.

Popchnął telefon w jej kierunku. Po chwili stwierdziła:

- Nie ma sygnału.

Wyrwał jej słuchawkę i z niedowierzaniem przyłożył do ucha.

- Pomyliłam się? - spytała ze zwodniczą słodyczą.

Być może nieuprzejmym zachowaniem bronił się przed współczuciem, które mogłaby mu okazać?

Mruknął coś pod nosem. Nie prosiła o powtórzenie. Na pewno nie straciła nic ważnego.

- To się stale zdarza. Skorzystaj z komórki.

- Zgłośzę uszkodzenie, dobrze?

- Jeśli chcesz.

A może zostawić go odciętego od świata? - pomyślała. Świat jej tylko za to podziękuje.

Jednak tę złotą myśl zachowała dla siebie. Nie było sensu podsycać kłótni, skoro zamierzała poprosić go o przysługę dla Maisie.

Ale jeszcze nie teraz. Najpierw zadzwoni.

Dobre wieści z całą pewnością wprawią Harryego w lepszy nastrój.

Był tylko jeden problem. Nie mogła znaleźć swojej komórki.

Sprawdziła dokładnie kieszenie, gdzie zwykle nosiła telefon w ciągu dnia, a potem stolik przy łóżku, gdzie trzymała go w nocy.

Na stoliku, gdzie powinien leżeć telefon, znalazła srebrną bransoletkę. Zapięła ją na nadgarstku. Potem dla pewności zajrzała pod łóżko. Ale niczego nie znalazła.

Telefonu nie było również w kuchni. Maisie w kuchennym fartuchu, umorusana mąką, zrobiła obojętną minę, gdy ją spytała, czy nie widziała telefonu.

Gabinet był jedynym miejscem, które pozostało i jednocześnie ostatnim, gdzie, o ile dobrze zapamiętała, miała telefon przy sobie. Choć niechętnie, Jacqui musiała więc wrócić do jaskini lwa. Tym razem zapukała do drzwi, zanim je otworzyła.

- Tak? - Harry podniósł wzrok.

- Nie mogę znaleźć komórki - powiedziała. - Jeśli jej tutaj nie ma, nie wiem, gdzie szukać.

- Nie widziałem jej, ale - wskazał pocztę rozrzuconą na biurku - możesz poszukać pod tym stosem.

Zaczęła przerzucać listy. Oferty reklamowe wyrzuciła do kosza, zostawiając osobiste listy oraz rachunki na oddzielnej kupce.

Gdy podniosła wzrok, zdała sobie sprawę, że ją obserwuje.

- Co się stało?

- Pracuj dalej, świetnie ci idzie.

- Cieszę się, że mogę się na coś przydać, nawet jeśli to tylko segregacja śmieci. - Zaczynała czuć zażenowanie pod jego baczny wzrokiem. - Możesz zastrzec swoją skrzynkę pocztową. Nie będą przysyłać reklamówek. Jeden telefon wystarczy, by ocalić planetę. - Wyrzuciła ostatnią ulotkę i ułożyła pozostałe papiery na biurku. - Potrzebuję telefonu. Naprawdę go tu nie ma? - I dodała z lekką desperacją: - To niemożliwe. Gdzieś musi być. Możesz wstać...?

Pochyliła się, żeby sprawdzić pod krzesłem.

- Tu nie ma - powiedziała, wycofując się.

- Być może spadł na podłogę.

Uklękała, zanim zdała sobie sprawę, że on zrobił to samo. Gdy podniosła wzrok, patrzyli sobie w oczy.

Powinna się uśmiechnąć i szukać dalej. Ale była skrępowana. Z bliska jego jasnobrażowe oczy wręcz buchały ogniem, cofnęła się więc instynktownie i uderzyła o krawędź biurka. Z jękiem bólu opadła znów na kolana.

Gdy się ocknęła, siedziała na krześle. Harry Talbot klęczał przed nią, wpatrzony w jej oczy.

- Jacqui?

- Nic mi nie jest - powiedziała, usiłując wstać. - Wszystko w porządku.

Przytrzymał ją na krześle.

- Nie ruszaj się. Nieźle się walnęłaś.

- Wcale nie... - Ale czuła, że głowa jej pęka, a nogi miała jak z waty. - Zaraz przejdzie.

- Spójrz na mnie. - Och, od tego właśnie zaczęły się kłopoty. ... - Ile palców pokazuję?

Zadowolony, że nie widzi podwójnie, wstał i delikatnie

rozdzielił jej włosy nad czołem, by dokładnie przyjrzeć się stłuczeniu.

- Czy... czy jesteś doktorem? - spytała zadziwiająco łagodnym głosem.

- Tak. Przewiduję ból głowy i guz wielkości jaja.

- Naprawdę jesteś lekarzem?

- Nie praktykuję od pewnego czasu, ale potrafię poradzić sobie z niewielkim guzem.

- Niewielkim!

- Widzę, że wracasz do siebie. Przyniosę lód.

- Nie trzeba.

- Cóż to, podważasz moją diagnozę? Czyżbyś też była lekarzem?

- Po co ten sarkazm? Poza tym czytałeś moje CV i wiesz, kim jestem.

- Co nieco wiem, chociaż nadal chciałbym się dowiedzieć, dlaczego przerwałaś studia pielęgniarские. - Gdy zaczerpnęła oddechu, by odpowiedzieć, podniósł groźnie palec do góry. - Cicho. Siedź spokojnie, nie ruszaj się. Zaraz wracam.

- Zamierzałam tylko powiedzieć, żebyś zajmował się swoimi sprawami - burknęła buntowniczo, ale Harry opuścił już pokój.

Po chwili wrócił z pokruszonym lodem owiniętym w ścierkę i położył go delikatnie na jej czole.

- Susan przyniesie ci herbatę. No i jak?

- Zimno. - A ponieważ to zabrzmiało niewdzięcznie, dodała: - Cudownie zimno. - Nie kłamała, bo okład z lodu był rewelacyjny. Na samą myśl o herbacie robiło jej się nie-dobrze. Ale mu tego nie powiedziała. Doktor Harry Talbot mógłby zdiagnozować wstrząs mózgu i zanim by się obej-

rzała, wylądowałyby w szpitalu. - Dziękuję - powiedziała, wyciągając rękę, by przytrzymać łód, i jej palce dotknęły jego palców. - Co robi Maisie? - spytała, żeby zamaskować konsternację.

- Zajmuje się sobą. Jak to Maisie.

Zrozumiała, co miał na myśli, ale nie podjęła tematu. Mając poczucie winy, powiedziała:

- Do cholery! Co ja zrobiłam z tym telefonem? Jestem pewna, że włożyłam go do kieszeni.

- Może gdzieś wypadł. Znajdziesz go, jak zadzwoni.

- Ale ja potrzebuję go teraz! - Zarumieniła się. Zachowała się jak rozkapryszony bachor. - Przepraszam. Po prostu chciałam wiedzieć, co się dzieje. Nie mogę Maisie wystawić do wiatru.

- Przecież powiedziałaś, że ona chce tu zostać. Myślę, że jest szczęśliwa w Samotnym Szczycie.

- Nie w tym rzecz... - Zadumała się na chwilę. - Ale masz rację. Ona jest tu szczęśliwa.

- Tylko że ty chcesz zrealizować swoje życiowe plany.

- Tego nie powiedziałam. - Zerknęła na niego. - Powiedziałam tak?

- Nie. - Chciał coś dodać, ale zrezygnował i zmienił temat. - Znalazłaś dla niej jakiś odpowiedni strój?

- I tak, i nie.

- Cudowna precyzja wypowiedzi. - Pochylił się, by sprawdzić, czy w jej oczach nie ma łez.

- Znalazłam dla niej jakieś rzeczy, ale Maisie nie lubi ubierać się w bluzy i dzinsy.

- Nie może spędzić całego życia w balowych kreacjach. Musi mieć jakieś zwykłe ubrania.

- Twoja wiara przynosi ci chlubę. Na szczęście znała-

złam to. - Poszperała w kieszeniach spódnicy i wyjęła fotografię. - To jej matka ubrana w te same rzeczy.

Patrzył na zdjęcie przez chwilę, potem zwrócił je bez komentarza.

- Czy to poskutkowało?

- A ty bez szemrania zamieniłbyś różową falbaniastą tafetę na dżinsy ogrodniczki?

- Na szczęście nigdy nie stanąłem przed tak trudnym wyborem.

Czy był to uśmiech? Czy raczej tylko jego odległa zapowiedź?

- W chwili olśnienia zaproponowałam, że zrobię jej takie samo zdjęcie. To ją przekonało.

- Na czym polega problem? Potrzebujesz aparatu? Gdzieś tu jest.

- Dziękuję, mam aparat. Jestem na wakacjach.

- Szczeniaków też nie brakuje w tym domu.

- Wiem, ale chodzi o to, że na tej fotografii jesteś również ty. Maisie chce, żeby to powtórzyć. - By nie odmówił z miejsca, dodała: - Ale nie ma pośpiechu. Rzeczy są w praniu i ze zdjęciem musimy trochę poczekać. A teraz pójde poszukać telefonu.

- Jacqui...

Zrobiła wysiłek, żeby wstać, ale kolana nadal się pod nią ugiwały. Wypowiedział jej imię tak czule, miękko, jakby do siebie, jakby po prostu chciał je usłyszeć.

- Przepraszam.

- Za co? - Tak naprawdę miał za co przepraszać. I to bardzo. - To nie twoja wina, że uderzyłam się w głowę.

- Chodzi mi o twoje wakacje.

Och, to...

- Nigdy już o nich nie wspomnę, jeśli zgodzisz się na fotografię z Maisie.

- Jak tylko zadbasz o słońce. - Słaby uśmiech błąkał się na jego wargach. Harry wcale nie był zły z powodu jej bezczelnej prośby popartej małym szantażem.

Zapewne lepiej znał się na pogodzie panującej w Samotnym Szczycie

Nieważne. Obiecał, a słońce w końcu wyjdzie zza chmur... Na tej starej fotografii pięknie świeciło słońce, nieprawdaż? Zamiast więc odpowiedzieć opryskliwie, uśmiechnęła się promiennie.

- Dziękuję, Harry. A teraz, gdy już doszliśmy do porozumienia, czy mam szansę na aspirynę?

- Tylko wtedy, jeśli położysz się na godzinę i pozwolisz jej zadziałać.

- Wysyłasz mnie do łóżka? - Czuła się tak paskudnie, że musiałby ją zanieść do sypialni, a to na pewno nie poprawiłoby jej stanu. - A co z Maisie? - spytała skonsternowana własnym myślami.

- Susan się nią zajmuje.

- Ona ma inne obowiązki. Kury, sprzątanie...

- Nie martw się.

Liczyła, że Harry zmieni swoje nastawienie i sam zajmie się Maisie, ale za bardzo bolała ją głowa, żeby się tym martwić.

- Zgoda. Ale musisz jeszcze poprosić psy, aby podzieliły się ze mną kanapą.

- Powiniennem jednak wezwać pogotowie, żeby prześwietlono ci głowę. Nie jesteś przy zdrowych zmysłach. Przepędzić psy z kanapy? Po prostu niewykonalne. - I dodał ze współczuciem: - Chodź. Położysz się w bibliotece.

- W bibliotece? Pozwolisz, bym się rozgościła w ekskluzywnej części domu? Po tych wszystkich wydarzeniach dzisiejszego poranka?

Zamrugła. Czy naprawdę to powiedziała? Uderzenie w głowę musiało być mocniejsze, niż myślała.

Zacisnęła szczęki. Etyka lekarska zabraniała wrzeszczeć na pacjenta.

- Myślę, że termin „ekskluzywny” to lekka przesada, ale przynajmniej nie zostaniesz pokryta psimi włosami.

Żadna sensowna odpowiedź nie przyszła jej do głowy, więc milczała.

- Możesz chodzić? - Pomógł jej wstać.

- Oczywiście. - Przytrzymała zimny okład na czołe, a pokój wirował jej przed oczami. - Nie jestem inwalidką.

- Nie, tylko walnęłaś się w rozum. Czy kiedykolwiek zamkasz buzię?

- Oczywiście, ja... - Urwała. - To było podstępne pytanie.

Nie odpowiedział. Może chciał pokazać, że przynajmniej jedno z nich potrafi zapanować nad językiem? Nie, zrobił to dlatego, żeby nie wybuchnąć śmiechem! Mogła się założyć, że tak było.

Przeszli przez hol wyłożony boazerią, minęli drzwi prowadzące do sypialni Harry’ego i wreszcie weszli do przytulnej biblioteki. Musiało z niej korzystać wiele pokoleń Talbotów. Półki na ścianach pełne książek, aksamitne zasłony, niegdyś zielone, dziś już nieco zszarzałe, a bogato zdobiony perski dywan wytarty niemalże do osnowy. Obszerna sofa stała przed okazałym kominkiem, w którym leżały grube polana.

Harry podszedł do kominka i kucnął, żeby rozniecić ogień, chociaż w pokoju nie było zimno. Przysiadła na brzegu sofy, obserwując jego zręczne ruchy. Widziała jego plecy... i zapomniała o własnym bólu. Musiał niewyobrażalnie cierpieć... Zamknęła oczy.

- Jacqui? Dobrze się czujesz?
- Tak. - Z wysiłkiem otworzyła oczy.
- Wyglądasz blado. Słabo ci?

Czuła się słabo, ale wbrew pozorom nie był to rezultat uderzenia w głowę.

- Wszystko w porządku. Naprawdę.

Przyglądał jej się przez chwilę z troską. Kiedy ogień rozpałił się na dobre, postawił żelazny parawan i odwrócił się do sofy.

- Mogę to wziąć?

Spojrzała na zawiniątko z lodem, który zaczynał rozpuszczać się na jej kolanach.

- Nie jest już mi potrzebne... Powinnam...
- Co powinnaś?

Szukać telefonu. Złapać Vickie i dowiedzieć się, co się dzieje. Ale przecież, jak zauważył Harry, Maisie była tu szczęśliwa. Na tym powinno jej zależeć.

Czy nie mogła położyć tak, jak jej kazano, i zostawić sprawy ich własnemu biegowi?

- Nic - powiedziała.
- Dobra odpowiedź.

Zmarszczka w kąciu jego ust pogłębiła się. Czyżby naprawdę uśmiech? Raczej wymuszony grymas. Ale i tak przyprawiał o bicie serca.

- Jedyne, co masz zrobić, to leżeć brzuchem do góry. Idę po aspirynę.

Uprzedzając wszelki sprzeciw, uniósł jej stopy, zdjął buty i ułożył nogi na sofie.

Jego dotyk jest taki delikatny i miękki, pomyślała i przy-
mknęła oczy.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kiedy Harry wrócił parę minut później z aspiryną i kocem, Jacqui spała. Przyglądał jej się przez moment. Bładość ustąpiła z jej twarzy, wrócił równomierny oddech, ale nadal miała podkrążone oczy, a to nie było wynikiem uderzenia w głowę.

Zauważył ciemne obwódki już poprzedniej nocy pod makijażem, którym usiłowała je pokryć. Jacqui Moore nie spała dobrze. Doskonale to znał.

Bez wątpienia z powodu jakiegoś mężczyzny. Czy dlatego sama wybierała się na wakacje?

Pozostawił tabletki na stoliku obok kanapy i, starając się jej nie obudzić, przykrył ją kocem.

- Jak ona się czuje?

Odwrócił się, gdy Susan weszła z herbatą.

- Zasnęła. Najlepsze, co mogła zrobić.

- Nie powinna być sama. Kiedy mój siostrzeniec spadł z drzewa...

- Dziękuję, Susan. Przypilnuję jej. Zostaw tacę.

- W porządku. Będę na górze w sypialniach, gdyby mnie potrzebowano.

- Zabierz z sobą Maisie. Nie chcę, by przeszkadzała Jacqui.

Susan chrząknęła znacząco. Domyślała się, o co chodzi. Harry Talbot nie chciał, by Maisie jemu przeszkadzała.

- Powinna być w szkole, bawić się z rówieśnikami - oświadczyła.

- Zostaw to kazanie dla Sally.

- Na pewno jej powiem. Zresztą jestem pewna, że panna Jackson, dyrektorka szkoły, chętnie by ją przyjęła jeszcze w tym semestrze.

- Bez wątpienia, ale ona tu nie zostanie. - Zaakcentował ostatnie słowa.

- Skoro pan tak mówi. - Postawiła tacę. - Cóż, nie mogę stać tutaj i plotkować. Jeśli będę potrzebna, wie pan, gdzie mnie szukać.

- Niech się pani rozejrzy za komórką Jacqui. Nie ma jej w gabinecie, musiała więc ją posiać na górze.

- Poszukam.

Gdy odwróciła się, by opuścić bibliotekę, obydwójce zobaczyli Maisie, ukrytą za uchylonymi drzwiami. Obawiała się zaryzykować i podejść bliżej.

- Czy ona nie żyje? - szepnęła. - Zabiłam ją?

- Ty? - zdumiała się Susan. - Co też ci przyszło do głowy?

Harry pomaszerował do drzwi, wyprowadzając dziewczynkę i gosposię na zewnątrz.

- Uderzyła się w głowę o biurko - wyjaśnił. - To nie ma z tobą nic wspólnego - zakończył dyskusję.

- Ale ona szukała...

- Nic jej nie będzie. Potrzebuje trochę spokoju i ciszy. Idź teraz z Susan, proszę.

- Wolałabym iść do szkoły.

Dzięki ci, Susan, pomyślał zgryźliwie.

- Czy mogę? Do wioski? Teraz, proszę!

Była nadzwyczajnie szczebiotliwa. Mógłby przysiąc, że naprawdę się niecierpliwiła.

- Nie sądzę... Choć dlaczego nie - dodał złośliwie - oczywiście jeśli twoja matka spakowała ci coś sensownego do ubrania.

- Nie mów tak! To nie jej wina. Sama się spakowałam. Chciałam być ładna... żebyś mnie polubił!

Nagle, jakby wystraszona własnymi słowami, odwróciła się na pięcie i uciekła.

Susan popatrzyła na niego.

- Proszę pana, pewnie nie powinnam się wtrącać, ale to dziecko potrzebuje trochę stabilizacji, trochę ładu w życiu.

- Masz rację, Susan. Nie powinnaś się wtrącać.

Prychnęła, nie pozostawiając wątpliwości, co sobie o nim myśli, i poszła za Maisie.

Ogar skorzystał z okazji, wślizgnął się do biblioteki i wyciągnął jak długi przed kominkiem.

Harry dorzucił polano do ognia i obrócił się, by sprawdzić, czy Jacqui się nie obudziła. Przewróciła się na bok, policzek przytulała do dłoni, a kosmyk jedwabistych włosów opadał na czoło.

Delikatnie go odsunął z jej twarzy. Wtedy zauważył srebrną bransoletkę na jej nadgarstku. Dokładnie się jej przyjrzał.

Widział tę bransoletkę, jak przesuwiała się na jej ręce, kiedy trzymała kompres z lodem. Ale dopiero teraz dojrzał pojedynczy breloczek - srebrne serduszek. Coś na nim wygrawerowano cienkimi literkami... Nie powinien być wścibski, ale kiedy nieco się odsunął, kąś padania światła uległ zmianie i słowa same rzuciły się w oczy. „Zapomnij i uśmiechnij się”.

Skąd znał ten cytat? Znalazł na półce słownik i po chwili odnalazł tę frazę.

I serce mu drgnęło. Poczuł... coś.

Odrzucił wszelkie emocje na tak długo, że nie potrafił określić, co to było. Tylko tyle, że zabolało. Jeśli nie zdołałby natychmiast się opanować, ból stałby się nie do zniesienia.

Od razu rozpoznał niebezpieczeństwo. Stało się to w chwili, kiedy Jacqui postawiła stopę na progu tego domu i nie pozwoliła się wyrzucić. Próbował, ale w przeciwieństwie do większości ludzi, nie reagowała na jego gburowatość. Właściwie... traktowała go z wyrozumiałością.

Śmieszne, oczywiście. Nie znała go. Nic o nim nie wiedziała.

Jednak znalazła drogę do jego domu, do jego życia i obawiał się, że nie spocznie, póki nie otworzy pancernej zbroi, którą założył, by odgrodzić się od świata.

Od dawna potrafił trzymać ten świat na dystans. Ale nadal nie mógł znieść tego świata, który był w jego sercu, duszy i pamięci.

Wziął książkę z półki i rozsiadł się na fotelu. Czytał i patrzył. Patrzył...

Jacqui poruszyła się. Skrzywiła się, gdy czołem dotknęła oparcia kanapy. Przypomniała sobie. I zaryzykowała, otwierając oczy.

Płonące polana rozświetlały przestrzeń przed kominem. Ogar, który z pewnością nie powinien przebywać w bibliotece, leżał rozkosznie wyciągnięty i smacznie drzemał. Pomacała się delikatnie po głowie. Zabolało, ale guz, mimo pesymistycznych prognoz, wydawał się niewielki. Uznała, że przeżyje. Podniosła się ostrożnie, starając się nie robić zbyt gwałtownych ruchów. Wte-

dy dopiero zauważyła, że nie tylko pies dotrzymywał jej towarzystwa.

Harry Talbot siedział w fotelu z wysokim oparciem po jednej stronie kominka i spał. Na podłodze obok fotela leżała otwarta książka.

Większości ludziom we śnie rysy łagodniały, ale ostre rysy Harryego nie miały w sobie ani trochę łagodności. I właśnie teraz, gdy siebie nie kontrolował, mówiły o nim całą prawdę.

Jacqui doznała olśnienia. Harry Talbot nie walczył ani z nią, ani z Maisie. On walczył z całym światem.

Nie chciała go obudzić. Podwinęła nogi, poprawiła poduszkę i wtuliła się w oparcie sofy.

Gdy pies podniósł łeb z nadzieją, przyłożyła palce do ust i wyszeptowała „leżeć”.

Inteligentny ogar zrozumiał w lot, że gdyby się poruszył, mógłby utracić ciepłe miejsce przed kominkiem. Opuścił łeb na łapy, spojrzał na Harryego i westchnął.

Kolejna dusza w tym domu, pomyślała, która oczekuje dobrego słowa i czułego dotyku od kogoś, kogo podziwia i kocha.

Ta myśl ją zaskoczyła. Dlaczego Maisie miałaby tęsknić za uczuciem Harryego? Czyżby naprawdę nie akceptował tej adopcji? Czy było w niej coś podejrzanego? Zasugerował, że coś wiedział...

Jednak dziwny, nieco agresywny sposób, w jaki Maisie się o nim wyrażała i zachowywała w jego obecności, świadczył o niewypowiedzianej wprost potrzebie, by być zauważoną, zaakceptowaną i kochaną.

- Grosik za twoje myśli.

Podskoczyła. Głos Harryego wyrwał ją z głębokiej zadumy.

- Przepraszam, Jacqui. Nie chciałem cię przestraszyć. Jak twoja głowa?

- W porządku. Trochę jeszcze boli, ale - uśmiechnęła się - nie jest źle. Ty też potrzebowałeś snu.

- Tylko przymknąłem oczy. - Wyraźnie bagatelizując troskę zawartą w jej słowach, wstał i odłożył książkę na półkę.

We śnie maska z jego twarzy opadła, teraz jednak wróciła na swoje miejsce. Ale Jacqui nie można już było oszukać. Harry mógł zachowywać się niegrzecznie, odzywać gburowato, ale ona już wiedziała. Co z tym zrobi, to inna sprawa.

- Napiłabym się herbaty - powiedziała, ostrożnie wstając z sofy. - Czy tobie też zrobić? - Zauważyła tacę z herbatą dla dwóch osób. Wyciągnęła rękę i dotknęła czajniczka. Był zimny jak lód. - Jak długo spałam?

Zerknął na zegarek.

- Ponad dwie godziny. Powiesz mi, jeśli robi ci się niedobrze?

- Myślisz, że zasnęłam, ponieważ doznałam wstrząsu mózgu? Nic tak ekscytującego, zapewniam cię. Byłam po prostu zmęczona. Ostatniej nocy źle spałam, choć łóżko było wygodne. Po prostu niepokoiłam się o Maisie. Czy jest już połączenie?

- Nie wiem, ale sprawdź.

Wskazał stolik przy oknie, gdzie obok laptopa stał telefon.

Podniosła słuchawkę. Znowu nie usłyszała sygnału, ale pies, widząc ruch, podszedł i zaczął węszyć pod biurkiem. Nagle uderzył nosem w coś przy listwie podłogowej. Zerknęła w dół. Ogar trzymał w pysku wtyczkę telefoniczną. Nie była więc włączona do kontaktu.

Zanim zdążyła podzielić się tym odkryciem z Harrym, spojrzała przez okno. Susan i Maisie, ubrana w swoją oryginalną sukienkę z falbanami i kalosze, karmiły marchewką osiołki za kamiennym ogrodzeniem. Wtedy doznała olśnienia. Zrozumiała, co się stało.

Maisie! To była jej sprawka. Po cichu obeszła dom i wyłączyła telefony... Schowała jej komórkę! A wszystko po to, by zyskać na czasie.

Czy aż tak bardzo chciała tu zostać?

- No i co? - spytał Harry.

Podskoczyła nerwowo, a potem zakręciła się na pięcie, by zasłonić to, co zrobiła Maisie.

Na chwilę pokój zawirował jej przed oczami. Wyciągnęła rękę, by nie upaść.

Harry złapał ją za ramiona.

- Jacqui, co się dzieje?

Gdy na niego spojrzała, na jego twarzy malowała się prawdziwa troska i niepokój. Choć nadal miała zamęt w głowie, odzyskała równowagę.

- Kręci ci się w głowie?

Nie... Tak... Nie tak, jak myślał...

- W porządku. Telefon...

Była naprawdę zła na Maisie, ale instykt opiekuńczy wziął górę i postanowiła ją chronić. Tak długo, jak się da. Powiedzenie prawdy tylko pogorszyłoby relacje pomiędzy nim a dziewczynką. Postanowiła, że poczeka, aż Harry odejdzie, po prostu włączy aparat i będzie po sprawie.

- Telefon nadal milczy? - dopytywał się.

- Tak. - Podniosła słuchawkę. - Brak sygnału.

Przypomniała sobie, że na lekcjach religii takie zachowanie nazywano „kłamstwem przez przemilczenie”. Jej

głos przybierał wówczas piskliwy ton, który matka od razu rozpoznawała. Dziś jej podniesiony o kilka oktaw głos wynikał również z faktu, że Harry stał blisko niej i trzymał rękę na jej ramieniu.

Wziął od niej słuchawkę i odłożył ją na widełki.

- Lepiej obejrzę twoją głowę.

Nie czekając na zgodę, rozdzielił jej włosy z wyjątkową, jak na takiego olbrzyma, delikatnością.

- Czy mogę wiedzieć... - Odchyliła się nieco do tyłu, choć bliski kontakt z Harrym był bardzo przyjemny. - Kiedy powiedziałaś, że jesteś doktorem, miałaś na myśli doktora medycyny?

W końcu doczekała się uśmiechu, na jaki od dawna liczyła. Prawdziwego, szczerego uśmiechu. Zmarszczki pod oczami, jakże urocze u mężczyzny, i te wokół ust, były tak niewyobrażalnie seksowne...

- Dobre pytanie, Jacqui. Świadczy, że twój umysł jest nadal w dobrej kondycji.

- Cieszę się, że to słyszę. Czy masz na nie równie dobrą odpowiedź? A może unikasz jej, ponieważ jesteś na przykład doktorem filozofii? Albo specjalistą od pisma klinicznego? A może badasz życie erotyczne ropuch?

- Uspokój się, Jacqui. Jesteś bezpieczna w moich rękach.

Ale wcale nie czuła się bezpieczna. Być może badał ją fachowo, zgodnie z lekarską sztuką, ale jego delikatne palce wywoływały niebezpieczne dreszcze. A może były to skutki uderzenia w głowę? Ten zamęt, ten brak rozsądku... Wyobrażała sobie przecież, że Harry jest olbrzymem, który mieszka na szczycie góry...

- Medycyna to nasza rodzinna profesja. Mój pradziadek był miejscowym lekarzem.

- Naprawdę? Wioska jest mała, więc pewnie brakowało mu pacjentów.

- Wtedy jeszcze nie było maszyn, ludzie sami uprawiali ziemię, więc było ich tu całkiem sporo. Gabinet został zamknięty, gdy mój kuzyn wyjechał do Bristolu, gdzie otworzył praktykę.

- Dobrze dla niego, gorzej dla miejscowych. Gdzie się leczą?

- Muszą jeździć do miasta.

- Jak daleko?

- Piętnaście kilometrów. Zresztą tak jest prawie wszędzie, na wsiach właściwie nie ma już lekarzy.

- To dosyć uciążliwie, zwłaszcza dla starych ludzi albo gdy ma się chore dziecko.

- Niechby spróbowali żyć tam, gdzie trzeba iść tydzień do... - Urwał.

Gdy zniknął na miesiące i lata... czyżby pracował w Afryce? To było jej pierwsze skojarzenie.

Ale nie naciskała. Przemysli tę informację później.

- Mówiłeś o swoim pradziadku. A czym zajmował się twój dziadek?

- Słucham...? - Zamknął oczy, a na jego twarzy pojawiło się takie zagubienie, że na chwilę się przelekkła.

- Powiedziałeś, że to rodzinna profesja - przypomniała, bojąc się, że Harry zaraz pośle ją diabła.

- Jest kardiologiem, nadal pracuje. Mój ojciec jest onkologiem, a matka pediatrą. Czy chcesz jeszcze coś wiedzieć?

Sprawił wrażenie zaskoczonego, że powiedział aż tak wiele, jakby był nieprzyzwyczajony do mówienia o sobie i swojej rodzinie i nie bardzo wiedział, dlaczego teraz to zrobił.

Jacqui zastanawiała się, gdzie ci wszyscy wykształceni i na pewno bardzo inteligentni ludzie byli, gdy ich tak bardzo potrzebował.

- Są bardzo zajęci - wyjaśnił, jakby czytając jej myśli.

Podobnie jak Selina Talbot, przedkładali karierę nad życie rodzinne. Cóż, przypadłość dziedziczna.

- A ty?

- Sprawdzę twój wzrok. - Ujął jej podbródek, zanim zdołała zaprotestować. Musiała trzymać głowę bez ruchu, a on przesuwiał palcem w jej polu widzenia. Wodziała za nim oczami. Po chwili, nadal trzymając jej twarz w dłoni, odpowiedział: - Jestem lekarzem, który się cieszy, że nie zrobiłaś sobie poważnej krzywdy, i który ci radzi, abyś w przyszłości, gdy będziesz czołgać się pod meblami, bardziej uważała.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Harry.

- Wiem.

Czuła chłodny dotyk jego dłoni na swojej szyi, delikatne palce na policzku. Zalała ją potężna fala pożądania. To zaszokowało ją bardziej niż niedawny uraz głowy. Pragnęła jego dotyku. Ciepła jego ramion, tak silnych, że zdołałyby objąć cały świat...

A najbardziej zdumiewające, że z jego strony wyczuwała równie potężną reakcję.

Mogli tak stać całe wieki w tym magicznym zauroczeniu, gdzieś na szczycie czarodziejskiej, spowitej mgłą góry...

- A więc...? - Otrząsnęła się z czaru. Bajki były dobre dla dzieci.

Puścił ją.

- Nie znam odpowiedzi na twoje pytanie, Jacqui. Już teraz nie wiem, kim jestem.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, cofnął się, stwarzając między nimi dystans.

Teraz, gdy z takim trudem się przed nią otworzył, podejrzewała, że czując się całkiem obnażony i bezbronny, z powrotem wycofa się do swojej skorupy.

Oderwał od niej wzrok i zapatrzył się w bezpieczną dał, widoczną za oknem.

Chłód, który teraz poczuła, świadczył, jak blisko byli przed chwilą.

- Mgła się przejaśnia. Być może przed wyjazdem zobaczysz jeszcze słońce.

- Aparat mam w pogotowiu. - Czując uścisk w sercu, odwróciła się, aby podążyć za jego wzrokiem.

Maisie i Susan wracały do domu. Mgła rzeczywiście ustępowała, można było dojrzeć przebłyski niebieskiego nieba.

- Pójdę i pomogę Susan. - A także zapytam Maisie o telefon, dodała w duchu. Vickie i Selina na pewno wrywają sobie włosy z głowy.

Sama również nie zachowała się odpowiedzialnie.

Powinna powiedzieć Harryemu, ale tylko by się zezłościł na dziecko. Kilka minut nie robi różnicy. Gdy pójdzie naprawiać bojler, włączy telefon i wszystko wróci do normy.

Przeszła przez pokój, po drodze chwyciła tacę, a Harry szybko podszedł, aby otworzyć jej drzwi.

- Pora na lunch. - Chciała zaproponować, by do nich dołączył, ale zrezygnowała. Bardzo pragnęła zbliżyć do siebie Maisie i Harryego, jednak zbyt ostentacja nie była wskazana. - Przygotować ci coś?

- Nie powinnaś się męczyć.

- Cały ranek przespałam przed kominkiem, podczas gdy Susan pracowała za nas obie. - Nie! To nie była praca. Nie otrzymywała za nią zapłaty. Robiła to, ponieważ nie miała wyboru. - Jeśli to cię uspokoi, zrobię tylko tosty albo kanapki. Co wolisz?

Gdy spojrział na nią spod zmrużonych powiek, wiedziała, że postąpiła mądrze, nie upierając się, by do nich dołączyć.

- Jeśli robisz kanapki, mogę zjeść jedną. - Wzruszył ramionami. - Najchętniej tutaj.

Pozostawił ją w drzwiach, a sam podszedł do biurka i ostentacyjnie otworzył laptop. Następnie, jakby chcąc zademonstrować, że nie zamierza ruszyć się stąd przez resztę dnia, rozsiadł się wygodnie.

W jednej chwili zniweczył wszystkie jej plany.

Harry skupił uwagę na laptopie, nie patrząc już na Jacqui, która powoli opuściła pokój.

Ale miękkość jej skóry czuł nadal na swoich palcach, a jej słodki zapach wypełniał jego ciało jak powietrze w ciepły, wiosenny dzień.

Lekarz nie powinien mieć takich myśli. Ale przecież co najmniej od pół roku, gdy przywieziono go do tego domu w stanie kompletnego załamania nerwowego, nie myślał już o sobie jako o lekarzu.

Ledwie wierzył własnym uszom, gdy przyznał się Jacqui do swego zawodu. Czyżby chciał, aby dobrze o nim myślała?

Do licha, co go obchodziła jej opinia!

Powinna wyjechać stąd, gdy tylko jej samochód zostanie naprawiony.

Skrzywił się. W obecnych okolicznościach nie mógł na to nalegać, nawet jeśli naprawią tłumik i linię telefoniczną, a Sally zorganizuje opiekę dla Maisie.

Przesunął dłonią po twarzy. Miał kilkudniowy zarost. Nic dziwnego, że gdy otworzył drzwi, Jacqui spojrzała na niego, jakby zobaczyła potwora.

Gwałtownie zamknął laptop.

I co z tego?

To było lepsze od współczucia, które pojawiało się w jej oczach później. Nie chciał jej współczucia. Chciał...

Przyjazd mechanika wyrwał go z zadumy. Ale gdy odsunął krzesło, zadowolony, że uciekł przed własnymi myślami, dostrzegł leżącą na podłodze obok biurka bransoletkę Jacqui.

Gdy pochylił się, aby ją podnieść, zobaczył wtyczkę telefoniczną leżącą obok kontaktu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Harry usłyszał śmiech, który urwał się gwałtownie, gdy wszedł do kuchni.

- Susan, jedno słówko - powiedział tonem ostrzejszym, niż zamierzał.

- Już kończę. Powinam wyjść pół godziny temu.

- To nie zajmie minuty. Chciałem cię tylko prosić, byś bardziej uważała, kiedy odkurzasz.

- Sprzątam psią sierść najlepiej, jak potrafię - obruszyła się gospoś. - Psy nie powinny wchodzić do biblioteki ani do salonu. Oczywiście gdybym miała nowoczesny odkurzacz. ...

- Nie mówię o sierści!

Na Harryego spojrzały trzy pary oczu; jedno zwężone z dezaprobatą, drugie - ciemne i bardzo okrągłe, i trzecie - obramowane lekko uniesionymi brwiami. Zignorował to, koncentrując się na Susan.

- Wiem, że to ciężka praca sprzątać po zwierzakach, ale nie o to chodzi. - Miał wrażenie, że gospoś, mała dziewczynka i jej opiekunka wstrzymały oddechy. - Otóż wygląda na to, że podczas odkurzania wyciągnęłaś wtyczkę od telefonu z gniazdka w bibliotece. Dlatego rano nie mieliśmy połączenia.

- Ja nie... - Susan zmarszczyła brwi.

Kącikiem oka dostrzegł jakiś ruch, ale kiedy się odwrócił, żeby popatrzeć na Jacqui, zakładała właśnie włosy za ucho.

W jej oczach malowało się pytanie. Nie chciał na nie odpowiadać. Znów spojrzął na gosposię.

- Przepraszam pana - powiedziała łagodnie. - Na przyszłość będę bardziej uważać.

- Nie! - Maisie zerwała się od stołu, wywracając krzesło. - Nie! Nie możesz winić Susan! Ja to zrobiłam. - Jej słowa zabrzmiały jak protest zbuntowanej nastolatki. - Ja to zrobiłam!

Maisie? Specjalnie? Zerknął na Jacqui i uświadomił sobie, że wiedziała. Z jej oczu wycierała prośba o wyrozumiałość.

- Co zrobiłaś, Maisie?

- Wyłączyłam telefon.

- W bibliotece?

- W bibliotece... w gabinecie. ... i w kuchni.

Podszedł do kuchennego gniazdka, które było ukryte za sofą. Wtyczka leżała na podłodze. Włączył ją z powrotem.

Oczywiście doskonale wiedział, dlaczego to zrobiła. Nie chciała, by rozmawiał z Seliną lub ciotką Kate o jej przyszłości. Chciała tutaj zostać. Ale jeśli pozwoli jej powiedzieć to głośno, już nigdy nie zdoła odprawić jej stąd. Nie będzie potrafił.

- Dziękuję za szczerość. To było bardzo odważne z twojej strony. - Spojrzął na Susan. - Przypomnij mi o tym nowoczesnym odkurzaczu, rozejrzę się za nim. - Zwrócił się do Jacqui: - Jesteś zbyt wyrozumiała dla Maisie. - Rozległo się kołatanie do drzwi od strony podwórza. - To mechanik w sprawie twojego samochodu. Czy obiecujesz, że

zadzwońisz do agencji, kiedy będę z nim rozmawiał? - Nie ukrywał, że jest zły na Jacqui. W końcu ona była dorosła. - Muszą bardzo się martwić, nie mając od ciebie żadnych wiadomości. Czy opowieść o zagubionej komórce również jest fikcją?

Nie czekał na odpowiedź. Wcale go nie interesowało, co miała do powiedzenia.

Pomyśleć, że patrzyła na niego tymi szarymi oczami, przytrzymując słuchawkę, żeby mógł posłuchać ciszy, a przecież wiedziała, co zrobiła Maisie!

- Dzień dobry, doktorze Talbot. Samochód już na lawecie - powiedział mechanik.

- Musisz go zabrać do warsztatu, Mike?

- Lepiej go dokładnie obejrzeć. Nie ma nic gorszego, niż robota wykonana w połowie.

- Zgadza się.

- Czy mam go przetrzymać u siebie aż do wyjazdu pańskiego gościa? Ta pani mogłaby rozwalić to cacko, zjeżdżając do wioski.

Harry nie mówił nic o gościu ani o tym, że to kobieta. No cóż, Jacqui musiała pytać o drogę w sklepiku, a to wystarczyło, by wszyscy się dowiedzieli.

- Kiedy będzie gotowy? - spytał niecierpliwie. Kiedy wreszcie zostanie sam?

- Próbowałem zadzwonić wcześniej, ale telefon nie działał. Zgłosiłem uszkodzenie...

- Już działa.

- Problem polega na tym - wyjaśniał Mike - że to stary model i znalezienie części zajmie kilka dni. Zwłoka robi panu różnicę?

- A co to zmieni, jeśli powiem, że tak?

- Mógłbym wypożyczyć samochód.

Harry opierał się pokusie. Nawet jeśli zapewni jej transport, gdzie by się miała udać? A może zasugerować, by zabrała z sobą Maisie do siebie do domu? A jeśli odmówi?

- Jakoś sobie poradzimy. Po prostu napraw go tak szybko, jak możesz. Zapytaj też brata, czy by nie naprawił dziur na drodze dojazdowej. Mam też dla niego inne zajęcia, jak tylko poprawi się pogoda.

- Niech pan nie zwleka. Po Wielkanocy brat zaczyna pracę przy tych nowych domach.

- Jakich domach?

- Pańska ciotka przeforsowała plan budowy osiedla małych, tanich domków przy drodze. To zatrzyma młodych w wiosce i ocali miejscową szkołę. Oznacza też pracę dla nas wszystkich. - Skinął głową w kierunku rezydencji. - Pośle pan do naszej szkoły swoją małą dziewczynkę?

Te mimochodem powiedziane słowa ugodziły go w serce jak nóż.

- Nie, ona tu nie zostaje. Proszę zadzwonić, kiedy wóz będzie gotowy. - Nie czekając na odpowiedź, odwrócił się i odszedł w kierunku zamglonego wzgórza.

Jacqui, odkładając słuchawkę, zobaczyła swój bezcenny samochód załadowany do drogi. Harryego nie było w pobliżu, wysłała więc na dziedziniec, by zorientować się, co się dzieje.

- Dzień dobry. To pani cacko?

Uśmiechnęła się.

- Śliczny, prawda? Gdzie go pan zabiera?

- Do warsztatu. Nazywam się Mike. - Wyciągnął do niej pobrudzoną rękę. - Znajdzie nas pani na dole, za sklepem.

Powiedziałem doktorowi Talbotowi, że kilka dni trzeba poczekać na części. To stary model, rozumie pani. Zaoferowałem doktorowi wypożyczenie samochodu, ale powiedział, żebym sobie tym głowy nie zawracał.

- Naprawdę? - serce Jacqui zabiło gwałtowniej. To oznaczało, że Harry nie zamierza wyrzucić jej za drzwi przy pierwszej lepszej okazji, a tego się spodziewała po spojrzeniu, jakim ją obdarzył, gdy odkrył, że wiedziała o telefonie.

- Jeśli to pani nie pasuje, proszę powiedzieć.

-Ależ nie... jeśli będę chciała zjechać do wioski, na pewno Harry pożyczy mi landrowera. Doskonale rozumiem kłopoty z częściami zamiennymi. Sama je miałam. Naprawdę nie ma pośpiechu.

Z niewiadomego powodu ta odpowiedź go rozśmieszyła.

- Jak pani sobie życzy.

Poczekwała, aż wyjedzie, i zamknęła bramę. Mgła ustępowała, słała się miękko w zagłębieniach wzgórza. Nagle jej oczy uchwyciły ciemną męską postać, która zmierzała szybkim krokiem na szczyt.

Harry miał prawo być wściekły. Powinna była mu powiedzieć o sprawce Maisie. A teraz na dodatek obłudnie zachęciła mechanika, by się nie spieszył z naprawą samochodu.

Jednak to już było bez różnicy, ponieważ Vickie poinformowała ją, że Selina Talbot nadal nie odpowiedziała na wiadomość. Pewnie robiła to celowo. Na pewno wiedziała, że jej matka jest w Nowej Zelandii, i to od pięciu miesięcy. Jediną osobą, której Selina mogła zwalić na głowę swoją córkę, był Harry. Postawiony przed faktem dokonanym, nie miał wyboru.

Kiedy sobie to wszystko poukładała, stało się dla niej jasne, że Vickie Campbell o wszystkim wiedziała.

Najbardziej denerwujące było to, że nikt nie pomyślał o spakowaniu dla Maisie odpowiednich rzeczy na wieś.

- Teraz króliki. Musisz zobaczyć króliki.

Jacqui zwiedzała menażerię. Przywitały się już ze szczeniakami i ich matką, dały Krówce jabłko i wyszczotkowały grzywę, nakarmiły marchewkami osiołki.

Na koniec dotarły do małego wybiegu za stajniami, gdzie znajdowały się zagrody dla królików i drobiu. Kury napawały Jacqui niechęcią o wiele większą niż króliki. Nie lubiła ostrych dziobków, paciorkowatych oczu i sztywnego chodu. Denerwowały ją.

- Spróbuj dać mu marchewkę, Maisie - zachęciła. - Króliki to lubią.

- Woła liście mniszka.

Podskoczyła, usłyszawszy za sobą głos Harryego. Mięka trawa stłumiła jego kroki. Obróciła się i spojrzała mu w twarz. Nie wyglądało na to, by wyczerpujący spacer ostudził jego gniew.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, Jacqui?

Nie chciała, by Maisie stała się świadkiem awantury, zostawiła więc dziewczynkę zaferowaną karmieniem królików i podeszła do kamiennego muru na końcu zagrody. Harry podążył za nią. Czekał na wyjaśnienia.

- Dowiedziałam się o telefonie pięć minut przed tobą. Przepraszam, że ci nie powiedziałam. Kiedy się zorientowałam, że to Maisie, chciałam ją ochronić przed twoim gniewem. Zdaję sobie sprawę, że nie cierpisz jej obecności.

- Myślałaś, że będę na nią krzyczał?

- Tak się spodziewałam. - Zerknęła na niego. - Ale nie krzyczałeś.

- Wbrew pozorom, Jacqui, nie jestem ludojadem.

Wyciągnęła rękę i dotknęła delikatnie jego ramienia, chcąc dać mu do zrozumienia, że postąpiła źle. Nie był ludojadem. Był nieszczęśliwym człowiekiem. Czy to nie klasyczny motyw, występujący w bajkach?

- Myślę, że dusisz wszystko w sobie. Może byłoby lepiej, gdybyś nakrzyczał na Maisie... Jestem pewna, że łatwiej zniosłaby awanturę niż twoją oziębłość.

- Poradzę sobie bez terapeuty amatora.

- Mówię ci tylko, jak to widzę. Może następnym razem, zamiast wędrować we mgle, otworzysz usta i krzykniesz. Naprawdę tak lepiej.

Harry zapatrzył się w przestrzeń.

- Nie mogę oczekiwać, że zrozumiesz, jakie to dla mnie trudne...

- Ona jest jeszcze małą dziewczynką, Harry. To, że jest adoptowana i ma inny kolor skóry niż ty, nie czyni jej gorszą. Maisie tak bardzo pragnie, byś ją zaakceptował... - Zamierzała powiedzieć „pokochał”, ale powstrzymała się, by nie posunąć się za daleko.

Harry zmarszczył brwi.

- Inny kolor skóry?

- Powiedziała mi o tym.

- Co...? Hm, doprawdy... Więc co ci powiedziała?

- Kiedy próbowałam jej wytłumaczyć, dlaczego nie może tu zostać, spytała, czy to dlatego, że jest adoptowana. I że kolor jej skóry...

Spojrzała na Maisie, która właśnie śpiewała królikom piosenkę. Wyglądała na tak szczęśliwą, tak odprężoną.

- Co ona powiedziała, Jacqui?!

To było tak strasznie trudne. Naprawdę nie wiedziała, jakich słów użyć. Zamachała nerwowo rękami.

- No wiesz, ona myśli...

- Rozumiem. Nie kocham jej, odrzucam ją, bo jest adoptowana, a do tego ma inny kolor skóry. Czyli, innymi słowy, nie tylko nie należy do rodziny, ale w ogóle jest obca na angielskiej ziemi. Czy tak?

- Czy to jest dla ciebie problem, Harry?

Przez chwilę nic nie odpowiadał, wpatrując się w kamienny mur.

- Tak, to jest dla mnie problem - odparł, unikając jej wzroku.

Co?!

Nie powiedziała tego głośno, ale wyraz jej twarzy był wystarczająco wymowny.

- Kiedy patrzę na nią, czuję...

- Ani słowa więcej! - Zrobiła krok do tyłu. - To straszne, Harry - powiedziała wolno. - Zrzucam ci okropne rzeczy, a ty mi mówisz, że to wszystko prawda?

- Ja...

- Spójrz, Jacqui! - Maisie z radością w oczach przybiegła do nich, ściskając coś w rękach.

- Co tu masz, kochanie? - Jacqui przykucnęła. Zmusiła się do uśmiechu, do normalnego głosu.

Mała otworzyła dłonie, pokazując maleńkiego kurczaczka.

- Ojej! Narobił na mnie!

- Jeszcze tego nam potrzeba - burknął Harry. - Kurczaki na wolności!

- Gdzie go znalazłaś, Maisie? - Jacqui przerwała

Harryfemu, zanim zdążył powiedzieć coś, co naprawdę sprawiłoby dziewczynce przykrość. Próbując nie myśleć o tym, co przed chwilą usłyszała, sięgnęła po chusteczkę, żeby wytrzeć Maisie rękę.

- Za krzakami! Jest ich mnóstwo! Chodź, zobacz! - I już biegła z powrotem w za dużych o dwa numery kaloszach.

- Zaczekaj! Uważaj, żeby ich nie rozdeptać!

Maisie zamarła z jedną nóżką śmiesznie uniesioną w powietrzu. Była szczęśliwa, naprawdę szczęśliwa. Jacqui pomyślała, że jej serce otwiera się szeroko dla tego dziecka.

- Będziemy potrzebować kartonowego pudełka. - Odwróciła się do Harryego, który ciągle stał przy kamiennym murze. - Zechcesz go przynieść?

- Lepiej, żebyś nie wiedziała, czego naprawdę chcę.

- Zapewne tak, ale nie denerwuj się, to się już nigdy nie powtórzy.

- Czyżbyś wiedziała coś, o czym ja nie wiem?

- Najpierw kurczaki - odparła Jacqui. - Potem złe wiadomości.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jacqui była wdzięczna za przerwę w rozmowie spowodowaną kurczakami, zaraz jednak wstrzymała oddech, gdy Maisie ofiarowała Harry'emu kurczątko.

Dziewczynka wydawała się przy nim taka krucha, a on wyglądał jak prawdziwy olbrzym. Jacqui wiedziała, że mógłby ją łatwo zmiażdżyć niezyczliwym słowem. Ale nie zrobił tego, tylko kucnął i wziął z rąk Maisie kurczaczka.

Mała patrzyła na niego z obawą.

- Na co czekasz? Biegnij i znajdź jeszcze kilka! - polecił.

W zasadzie nie była to pochwała, ale Maisie popędziła, potykając się w za dużych butach, byle tylko przypodobać się Harry'emu.

Wyraz jego twarzy sprawił, że w sercu Jacqui zatliła się nadzieja. Gdy patrzył za małą dziewczynką, która porzuciła wreszcie pozę primadonny i pękała z emocji jak zwykła sześciolatka, na ułamek sekundy prawdziwe uczucia odmalowały się na jego twarzy. Pod maską chłodu i obojętności ukrywał gniew. Ale również rozbawienie. I - przede wszystkim - miłość.

- Ojej, przestań! - Jacqui odtrąciła rozjuszoną kwokę, która w obronie piskłał dziobała ją po kostkach. - Będziemy się opiekować twoimi dziećmi, zgoda?

- Mówiłam ci, żebyś założyła kalosze - powiedziała Maisie mentorskim tonem, jakby upominała dziecko.

Gdy Harry uchwycił wzrok Jacqui, ostrzegła go:

- Tylko nie próbuj się śmiać.

- Nie zamierzam - zapewnił.

Dziesięć minut później, gdy już umieścili ostatniego kurczaka w pudełku, zapytała:

- Gdzie je będziemy trzymać?

- W stajniach.

- Będą potrzebowały jedzenia i wody - ekscytowała się Maisie, zapominając o dystansie i wyuczonym chłodzie.

- Masz rację. Chcesz się tym zająć?

Maisie wyrzuciła ramiona do góry, szczęśliwa, że ma do wykonania ważną robotę dla Harry'ego. Ruszyła pędem przed siebie.

- Dlaczego jesteś taka zadowolona? - Harry przyłapał Jacqui na uśmiešku, którego nie potrafiła ukryć.

- Ja? - spytała niewinnie.

- Przypominasz mi kota z Cheshire.

Z demonstracyjnym uśmiechem odrzekła:

- Mam pogodne usposobienie. Mógłbyś lepiej to wykorzystać - dodała po chwili.

- Czy dajesz mi do zrozumienia, że będziesz tu się jeszcze kręcić przez jakiś czas?

- Tak, to właśnie ta zła wiadomość. Twoja kuzynka nie odpowiedziała na telefon z agencji i dopóki nie wymyślisz czegoś innego, będziesz na nas skazany. - A gdy Harry nawet nie próbował wyrazić swego entuzjazmu dla jej poświęcenia, tylko milczał uparcie, dodała: - Ale niewykluczone, że skontaktuje się z tobą bezpośrednio. Być może właśnie w tej chwili nagrywa się na twoją

sekretarkę. - Wyraz twarzy Harry'ego wciąż pozostawał nieodgadniony. - Albo też, gdy dowie się o całym tym galimatiasie, wsiądzie do pierwszego samolotu i osobiście się tu zjawi.

- Mam nadzieję, że nie zatyka cię ze strachu na samą myśl o tym? - odezwał się w końcu.

- Skądże! Biorę przykład z tych, którzy ją znają i kochają, i oddycham równo i spokojnie.

- Dzielna z ciebie kobieta. Więc zostajesz?

Czyżby ją o to prosił? Naprawdę prosił...?

- Czy możesz zostać? - ponowił pytanie. - Zdałem sobie sprawę, że wszyscy przyjmujemy twoją zgodę za pewnik.

- Nie...

- Nie?

Zebrała się w sobie.

- Nie uznajesz mojej zgody za pewnik. Ten przywilej należy do kogoś innego. Ale tak, oczywiście, że zostanę, jak długo będę potrzebna. - Nagle zauważyła, że znów się uśmiecha.

- Dziękuję. Wykupię ci jakiś wspaniały wakacyjny wyjazd, jak tylko wszystko wróci do normy.

Wzruszyła ramionami.

- Maisie powiedziała, że tu jest dobre miejsce na wakacje, a ja, mimo kurczaków i pogody, rozumiem ją. Poza tym słońce szkodzi skórze.

- Nie zawsze jest taka pogoda. - Otworzył furtkę.

Stanąła w przejściu.

- Czy możemy ustalić kilka spraw, skoro już tu jesteś?
- zapytała.

- A czy coś cię przed tym powstrzyma?

Puściła tę niezbyt grzeczną uwagę mimo uszu. Nawet uśmiechnęła się, jakby powiedział coś zabawnego.

- Skoro będę tu przez jakiś czas, chciałabym, żebyś mnie w porę informował, że nie będziesz na lunchu.

- Sądziłem, że jesteś nianią Maisie, nie moją.

- Czyżby? - Nie była niczyją nianią, ale nie zamierzała mówić o tym Harryemu. - Poza tym potrzebuję listy najbliższych krewnych, najważniejszych telefonów, kluczy do domu i do samochodu...

- Coś jeszcze?

- Tak. Nie było cię na lunchu. Znajdziesz trochę kanapek w lodówce.

Odwróciła się i odeszła.

- Jacqui! - Zatrzymała się, czekając na wybuch. Kiedy nie następował, obejrzała się. - Jak twoja głowa?

- Dobra robota, doktorku - stwierdziła z uśmiechem. - Polecę cię wszystkim znajomym.

Trochę jej było głupio, że znowu upodobniła się do kota z Cheshire.

Jej uśmiech zbił Harryego z tropu. Poczł się jeszcze bardziej niepewnie, gdy namacał w kieszeni bransoletkę. Chciał ją oddać zaraz po tym, jak ją znalazł, ale przez zamieszanie z telefonem zupełnie wyleciało mu to z głowy. Potem wybrał się na szczyt. Zwykle im wyżej się wspinał, tym skuteczniej oddalał się od wspomnień. Dziś było inaczej, czuł, że ciągnie go z powrotem. I to nie do Maisie, a do Jacqui.

Teraz trzymał ręce w kieszeniach, żeby się do niej nie wrywały. Poczł bransoletkę i chciał ją zwrócić. To dlatego ją zawołał.

Jego palce bawiły się łańcuszkiem, kciuk pocierał o deli-

katne serduszko. Wyjął bransoletkę i przyjrzał jej się. „Zapomnij i uśmiechnij się”.

Kogo miała zapomnieć? Chciał ją zapytać, czy to jej się udało. A jeśli tak, to w jak sposób? Ale może to było dla niej tak samo trudne jak dla niego...

Schował bransoletkę do kieszeni. Nie odda jej, tylko gdzieś podrzuci, tak by Jacqui ją znalazła.

Harry po raz kolejny spróbował dodzwonić się do Seliny. Wprawdzie Jacqui zadeklarowała się, że zostanie, ale nie mógł bez końca wykorzystywać jej dobrego charakteru.

Kiedy przyłożył słuchawkę do ucha, zamarzyło mu się, żeby telefon znowu ogłuchł. Niestety, dodzwonił się za pierwszym razem.

- Harry? Czy masz pojęcie, która tutaj jest godzina?
Doskonale wiedział.

- Druga, trzecia nad ranem. Spałaś?

- Oczywiście, że spałam!

Nie dzwonił w środku nocy po to, by ją zirytować. Wiedział, że jeśli będzie zupełnie przytomna, może zignorować jego telefon.

- Dzwonię w sprawie Maisie.

-Och!

- Agencja i jej opiekunka uważają, że ona chce na stałe zostać z ciotką Kate.

- Naprawdę? Dlaczego? Poprosiłam, by zawieziono ją do domu babki. To wszystko.

- Nie rozumiesz, Sally. To są odpowiedzialni ludzie, którzy poważnie traktują swoje obowiązki. Nie chcieli zostawić jej z kimś... przypadkowym.

- Ty nie jesteś przypadkową osobą, prawda?

- Odpowiadasz za nią, Sally. To mała dziewczynka, a nie kolejny okaz z twojej menażerii. Powinnaś przesłać do agencji faks z upoważnieniem, że Maisie może zostać ze mną.

- W porządku. Załatwione. Jeśli tylko o to chodzi, to idę spać, bo jutro nie ukryję worów pod oczami. Chyba nie jest chora czy coś takiego...?

- A jeśli jest? Rzucisz wszystko i przylecisz?

- Nie bądź głupi, kochanie, przecież Maisie mnie nie potrzebuje. Nigdy nie potrzebowała. Czy zdajesz sobie sprawę, jak mnie to przygnębia?

Harry miałby wiele na ten temat do powiedzenia, ale nie zamierzał się wysilać.

- Kiedy będziesz w domu?

- Na pewno nie w tym miesiącu. Stąd lecę do Japonii, a potem do Stanów, by nagrać kilka reklam. A potem zamierzam spędzić trochę czasu na jachcie przyjaciela. Och, tak bardzo potrzebuję wakacji...

- A co z Maisie? Mogłaby do ciebie dołączyć?

- Maisie? Co ona, u diabła, miałaby robić na jachcie?

Harry nie zapytał, co Sally będzie tam robić. Jej romans z miliarderem był gorącym tematem plotek.

- Miesiąc - powiedziała Harry. - W porządku.

- No, może troszkę dłużej. To zależy, kiedy dekoratorzy ukończą dom.

- Dekoratorzy?

- Planujemy sesję zdjęciową w mojej rezydencji, więc dekoratorzy ścigają się z robotą. Mieli skończyć do Wielkanocy, ale sam wiesz, jak to nieraz się przeciąga...

- Wiem. - Wreszcie zrozumiał, dlaczego Maisie nie może zostać w domu razem z Sally. - Czy chcesz z nią porozmawiać?

- Jestem naprawdę zmęczona, Harry.
- A z Jacqui?
- Z kim?
- Z nianią, która przywiozła tu Maisie.
- Och, czy... czy ona nie powinna być na wakacjach?
- Tak, powinna. Zrezygnowała ze swoich planów z powodu twojego braku odpowiedzialności. Poświęciła wakacje, żeby zostać i opiekować się Maisie.

- Do diabła, Harry, dlaczego jej na to pozwoliłeś? Doskonale dałbyś sobie radę z jednym małym dzieckiem! Prawda?

- Na nic jej nie pozwalałem. Sama się uparła. - Zignorowałam drugą część pytania, ponieważ obydwójce znali na nie odpowiedź.

- Vickie Campbell mówiła, że ta kobieta to prawdziwy skarb. Miała nadzieję, że ją przekona, by wzięła tę pracę na stałe.

- Też mam taką nadzieję. Dla dobra Maisie.

To, że Jacqui opiekowała się dzieckiem, było jedynym jasnym punktem całej tej sytuacji. Harry zastanawiał się, czy nie zadzwonić do ciotki. Po namyśle doszedł do wniosku, że byłoby nie fair zepsuć jej pierwsze prawdziwe wakacje. Wiedział, że Kate przyleci z powrotem, jeśli ją o to poprosi. Nie chciał postępować jak jej córka, dla której była po prostu bezpłatną służącą.

A zresztą, czy musi ją wzywać? Jacqui zostaje, Maisie jest szczęśliwa.

Zapragnął gorącej kąpieli. Dokuczliwe bóle pojawiały się jak zwykle podczas wilgotnej pogody. Jeśli będzie miał trochę szczęścia, Jacqui odgrzeje mu resztki z kolacji. Ostatnio bardzo przejmowała się jego dietą.

Harry nadal uśmiechał się do swoich myśli, gdy jego uwagę przykuły chichoty i okrzyki dobiegające z górnego piętra. Brzmiały tak radośnie, tak normalnie...

- Raz, dwa, trzy... - Strugi wody pryskały pomiędzy palcami Maisie, która zanosiła się śmiechem. Jacqui chwyciła ręcznik, by zaradzić powodzi. Kiedy rzuciła go na podłogę, zauważyła parę dużych stóp odzianych w przemoczzone skarpetki.

- Masz zamiar nas zatopić?

- To nie przecieknie przez sufit, prawda?

- No, nie... Nie chcę przerywać wam zabawy. Chciałem tylko ci to zwrócić. - Wyjął z kieszeni bransoletkę. - Znalazłem ją w bibliotece. Pomyślałem, że możesz jej szukać.

Jacqui zdumiona spojrzała na swój nadgarstek.

- Zauważyłem, że ją nosiłaś.

- Naprawdę? Tak... Dziękuję.

- Interesujący napis.

- Udało ci się przeczytać? Ja potrzebuję lupy.

- Mam dobry wzrok.

Nagle Maisie poprosiła teatralnym szeptem:

- Zapytaj go!

- O co? - Harry spojrzał na małą.

Dziewczynka natychmiast straciła rezon i zaczęła się bawić plastikową kaczuszką.

- O to, co powiedziała Susan.

Harry klęknął przy wannie, nie zważając na wodę, która moczyła mu spodnie. Chwycił kaczuszkę i zmusił Maisie, by na niego spojrzała.

- Susan mówiła dziś o wielu sprawach.

Dziewczynka mruknęła coś pod nosem.

- Tak, Maisie?
- Susan mówiła o szkole w wiosce. Że mogłabym do niej chodzić.
- Naprawdę chcesz?
- Tak...
- Ale w co byś się ubierała? Nie można chodzić do szkoły w balowych sukniach.
- Dlaczego?
- Ponieważ - szybko wtrąciła się Jacqui - innym dziewczynkom mogłoby być przykro, że nie mają takich pięknych strojów.
- Aha, rozumiem. Ale są przecież te stare ubrania, które znalazłaś - poprosiła drżącym głosem, kierując swój apel bezpośrednio do Harryego. - Proszę!
- Jacqui zdała sobie sprawę, że Maisie nigdy nie używała imienia Harryego. I nigdy nie nazywała go wujkiem.
- Co o tym sądzisz? - Spojrzał na Jacqui.
- Starła się zignorować słabą nadzieję, która wstąpiła w jej serce. To był z jego strony dowód prawdziwego zaufania. Choć prawdziwy powód tego pytania mógł być bardziej prozaiczny. Pozostawiając decyzję w jej rękach, zrzucał z siebie odpowiedzialność za ewentualną porażkę całego eksperymentu.
- Jeśli dyrekcja zgodzi się przyjąć ją w tym semestrze... Byłoby dobrze, gdyby Maisie poznała rówieśników. Jest tylko jeden problem. Zauważyłam, jadąc przez wioskę, że wszystkie dzieci noszą mundurki. Szare spódniczki, białe koszulki i czerwone sweterki w serek. No i praktyczne buty - dodała, wiedząc, że wszystko musi być powiedziane do końca, żeby uniknąć nieporozumień.
- Czarne?

- Albo brązowe.

- Czarne lub brązowe buty? - Pokręcił głową z niedowierzaniem. - I mundurek? To wszystko zmienia. Maisie nie będzie chciała nosić czegoś takiego. - Podniósł się z klęczek, przekonany, że sprawa szkoły została przesądzona.

Mała zerwała się gwałtownie, rozpryskując wodę na wszystkie strony.

- Chcę! Chcę mieć mundurek! Najlepiej szary.

- Jesteś zupełnie pewna? - spytał Harry. - Nie ma sensu, by Jacqui jechała z tobą do miasta na szkolne zakupy, jeśli potem zmienisz zdanie.

- Na pewno nie zmienię, na pewno! Przyrzekam! - zapewniła żarliwie.

Wyglądało na to, że dzięki Harry'emu Maisie zapragnęła mieć ubrania, których jeszcze niedawno nie włożyłaby za nic na świecie.

- W porządku, w takim razie dzwonię do szkoły. Zastanów się jeszcze raz, czy naprawdę tego chcesz, bo potem nie będzie odwrotu.

- Chcę! Chcę! Chcę!

Harry spojrzał ciepło na małą dziewczynkę, a jego uśmiech wydał się Jacqui tak czuły i tak ujmujący, że położyła dłoń na jego ramieniu, wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

Miała wrażenie, że czas stanął. To były sekundy czystej magii. Zobaczyła, jak opada skorupa, którą Harry odgrodził się od świata.

Jednak jego uśmiech zamarł, a twarz znów nabrała nieodgadnionego wyrazu.

Nagle zadrżała, bo w głębi duszy poczuła dojmujący

ból. To było tak wstrząsające uczucie, że straciła równowagę, ale Harry podtrzymał ją mocnym ramieniem i wyszeptał miękko, ledwie słyszalnie:

- Dużo ryzykujesz, Jacqui.
- Wszystko, co wartościowe, tego wymaga.
- Wiem - odparł Harry. - Ale ten, kto ryzykuje, bierze na siebie wszystkie konsekwencje swoich działań.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Harry wiedział, że igrza z ogniem. Jego wysiłki, by zachować dystans, nie zniechęciły Jacqui. Cały czas starała się dotrzeć do niego - i wreszcie go dosięgła. Nie tylko fizycznie. Wtargnęła w ciemną otchłań, w której nikt nie był od pięciu lat.

Nawet on sam.

Z każdą wspólnie spędzoną chwilą Jacqui zbliżała się do niego, niszcząc tarczę, którą odgrodził się od świata. Intrygowała go, było w niej coś magicznego.

Dlaczego się go nie bała?

Większość ludzi doskonale rozumiała wysyłany przez niego ostrzegawczy sygnał „trzymaj się z daleka”, lecz Jacqui uparła się obejmować i jedyne, o czym potrafił myśleć, to o następnym pocałunku.

O prawdziwym pocałunku.

Jacqui zniszczyła cały wysiłek, który włożył w ułożenie swojego życia, zburzyła spokój jego umysłu. Natychmiast powinien to przerwać, ale ciepło i dobroć, które z niej emanowały, przywodziły mu na myśl żar paleniska w mroźną, zimową noc.

Kiedy tak trzymał ją w ramionach, rozdarty między rozsądkiem a sercem, Jacqui przymknęła oczy i leciutko wes-

tchnęła. Pojął, że nie ma takiej siły, która zdołałaby go uratować.

Poczuła dotyk ust Harryego na swoich wargach. Delikatny pocałunek uświadomił jej, w jakim niebezpieczeństwie się znalazła. Ale było za późno. To muśnięcie miało czarodziejską moc. Obudziło jej ciało, wyrwało je z letargu. Jej serce biło jak szalone. Ta lekkomyślność była zabójcza!

- Jeśli macie zamiar robić takie głupie rzeczy jak całowanie się....

Jacqui oprzytomniała pierwsza. Chwyciła ręcznik, otuliła nim Maisie i zaczęła ją wycierać.

- Tylko straciłam równowagę i wujek Harry mnie przytrzymał.

Maisie posłała jej wymowne spojrzenie, po czym przeniosła obojętnie wzrok na Harryego i powiedziała:

- To nie jest mój wujek. To mój tata.

Harry zamarł. Co, do diabła, Sally jej nagadała, jeszcze bardziej pogarszając sprawę?

Poczucie winy ugodziło go jak straszliwy cios. Oddał tę dziewczynkę komuś, kto traktował ją tylko nieco lepiej niż przedmiot. Ustąpił bez walki, zrzekając się praw do miłości i szacunku.

Musi szybko coś powiedzieć, bo szare oczy Jacqui zadają mu oczywiste pytanie i domagają się prawdy.

- Jacqui... - Tyle zdołał wykrztusić.

Najpierw zdumiona, teraz zyskała gorzką pewność. Widać to było po jej twarzy.

- Wybacz mi, Harry. Jest późno, muszę położyć Maisie do łóżka, jeśli mamy jutro pojechać na zakupy. - Wzięła małą na ręce i wyszła z łazienki.

Kilka minut wcześniej lamentował, że ta kobieta prze-

łamała obronny mur, którym odgrodził się od wszystkich emocji. Rozebrała go cegła po cegle, lecz teraz, w tak dramatycznej chwili, wycofała się. Miał wrażenie, jakby w jednej sekundzie zgasło słońce.

Przez moment chciał biec za nią i Maisie, żądać, by go wysłuchały i sprawiedliwie osądziły. Czy to jednak cokolwiek zmieni? Zrobił, co zrobił i nie ma sposobu, by to zmienić.

Może tak będzie lepiej. Weźmie kąpiel, potem zaszyje się w pokoju. Odgrodzi się od nie swoich spraw, wróci do normalności. Do świata bez Maisie i bez Jacqui.

Nagle doszedł go z sypialni pełen rozpaczy głos Maisie:

- Przepraszam, przepraszam... Nie powinnam tego mówić. Ale on mnie nie wyrzuci, prawda? Przecież muszę iść do szkoły...

Pchnął drzwi. Na widok Maisie w jej królewskim łóżu poczuł, że ściska mu się serce.

Czekały, by przemówił.

- Wpadnij do mnie przed jutrzejszymi zakupami - powiedział przez ściśnięte gardło. - Będziesz potrzebowała pieniędzy.

Wiedział, że Jacqui patrzy na niego. Wiedział, że szuka klucza do tej zagadki. Miał nadzieję, że da mu Znać, kiedy go znajdzie.

Na razie błądził w ciemności, wyglądając światła, które wskazałoby mu drogę.

- Czułabym się pewniej, gdybyś się z nami wybrał. Gubię się w obcym terenie.

Oto światełko w ciemnościach...

- Oczywiście. Czy wiesz, co trzeba kupić?

- Zrobię listę.

- To dobrze. - Ruszył do drzwi.
- Harry...
- Tak?
- Zostawiłam dla ciebie kolację w lodówce. Światło rozświetliło jaśniej.

Miała wrażenie, że minęły godziny, zanim go znalazła. Weszła z tacą do biblioteki.

- Zrobiłam kawę.
- Nie musiałaś.
- Ale zrobiłam.

Rozlała kawę do filiżanek i podała mu małą czarną bez cukru. Przyciągnęła fotel bliżej kominka i usiadła. Była jak jedno wielkie oczekiwanie.

Nie mógł demonstracyjnie milczeć, nie mógł jej wyprosić z pokoju.

Już nie.

- Jesteś pewnie zdziwiona....
- Jestem. Ale myślę, Harry, że zanim zaczniesz, powinienam ci powiedzieć o rozmowie, jaką odbyłam z Maisie o rozłączonych telefonach, mówieniu prawdy itp. Przyznała się, że schowała moją komórkę, a także zamieniła swój bagaż. Opróżniła torbę z praktycznych rzeczy, które spakowała jej matka, i zastąpiła je najpiękniejszymi sukienkami. Bo Maisie jednego tylko pragnie: żebyś ją zauważył.

- Możesz jej powiedzieć, że odniosła sukces. - Uśmiechnął się mimo woli.
- Uwierz, będzie lepiej, jak sam jej to powiesz.
- Tak też zrobię.
- A teraz posłuchaj mnie uważnie. Maisie bardzo przeżywa to wszystko, co się tutaj dzieje. Stara się, walczy o cie-

bie, miotają nią sprzeczne uczucia, od nadziei do skrajnego zważnienia. A to, co się stało w łazience, po prostu ją załamało. - Jacqui wyciągnęła z kieszeni złożoną kartkę papieru. - Zdradziła swój największy sekret i boi się, że ją za to ostatecznie znieńawidzisz. Szukała więc ratunku u mnie i dlatego pokazała mi swoją metrykę.

- Metrykę?! Skąd, u diabła, ją wzięła? Taki dokument powinien być dobrze schowany!

- Powiedziała, że znalazła ją, bo leżała na wierzchu, choć podejrzewam, że dokładnie przeszukała cały dom albo wykorzystała moment, kiedy akurat był otwarty sejf, a jej matka na chwilę gdzieś poszła. - Uśmiechnęła się, a on wstrzymał oddech. - Nie wiem jak ty, ale ja jestem przekonana, że Maisie, jeśli czegoś pragnie, potrafi o to walczyć, a że jest bardzo inteligentna i bystra...

- Tak, ma do tego talent. - Harry znów się uśmiechnął.

- Szukała tej metryki, bo chciała się dowiedzieć, kim jest.

Uśmiech Harry'ego zgasł.

- Ona to wie.

- Tak sądzisz? Ma zaledwie sześć lat, ale już od roku dręczy ją zagadka jej pochodzenia. Teraz wie już co nieco, ale z uwagi na całą tę rodzinną sytuację jest kompletnie zdezorientowana. Gdybyś był w jej sytuacji, też chciałbyś zadać mnóstwo pytań.

- Powinna zapytać Sally. - Jednak Harry wiedział, że nie miałoby to sensu, bo jego kuzynka buja w obłokach. - Metryka niczego jej nie powie.

- Czyżby? - Jacqui otworzyła dokument. - Otóż ten kawałek papieru mówi wystarczająco dużo. To nie jest zaświadczenie o adopcji, ale metryka urodzenia wystawiona

przez konsulat w Digali, małym saharyjskim kraju, targanym od lat przez wojnę domową. - Spojrzała na niego. - Pracowałeś tam?

- Tak, jako lekarz międzynarodowej organizacji charytatywnej.

- Naprawdę? Jakże ci tego zazdrościć...

- Powinnaś dokończyć studia, jeśli chciałaś zostać pielęgniarką.

- Czasami los zmienia nasze plany. Po prostu staje na przeszkodzie.

Harry spostrzegł, że Jacqui odpływa myślami gdzieś daleko i chociaż się uśmiechała, był to najsmutniejszy widok, jaki kiedykolwiek oglądał. Poczucie straty, głęboki żal.

Mur, którym odgrodził swe serce i który z taką determinacją Jacqui rozbierała, runął ostatecznie.

- Opowiesz mi o tym?

Musiał wiedzieć, dlaczego jest taka smutna, zanim zacznie się zastanawiać, jak temu zaradzić.

Spojrzała na niego.

- Może... Później.

- Obiecujesz? - Wstrzymał oddech, czekając na odpowiedź. W końcu kiwnęła głową. Harry wiedział, że nie była to dla Jacqui łatwa decyzja. Postanowiła jednak mu zaufać.

Była pełna powagi. I nagle coś błysnęło w jej oczach.

- To dwustronny układ, Harry. Zdradzę ci swoje sekrety, jeśli zdradzisz swoje.

- Moje sekrety są w twoich rękach, w tym dokumencie.

- Chciałabym wiedzieć coś więcej ponad to, że Harry Talbot jest kłamcą.

Słowa były surowe, ale jej głos już nie. Ani oczy.

Milczał.

- W porządku - podjęła. - Zerknijmy na to. -I przeczytała: - Ojciec: Henry Charles Talbot. Zawód: chirurg. Matka: Rose Ngei. Zawód: brak. Imię dziecka: Margaret Rose. Miejsce urodzenia... - Rozłożyła ręce i spytała: - Harry, jak to zrobiłeś? I dlaczego?

- Nie mogłem pozwolić, by Maisie stała się następną ofiarą wojny.

- Tam były... są dziesiątki dzieci. Setki...

- Tysiące - powiedział. - Niewinni zawsze cierpią najbardziej.

- Dlaczego więc ona?

Miał ochotę wstać, wyjść z pokoju, zagubić się na wzgórzu. Tak robił od lat. Uciekał od koszmarnych wspomnień. Gdzieś gnał przed siebie lub spalał się w pracy. Lecz nie zbliżyło go to ani na jotę od rozwiązania problemu.

Za długo dusił to w sobie, by od razu znaleźć właściwe słowa. Zamiast mówić, uklęknął przy kominku, dorzucił kilka szczap i patrzył, jak obejmuje je płomień. Przedłużał tę chwilę w nieskończoność.

Nie ponaglała go. W absolutnej ciszy czekała, aż uporządkuje myśli.

- Jej matka razem z innymi uciekła przed frontem. Nie wiem, z jakiej wioski pochodziła, nie znałem jej imienia. Wymyśliłem je... - Gdy umilkł, Jacqui delikatnie pogłaskała go po ramieniu. - Weszła na pole minowe, więc przywieźli ją do frontowego szpitala. Konała. Jedyne, co mogłem zrobić, to uratować Maisie za pomocą cesarskiego cięcia.

Jacqui zakryła usta rękami. Nie musiał niczego więcej tłumaczyć, by pojęła koszmarną tamtej sytuacji.

- Maisie była mała, słabiutka, ale kiedy opuściła straszliwie zmasakrowaną matkę, kiedy znalazła się na świecie, wydała okrzyk... triumfu. Jakby chciała powiedzieć: „Udało się! Żyje!”. I złapała mnie za palec tak mocno, jakby go już nigdy nie miała puścić. W tym okropnym miejscu to był cud, Jacqui.

- Tak, prawdziwy cud. Uratowałeś ją.

- Jednak bez matki nie przeżyłaby ani jednego dnia w obozie dla uchodźców.

- Jednak przeżyła.

- Obiecałem jej, że nie będzie kolejną ofiarą tej bezsensownej wojny.

- Jak to zrobiłeś?

- Trzymałem ją stale przy sobie. Spała ze mną, podróżowała. Karmiłem ją, pielęgnowałem. Czasami podczas operacji wisiała w nosidełku na moich plecach.

Harry zadrżał na myśl o tym, jak blisko dopuścił do siebie Jacqui. Przyklęła nagle i tuliła jego dłoń. Ramieniem oplotła jego szyję...

- Powiedz mi, co ci się stało...

Bijące od niej ciepło, jej zapach przenikały go do głębi, budziły uczucia, które już dawno uznał za pogrzebane, zamknął w krypcie niepamięci. To było wręcz bolesne, ale tak jak bolą gojące się rany.

- Każdą chwilę wciąż mam przed oczami... - Żar późnego popołudnia. Kurz. Muchy. Ciepło Maisie w tobołku na plecach... - Kończyliśmy pracę i właśnie wracałem do swojej kwatery. Maisie obudziła się i zaczęła popłakiwać. Zatrzymałem się, wyciągnąłem ją z nosidełka i niosłem w ramionach. Ostatnia rzecz, którą zapamiętałem, to jej maleńka twarzączka rozświetlona w uśmiechu. - Potrzeb-

nał głową. - I nagle świat eksplodował. Za nami upadł pocisk. Wybuch rzucił mnie na ziemię.

- A co z Maisie? Została ranna?

- Kiedy bombardowanie się skończyło, znaleźli mnie w schronie. Leżałem, osłaniając Maisie. Musiałem się tam doczołgać, ale niczego nie pamiętam.

- Uratowałeś ją po raz drugi.

- Minutę wcześniej...

- Ciii...- wyszeptła. - Uratowałeś ją. Lecz sam zostałeś ranny. Twoje plecy...

- Zapomnij. Nie zobaczysz już tego.

- Nie! Chcę widzieć. Właśnie teraz. - Zaczęła rozpinąć mu koszulę. Złapała ją za rękę. Spojrzała na niego z niemą prośbą, pocałowała czule.

Stał przed nią zupełnie bezbronny, a ona zdjęła z niego koszulę, która zsunęła się na podłogę.

Najpierw delikatnie opuszkami palców obrysowała ramiona Harry'ego. Jej dłonie zeszywniały, gdy natknęły się na bliznę. Objęła go ramionami, wędrując dłońmi po każdym kawałeczku straszliwie okaleczonego ciała.

- To boli?

Boli? Kiedy przytuliła policzek do jego piersi, a jej włosy łaskotały go w twarz, nie był w stanie odczuwać czegokolwiek poza bólem pożądania.

- Tak, lecz gdy je dotykasz...

Włożył z powrotem koszulę, lecz przestał zapinać guziki, gdy zobaczył zmarszczki na czole Jacqui.

- Nie marszcz się. Wszystko w porządku.

- Naprawdę? Dlaczego więc Maisie jest z twoją kuzynką? I dlaczego jesteś taki nieszczęśliwy?

- Nieszczęśliwy? - Usiadł w fotelu, by zwiększyć pomię-

dzy nimi dystans. Łyknął kawy. Potrzebował czasu na zastanowienie.

- Chyba nie zaprzeczysz?

- Nie, nie zaprzeczę, ale sama powiedziałaś, że los czasami staje na przeszkodzie. Moje obrażenia były zbyt rozległe, żeby wyleczyć je na miejscu. Odmówiłem powrotu do kraju bez Maisie. Ona nie miała papierów, ja nie miałem do niej żadnych praw. Potrzebowałem następnego cudu.

- I się zdarzył.

- Kiedy transport stał się sprawą życia lub śmierci, szef służb medycznych wezwał konsula, by przemówił mi do rozsądku. Jednak konsul, sztywny i wszystko wiedzący urzędnik, przerwał moje wyjaśnienia i powiedział, że muszę uregulować formalne sprawy. „Przecież to pana córka, więc jest poddaną królowej. Powinien pan wcześniej o tym pomyśleć”, napomniął mnie surowo. Zrozumiałem, jak wielką szansę stwarza to nieporozumienie. Konsul przywoził odpowiedni druk. Wpisał moje imię i nazwisko w rubryce „ojciec”, zapytał, jak się nazywała zmarła matka. Błyskawicznie wymyśliłem jej personalia, a imię mojej matki dałem Maisie, która w ten sposób została Angielką. Gdy metryka była gotowa, konsul wręczył mi ją i pogratulował córeczki. - Harry napotkał wzrok Jacqui. - Ona jest moja. Musiałem skłamać konsulowi czy też nie wyprowadzić go z błędu, by ją zatrzymać. - Sięgnął po słowa, których nigdy dotąd głośno nie wypowiedział. - Kochałem ją, Jacqui. Kocham ją. Nie mogłem oddać jej na zatracenie. Musiałem to zrobić.

- Oczywiście, że musiałeś. I przywoziłeś ją do Samotnego Szczytu.

- Miałem taki zamiar, ale okazało się, że mnóstwo cza-

su muszę spędzić w szpitalu. Przeszczepy skóry i takie rzeczy. Sally przełamała się, wzięła Maisie, zaangażowała nianię. Miała dużo radości, przebierając śliczną dziewczynkę w śliczne sukienki.

- Jak lalkę. Ale to był mały człowiek.

- Dowiedziała się o tym prasa, paparazzi zrobili zdjęcia i plotkarskie gazety miały o czym pisać.

- Selina oświadczyła więc publicznie, że adoptowała sierotę wojenną?

- Moje kłamstwo mogło wyjść na jaw. Zrobiła to, by chronić mnie i Maisie. Wielkie gwiazdy czasami tak postępują, dla kaprysu, dla image'u...

- Musisz jej nienawidzić.

- Nie, w jakiś sposób nawet ją lubię, ale przy tym świetnie ją znam. Dlatego mnie unika.

- A Maisie?

- Miała już swoje życie, kiedy doszedłem do takiej formy, by móc się nią zająć. Poza tym nie mogłem zabierać dziecka do krajów, gdzie toczą się wojny.

- Dlaczego nie zostałeś z nią w domu?

- Oczywiście to byłoby możliwe, ale wypadłem z jej życia na tak długo, że o mnie zapomniała. Traktowała mnie jak obcego.

- Nie zapomniała cię, Harry. Sądziła, że ją opuściłeś, i karała cię za to chłodem i nieprzystępczością.

Uśmiechnął się.

- Znowu ta domorośla psychologia, Jacqui?

- Myślisz, że cię zapomniała? To dlaczego powiedziała mi, że kiedy dorośnie, to zostanie lekarzem?

Harryemu mocniej zabiło serce.

- Kiedy to powiedziała?

- Jak jechałyśmy do Samotnego Szczytu. Spytałam ją, czy zamierza zostać modelką, jak jej matka... - Przymknęła oczy w namyśle. - Harry, ona już wtedy wiedziała, że jej babki tu nie ma. Jestem o tym przekonana.

- Mogła dowiedzieć się od Sally.

- Rozmawiałeś z nią?

- Tak, niedawno. Sally powiedziała coś dziwnego. Uważa, że nie zostaniesz z nami.

- Naprawdę? - Jacqui uśmiechnęła się. - Nie rozumiesz? To taki wybieg. Ona popycha cię ku Maisie, chce, żebyście odbudowali więzi, które kiedyś was łączyły. Więc jednak twoja kuzynka wcale nie jest taka nieczuła i zapatrzona tylko w siebie.

- Raczej znudziło jej się udawanie troskliwej matki, ma dość tych wszystkich obowiązków, a cały swój czas chce poświęcić swemu miliarderowi.

- Sama nie wiem, ale ty znasz ją lepiej. Jest aż tak płytka? - Kiedy Harry nie odpowiadał, dodała: - Myślę, że Maisie chce zostać z tobą. Przypuszczam, że Sally też o tym wie. - Jacqui przykryła dłońmi jego dłonie. - A może twoja piękna kuzynka, przy całej swej ekstrawagancji, ma również piękne serce?

Harry spojrzał na nią.

- Zastanawiam się... skąd jesteś taka mądra?

- Po prostu się staram. - Owinęła bransoletkę dookoła nadgarstka.

- Opowiedz mi o nim.

- O nim?

- Nie chodzi o mężczyznę?

- Nie...

W tym momencie zrozumiał, że jest bezbronny. Liczył

na to, że wyrzuci z jej pamięci jakiegoś mężczyznę, lecz jak ma rywalizować z kobietą?

- Cóż, obiecałam - stwierdziła z pewnym żalem.

- Tak, i założę się, że nigdy nie złamałaś obietnicy.

- Raz. Tylko raz. Obiecałam Emmie, że jej nigdy nie opuszczę, lecz nie dotrzymałam słowa. - Odpięła bransoletkę. - Zamówiłam ją dla niej. Chciałam, żeby wiedziała, że nic się nie stanie, jeśli o mnie zapomni. - Zaciśnęła bransoletkę w dłoni. - Jej rodzina odesłała mi ten prezent z powrotem.

- Jej rodzina? - Wreszcie zrozumiał, że Emma to nie kochanka, tylko dziecko.

- Jak długo byłaś jej nianią? - zapytał szybko, by Jacqui nie odgadła jego myśli.

- Stanowczo zbyt długo... Harry, pytałeś, dlaczego porzuciłam uniwersytet. Zrobiłam to dla Emmy. Myślę, że jesteś jedyną osobą, która potrafi to zrozumieć.

- Biorę to za komplement.

- Bo tak jest. - Odwróciła się, jakby mówienie o tym było dla niej zbyt bolesne.

Gdy sięgała po kawę, złapał ją za rękę.

- Zostaw, już wystygła. Zaraz zrobię nową. Chyba że chcesz znów wygłosić kazanie, jak to niezdrowo pić kawę na noc.

Zdobyła się na uśmiech.

- Wystarczy, że muszę ci opowiadać historię mojego życia. To naprawdę trudne i równie męczące jak prawienie morałów.

- W takim razie zrobię coś na wzmocnienie. - Wziął butelkę brandy z tacy stojącej na kredensie. Jacqui była taka smutna. Chciał przygotować jej coś ze swego dzieciństwa.

Nie wypuszczając jej ręki ze swojej dłoni, przyrządził czekoladę z brandy.

- Dobrze! - powiedziała Jacqui, pociągając łyżeczek.
- Robiła mi to moja niania, żebym nabrał sił.
- Dawała ci brandy?
- Tylko odrobinę, do smaku. Musisz wypić wszystko, żeby zadziałało.

- Wiesz, kiedy cię pierwszy raz zobaczyłam, pomyślałam, że jesteś wielkim, złym olbrzymem, prosto z moich koszmarnych dziecięcych snów.

- Wiem. Usłyszałem, jak mnie opisujesz Vickie Campbell. Powinienem wtedy uciec.

- Uciec?

- Żeby uratować życie. Wszyscy wiedzą, jak marnie skończył olbrzym z bajki. - Roześmiała się i przytuliła do niego. Siedzieli chwilę w ciszy, popijając czekoladę. Harry czuł, jak opada z niej napięcie. Mógłby tak siedzieć i obejmować ją przez resztę życia, ale wiedział, że muszą stawić czoło demonom przeszłości. - Opowiedz mi o Emmie, Jacqui.

- Bardzo kocham dzieci. Moje siostry są ode mnie starsze, więc kiedy zaczęłam studia, każda z nich miała co najmniej synka lub córeczkę. Vickie Campbell zobaczyła mnie kiedyś z całą tą gromadką w parku i zaproponowała pracę „latającej niani” podczas wakacji.

- Jak wyglądało to latanie?

- Wzywano mnie w nagłych wypadkach. Wiesz, odeszła niania, matka wylądowała w szpitalu. - Opuściła wzrok na filizankę. - Albo umarła...

- Matka Emmy umarła?

- Wypadek samochodowy. Okropna tragedia. Jej mąż

nie mógł sobie z tym poradzić. Emma była taka malutka... I zła na matkę, że ją opuściła. Nie rozumiała, dlaczego. Zostałam z nimi całe wakacje. Zaczynała mnie akceptować, nabrała do mnie zaufania, a ja miałam wracać na uniwersytet. Nie wiedziałam, co zrobić. Zostawić ją, by po raz drugi w swym krótkim życiu straciła osobę, na której może polegać? Przecież już nigdy nikomu by nie zaufała!

- Rozumiem...

- Nie chciałam zająć miejsca jej matki, ale była już tylko twarzą na fotografii, nierzeczywistą jak anioł. I tak naprawdę stałam się matką Emmy. I ojcem, bo prawdziwy nie udzielał się zbytnio. Obiecałam jej, że nigdy jej nie opuszczę.

- Co się stało?

- David Gilchrist jest bogatym i wpływowym bankowcem. Byłam nianią Emmy przez cztery lata. Pewnego dnia jej ojciec przyprowadził do domu kobietę, którą poznał podczas podróży, i tak po prostu poinformował mnie, że zawarli ślub. Z równym spokojem oznajmił Emmie, że ma teraz nową mamę. Przestraszona Emma odparła, że chce tylko mnie, że to ja jestem jej mamą. To przesądziło o mojej sytuacji. Z miejsca zostałam zwolniona. Po kilku tygodniach Gilchristowie przenieśli się do Hongkongu.

- A bransoletka?

- Została zwrócona wraz z krótkim liścikiem, w którym proszą mnie, bym już nigdy nie kontaktowała się z Emmą. Żadnych prezentów na urodziny czy na święta. Żadnych kartek. Niczego. Macocha Emmy przesłała bransoletkę nawet nie do mnie, tylko do agencji.

- To było okrutne z ich strony.

- Myślę, że sprawa jest bardziej skomplikowana. Pani

Gilchrist pewnie obawia się, że nie zdobędzie miłości Emmy, jeśli nie wymaże mnie z jej pamięci. Możliwe, że ma rację, a ja popełniłam wielki błąd, za który srogo zapłaciłam. Zapomniałam o pierwszym przykazaniu dobrej niani. Dziecko, którym się opiekujesz, nie jest twoje. Musisz być przygotowana na odejście.

Jacqui zamrugała i łza spłynęła po jej twarzy. Harry otarł ją koniuszkiem palca.

- Nie ma reguł, kiedy pracuje się z dziećmi - powiedziała w zadumie. - Kocha się je i nic nie można na to poradzić. Kiedy się je traci, to zawsze boli.

- Masz teraz drugą szansę z Maisie. Nie zmarnuj jej.

- Dzięki tobie.

- Myślę, że to wspólny wysiłek, Harry.

- Maisie cię potrzebuje.

Tylko Maisie?

- Czy teraz, kiedy już wykonałaś zadanie w stylu Mary Poppins - zapytał, starając się zapanować nad swoim głosem - zamierzasz lecieć do jakiegoś kurortu?

- Niby jak? Mój samochód odholowano, a Maisie obiecała mi, że spędzę tu wspaniałe wakacje.

- A co ty jej przyrzekałaś?

- Że zostanę, dopóki będzie mnie potrzebować. Nauczyłam się czegoś, Harry. Nigdy więcej obietnic na całe życie.

- Żadnych? - Stał naprzeciwko niej, przestraszony, niepewny. Uciekał tak długo. Teraz przyszedł czas, by się zatrzymać, powiedzieć, czego pragnie.

Pragnął Maisie.

Pragnął nowego życia.

Pragnął Jacqui.

- Czy ci mówiłem, że cię potrzebuję? - zapytał.

- Nie znasz mnie, Harry.

Dotknął jej policzka i potargał włosy, jak chłopiec, który pierwszy raz chce pocałować dziewczynę.

- Proszę cię o szansę. Zostaniesz?

- O co prosisz?

Odpowiedział najdelikatniejszym pocałunkiem.

- Wiesz, o co proszę.

Cisza, która nastąpiła, wydawała się nie mieć końca. Nagle trzasnęły kuchenne drzwi.

- Wołałam i wołałam o szklanekę wody... Och! - krzyknęła Maisie, gdy zobaczyła ich w objęciach.

Jacqui nalała wody i podała dziewczynce.

- Idę już z tobą do sypialni. Musimy jutro wcześniej wstać.

Maisie nie lubiła, gdy ją popędzano. Piła powoli, a kiedy skończyła, ze zmarszczonym czołem popatrzyła na Harry'ego.

-Jakiś problem? - zapytał. Czyżby zmieniła zdanie w sprawie szkoły?

- Jesteś moim tatusiem, prawda?

- Prawda. - Głos uwiązał mu w krtani. Tak, od chwili jej narodzin był jej ojcem.

-I całujesz Jacqui. Czy to znaczy, że ona będzie moją mamusią?

- Już masz mamusię - szybko wtrąciła Jacqui.

- Nie. Mam matkę. To nie to samo.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Co to za różnica, Maisie?

Harry wyrwał się z tym pytaniem, nim Jacqui zdążyła zabrać małą na górę. Wiedziała, po jak cienkim lodzie stąpa. Jeden fałszywy krok oznaczał katastrofę.

Okłamywałyby siebie, twierdząc, że nie chciała, by Harry ją pocałował. Pragnęła tego od czasu spotkania przy stajniach, kiedy oglądał jej samochód. Wtedy mogli na siebie tylko patrzeć...

Takie porozumienie bez słów, odwieczne przyciąganie. Och, pragnęła czegoś więcej niż pocałunku, ale dobrze wiedziała, jak łatwo ulec emocjom. Wiedziała też, że to, co działo się między nimi, było czymś więcej niż przelotnym pożądaniem. Ale jakże łatwo mogła pomylić poczucie odpowiedzialności za Maisie z uczuciem do Harry'ego.

A Harry... Musiał mieć zamęt w głowie. Dziecko, które kochał, a potem stracił, bez żadnego ostrzeżenia wróciło do jego życia, wręcz nim zawładnęło.

To byłoby takie łatwe, gdyby nie Maisie... Panicznie jednak się bała, że znów pomyli role i po raz drugi boleśnie zrani małą dziewczynkę obietnicami, których nie spełni.

Oczywiście Maisie nie miała takich dylematów. Wzruszyła ramionami i odpowiedziała:

- Mamusie coś robią. Na przykład znajdują kurczaki al-

bo gotują... I mają czas na zabawę. Moja matka jest ciągle zajęta, zawsze gdzieś pędzi. A Jacqui jest... - Maisie zastanowiła się chwilę. - Dotąd tylko w bajkach poznałam takie mamusie.

Harry zacisnął szczęki i rzucił:

- Jacqui uważa, że powinnaś być już w łóżku.

Maisie spojrzała na niego.

- Naprawdę, tatusiu?

- Naprawdę. - W mgnieniu oka złapał córeczkę w ramiona. - Pora do łóżka, skoro musimy wcześniej wstać... Pojedziemy na zakupy. Szkolna wyprawka, pamiętasz? Nadal jesteś pewna, że chcesz iść do szkoły?

Maisie chichotała, a instynkt podpowiedział Jacqui, żeby nie iść za nimi na górę. Zabrała tackę z biblioteki i umyła filizanki. Potem posprzątała w sieni, ustawiając buty we właściwym porządku.

Gdy Harry dłuższy czas się nie pojawiał, w końcu weszła na górę i zerknęła do pokoju Maisie. Dziewczynka już zasnęła podczas słuchania bajki. Harry siedział bez ruchu, nie mogąc oderwać od niej oczu. Patrzył na córkę z taką czułością i miłością, że Jacqui pogratulowała sobie wycucia. Potrafiła rozpoznać dobrego człowieka od pierwszego wejrzenia.

Po chwili, czując się jak intruz, wycofała się. Wykonała robotę, o którą ją proszono. Doprowadziła Maisie do bezpiecznej przystani. Czas, by odejść.

- Nie odchodź, Jacqui...

Zatrzymała się, zerkając do tyłu.

- Nie sądziłam, że mnie widzisz.

- Nie muszę cię widzieć. Czuję twoją obecność. - Harry podniósł się. Obrzucił Maisie ostatnim długim spojrze-

niem i dołączył w drzwiach do jej niani. - Nie odchodź, Jacqui.

Chciała spytać, skąd wie, co zamierzała zrobić, ale powstrzymała się. Od pierwszej chwili, kiedy tylko się pozna-
li, czytał w jej myślach jak w otwartej księdze.

- Wszystko się zmieniło, Harry. Maisie już mnie nie po-
trzebuję. Ma teraz ciebie.

- A jeżeli powiem, że ja ciebie potrzebuję?

Przypomniała sobie, że nie dawała mu żadnych obietnic. Zresztą powinna być teraz w Hiszpanii... Harry potrzebo-
wał jej pomocy, ale zrobiła już wszystko, co miała zrobić.

- Mówisz jak typowy mężczyzna. Przyznaj, że nie umiesz
sobie poradzić z zakupami.

Nie spuścił wzroku.

- Naprawdę?

- Zostanę jeszcze na chwilę. - To było głupie, wiedziała.

- Czy to obietnica?

Stał wystarczająco blisko, by mogła go dotknąć, poca-
łować. Ale nie zrobił żadnego zachęcającego gestu. Więc
ona go zrobiła.

- To jest obietnica, Harry.

Jak długo trwa chwila? Kiedy każdy moment jest cenny,
wydaje się trwać nieznośnie krótko.

Jacqui spędziła dzień z Harrym i Maisie na zakupach. Kupili wszystkie rzeczy do szkoły, a potem wstąpili na
hamburgera.

Robiła, co mogła, by przekonać wszystkich do zdrowej
żywności, ale Maisie chciała hamburgera, a Harry powie-
dział:

- Tylko ten jeden raz.

I nie było dyskusji.

Nie było również dyskusji, gdy Harry storpedował jej pomysł, by sam zaprowadził małą do szkoły.

- Pójdziemy oboje. Poznasz dyrektorkę, powiesz mi, co o niej myślisz. - Brzmiało to całkiem sensownie.

Kiedy filigranowa Maisie, ubrana w szarą spódniczkę i czerwony sweterek, odłączyła się od nich i wtopiła w tłumek dzieci, ich dłonie splotły się w ciasnym uścisku.

- Uda jej się, prawda? - szepnął Harry.

- Raczej należy się martwić o inne dzieci, bo z jej temperamentem. .. - Jacqui spróbowała się uśmiechnąć, a potem zamrugała, by powstrzymać łzy wzruszenia.

Może powinna ich opuścić tego pierwszego dnia, kiedy rozentuzjasmowana Maisie przybiegła ze szkoły?

- Było super! - oznajmiła. - A ty, Jacqui, jesteś w komitecie rodzicielskim. I zagram wróżkę w przedstawieniu na koniec semestru! Musicie usiąść w pierwszym rzędzie, żeby mnie dobrze widzieć!

Wtedy zadzwoniła siostra Jacqui, żeby dowiedzieć się, jak się bawi na wakacjach. Kiedy Jacqui wyjaśniła, co się stało, zrobiła jej wykład o tym, jak to pewne naiwne osoby niczego się nie uczą w życiu i wciąż dają się wykorzystywać.

Jacqui była wściekła.

Nie zostawała tu przecież na zawsze.

Tylko do końca szkolnego semestru. Musiała przecież obejrzeć Maisie w jej pierwszym szkolnym przedstawieniu, nie zamieniłaby tej radości na całe wino słonecznej Hiszpanii.

Potem zadzwoniła Vickie. Okazało się, że Selina Talbot przesłała ręką gorące przeprosiny i zgodę na to, by Maisie pozostała pod opieką Harry'ego.

- Nie musisz zostawać ani dnia dłużej, kochanie. Skontaktowałam się już z biurem podróży. Zorganizują ci lot na dzisiejsze popołudnie. Selina płaci za wszystko. Masz darmowy miesiąc wakacji!

- To miło z jej strony, ale myślę, że w tym roku daruję sobie Hiszpanię. Podoba mi się tutaj.

- Nie możesz tam zostać!

- Nie mogę?

- Selina była niezadowolona, że zostałam. Nie zapłaci ci za ani jeden następny dzień.

- Vickie, kochanie, mogę robić, co mi się żywnie podoba. Nie pracuję ani dla ciebie, ani dla Seliny Talbot. - Jacqui rozłączyła się.

Rozejrzała się. Harry powinien tu gdzieś być. Stał, oparty o drzwi; w jego oczach czaił się uśmiech. No, prawie uśmiech.

- Tylko do końca semestru - powiedziała sztywno. - Nie mogę opuścić szkolnego przedstawienia.

- Maisie będzie szczęśliwa.

A ty, Harry? - dopytywała się w duchu.

Nic więcej nie powiedział. Nie zaczął jej. Nigdy więcej nie wyciągnął do niej ręki. Nie zaproponował filiżanki gorącej czekolady.

Po prostu był wszędzie obecny. Codziennie rano odwoził je do szkoły, choć sama mogła to zrobić, ponieważ jej bezcenny samochód stał naprawiony w garażu, a wszystkie dziury w jezdni zostały załatwane.

Uczestniczył we wszystkich posiłkach, pchał wózek w supermarkecie, a nawet gotował, kiedy tylko przyszła mu na to ochota.

Nie znikał zaraz po kolacji, tylko pomagał w sprzątanii.

Rozmawiał z Maisie. Parzył kawę. Uczestniczył w rytualnych kąpielach i czytaniu do poduszki.

Dużo spacerowali. Harry dostosowywał swoje kroki do małych nóżek Maisie i uczył ją nazw dziko rosnących kwiatów, drzew, przelatującego ptactwa.

Jacqui myślała, że ten specjalny czas będzie chciał zachować tylko dla siebie i Maisie, więc usuwała się w cień, ale zawsze nalegała na jej obecność.

A kiedy Maisie już spała, zasiadali w bibliotece przy kominku, czytali i słuchali muzyki.

Maisie miała rację. Samotny Szczyt był wspaniałym miejscem, zwłaszcza teraz, gdy mgły wyparowały i błękit nieba podkreślał piękno doliny. Wszędzie kwitły żonkile, na łąkach pasły się owce.

Nie chciała stąd wyjeżdżać.

- Dostałem maila od ciotki Kate - oznajmił pewnego poranka.

To był ostatni dzień w semestrze i jechali na szkolne przedstawienie. Żadne z nich nigdy nie wspomniało, że pobyt Jacqui dobiega końca, ale ona spakowała już swoją torbę.

- Powiedziała, kiedy wraca?

- Nie. Polubiła Nową Zelandię, dobrze jej z siostrą. Zostaje na zawsze.

- Och! - Dopiero po chwili zorientowała się, co to oznacza. - Czy... sprzeda dom? Czy będziesz musiał się wyprowadzić?

- Czy to cię martwi?

- Mnie? Dlaczego pytasz?

- To dla mnie ważne. Chcę wiedzieć, co czujesz.

- Maisie kocha to miejsce.
- To jest argument... ale co z tobą? Czy ty również kochasz Samotny Szczyt? - Uśmiechnął się lekko. - Oczywiście z wyjątkiem kurczaków.
- Przyzwyczaiłam się do nich - odparła ostrożnie. - Co się stanie ze zwierzętami, jeśli wyjedziesz?
- Nie odmówię sobie przyjemności poinformowania Sally, że musi znaleźć nowy dom dla tych nieszczęsnych osłów.
- Usiłowała się uśmiechnąć, ale jej się to nie udało.
- Cudownie się tu żyje, Harry, ale o magii miejsca decydują ludzie. To oni tworzą specjalny klimat swymi uczuciami, marzeniami i wspomnieniami.
- Też tak myślę.
- Co będziesz robił, jeśli stąd wyjedziesz?
- Prawidłowe pytanie brzmi: co będę robił, jeśli tu zostanę?
- To też.
- Myślę o otwarciu praktyki lekarskiej w wiosce. Kiedy powstaną nowe domy, będzie więcej pacjentów.
- A więc odpowiedziałeś na swoje pytanie. To jest twój rodzinny dom. Maisie jest twoją rodziną. Jest tu mnóstwo pokoi dla jej matki, gdyby...
- Gdyby potrzebowała kilku nowych fotek do kolorowego magazynu?
- Chciałam powiedzieć, gdyby miała przypływ macierzyńskich uczuć. Jestem pewna, że Sally kocha Maisie na swój sposób.
- Tak. Oczywiście, że kocha... O Boże! Powinniśmy wyruszyć wcześniej!

W wiosce panował straszliwy tłok, nawet na parkingu

przy pubie nie było miejsca. Harry cudem upchnął landrowera przed kościołem. Potem spojrział na Jacqui.

- Mam jeszcze jedno pytanie.

- Harry...

- Ponieważ powiedziałaś, że nie miejsca, ale ludzie są najważniejsi, muszę cię spytać, czy zostaniesz. Zostaniesz, Jacqui?

Na szczęście z opresji wybawiła ją komórka.

- To chyba... agencja - wyjąkała, szperając w torebce.

- Dzwoniłam do nich, prosząc, by znaleźli coś dla mnie na następny tydzień...

- Rozpakuj torbę, Jacqui. - Zabrał jej telefon, nim zdążyła zerknąć na wyświetlacz. - Nie potrzebujesz okresowej pracy. Składam ci propozycję na resztę twojego życia. Musisz tylko powiedzieć „tak”. Ale jeszcze nie teraz. - Wyskoczył z samochodu i otworzył drzwi pasażera. - Chodź - powiedział, stawiając ją na ziemi, jakby była piórkiem. - Maisie nam nie wybaczy, jeśli się spóźnimy.

Dobrze, że pomógł jej wysiąść. Nogi jej się tak trzęsły, że nie byłaby w stanie dokonać tego sama.

Zostać? Na resztę życia?

Przedstawienie wypadło wspaniale. Maisie w stroju wróżki, ze skrzydełkami i różdżką, zrobiła prawdziwą furorę.

Minęły wieki, zanim mogli w końcu wyjść. Przy pożegnaniu Harry zapraszał wszystkich na wielkanocne śniadanie do Samotnego Szczytu. Maisie była tym tak podniecona, że przez całą drogę do domu gorączkowo domagała się szczegółów. Czy to będzie duże przyjęcie? Czy Jacqui upiecze ciasto? Czy wszyscy przyjdą?

Kiedy dojechali na wzgórze, Jacqui była zupełnie wyczerpana.

To nie było fair. Harry zapędził ją w kozi róg. Jeśli chciał, by została, żeby opiekować się dzieckiem, mógł po prostu to powiedzieć. A ona mogłaby odmówić.

- Chyba mamy gości - zauważył Harry. - Brama jest otwarta.

- Kto...? - Wyskoczyła z landrowera, zanim zdążył zahamować, i porwała w ramiona małą dziewczynkę, która podbiegła do niej z rozwianymi, jasnymi włosami.

- Emma! Kochanie! Co tutaj robisz?

Wtedy dojrzała Gilchristów, którzy stali przy swoim samochodzie. Wyglądali na zdesperowanych. Już wiedziała, dlaczego przyjechali. W jednej chwili pojęła, że ma tylko jedną odpowiedź na pytanie Harryego.

Chciała zostać, ale teraz musiała spełnić dawną obietnicę.

Postawiła Emmę na ziemi, chociaż dziewczynka ciągle czepiała się jej ręki, i poprosiła Maisie, by pokazała jej kucyka.

Gdy dzieci odeszły, przedstawiła Gilchristów.

- Harry, to są Jessika i David Gilchristowie. Pracowałam dla Davida jako niania Emmy.

- Jacqui mi o was opowiadała - rzekł uprzejmie, ale jego uśmiech nie zmyliłby nikogo, kto go znał. - Proszę do środka. W kominku w bibliotece pali się ogień, rozgoście się, a ja zrobię herbatę.

Pani Gilchrist wyglądała na załamana.

- Jacqui - jęknęła, gdy Harry się oddalił - popełniłam okropny błąd. Czy kiedykolwiek mi przebaczysz?

- Oczywiście. Nie musiałaś się fatygować tak daleko, by mnie o to spytać. Skąd wiedzieliście, gdzie jestem?

- Pani Campbell nam powiedziała. Zobowiązała się, że zadzwoni i uprzedzi cię o naszym przyjeździe.

- Wyłączyłam komórkę. Byliśmy na szkolnym przedstawieniu Maisie.

- Tak wspaniale radzisz sobie z dziećmi...

- Nie ma w tym nic trudnego, Jessiko. Dzieci są ludźmi, takimi samymi jak my. Wystarczy tylko o tym pamiętać, a reszta przychodzi sama.

- To takie proste, kiedy o tym mówisz. Emma... - Potrząsnęła głową, wpatrując się w swoje dłonie. - Nie mogę sobie z nią poradzić. Nienawidzi mnie. Proszę cię, błagam, wróć do nas! Powiedziała mi, że jej obiecałaś, że zawsze przy niej będziesz, gdy będzie cię potrzebować. - Urwała, przestraszona, jakby przekroczyła jakąś niewidzialną granicę. - Dostaniesz własne mieszkanie, samochód do dyspozycji, zapłacimy za wszystko, czego zażadasz. Hongkong to piękne miejsce...

Jacqui przykryła jej dłoń swoją.

- Czy myślisz, że po tym, czego doświadczyłam, mogłabym kiedykolwiek zrobić to znowu dla pieniędzy?

Zmieszana Jessika podniosła oczy.

- Ale przecież jesteś tutaj. Pani Campbell powiedziała, że to przejściowe zajęcie. Oferujemy ci dobrą, stałą pracę...

- Słyszała pani, pani Gilchrist? Jacqui nie jest do wynajęcia. Bez względu na to, co powiedziała pani Campbell, Jacqui nie jest nianią Maisie.

Wszyscy troje obrócili oczy na Harryego, który stał w drzwiach z tacą.

- Więc kim jest? - zażądał wyjaśnień David Gilchrist.

- Dla Maisie jest jej prawdziwą mamą. Dla mnie... - popatrzył prosto na Jacqui - jest światłem w długim, ciem-

nym tunelu. Ciepłem wśród mroźnej zimowej nocy. Ukoniem. Radością. Po prostu wypełnia mi świat.

- Rozumiem - rzekł niepewnie David Gilchrist.

- Nie, Gilchrist, niczego pan nie rozumie - powiedziała Harry miękko.

- Tracimy niepotrzebnie czas, Jessiko. Setki niań poszukują pracy.

- Czy pan się niczego nie nauczył? - zapytał Harry z nie-naturalnym spokojem. - Opiekowanie się dzieckiem nie jest zwykłą pracą.

David Gilchrist podniósł się i wziął żonę za ramię.

- Idziemy! - rzucił.

Jacqui zerwała się na nogi.

- Nie! Poczekajcie! - Obrzuciła Harryego błagalnym spojrzeniem. - Harry, czy możesz zabrać Davida i przypilnować dzieci? Muszę porozmawiać z Jessiką.

- Myślałem, że chcesz z nimi odjechać.

- Dlatego, że obiecałam? - Jacqui wychylała się za bramę, żeby zobaczyć, jak samochód Gilchristów pokonuje ostatni zakręt i ostatni raz pomachać Emmie. Potem spontanicznie sięgnęła po jego rękę. Przytrzymał ją, jakby nigdy nie chciał jej puścić.

- Dlatego, że obiecałaś - odparł.

- Emma mnie nie potrzebuje. Ma już swoją mamusię. Kogoś, kto się o nią troszczy, ponieważ ją kocha. David Gilchrist jest zamożny, młody. To było nieuniknione, że się ponownie ożeni...

- Mając ciebie tak blisko, doprawdy nie wiem, czego jeszcze szukał.

- Och, przestań! - Zaśmiała się. - Byłam tylko nianią do

wynajęcia. Pewnie pomyślał, że znalazłam wreszcie kogoś na swoim poziomie. Zaraz, jak on cię nazwał?

- Wiejskim dżentelmenem?

- Nie poprawiłeś go.

- A po co? Zresztą nieważne... A więc Emma jest szczęśliwa? Czy bransoletka zastąpi jej utratę ciebie?

- Nie straciła mnie. Teraz to rozumie. Po prostu musiała wiedzieć, że jej nie opuściłam, Harry. Biedna Jessika wpadła w panikę. Myślała, że musi wymazać mnie z jej życia, żeby Emma mogła ją pokochać. Nie rozumiała, że miłość dziecka nie zna granic.

- To takie proste?

- Nie. To zajęło nam sporo czasu. Ale wreszcie wyjaśniłam jej, że może zadzwonić do mnie o każdej porze, żeby pogadać.

- Z Hongkongu?

- Mogą sobie na to pozwolić.

- A co powiedziałaś Emmie?

- Że zawsze będę ją kochać. Że zawsze będę blisko, kiedy mnie będzie potrzebować. Nie muszę mieszkać w tym samym domu ani nawet w tym samym kraju. Wystarczy podnieść słuchawkę telefonu.

- Powiedziałaś, że może dzwonić zawsze?

- Zrobiłam więcej, Harry. Powiedziałam, że może przyjechać i spędzić tu wakacje. Zgadzasz się?

Czy się zgadzał? To przecież oznaczało, że Jacqui tu będzie. ..

- Martwię się tylko o to, czy zostaniesz. Przez moment myślałem, że cię straciłem.

- Naprawdę? - spojrzała w jego oczy, twarde jak skała.

- Pozwoliłbyś mi odejść?

- Nie, najdroższa. Gilchristowie oferowali ci pracę. Ja ofiaruję ci całe moje życie. Wszystko, co mam.

- Opowiedz mi o naszej przyszłości, Harry. - Głos uwiązał jej w krtani. - O reszcie naszego życia.

- Żywot żony wiejskiego doktora nie jest do pozazdrosczenia. To nie to samo co luksusowe życie w Hongkongu.

- Dostał kuksańca w ramię. - Przecież wiem, jak nie cierpisz kurczaków...

- Przyzwyczyłam się do nich, ale, wybaczyć, czy to propozycja nie do odrzucenia?

- Mam paść na kolana?

Spojrzała w dół. Błoto nadal zalegało na podjeździe.

- Może zostawimy to na później?

Objął ją ramieniem i zawrócili do domu.

- Co jeszcze mogę dla ciebie zrobić, kochanie?

- Wiesz, nie cierpię tego napisu na bramie: „Wstęp wzbroniony”.

- Już biore śrubokręt.

- A moglibyśmy hodować kozę?

- Kozę? - Zaśmiał się. - Czy próbowałaś kiedyś koziego mleka?

- Nie, ale w każdym małym gospodarstwie jest przynajmniej jedna koza.

- Skąd wiesz, że to małe gospodarstwo?

- Dwa pola na krzyż, pięć osiołków, jeden konik i... pogubiłam się... Ile kurczaków i królików?

Zatrzymał się.

- Spójrz dookoła. Na wierzchołek wzgórza, tak daleko jak sięgasz wzrokiem na lewo i na prawo. A potem w dół, do głównej drogi.

Oczy jej zapłonęły.

- To wszystko należy do majątku? Ale tam jest przecież wioska.

- Kiedyś należała, do posiadłości. Mój dziadek dał prawa własności mieszkańcom pięćdziesiąt lat temu. Większość ziemi jest wydzierżawiona farmerom.

- Ależ to jest ogromna posiadłość! Czy zdołasz wykupić ją od ciotki?

- Przy obecnych cenach byłoby trudno, ale kupiłem ją od niej dziesięć lat temu, kiedy chciała sfinansować karierę Sally.

- Ale ciotka Kate tu została?

- Nic się nie zmieniło, tylko prawny właściciel. Dałem jej pełnomocnictwo, by zarządzała wszystkim, tak jak dawniej. Muszę przyznać, że wykonała kawał dobrej roboty. Niedawno odkryłem, że zapewniła mi fortunę, sprzedając tereny przylegające do wioski pod nowe domy. Wioska się rozwija i będzie ich coraz więcej. Będę musiał przekazać dodatkową kwotę ciotce, tak będzie sprawiedliwie.

- Uśmiechnął się. - Ciągłe chcesz mieć kozę?

- Lepiej zamienię ją na nowego kucyka dla Maisie. Takiego, który nie wyzionie ducha, kiedy go dosiądzie. A Krówka niech dożywa swych dni w spokoju.

- Możemy jej kupić kucyka na urodziny.

My. Jacqui pomyślała, że to najpiękniejsze słowo, jakie kiedykolwiek słyszała. Wzięła go pod rękę.

- Doskonale - odrzekła.

- Maisie pewnie chciałaby mieć rodzeństwo, braciszka, siostrzyczkę, potem znów braciszka...

Zerknęła na niego.

- To długoterminowe plany.

- Ale możemy już zacząć, prawda? - Wziął ją w ramiona.

- Zacząć planować. Najpierw musimy ustalić dzień ślubu.
- I dodał po długim pocałunku, który nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do jego uczuć: - Nie czekajmy z tym za długo.

Czerwiec, trzeba przyznać, to najlepszy miesiąc na wiejskie wesele. Kościół został udekorowany przepięknymi kwiatami. Zadbała o to, co prawda na odległość, Selina Talbot. Poślubiła w końcu swojego miliardera i nie przerywałaby miodowego miesiąca dla nikogo, nawet dla Maisie, która miała pełnić rolę druhny.

Małe druhny, Maisie i Emma oraz siostrzenice Jacqui, w diademach z kwiatów wplecionych we włosy przyjechały do kościoła dwukołowym wózkiem, ciągniętym przez dzielnego, małego kuczka.

Jacqui dołączyła do nich parę minut później wraz z ojcem w zaprzęgu przystrojonym kwiatami z żywopłotu.

- Naprawdę nie gniewasz się na mnie, że nie wyruszam na ślub z rodzinnego domu? - spytała.

Ojciec uściśnął jej dłoń.

- To jest twój dom, Jacqui. Nigdy nie widziałem cię bardziej szczęśliwej.

- Dzięki, że zostaniecie tu z mamą, by zaopiekować się Maisie, kiedy wyjedziemy.

- To jest magiczne wzgórze, kochanie. Spędzimy tu swoje najlepsze dni.

Wprawdzie przysięgi „miłości aż do śmierci” były zwykle uroczyste, wypowiedziane nie tylko odwiecznymi słowami, lecz także oczami, sercami i duszami, za to zabawa nie miała w sobie nic z oficjalnego ceremoniału.

Po prostu wydano weselne śniadanie. Potrawy wyłożono na stołach w ogromnym namiocie, ustawionym na najbardziej płaskim trawniku posiadłości i każdy obsługiwał się sam. Tańce zaś niczym nie przypominały tych z młodzieżowych dyskotek. Kapela skrzypków grała gige i szkockie melodie, których nie wytrzymałby żaden nastolatek.

Przyjęcie trwało jeszcze długo po zniknięciu głównych bohaterów, którzy rozpoczęli nie tylko swój miodowy miesiąc, lecz także długie następne miesiące i lata, by rozkoszować się sobą, miłością i wszystkimi codziennymi sprawami.

Najlepiej podsumowała to właścicielka sklepu, która, wypiwszy kilka kieliszków szampana, powiedziała do żony pastora:

- Moja droga, wygląda na to, że po długiej zimie do naszej wioski znów wróciło życie.